

*Wspaniała inspiracja dla milionów kobiet
walczących o prawo do niezależności.*

Khaled Hosseini, autor „Chłopca z latawcem”

PAKISTAŃSKA CÓRKA

Uciec talibom, wygrać życie

*Czy mała dziewczynka może
wygrać z talibami? Nie wojnę,
ale własne życie? To wzruszający
podręcznik walki o siebie samą.*
Manuela Gretkowska



Maria Toorpakai

oraz Katherine Holstein

PAKISTAŃSKA CÓRKA

Maria Toorpakai
oraz Katherine Holstein

tłumaczenie:
Robert Filipowski

Kraków 2017

Każdemu dziecku, które musi walczyć, zamiast bawić się i uczyć w pokoju.
Niech strony tej książki będą dla Was niczym
światło na ścieżce ku wolności.

PROLOG

PROROCTWO

Dziewczyny takie jak ja wysyłane są do wariatkowa albo po prostu kamienowane na śmierć. Jeśli któraś ma szczęście, może wżenić się do rywalizującego klanu, żeby splamić jego krew. Jestem owocem jednego z takich karnych małżeństw. W ramach wyroku mającego przynieść hańbę obojgu, moja matka poślubiła wyklętego ojca, którego nie widziała nigdy wcześniej. Starszyzna nie przewidziała miłości, która miała się między nimi zrodzić, ani siły ich odwagi i wspólnych ideałów. A już na pewno nie przewidziała mnie. Nie mogła też powstrzymać naszej bezwstydnej rodziny pasztuńskich buntowników przed posiadaniem potomstwa.

Nawet wśród swoich uznawana byłam za tą inną. Nienawidziłam lalek, nie podobały mi się wymyślne suknie i nie znosiłam wszystkiego, co choć odrobinę kobiece. Moje ambicje nie ograniczały się do życia w kuchni ani w czterech ścianach naszego domu. Żeby pozostać przy zdrowych zmysłach, musiałam przebywać na zewnątrz, pod gołym niebem, na wolności – a tego zabraniało plemienne prawo.

Kiedy byłam jeszcze bardzo mała, ojciec pożyczył telewizor Zenith i magnetowid, a na miejscowym bazarze kupił używaną kasetę wideo o technikach polowania stosowanych przez lwy. Na taśmie tej, jak na wszystkim, co pokazywał nam ojciec, czy to za pośrednictwem telewizora, czy książek, zapisana była życiowa lekcja, do której sami musieliśmy dotrzeć. Siedzieliśmy na chłodnej glinianej posadzce naszego pokoju dziennego, oglądając lwa podchodzącego na afrykańskiej równinie stado gazeli. Lwy są bardzo powolnymi drapieżnikami, a polują na jedne z najszybszych stworzeń na ziemi. Początkowo zdawało się, że lew nie ma szans. Głodny, wylegiwał się niczym leniwy król wśród bujających traw, od niechcenia obserwując otoczenie. Co jakiś czas wstawał, przeciągał się i krok po kroku zbliżał do swojej ofiary. Kiedy gazele na niego patrzyły, po prostu gapił się na nie obojętnie, nie zdradzając swoich zamiarów. Pewność siebie gazeli wynikała z tego, że z łatwością mogły uciec przed lwem, ale ta ich fałszywa wiara we

własne umiejętności miała okazać się dla nich zgubna. Lew posiadał dwie cechy, które sprawiały, że szala zwycięstwa przechylała się na jego stronę: okrutną cierpliwość i fenomenalną umiejętność maskowania się. Dokładnie pamiętam, jak ta bestia z gracją wyskoczyła z trawy, wbijając swoje kły i pazury w odsłonięty kark zaskoczonych ofiary, która nie zdawała sobie sprawy z obecności lwa. Ale ta gazela była głupia, myślałam sobie, a kot taki cwany.

Tuż przed moimi piątymi urodzinami narzekałam ojcu, że nie zniosę kolejnej ciasnej sukni i wolę nosić luźne ubrania, takie jak chłopcy bawiący się na dworze. Zaśmiał się i kazał mi się nie przejmować. Możliwe, że wszystko zaczęło się od żółtego T-shirtu i krótkich spodenek, które kupił mi na bazarze. Nie zważałam na jego ostrzeżenia, żeby nosić ten strój wyłącznie w czterech ścianach naszego domu. W mojej części świata, jeśli dziewczyna wychodzi odsłonięta na zewnątrz, popełnia *haram* – czyn zabroniony, występki przeciw Bogu.

W dniu, w którym założyłam mój żółty strój, wabiła mnie roztaczająca się z naszej żelaznej bramy panorama szczytów i dolin. Pierwszy raz byłam sama poza domem, gotowa biec pod gołym niebem. Czyste ciemne włosy miałam spięte tęczowymi wstążkami, uderzył mnie południowy skwar, koszulka przylgnęła mi do pleców, a po warkoczach i nogach spływały krople potu. Słońce grzało mi kończyny, przystanęłam na moment na podwórzu, wzniosłam ręce i poczułam przypływ wolności. Spojrzałam na nogi, widziałam swoje smukłe ciało, tak często skrywane, a teraz nabierające rumieńców. Odciągnęłam zasuwę, popchnęłam ciężką bramę i puściłam się pędem. Nikt mnie nie zauważył i kiedy wróciłam, nikomu nie powiedziałam, co zrobiłam.

Pewnego parnego popołudnia siedziałam na kolanach przy niskim oknie, z głową opartą na rękach, wpatrując się w szeroką rzekę za naszym domem. Matka wcisnęła mnie w nową suknię z ciężkiego materiału, przyozdobioną licznymi paciorkami i rzemykami. Zakrywała mnie od stóp do głów niczym trumna. Z zewnątrz falami dobiegał mnie śmiech grupki bawiących się chłopców, którzy wznosili tumany kurzu, przysłaniając mi widok na poszarpany horyzont. Słyszałam głucho dudnienie kopanej piłki i nagle poczułam w brzuchu jakby uderzenie gorąca. Było ich tam przynajmniej dziesięciu, wszyscy luźno ubrani, grali w piłkę pomiędzy niskimi występami skalnymi. Dryblowali zwinnie, a mnie nagle ogarnęła panika, gdyż zrozumiałam, na czym będzie polegał mój los, jak gdybym nagle ujrziała przyszłość – przez resztę życia miałam być zabalsamowana w pięknych

szatach, a do wyboru pozostawały mi albo szkoła, albo dom. Serce zamarło mi jak kamień. Dla dziewczynek takich jak ja, które pragnęły biegać i uprawiać sport, nie było żadnej alternatywy. Nagle zrozumiałam, że pomimo liberalnych wysiłków mego ojca, jego mitów, wielkich map z kontynentami i wszystkiego, czego starał się mnie nauczyć o wielkim świecie, nigdy naprawdę nie będę wolna. W naszej kulturze dziewczynki przesiadywały w czterech ścianach, w milczeniu i zakryte.

Nie zastanawiałam się nad tym, co robię. Po prostu wstałam, odeszłam od okna w chłodny cień, zerwałam z siebie suknię, aż puściły szwy przy ramionach. Następnie w porywie cichego szaleństwa wyciągnęłam wszystkie sukienki z szaf i wyrzuciłam je do ogrodu. Jedna po drugiej. Były tak ciężkie, że zajęło mi to godzinę.

Palenisko kuchenne pod drzewem było płytkie, składało się z czterech cegieł i kilku patyków umieszczonych pod rusztem, ale wiedziałam, gdzie matka trzyma naftę i zapalki. W szafce na półce w kuchni. Działalam szybko, zanim mogłabym się rozmyślić, doskonale zdając sobie sprawę, że jeśli tylko się nad tym zastanowię, zaraz przestanę. Ściągnęłam wielką puszkę nafty i powoli, trzymając oburącz, zaciągnęłam ją, nie roniąc ani kropli, na zewnątrz przez tylne drzwi – pozostawiłam za sobą ścieżkę prowadzącą wprost do paleniska. Sukienki ułożyłam na ceglach w stos, jedna na drugiej, ich ornamenty odbijały słoneczne światło, tkaniny były ciężkie niczym ołów. Nawet jeśli przez podwórko zawiął wiatr, leżały nieruchomo niczym zwłoki. Spojrzałam na stos i zawahałam się tylko na sekundę – szkoda było palić coś tak pięknego. Postanowiłam jednak podpisać własny wyrok śmierci. Oblałam ubrania czystą niczym woda naftą i podpaliłam zapalkę. Odsunęłam się, obserwując, jak płomień wzbija się na moje żądanie.

Nagły podmuch wiatru zmącił powietrze, rozwiewając mi włosy i zapierając dech w piersiach, a stos sukienek momentalnie zniknął za ścianą płomieni. Eksplozja gorącego, czerwonego żaru pochłonęła te wszystkie paciorki i kryształki, wystrzeliwując ku błękitnemu niebu kłębem czarnego dymu. Jasne, jedwabiste kolory w ciągu kilku chwil zmieniły się w brąz i czerń. Wbiegłam do domu, gdzie założyłam koszulę i spodnie brata – strój u nas nazywany *salwar kamiz*. Następnie w kuchni wzięłam ostry nóż, którym odciąłam wielkie pukle moich czarnych włosów, rzucając je w płomień, gdzie przemieniły się w popiół.

Nie zdawałam sobie sprawy, że od dłuższej chwili ojciec stoi i obserwuje, jak jego dzikie dziecko tańczy przy stosie spalonych sukni. Wiele lat później

dowiedziałam się, że tego gorącego popołudnia ujrzał we mnie inną dziewczynkę – siostrę, której kiedyś nie udało mu się uratować. Z okna na górze widział, jak przez rodzinny ogródek niesie dwa ciężkie ocynkowane wiadra pełne wody. Nagle się zatrzymała. Ujrzał, jak upuszcza jedno naczynie, potem drugie. Rozlana woda spłynęła po rozgrzanych kamieniach, a wiadra potoczyły się po ziemi, opryskując rąbek jej sukni. Usłyszał, jak siostra wzdycha z bólu i pada jak rażona piorunem.

Kiedy do niej zbiegł, leżała na ziemi, a w jej otwartych oczach odbijało się błękitne niebo. Była martwa. Ludzie w wiosce mówili, że cierpiała na przerost serca albo na jakąś inną wadę, która doprowadziła do zatrzymania jego akcji. Ojciec wierzył, że jej śmierć spowodował ciężar wielu smutków. Jego siostra była jak ja – silna, androgeniczna i narwana. Taka chłopczyca nie miała szans przetrwać w klatce, w której zamykała ją nasza kultura.

Zanim ojciec dorósł, widział wiele dziewcząt odbierających sobie życie – kuzynki zażywały truciznę, żeby uniknąć zaaranżowanego małżeństwa, inne po prostu odmawiały jedzenia, aż umierały z głodu. Często dziewczyny oblewały się naftą i podpalały. Raz widział w wiosce samobójczynię, która zmieniała się w żywą pochodnię. Po wszystkim zostały tylko zwęglone szczątki. Inne dziewczyny robiły to samo, choć częściej to im coś takiego robiono – w trakcie kłótni o posag albo w ramach wyroku za jakiś niewybaczalny grzech.

– Moja siostra była taka jak ty, Mario, silna i inna, urodzona, by zostać lwem, a oni jej na to nie pozwolili.

Ojciec podszedł do mnie i do płonącego stosu, usłyszałam jego śmiech. Przeczesał moje postrzępione włosy.

– Mój nowy syn potrzebuje imienia godnego wielkiego wojownika, który wygrał bitwę, nie roniąc ani kropli krwi. Będziemy cię nazywać Dzyngischanem.

Pochylił się nade mną, powtarzając to imię do mojego lewego i do prawego ucha, a następnie wyrecytował święty *adhan*. Maria umarła.

ROZDZIAŁ 1

MIĘDZY GÓRAMI

Mój rodzinny dom otoczony był zapierającymi dech w piersiach bezkresnymi łańcuchami górskimi znanymi jako Dom Boży, składającymi się z ogromnych, stromych skał wypełnionych światłem koloru ognia. Pomiedzy szczytami, skryte w łagodnych dolinach, płynęły rzeki, wzdłuż których wznosiły się wioski z błota i kamienia. Nad tym wszystkim rozpościerała się aż po horyzont wielka błękitna kopuła nieba. W dolinach, w których rosła kukurydza i pasły się owce, trudno było spotkać człowieka. Żadnych odgłosów. Można było iść przez kilka dni i nie natknąć się na żywą duszę, a mimo to wszędzie dało się wyczuć boską obecność.

Dla mnie ta cicha i piękna kraina jest niebem. A jednak gdy świat myśli o moich rodzinnych stronach, widzi w wyobraźni przedsiemek piekła. Mający kształt siekiery Południowy Waziristan, zajmujący powierzchnię 6500 kilometrów kwadratowych przy spływającej krwią, niespokojnej granicy z Afganistanem w północno-zachodniej części Pakistanu, należy do Terytoriów Plemiennych Administrowanych Federalnie, lecz w rzeczywistości rządzi się sam za pomocą starożytnego systemu despotycznych plemiennych praw. Obecnie znajduje się tu główny matecznik talibów, przez co uznawany jest za najniebezpieczniejsze miejsce na świecie, ale w mojej pamięci zachował się jako mój dom i gdybym tylko mogła, powróciłabym do niego bez wahania – gdyby tylko nie żądano tam mojej głowy.

Popołudniami wiał tam ożywczy wiatr, na przemian przynosząc chłodne i ciepłe podmuchy powietrza. Ale gdy tylko pogoda zmieniała się przed burzą lub gdy jedna pora roku przechodziła w następną, z gór nadchodził inny wiatr, przeganiając wzdłuż szczytów długie pasma chmur i owijając je wokół nich ciasno niczym grube bandaże. Przynosił obce mi zapachy, przywołując – jak to sobie wyobrażałam – niewidzialne światy, pobudzające we mnie chęć, by ruszyć w podróż daleko od naszego spokojnego, skrytego między górami domu.

Ten sam wiatr wiał w dniu, w którym się urodziłam, 22 listopada

1990 roku, w wiosce takiej samej jak inne, cichej i małej, niewyróżniającej się plamce w rozległej zielonej dolinie. Moja matka, Yasrab, miała 26 lat i musiała urodzić mnie bez niczyjej pomocy – bez szpitala, bez lekarza, bez żadnego znieczulenia. Sąsiadki przyniosły kubki chłodnej wody i pasy czystych tkanin. Mężczyźni poszli modlić się do meczetu, jeść owoce mango zerwane z dziko rosnących gajów i ssać kostki cukru. Pokój, w którym rodziła, był ciemny, a zza zamkniętych drzwi nie mógł dobiec żaden dźwięk. Gdy było już po wszystkim, nikogo w klanie nie interesowało, czy mój płacz jest zdrowy, czy świadczy o niedomaganiu ani czy urodziłam się żywa czy martwa. Podobnie jak moja starsza o cztery lata siostra, Ayesha Gulalai, byłam dziewczynką, co stanowiło skazę na naszym plemienu.

Mój ojciec, Shams Qayyum Wazir, nie miał jeszcze trzydziestki i był wyzwolonym mężczyzną o szlachetnym pochodzeniu, co oznaczało, że wśród Pasztunów uchodził za zdrajcę. Shams ani razu nie sprawił, że ja albo moja siostra czułyśmy się gorsze od starszego ode mnie o pięć lat brata, Taimura Chana, ani od bliźniaków Sangeena Chana i Babraka Chana, którzy przyszli na świat ku chwale naszej rodziny, kiedy miałam cztery lata. W przeciwieństwie do innych pasztunskich rodzin, w których kobiety służyły mężczyznom, wszyscy żyliśmy w naszym wielkim, błotno-ceglanym domu jak równi sobie. Trzymaliśmy się naszej muzułmańskiej wiary, obchodząc wszystkie święta i przestrzegając postów, modląc się pięć razy dziennie, ale ojciec nauczył nas, że ludzie na świecie w różny sposób docierają do Boga. Moja rodzina składała się z wolnomyślicieli, przez co popadła w niełaskę w naszym konserwatywnym plemienu, ale dzięki czemu mogła się także z niego wyzwolić.

*

Każdy mieszkaniec Waziristanu, czy to Północnego, czy Południowego, nazywany jest Wazirem, ale słowo Wazir odnosi się także do plemienia Pasztunów, którzy licznie zamieszkują nasz region. Łączy ich język paszto, a kierują się kodeksem honorowym Pasztunwali, na który składają się rodowe prawa powodujące liczne niesnaski i rywalizację między rodzinami. Choć Wazirowie podzieleni są na klany, razem jesteśmy bardzo silni. Żadnej zewnętrznej władzy, jakkolwiek byłaby silna i choćby stosowała najnowocześniejszą broń, nie udało się podbić Wazirów ani nawet na jeden dzień zająć naszej ziemi. Doświadczeni w podbijaniu i kolonizowaniu

brytyjscy imperialiści wpuścili do Waziristanu legiony żołnierzy, którzy zostali wyparci przez nieustraszonych miejscowych wojowników. Uśmiechając się z dumą, ojciec powiedział mi pewnego dnia, że Wazirowie w ciągu jednego popołudnia zmasakrowali 400 brytyjskich żołnierzy. Swoim gościom Pasztunowie oddadzą każdą ceną rzecz, jaką mają, ale wystarczy ich raz obrazić, a odetną wam głowę, zanim zdążycie mrugnąć.

W dzieciństwie nie znałam innych osób niż ludzie mojej krwi, których mogłam rozpoznać od pierwszego spojrzenia. Nawet jeśli turyści zapuszczali się w te rejony, nigdy nie docierali do mojego małego, odizolowanego świata. Cudzoziemcom nie udało się przeniknąć na nasze ziemie niepostrzeżenie. Wazirowie są masywni i wysocy, mają silne kończyny i szerokie dłonie. Kiedy wazirskie kobiety bronią potomstwa, są nieustraszone, a ich głosy huczą głęboko z wnętrza ich ciał. Mówią, że kiedy wazirska kobieta się odzywa, lepiej jej słuchać. Według legendy nasi ludzie są potomkami słynnego pasztuńskiego przywódcy Sulejmana i jego syna Wazira. Założyli wiele plemion, które zasiedliły obszerne połacie ziemi.

Na mapie Waziristan wygląda jak łata przyszyta do poszarpanych krawędzi Pakistanu, łącząca Afganistan z łańcuchem gór Preghal. Więzy krwi i wspólna przeszłość, której początków należy szukać w starożytnych dolinach Afganistanu, spaja ze sobą obie strony Przełęczy Chajberskiej. Żadna granica wryta w kamieniu przez człowieka ze strzelbą ani namalowana na papierze krwią poległych wojowników nie rozerwie arrasów naszych więzów. Dokądkolwiek bym się udała, moja ziemia, moi ludzie, mój ojciec przypominali mi, że jestem pełnokrwistą Wazirką. Wazirką przede wszystkim.

Wszystkie wspomnienia naszego pierwszego domu, wzniesionego z cegieł *pukka* i błota, zaczynają się tak samo: najpierw cichy poranek, ciepło słońca ogrzewa wszystkie przedmioty. W moim domu narodziny dnia zdawały się magiczne, choć codziennie wyglądały tak samo, niczym rodzinna pieśń rozbrzmiewająca w każdym domu, w każdej wiosce. Pasztunki budzą się bardzo wcześnie, przed pierwszym pianem koguta. Plemienna matka nie musi zastanawiać się, co robić danego dnia. Jej obowiązki – nadające rytm życia całej rodzinie – są tak święte i wrodzone, jak bicie jej serca, dzięki któremu otwiera oczy, niezależnie od tego, jak zmęczona może być po znoju poprzedniego dnia. Wszystko, co robi wazirska kobieta, wryte jest w koleinach długiej ścieżki, którą przemierzała jej matka, babka i prababka. Nie wolno jej z niej zbaczać. Nie ma dostępu do telewizji, gazet ani magazynów, nawet radia są rzadkością. Wiedza traktowana była jak ktoś obcy,

komu nie wolno ufać – nie mówiąc już o zapraszaniu do siebie.

Zgodnie z powszechnie akceptowanymi zasadami pasztuńskie kobiety miały siedzieć w domu, a na zewnątrz wolno im było wychodzić jedynie, gdy od stóp do głów okrywały je szaty zwane abajami lub burkami albo w wielkich chustach zwanych czadorami, i to tylko z mężczyzną – mógł nim być nawet mały chłopiec – u boku. Trzymanie kobiet w czterech ścianach i zakrywanie ich to praktyka zwana *purdah* – konserwatywny muzułmański zwyczaj, wedle którego przedstawicielki płci pięknej nie powinny być wystawiane na widok mężczyzn. Zwyczaj ten nigdy nie był kwestionowany, tak jak nie kwestionuje się kierunku wiatru albo wschodu słońca. Dla osób z zewnątrz wygląda to jak zniewolenie, ale dla mnie – przynajmniej wtedy – żadna z tych kobiet nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej. Wszystkie wiedziałyśmy, gdzie jest nasze miejsce. A nasze miejsce określała nasza pozycja w domu oraz pozycja naszej rodziny w plemienu. Wierzyłam w to, dopóki nie utraciłam mojej pozycji.

Zawsze sobie wyobrażałam, że moja matka budzi w każdym, kto wstał po niej – czyli w moim ojcu, mojej siostrze, moich braciach i we mnie – ducha. Dopóki nie wstała, wokół nie było nic, tylko pustka – ani nieba, ani ziemi, ani rzeki, ani doliny. Budząc się, matka budziła słońce, tak jak podsycala ogień, układając drewna na palenisku.

W ciemnej błotnej lepiance, w pokojach nasyconych zapachem ziemi członkowie rodziny bładzili po omacku, budząc się kolejno. W domach, które często zamieszkiwane były przez wielopokoleniowe rodziny, najpierw z łóżka wstawały matki, potem dzieci, a mężczyźni, niczym bestie, drzemali najdłużej. Młodszy opiekowali się starszymi, goliąc ich chropowate, wyżłobione przez czas twarze i układając ich ubrania oraz włosy. W Waziristanie wiele osób mieszka w ogromnych domach, gdzie pod jednym dachem żyją wielopokoleniowe rodziny – ciotki, wujkowie, kuzyni, dziadkowie i oczywiście dzieci. Rodzina zawsze wspólnymi siłami budowała dom i każdy miał swoje miejsce w hierarchii – najwyżej byli najstarsi – tak jakby każdy był trybikiem w maszynie.

Nawet ptaki, które szanowaliśmy, zajmowały wśród nas specjalne miejsce. Usunęliśmy jedną cegłę *pukka* ze ściany naszego ganku, żeby gołębie mogły w niej uwić gniazdo. Zawsze odnajdywał się tam jakiś ptak wiedziony instynktem, którego nigdy nie potrafiłam pojąć, stając się członkiem naszej rodziny. Na jednym z nas spoczywał obowiązek kruszenia czerstwych resztek chleba i karmienie gołębia, żeby się zadomowił.

W mojej wiosce każde dziecko miało proste obowiązki. Dziewczynki

opiekowały się najmłodszymi, zanim te nauczyły się same jeść. Ktoś chodził z pełnymi wiadrami wielkości połowy jego wzrostu srebrną ścieżką od strumienia, niosąc chlupoczącą chłodną wodę. Czasami biegłam z moim metalowym wiadrem, uderzając w niego złamanym patykiem i wzbijając obutymi w sandały stopami tumany kurzu z rozpalonej ziemi. W gorące letnie popołudnia udawaliśmy się małymi gwarnymi grupkami do górskiego źródła, gdzie taplaliśmy się w pomarszczonej wodzie, po której powierzchni pływały kwiaty przypominające lotosy.

Zanim wróciłam do domu z wypełnionym po brzegi, ciężkim wiadrem, matka zdążyła już przygotować na śniadanie jogurt ze świeżego mleka. Pachniało chlebem naan, posiekaną miętą i parzoną czarną herbatą. Gdy tylko wstał ostatni mężczyzna, cała rodzina zbierała się razem z hałaśliwymi i radosnymi dziećmi. Ojcowie siadali w ciszy na jedwabnych matach pod ścianą. Kobiety przemykały pomiędzy resztą domowników niczym strumień, z którego właśnie czerpałam zimną wodę, podając świeże, proste posiłki, na przykład małe miseczki krojonych owoców – wszystko to w przestronnej, ciepłej kuchni, która była sercem naszego domu.

Ale w naszych porankach w Waziristanie najbardziej lubiłam cichą ceremonię, którą dziś postrzegam niemal jak świętą powinność; rozpoczynała się, kiedy wywiązawszy się z mojego obowiązku, przekazywałam matce świeżą wodę. Moja matka zwilżała nią ziemistą podłogę naszego domu, zanurzając ręce w wiadrze i strząsając z koniuszków palców wielkie srebrne krople. Gdy podłoga zmiękła od chłodnej górskiej wody, przecierała ją i ubijała, wydobywając z niej słodki zapach wilgotnej gliny. Słodkie perfumy rozchodziły się po całym domu, swym niewidzialnym pięknem oznajmiając nam, że rozpoczął się kolejny długi dzień.

Zanim w ogóle się dowiedziałam, że istnieje jakiś zewnętrzny świat, musieliśmy rozstać się z naszą idyllą. Moja rodzina wyprowadziła się z tego wielkiego domu z przewiewnymi pokojami, porzucając stabilność naszych zwyczajów i wysoką pozycję w plemienu – wszystko przez to, że ojciec stanął w obronie swoich ideałów, pozwalając żonie i córkom żyć we względnej wolności. Chciał, żebyśmy wszyscy odebrali dobrą edukację, i wiedział, że za samo marzenie o tym będzie musiał uciec z naszej małej wioski. Moja rodzina nie wstydziła się swoich wielkich ambicji. Gdy moja siostra Ayesha miała sześć lat, brała udział w debatach konkursowych i pisała przemówienia na temat praw kobiet, demokracji, pracy dzieci i środowiska. W wieku czterech lat wolno mi było ubierać się jak chłopiec i z procą biegać

po wiosce. Moja matka, na którą wołaliśmy Aami, pragnęła zdobyć stopień naukowy. A mój ojciec, nasz Baba, nie wymagał od matki noszenia burki; znajdował się w samym środku tego wszystkiego, niczym prowodyr zrywający ze starodawnymi zasadami z uporem krewkiego Wazira.

Wówczas nie zwracałam uwagi na żaden z tych szczegółów, ale dla naszej starszyny były one poważną zniewagą. Zniewagą całego plemienia. Zniewagą Boga. Starszyna już wcześniej dwukrotnie zamknęła ojca za jego liberalne poglądy. Dążenie do oświecenia wiązało się z karami – więzieniem, a w najgorszym wypadku śmiercią. Jeśli wszyscy chcieliśmy się uczyć, to nie mieliśmy wyboru i musieliśmy odejść. Ale nawet w takim otoczeniu nie znaliśmy strachu. Na tym polegała wspaniałość bycia Wazirką i córką mojego ojca. Nie baliśmy się niczego. Po prostu się przeprowadziliśmy i żyliśmy dalej.

W kolejnych latach przenosiliśmy się wielokrotnie, każde nowe miasto pociągało mnie nowymi przygodami i dziwnymi postaciami – zarówno pozytywnymi, jak i negatywnymi – czyniąc ze mnie kobietę, jaką miałam się stać. Nawet dziś jedna z tych historii się wyróżnia: to dzięki niej zrozumiałam, że mój świat jest jak kocioł pełen niebezpieczeństw, nie tylko dla mnie, ale dla każdego, kto w nim żył. Było to dla mnie przełomowe odkrycie: jego okropieństwo, pomimo wszystkiego, co przydarzyło mi się wcześniej i później, do dziś nie opuściło mojej sponiewieranej psychiki. Wspominając moje dzieciństwo w Pakistanie, często myślę o chwili, kiedy na dobre przestałam być dzieckiem.

Miałam siedem lat i żyłam już jak chłopiec. Ojciec pracował jako nauczyciel w koledżu w Miramshah, nowoczesnym mieście z gęstą betonową zabudową, które leżało w dolinie przylegającej do stromych szczytów pasma gór Hindukusz. Każda nowa przeprowadzka rozpoczynała się tak samo: ojciec i matka załadowywali na wóz niezbędne rzeczy, jak naczynia, materace wypełnione uschłymi liśćmi, zakurzone podręczniki ojca oraz para gdaczących kurczaków, i ruszaliśmy w drogę. Zmierzaliśmy w stronę Północnego Waziristanu, trasa była wyboista i długa, prymitywny pojazd wiozł naszą rodzinę przez góry wyłaniające się z pyłu unoszącego się nad suchą drogą. Podróż zapamiętałam jako ciąg powoli przesuwających się krajobrazów, gdy mijaliśmy wioski i gdy zatrzymywaliśmy się, by kupić owoce mango i morele z rozklekotanych stoisk. Drogi były kamienne i wąskie, a z jasnego nieba lał się żar. Dotarcie z Południowego Waziristanu na północ musiało nam zająć dużo czasu.

*

Początkowo moje życie w Miramshah nie było mniej wolne ani szczęśliwe od tego, które znałam w Południowym Waziristanie czy gdziekolwiek zdarzyło mi się mieszkać. Drzemałam w cieniu akacjowych drzew i skakałam po płaskich dachach. Pływałam jak chłopiec w wartkiej rzece i biegałam wzdłuż jej błotnistych brzegów, czasem przystając i przebiegając wzrokiem po zasiedlonej dolinie u stóp zdradzieckiego i baśniowego pogórza Kusz. Nie zwracałam uwagi na fakt, że pod względem materialnym byliśmy ubożsi – mieliśmy mniej jedzenia, mniej ubrań – i że wszyscy gnietliśmy się w małym betonowym domu na kampusie koledżu.

Kiedy ojciec dał mi pieniądze, żebym na targu kupiła jedzenie, nie miałam pojęcia, jak trudno zdobyć tę garstkę pachnących glebą rupii. Nie wiedziałam, co to znaczy być biednym, zanim na dobre nie opuściliśmy domu. Żeby dotrzeć na targ – lub gdziekolwiek w mieście – musiałam wspiąć się na betonowy mur i kierować się uliczkami, a w kieszeniach mojej postrzępionej koszuli i spodni monety brzęczały niczym małe dzwoneczki. Był to dziewiąty miesiąc muzułmańskiego kalendarza księżycowego i sierp księżycy niczym cienki paznokieć wisiał na bezchmurnym porannym niebie, sygnalizując święty miesiąc ramadan. Na ramię zarzuciłam torbę wypełnioną zebranymi w lesie orzeszkami piniowymi, które miałam wymienić na biały ryż lub torbę owoców. Wysyłając mnie, matka ostrzegła, żebym się nie ociągała. Rodzina została w domu, gdzie przez cały miesiąc pościła od wschodu do zachodu słońca. Pamiętam panującą wokół ciszę. Czuć było, że nasza część świata pogrąża się w głębokiej modlitwie. Podbiegłam do cementowego muru, przeskoczyłam na drugą stronę i pomknęłam wąską, cienistą aleją, na której nie spotkałam żywej duszy. Zawsze chodziłam lekko przygarbiona – uginając się pod własnym wzrostem, gdyż byłam bardzo duża jak na dziewczynkę – z rękami wciśniętymi w kieszenie. Wyglądałam jak zdeterminowany i szybki chłopiec, który wie, dokąd zmierza. Wielokrotnie szłam tą drogą w tym samym celu. Kiedy dotarłam do końca alei, usłyszałam silnik pracujący raz na wyższych, raz na niższych obrotach, a potem milknący. W powietrzu unosił się gorący zapach benzyny. Ujrzałam mężczyznę ubranego w jaskrawy, czysty *salwar kamiz*, wchodzącego przez otwarte drzwi do sklepu i znikającego w ciemności. Przez okno po drugiej stronie sklepu widać było inną, pustą ulicę. W środku stała krótka lada, przy której, pod ścianą, drzemał starszy mężczyzna.

Podeszłam do drugiego końca i zatrzymałam się przy stole, na którym stały kosze z produktami.

Za mną weszło dwóch innych mężczyzn. Kwaśny męski pot wyparł zapach kolendry i kardamonu, które zawsze dominowały w sklepie. Podeszłam do kosza z owocami na samym końcu pomieszczenia, przyjrzałam się dojrzałemu granatowi, opukałam go palcem i podniosłam.

Mężczyźni stali w sklepie. Słyszałam ich szept i szuranie stóp.

Na uliczce za sklepem odezwał się silnik samochodu. Ujrzałam, jak podjeżdża, a boczne okna powoli się opuszczają. Datsun. Już wtedy znałam marki samochodów. Mój ojciec podjął pracę nauczyciela mechaniki samochodowej i maszynierii w miejscowym koledżu. Jego klasą – w której spędzałam na zabawie całe popołudnia – był wielki garaż wypchany rozebranymi pojazdami; brudne od smaru części silnika spoczywały na stolikach niczym mechaniczne okazy czekające na kolejną lekcję.

Mężczyźni w sklepie zamilkli. Stary człowiek za ladą wstał i się rozejrzał, a samochód stanął pod oknem. Jego drzwi otworzyły się z impetem i wypadło z niego kilka osób. Następnie, jakby jednym płynnym ruchem, wskoczyły one przez okno do środka sklepu. Powietrze pulsowało. Przez kilka sekund nikt się nie ruszał. Czułam, jak przyspiesza mi oddech i serce. Nagle jeden z intruzów wyciągnął pistolet. Później dowiedziałam się, że był to tokariew, relikw po radzieckiej inwazji w Afganistanie, broń popularna w tej części świata. W kolejnych latach wielokrotnie miałam widzieć tę samą broń w naszych stronach. Mężczyzna przeładował magazynek, ruszył do przodu i oddał trzy szybkie strzały w głowę mężczyzny, który wszedł do sklepu przede mną. Nawet nie drgnęłam. Instynkt nie potrafił mi podpowiedzieć, co robić. Byłam całkowicie zdezorientowana i przerażona. Usłyszałam westchnięcie i coś ciężkiego upadło na podłogę. Oczami szukałam czegoś, żeby tylko nie patrzeć na to, co przede mną – odpadającej farby z sufitu, urwanego rzemyka przy moim sandale, cienia ptaka przemykającego za oknem. Musiałam jednak spojrzeć na ranionego mężczyznę. Pamiętam, że zrobiło mi się szkoda jego koszuli, i to na niej skupiłam uwagę – tak piękne ubranie zostało niewybaczalnie splamione. Chyba byłam w szoku.

Drugi mężczyzna wystrzelił w szyję innego. Teraz już dwie krwawiące osoby leżały na ziemi. Postrzelony w szyję człowiek trzymał palce w dziurze po kuli, próbując chyba zatamować krew, ale nie był w stanie tego zrobić. Z rany wydobywały się dziwne dźwięki, jakby ssanie niemowlaka. Natychmiast pomyślałam o moich drzemających w domu w kołysce braciach

bliźniakach, Sangeenie i Babraku. Chciałam krzyczeć. To nie dzieje się naprawdę, wciąż sobie powtarzałam. To nie dzieje się naprawdę. Nagle coś niewidzialnego opuściło mężczyznę i przestał się ruszać, ręce z głuchym stukotem opadły na podłogę. Wywrócił oczy i ucichł.

Trzeciego mężczyznę było trudniej zabić, mimo że dostał już kilka kul w plecy. Wiercił się na ziemi, wymachując nogami. Chwytał się różnych przedmiotów – buta zmarłego mężczyzny, nóg od stołu, przewodu elektrycznego, następnie próbował złapać otwartymi dłońmi gorące, nasycone prochem strzelniczym powietrze. Rozmazał własną krew na podłodze, próbując się po niej czołgać na boku. Potem zwolnił. Krwawił z ust, a jego ciało przeszywały skurcze, jakby został porażony prądem. Oprawcy patrzyli na niego bez słowa, obserwując jego powolną podróż po posadzce, aż zatrzymał się i nie było wątpliwości, że jest martwy. Dwaj mężczyźni przykucnęli i podnieśli ciało, zanieśli je do okna i wyrzucili na zewnątrz. Następnie sami wyszli tą drogą na drugą stronę.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, bo stałam nieruchomo pomiędzy długimi stołami ze świeżymi owocami. Wrzucili martwe, ociekające krwią ciało do bagażnika i zapalili silnik. Razem ze starszym mężczyzną staliśmy bez słowa, obserwując odjeżdżający samochód. Gdy jego terkot ucichł, zaczęłam się trząść. Wewnątrz unosił się słodki, metaliczny zapach, jakby wilgotnych monet. W uszach mi dzwoniło. W tej chwili coś w moim dzieciństwie pękło, jakby ktoś rozerwał na pół płótno, i wiedziałam, że tej części mnie już nie ma. Z mojego gardła wydobył się długi, cichy krzyk. Stałam tam z otwartymi ustami, granatem w dłoni i świeżą krwią u stóp.

Kiedy wróciłam do domu, nie powiedziałam ani słowa. Nie wiem czemu. Nikt nie pytał o plamy na moich butach. Życie się zmieniło. Mieszkaliśmy w innym świecie – to równie proste, co przerażające. Gdybym mogła poprosić Allaha o wymazanie z pamięci jednego wspomnienia, byłaby to ta masakra, podczas której nauczyłam się, że człowiek może bezlitośnie zabić innego człowieka, mając dziecko jako świadka. Powiedziałam ojcu, że udało mi się dostać tylko granat, wręczyłam mu go i uklękłam do modlitwy.

ROZDZIAŁ 2

MUŁŁA

Przy urodzeniu nadano mi trzy imiona. Większość pasztuńskich dziewczynek ma tylko jedno. Tydzień po moich narodzinach mój ojciec ocknął się nagle w nocy. Wiele lat później przyznał mi, że często się tak budził – przestraszony i zdezorientowany – pewien, że wzywa go jakiś głos. Wyciągnął rękę do matki, poczuł uderzenia jej serca wraz z wznoszącymi się i opadającymi łopatkami i ostrożnie się cofnął. Panowała cisza, ale nie mógł już zasnąć. Jego nowo narodzona córka drzemała w hamaku obok łóżka, nie większa niż bochenek chleba, ciasno opatulona białą tkaniną – pasztuńskie dzieci zawsze owijają się na noc od stóp do głów, żeby nie wierzgały kończynami. Ojciec wstał, ale nie ośmielił się mnie dotknąć, tylko zbliżył policzek do mojej twarzy, żeby poczuć ciepły oddech noworodka. Szukając po omacku drogi po szorstkich, otynkowanych ścianach, znalazł na wieszakach ubrania, a buty na wypolerowanej kamiennej posadzce, obok drzwi. Zanim się wymknął, odmówił modlitwy, pocałował ozdobione klejnotami jedwabne maty, pokłonił się na wschód, gdzie wciąż niewidoczne słońce powoli zbliżało się do horyzontu.

Ojciec powiedział mi, że na spękanej, ubitej drodze odnalazł w mroku właściwą ścieżkę, jakby ciągnęła go niewidzialna nić przywiązana do jego ciała. Pierwsze delikatne blaski poranka zaścieliły ziemię, prowadząc go w skaliste góry, skąd uciekały ostatnie cienie nocy. Przeszedł przez uśpione gaje mango i minął dwie uschłe akacje, które stały niczym szkielety strażników strumyka przepływającego nieopodal naszej wioski. Przekraczając akacjową bramę, Shams postukał w pień, jak to czynił każdy przechodzący tędy mieszkaniec, żeby usłyszeć cichy pogłos. Następnie po kamieniach przeskoczył przez bystry strumień i szedł do doliny.

Całe swoje życie ojciec potrafił szwendać się bez celu, ale zawsze wracał do domu wzbogacony niebywałą wiedzą. Nauczył mnie, że Ziemia jest okrągła i jeśli wyruszę skądś w jednym kierunku, w końcu wrócę w to samo miejsce. Listopadowe powietrze było lodowate, na niebie krążyły orły, a leniwe słońce

wciąż nie miało ochoty wstać. Wszystkie te zjawiska, jakkolwiek okrutne by były, nie mogły powstrzymać ojca ani przed wyprawą, ani przed rozmyślaniami, które zawsze miały jakiś cel. Okoliczności i niewygodna nie stanowiły też przeszkody dla mnie – odziedziczyłam po nim odporność. Nawet dziś, rozdzielona z ojcem, często spaceruję po obcej ziemi, wyobrażając sobie, jak wędruje na drugim końcu świata.

Powiedział mi, że tego ranka chodził godzinami dookoła doliny niby po krawędzi wielkiej misy, żeby oczyścić umysł. Byłam jego drugą córką, miałam tydzień i byłam bezbronna na tej bezkresnej ziemi, gdzie mogłam zostać skazana na śmierć za realizowanie moich ambicji, tak odbiegających od roli pokornej żony i córki. A wszystko to, bo ośmieliłam się marzyć. Całe fizyczne piękno rozpościerające się przed ojcem, od gleby aż po niebo, nie mogło zmienić tej okrutnej prawdy. Od pierwszego oddechu na jego niewinną, małą dziewczynkę czekała *pardah*.

Nikt nie odwiedził jego nowo narodzonej córki. Nikt nie zostawił monet. Strzelby milczały, oparte o ścianę niczym zapomniane laski. Żadnej uczty. Tylko złe przecucia – jego i mojej matki. Ojciec spoglądał na zbocza i grzbiety górskie, na których niczym klejnot osiadło słońce. Ten poranek był moim siódmym dniem na ziemi – co dla naszego ludu jest świętym wydarzeniem. Ojciec pomyślał na głos: „Jeśli oddycha od siedmiu dni w Waziristanie, równie dobrze może oddychać wiecznie”.

– Maria! – krzyknął nagle ile sił w płucach. Jego głos poniósł się ponad doliną i po kilku sekundach powrócił do niego echem, odbijając się od błękitnej kopuły i od grani, wzdłuż których ze swoimi armiami maszerowali Aleksander i Salomon. Wszystkie żywe stworzenia usłyszały moje imię i dwa następne, które podążyły za nim. Waziriańskie powietrze dowiedziało się przede mną, jak się nazywam. Maria. Gulgatai. Toorpakai. Ojciec wziął wełniane okrycie, owinał nim ramiona, chroniąc się przed wiatrem, spojrział w stronę słońca i wrócił na ziemię.

Matka usłyszała nadchodzącego męża, kiedy mijał akacjową bramę. Śpiewał dzikie pasztuńskie kuplety i wołał ją. Mimo że godzinami chodził po zamarzniętych ścieżkach, biegł do niej. Koniuszki jego czarnych wąsów bieleły od śniegu, jakby zanurzył twarz w misce cukru, na co zresztą Yasrab żartobliwie zwróciła mu uwagę, kiedy ogrzewał się w jej dłoniach.

Gdy o świcie otworzyła senne powieki, ujrzała obok siebie puste miejsce i wiedziała. Wiedziała, że ojciec, wciąż w półśnie, poszedł szukać w niebie trzech imion – tych cennych prezentów, którymi mógłby obdarować nowo

narodzoną córkę. Tak samo uczynił w przypadku mojej siostry, Ayeshy.

Dyszając, ojciec zsunął mokre buty i znalazł mnie wpatrującą się w kosz przy kuchni. Leżałam nieruchomo w moim miękkim kokonie z tkanin, tak jak wtedy, gdy mnie zostawił. Kuchnię wypełniał perfumowany żar – zapach kminku i utartych nasion kolendry – a on ucieszył się, że jego córka jest tak zadowolona. Pochylił się nad moją twarzą. Uśmiechnął się. Miał wciąż szron na wąsach, a jego brązowe oczy wpadały w błękit, jakby udało mu się zamknąć w nich kawałek nieba. Z ręką na moim sercu wyszeptał, jakie ma dla mnie dary.

Najpierw zniżył się do mojego prawego ucha, po czym wyrecytował *adhan* – muzulmańskie wezwanie do modlitwy – jak to się czyni w naszej części świata. Następnie pochylił się nad moim lewym uchem.

– Twoje pierwsze imię brzmi Maria, co oznacza czystość, bo okrucieństwo naszego świata jeszcze będzie próbowało cię zmienić. Inszallah, nigdy mu się nie uda. Na drugie imię daję ci Gulgatai, bo twoja różowa twarz, nawet teraz, jest mocno napięta i zdradza jedynie niewinność pąka róży. Jeszcze nie poznaliśmy wielkiego piękna, które w sobie kryjesz. I wreszcie będziesz znana jako Toorpakai, dziewczyna z włosami tak czarnymi, że zazdrościć ci ich będzie najczarniejsza noc. Mario, masz trzy imiona, ale tylko jedno życie. Żyj dobrze i z sensem. Nie lękaj się, bo jesteś moją córką. A ponad wszystko z krwi jesteś Wazirem.

W tym momencie stałam się, kim jestem. Shams wsunął złotą monetę w fałdę mojego prześcieradła. Mam tę monetę do dziś, często trzymam ją w dłoni tak długo, aż metal robi się gorący. Nigdy nikomu jej nie pokazałam i nigdy nie pokażę. Kiedy wystawiam ją na choćby najśłabsze światło, błyszczący niczym zimowe słońce, które powitało mojego ojca. Wiem, że jeśli odnalazłabym to miejsce w naszej dolinie, nawet za kilkadziesiąt lat, wciąż rozbrzmiewałoby echem odbijającym się od Gór Sulejmańskich.

Kiedy byłam starsza i zadawałam Shamsowi proste pytanie, zawsze tkął ze słów misterną odpowiedź.

– Skąd się wzięłam, Baba?

– Cóż, Mario, złowiłem cię do sieci w rzece Indus.

Nawet przez moment nie wątpiłam w ten mit.

Potem ojciec powiedział mi, że Bóg zesłał lwa do Tybetu, czyniąc go strażnikiem potężnej, życiodajnej rzeki Indus. Od tej pory każde dziecko przychodziło na świat, spadając niczym gwiazda w fałdy jej ujścia i płynąc niczym liść do domu.

– Lecz ty, Mario, nie byłaś jak inni, nie wpadłaś tak po prostu w nurt rzeki. Zrodziłaś się prosto z dzikiej paszczy legendarnego lwa. To dlatego jesteś taka silna. Kiedy cię złapałem, twoje wierzgające nogi rozdarły sieć i potrzeba było dziesięciu mężczyzn, żeby wyciągnąć cię na brzeg.

*

Nasza ziemia leżała daleko od życiodajnego Indusu, była sucha, a opady deszczu zdarzały się rzadko. Monsuny i oceany znałam tylko z pięknych biblijnych opowieści snutych przez starszych mężczyzn i jako błękitne plamy na mapie. Mit Shamsa o rzece mi pasował. Może urodziłam się z płomieniem w duszy, który musiałam ugasić, bo oddałabym połowę życia, żeby tylko raz wskoczyć do oceanu, żeby poznać piękno spienionych fal i poczuć, jak ich uderzenia zagłuszają bicie mego serca. Wyobrażałam sobie deszczowe dni z wielkimi kroplami spadającymi z nieba niczym diamenty; jakże dziwne i piękne byłoby ujrzenie świat błyszczący od wilgoci – taki czysty.

Ojciec trzymał wiadra napełnione wodą wzdłuż jednej ze ścian domu. Jeśli zabrakło w nich wody, wysyłał chłopca z wioski do strumienia, żeby je znów napełnił. W cieniu ściany woda długo pozostawała chłodna, a liście i insekty lądowały na jej czystej powierzchni. Mogłam w niej zanurzyć całe ramię i obserwować oczarowana, jak gęsia skórka pokrywa mi rękę aż do łokcia. Czasami zbliżałam do chłodnej powierzchni usta i brałam głęboki łyk. Nawet latem woda smakowała jak lód.

Każdego czerwca woda stawiała się na wagę złota, ale dzięki rzece biegnącej obok naszego domu mieliśmy stałe zasoby. Południowy Waziristan szalał od gorąca, wprawiając powietrze w drżenie. Chmury pyłu przetaczały się z popołudniowym wiatrem po całej dolinie. Ziarna piasku wpadały wszędzie – we włosy, do oczu, nozdrzy i płuc. Odnajdywałam piasek w zakamarkach uszu. Tarł mi skórę niczym papier ścierny. Pokrywał mi rzęsy, ocierał język i sprawiał, że słońce stawało się krwistoczerwone.

Podczas tych upałów wylewałam na siebie nawet cztery wiadra wody dziennie. A czasem więcej. Ciężar napełnionego wiadra był dla mnie przytłaczający, więc ciągnęłam je za cienką drucianą rączkę, a woda rozlewała się, pozostawiając mokry szlak, który po chwili zniknął, zmieniając się w parę lub wsiąkając w twardą, gliniastą glebę naszego podwórka. Nigdy nie potrzebowałam pretekstu, żeby się wykapać; to była moja obsesja, którą wspierał ojciec.

- Czystość, Mario, to połowa wiary.
- W takim razie mam więcej wiary niż inni Pasztuni.

Czasami Shams wołał na mnie Tahara, co – podobnie jak Maria – po arabsku oznacza czystość. Zwyczaj wymagał, by przed modlitwą wierny mający się pokłonić Bogu był w stanie *taharah* – wolny od wszelakiego brudu, zarówno duszy, jak i ciała. Jako że zawsze bawiłam się na podwórku wiadrami pełnymi wody, nikt mnie nigdy nie wołał przed modlitwą na *wudu*, czyli rytualną ablucję. Żyłam w stanie ciągłego *wudu*. Co tydzień Shams przynosił z targu kostki białego mydła, owinięte niczym mały podarek w woskowy papier, pachnące drzewem sandałowym oraz aromatycznymi olejkami, których nie potrafiłam zidentyfikować. Kuciałam na ziemi ze śliskim mydłem w dłoniach, a ojciec podnosił wysoko metalowe wiadro, wylewając na mnie czystą wodę i spłukując z mego ciała warstwę kurzu.

Kiedy nikt nie patrzył, często odgryzałam kawałek mydła, tak jak inne dzieci po kryjomu zjadały miód albo kostki cukru. Najśłodsze zawsze było mydło z targu, zjadałam małe kawałeczki, pamiętając, by mokrym kciukiem wytrzeć ślady po zębach. Nigdy nie zjadałam tyle, by ktoś to zauważył, zdając sobie sprawę, że to moja prywatna przyjemność, o której nikt nie wie. Raz matka przyłapała mnie na skubaniu, kiedy przycupnięta schowałam się za wielką metalową miednicą do prania. Usłyszałam, jak wzdycha, kiedy oblizywała usta. Spojrzałam na nią, przełykając powoli i odkładając nadgryzioną kostkę. Powiedziała mi, że w niektórych częściach świata, na przykład w Ameryce, matki płuczą dzieciom usta wodą z mydłem w ramach kary za przeklinanie. Nie rozumiałam, co to znaczy przeklinać, bo nikt w domu nie używał takiego języka. Nie potrafiłam sobie też wyobrazić, że ktoś w ramach pokuty zmusza dziecko do jedzenia czegoś, co ja uznawałam za smakołyk. Zaśmiałam się, oblizując palce, i powiedziałam, że ich mydło musi być gorsze od naszego.

– Chyba w całym niebie nie ma anioła, który byłby tak czysty jak ty, Mario. Z boską pomocą świat nigdy cię nie skała.

*

Kiedy miałam cztery lata i byłam za mała, żeby bez opieki szwendać się po dworze, gdy tylko upał zelżał i świat znów wypełnił się dźwiękami – śpiewem ptaków, gwarem uczniów i nawoływaniem do modlitwy – często spędzałam dni na naszym dachu z nogami spuszczoneymi znad krawędzi. Po tygodniach

targania przez podwórko pełnych, pobrzękujących wiader z wodą moje ramiona nabrzmiały od nowej siły, tak że aż nie mogłam zmieścić się w moje sukienki, co było dla mnie błogosławieństwem. Lubiłam siadać, podwijać rękawy i zaciskać dłonie w pięści, oglądając zafascynowana, jak w miejscach, w których wcześniej nic nie było, unosi się i opada napięta skóra. Czasami miałam wrażenie, że czuję, jak rosnę, chociaż wciąż byłam bardzo mała.

Tego ranka obudziłam się, umyłam na podwórzu i usiadłam na stołku w kuchni, gdzie matka naoliwiła i splotła w warkocz moje długie, proste włosy *toorpakai*, recytując przy tym jak mantrę daty historycznych wydarzeń, które nic dla mnie nie znaczyły. Pół nocy spędziła na nauce do semestralnych egzaminów z historii i religii Bliskiego Wschodu, upychając w głowie fakty, które następnego dnia miała zapomnieć, gdyż zastąpiły je inne wiadomości do kolejnego testu. Czułam, jak jej palce tańczą po mojej głowie, rozplątując włosy – moje długie pukle były zgorą dla nas obu, ale z jakiegoś względu ich ścięcie nie wchodziło w grę. Nie potrafiłam zrozumieć dlaczego. Czasami myślałam, że to z powodu mojego imienia – jeśli ścięłabym moje czarne włosy, musiałabym wyrzec się miana *Toorpakai* i jednej trzeciej siebie.

Później tego ranka dom opustoszał. Zasłoniłam frontowe okna i ściągnęłam moją czerwono-pomarańczową sukienkę, rzucając ją na ziemię, gdzie wyglądała jak wieczorne słońce odbijające się w kałuży. Nie mając nic wygodnego do założenia – wszystko w mojej szafie było przyozdobione ciężkimi paciorkami i wstążkami – wyszłam w cienkiej białej halce. Podeszłam do bocznej ściany naszego domu i wspięłam się po starej, zardzewiałej rynnie na dach – rąbek halki kilkakrotnie zaczepiał się o gwoździe. Podciągnęłam się na szczyt i niczym akrobatka przesłam na palcach po krawędzi, zastanawiając się, czym wypełnić wolny czas. W tamtym okresie, gdy wszyscy byli w szkole, mogłam zagospodarować dzień wedle własnego uznania. Co jakiś czas zaglądał do nas sąsiad, żeby sprawdzić, jak sobie radzę, ale przez większość czasu siedziałam w domu sama. Promienie słońca pieściły mnie tak delikatnie, że po chwili zasnąłam z twarzą wyciągniętą ku niebu na starej słomianej macie rozłożonej niczym tratwa. Przez całą godzinę marzyłam w półśnie. Byłam rozbitkiem na morzu. Jedynym, który przeżył zatonięcie statku. Podróżniczką szukającą nowego lądu. Samotną chmurą. Orłem. Czymkolwiek.

Później zabrałam na dach lunch: kubek jogurtu, miskę soczewicy i orzechy. Zeszłam umyć się w wiadrze i wspięłam się znowu, a wtedy usłyszałam radosne głosy mężczyzn i odgłosy klaskania przypominające dudniący deszcz.

Nie miałam pojęcia, dlaczego tak krzyczą, ale ten dźwięk mnie zaintrygował, ponieważ wznosił się i opadał harmonijnie jak muzyka, co oznaczało, że ma swój rytm i cel, którego nie znałam.

Zamknęłam oczy, przysłuchując się znowu piskliwemu gwarowi z oddali. Wyteżyłam wzrok, ale nie mogłam niczego dostrzec, gdyż obraz przysłaniały mi zielono-złote kopuły liści. Nagle ponad wierzchołki drzew wystrzeliła mała biała piłka. Przez chwilę zdawała się lewitować w powietrzu, wirując, po czym spadła. Ktoś tubalnie krzyknął i piłka znów wystrzeliła do góry jeszcze wyżej, jakby wypchnięta siłą wiwatów. Zanim zdążyła upaść, zerwałam się na nogi.

Popędziłam prędko bez butów. Bez problemu znalazłam ścieżkę, bo jedyna droga z naszego domu skręcała w jedną stronę, prowadząc mnie wzdłuż kilku domostw i strumyka na otwartą przestrzeń. Zbiegłam z wytyczonego szlaku w koleiny prowadzące wśród drzew na łąkę z kilkoma sosnami, którą wcześniej widziałam tylko z oddali. Teraz odgłosy wydawane przez mężczyzn były wyraźne, poszłam więc w ich kierunku, aż znalazłam się na wzgórzu, z którego miałam widok na długie, płaskie pole. W pobliżu rosła wysoka wierzba z gałęziami opadającymi na zbocze. Schroniłam się pod jej zielonym parasolem, opierając dłonie o powykręcany pień. Pochyliłam się, wyglądając zza kurtyny gałęzi na pole poniżej. Na dole, jakieś 15 metrów dalej, stała duża grupa ubranych na biało mężczyzn na świeżo ściętym szmaragdowozielonym trawniku. Przez ich nieskazitelną biel pomyślałam, że muszą być święci. Jeden z nich trzymał w dłoniach czystą białą piłkę. Wielu innych siedziało na ławkach lub stało na obrzeżu placu, obserwując, co się dzieje na murawie.

Murawa dzieliła na dwie połowy długa sieć – jej oka były za duże, żeby łapać w nią ryby – a po obu stronach w dwóch rzędach stało po trzech mężczyzn i jeden dodatkowy z tyłu. Gracz trzymający piłkę rozciągnął się i zajął pozycję na linii końcowej. Skupiony podrzucił ją wysoko. Nikt nie wydał żadnego dźwięku. Wstrzymałam oddech. Po chwili wzniosł drugie ramię i uderzył otwartą dłonią piłkę tak mocno, że wystrzeliła ponad siatką. Zanim zdążyła upaść, mężczyzna po drugiej stronie odbił ją i tak wywiązała się zapierająca dech w piersi walka. Oczarowana nie miałam odwagi mrugnąć. Kiedy piłka wreszcie upadła na trawę, połowa mężczyzn w tłumie krzyczała z radości, a druga połowa gwizdała. Dźwięki wznosiły się i opadały, a do mnie nagle dotarło, że oglądam mecz, w którym wygrać może tylko jedna ze stron.

Z mojej kryjówki pod wierzbą śledziłam szybkie ruchy piłki, a każde

uderzenie w nią wywoływało u mnie dziwne podniecenie, które zapierało mi dech w piersiach. Później dowiedziałam się, że mężczyźni grali w pakistańską siatkówkę – najpopularniejszą, zaraz po squashu, dyscyplinę sportową w moim kraju. W wieku czterech lat, kucając pod wierzbą i śledząc grę, zdałam sobie sprawę, że wszystkie inne moje marzenia się rozplynęły – połknęłam bakcyła.

Przyglądając się grze, zrozumiałam jej podstawowe zasady i zaczęłam naśladować ruchy zawodników, podskakując i uderzając niewidzialną białą piłkę moją małą rączką. Powoli zaczynało zmierzchać, a moja skóra rozgrzała się w ferworze gry. Nagle usłyszałam uderzenie i jakimś cudem biała piłka poleciała w moim kierunku. Zatoczyła lekki łuk i upadła na ziemię zaledwie metr od wierzby, potoczyła się i zatrzymała. Przez chwilę się nie ruszałam. Nigdy nie miałam w ręku żadnej piłki. Nigdy nie uprawiałam sportu. Nie zastanawiając się, wypełzłam zza zasłony liści, spocona, z walącym sercem. Kiedy pobiegłam po piłkę i się schyliłam, poczułam, że rozplątują mi się warkocz. Pot z ciężkich włosów spływał mi na plecy, do których przyklepiła się moja biała halka. Podniosłam piłkę; była gładka, zrobiona z miękkiej skóry. Mężczyźni w dole podnieśli wzrok i głośno wołali w moim kierunku. Trzymając piłkę, popatrzyłam na nich z góry. Dwaj z nich zaczęli iść w moją stronę. Wołali coś. Nagłona ich krzykiem, wzięłam głęboki wdech i cisnęłam piłkę ku niebu, patrząc, jak się obraca. Uniosłam drugą rękę i podskoczyłam na bosych stopach, uderzając piłkę z całej siły otwartą dłonią. Gdy tylko ją uderzyłam, pomknęła w górę i niemal nie zbaczając z kursu, wylądowała na zielonej murawie pełnej mężczyzn. Głosy wybuchły i kilku mężczyzn w białych ubraniach pobiegło w moją stronę z otwartymi ze zdumienia ustami. Dłoń mnie paliła, pozostał na niej czerwony ślad niczym po oznakowaniu. Mój los się odmienił – czułam to. Stałam tam uśmiechnięta, czekając na mężczyzn.

Pierwszy z nich wszedł w cień i stanął przede mną. Jego biały *salwar kamiz* nagle pociemniał, a on stał, gapiąc się na mnie bez słowa. Rozpoznałam w nim kuzyna mułły z sąsiedniej wioski. Nie dalej jak tydzień wcześniej poślubił dziewczynę, która krótko chodziła do szkoły z moją siostrą, Ayeszą. Odwróciłam wzrok. Zdałam sobie sprawę, że to on posłał piłkę w moim kierunku.

Mężczyźni za nim byli wysocy i ubrani w nieskazitelną biel. Nie byli świętymi. W kilku z nich rozpoznałam kolegów ojca z pobliskiego koledżu, w którym dawał wykłady na różne tematy, od współczesnej poezji po fizykę. Tata spędził całe życie, czytając podręczniki, zapamiętując fakty i wzory,

teorie i strofy, jakby karmiono go nimi wprost z jakiegoś taśmociągu. Niejeden z tych mężczyzn regularnie odwiedzał nasz dom, siadał na ławie w jadalni, częstował się owocami z białych talerzy, wdawał w dyskusje, które brzmiały dla mnie, jakby prowadzono je w obcym języku. Omawiali światowe sprawy. Politykę. Czasami modlili się razem na jedwabnych matach w specjalnym pomieszczeniu. Potem dostrzegłam mułłę z naszego meczetu. Podszedł, skubiąc pukle gęstej siwiejącej brody. Spojrzał na mnie z góry i wyciągnął mi z włosów czerwoną wstążkę niczym żyłę z mojej głowy.

– Chciałabym zagrać – powiedziałam, uśmiechając się i nie mając pojęcia, że może być w tym coś złego.

– Myślisz, że tak się stanie? – zapytał. W chłodnym cieniu jego twarz nie zdradzała żadnej emocji, była niczym ciemna strona księżyca.

– Nie, nie teraz. Tylko proszę. – Poczułam, jak pot spływa mi po karku.

– Prosisz kogo? Allaha? Mnie?

– Pokonam wszystkich. Widzieliście, jak uderzyłam piłkę. – Kopałam bosymi stopami w piasku.

Coś złowieszczonego błysnęło w oczach mułły. Nie miałam wystarczającej wiedzy o otaczającym świecie, żeby zdać sobie sprawę, że powiedziałam coś złego.

Przez chwilę mułła przyglądał się uważnie mnie, małym rozdarciom na mojej halce, moim bosym stopom i ramionom, a następnie położył dłonie na mojej głowie, jakby chciał zbadać kształt mojej czaszki. W skroniach czułam jego puls. Człowiek stojący za nim się zaśmiał.

– Inszallah – wyszeptałam, przywołując się do porządku.

Mułła położył jedną dłoń na moim policzku i chwycił go mocno. Wtedy ujrzałam jego prawą dłoń, uniesioną i rozwartą. Promienie zachodzącego słońca prześwitywały pomiędzy palcami.

Uderzenie w policzek było tak mocne i szybkie, że zabrzmiało niczym wystrzał ze strzelby. Powietrze uszło mi z płuc i zatoczyłam się do tyłu. Skóra szczęki pulsowała mi bólem, którego wcześniej nie zaznałam. Umysł przeszył zupełnie nowy strach. Bałam się, że stanie mi serce, choć część mnie tego pragnęła. Wnętrze moich ust napełniło się ciepłą, śliską krwią.

Myliłam się, myśląc, że już skończył. Uderzył mnie jeszcze dwa razy, cały czas trzymając mnie za ramię, żebym nie upadła.

Gdy mnie w końcu puścił, upadłam na kolana. Chciałam zawołać ojca, wielkiego Indusa, żeby zabrał mnie do Morza Arabskiego; ale nie powiedziałam nic, mrugając oczami i wpatrując się w ziemię przede mną. Nie

mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że na całym świecie zabrakło powietrza.

Muła pochylił się, starł strużkę krwi z mojej twarzy, a potem wytarł ją niczym sok ze zmiażdżonej jagody w skrawek białej tkaniny wyciągniętej z kieszeni. Doświadczając jego okrucieństwa, myślałam, że w swoim chłodnym gniewie gotów jest mnie zabić. Nie czułam własnej skóry, jakbym unosiła się w powietrzu, mimo że wciąż klęczałam, bojąc się ruszyć.

Zamiast tego wziął mój podbródek w swoją dłoń i zmusił, żebym spojrzała mu w oczy.

– Taka dziewczyna jest brudna – powiedział muła i splunął mi w oczy. – Wracaj do swojego ojca, brudna dziewczyno.

Mężczyźni splunęli po kolei na mnie, zanim wrócili na dół do gry.

Gdy tylko ponownie usłyszałam radosne krzyki, pobiegłam.

Gdy dotarłam do domu, nikogo w nim nie zastałam, więc wyskoczyłam z oplutych i zakrwawionych ubrań. Pod domem znalazłam napełnione wodą wiadra i pragnęłam, żeby Baba wrócił do domu, tak jakby moje silne pragnienie potrafiło go odnaleźć i sprowadzić tutaj. Klęcząc nad wodą, ujrzałam na jej powierzchni potworne odbicie opuchniętego policzka. Ból mnie zadziwiał. Wpatrując się w naczynie z cieczą, czułam, że moje cierpienia łączą się w jeden wielki smutek bez dna. Nauczyłam się czegoś nowego, czego nigdy nie będę potrafiła wymazać z pamięci.

Wsunęłam całą głowę do wiadra, a lodowata woda podziałała kojąco na moje rany. Zanurzona w tej czystej, mrocznej ciszy wydałam z siebie długi skowyt.

Godzinę później rodzice znaleźli mnie leżącą na boku w podartych ubraniach, obok poprzewracanych pustych wiader. Ojciec zaniósł mnie do domu i owinął czystymi szatami. Następnie drżącą i skomlącą położył między sobą a matką. Zbliżył twarz do mojego prawego ucha i szeptał moje trzy imiona, aż zasnęłam. „Maria. Gulgatai. Toorpakai”. Ale ja słyszałam tylko „Brudna Dziewczyna”.

ROZDZIAŁ 3

NIETYPOWA PANNA MŁODA

Gdyby moja matka nie poślubiła mojego ojca, groziłaby jej śmierć. Ojciec ją ocalił, ale gdy poznała go w dniu ślubu, przepełniała ją trwoga. Budząc się po raz ostatni w wielkim domu jej ojca, otwierając napuchnięte od łez powieki i widząc karmelowe ściany sypialni, przeciągnęła się na łożu, na którym przyszła na świat, i powoli nabrała powietrza do płuc. W wieku 20 lat, jako córka wpływowego człowieka, była już starą panną. Ale nie mogła dłużej uciekać przed liczącym 1000 lat plemiennym kodeksem. Jej przeznaczenie nękało ją od momentu, kiedy jako noworodek została owinięta przez zgromadzone kobiety kawałkami białych tkanin.

Aami przekręciła się w pościeli, żeby przez cienką zasłonę ujrzeć gwiazdę poranną. Przeklinała ją i całą ziemię. Słodki zapach baraniej krwi wciąż unosił się w powietrzu po trzech dniach ucztowania przed weselem. Matka przyznała, że pragnęła, by to jej gardło poderżnęli, a krwią zrosili gorące kamienie na podwórzu. Krążyły historie o dziewczynach, które oblewały się naftą i podpały zapałkę. Te, które zdecydowały się na ucieczkę, nie docierały zbyt daleko, a złapane mogły liczyć tylko na szybką śmierć. Yasrab wyszeptła imię jej narzeczonego – młodego mężczyzny z rodowodem sięgającym starożytnych królów – przetaczając jego imię w ustach niczym kamień. Shams. Jeszcze nigdy go nie widziała, a już go nienawidziła.

W rogu pokoju stały ślubne pantofle Aami, ich czubki przyozdobione były paciorkami niczym zamrożone kwiaty przyszyte do kremowej satyny. Matka czasami mi je pokazywała, wyjmując je z poobijanej skórzanej skrzyni, w której trzymała cenne rzeczy, i odwijając z tkaniny. Jej pamiątki wydawały mi się bezwartościowe, dopóki nie przebyłam oceanów i nie zaczęłam potrzebować własnych: złotej monety, pukla włosów siostry, odcisku dłoni braciszka w niebieskim atramencie i gładkiego kamyka wyciągniętego z wioskowego strumyka na kilka minut przed opuszczeniem naszego domu. Raz na jakiś czas matka lubiła rozkładać jej namacalne wspomnienia na podłodze: fotografie, złote bransolety, jedwabną torbę przyozdobioną orchideami,

zmatowiałe srebrne monety, woreczek pełen pierścieni, gładkie kamyczki zebrane z rzeki przy domu jej ojca, starą dzinsową kurtkę z łatami na łokciach i ślubne pantofle. Buty były malutkie; ledwie mogłam wcisnąć w nie dłoń.

W dniu ślubu, po śniadaniu, przyszedli teściowie matki, w których żyłach płynęła błękitna krew, przybyli wraz z *dżorraq*, tradycyjną suknią ślubną – piękną, ciężką od różowych pereł, z jasnymi haftowanymi zawijasami i Drogą Mleczną kryształów przszytych do gęstych warstw jedwabiu. Suknia niemalże potrafiła ustać sama niczym kobieta. Przykryta od stóp do głów matka mogłaby kryć się w garderobie przez cały dzień, jakby jej tam w ogóle nie było. Z łóżka widziała rząd metalowych haków, na których planowali powiesić suknię. Trzymała narzędzia, obserwując, jak ojciec wbija młotkiem każdy hak.

Nie spała długo, a kiedy już zapadła w sen, miała wrażenie, że otworzyła się pod nią ziemia, a ona wpadła do jej wnętrza. Gdy się obudziła, postanowiła zapamiętać wszystkie plamki na ścianie, które oglądała przez całe dzieciństwo, a które do zachodu słońca staną się wspomnieniem. Pozostawiona sama na sam z własnymi myślami – ten cichy stan za kilka godzin miał się stać dla niej utraconym luksusem – matka analizowała wszelkie możliwości ucieczki, których i tak nie mogła zrealizować.

Wiele razy pytałam matkę, dlaczego nie uciekła.

– Mario, nikt by mnie nie złapał u stóp tego klifu. A poza tym nie było mi to pisane. Allah miał wobec mnie inne plany. Jednym z nich byłaś ty.

Przez otwarte okno Yasrab usłyszała wystrzały z oddalonej o wiele mil sąsiedniej wioski. Była pewna, że to jego wioska. Rozpoczynało się właśnie *naksha wishtal* – otwierające plemienne wesela rytualne strzelanie do celu. Wiedziała, że ojciec zacznie od łuku i strzały wręczanej każdemu pierworodnemu; jego prapradziadek z jaskiń Tora Bora wybił nim całe szeregi brytyjskich najeźdźców.

Noc wcześniej matka milcząco obserwowała z kuchni, jak dziadek przygotowuje obrzędową broń. Siedząc na jedwabnej macie, udawał, że wyciąga strzałę z kołczanu, przytrzymał ją palcami i znieruchomiał. Kiedy naciągnął cięciwę, matka podeszła bliżej i zamknęła oczy. Mogła to zakończyć w sekundę. Bez bólu. Żałowała, że nie ma pod ręką kołczanu pełnego naostrzonych strzał, choć wiedziała, że wystarczyłaby tylko jedna. Ojciec zauważył córkę, odłożył broń, oparł łokieć na kolanie i wymienili długie, osobliwe spojrzenie. Chwila ta wyrażała mnóstwo niewypowiedzianych myśli, jakby przekazywali sobie zapieczętowany list. Przepelniał ich bezbrzeżny smutek, o którym nie odważyli się mówić – następnego dnia,

zgodnie z prawem, przestanie być jej ojcem.

Na *dżirga*, spotkaniach starszyny obu rodów, ustalono szczegóły zaręczyn moich rodziców: wysokość *walwar* płaconego przez rodzinę pana młodego w ramach posagu, który panna młoda wniesie do nowego domu, co jest rekompensatą dla jej ojca za nieszczęście ubierania i karmienia kobiety od jej narodzin aż do ślubu. W Waziristanie im zamożniejsza i bardziej poważana jest rodzina dziewczyny, tym wyższy jest *walwar*, czyli „cena panny młodej”. Im więcej rodzina pana młodego musi zapłacić za nabycie panny młodej, tym lepsze ma o niej mniemanie i tym większe są szanse, że będzie dobrze traktowana. Kiedy *walwar* zostanie przekazany i małżeństwo zawarte, dziewczyna staje się własnością męża i jego rodziny. Niezależnie od tego, jak będzie traktowana, nie ma prawa szukać wsparcia u swojego ojca. Lokalne *dżirga* odbywają się na powietrzu, na polu za wioską. Mężczyźni zbierają się w półkolu pod baldachimem białego namiotu. Matka z okna domu ojca widziała, jak młodzi mężczyźni wnoszą namiot, rozciągając plandekę na wielkich palach. Tuzin mężczyzn w ciszy i powadze niczym na pogrzebie wbijał pale po obu stronach. Następnie młody chłopiec wypalił ze strzelby i zbiegł ze wzgórza do domu.

Pierwszy dzień minął bez zakłóceń. Niekiedy kobiety usłyszały krzyk albo pojedyncze słowa, a potem znowu zapadała cisza. Otwarcie, zamknięcie i przerwę w każdym zebraniu sygnalizował wystrzał. Kilka razy dziennie mężczyźni schodzili ze wzgórza na posiłek i modlitwę. „Wkrótce skończymy, Yasrab, zobaczysz” – mówili, ale końca nie było widać. Minął tydzień, potem kolejny, a mężczyźni wciąż na siebie krzyczeli niczym ujadające psy.

Związki małżeńskie między dwoma plemionami zdarzały się z rzadka, a moja matka nie była typową panną młodą w Południowym Waziristanie. Większość pasztuńskich dziewcząt wychodziła za kuzynów – pierwszego, drugiego albo trzeciego stopnia – albo przynajmniej za mężczyznę z wioski, którego znały, jeśli zdarzył się jakiś odpowiedni kandydat. Pasztuńskie panny młode były najczęściej przed dwudziestką. Zaledwie jedna na 10 000 dziewcząt posiadała to, co ona – oficjalny dyplom ukończenia szkoły średniej, który zdobyła, przemierzając pieszo mile błotnistymi traktami i polami kukurydzy, by dotrzeć do szkoły, a także pobierając lekcje korespondencyjnie. Jej poślacany, wykaligrafowany czarnym tuszem dyplom wisiał w ramce, tak żeby widział go każdy, kto wejdzie do domu. W szkole matka przekonała się, że niewiele wazirskich dziewcząt żyje jak ona, że należy do dziesięciu procent kobiet, które miały szczęście urodzić się w domu, gdzie zachęcano je do nauki,

do trzech procent, które potrafią napisać swoje imię, i była jedną na milion, której ojciec powiedział: „Ucz się dalej”. A potem pojawił się Shams, mój ojciec.

Kiedy ostatnia *dżirga* dobiegła końca, zgromadzeni przedstawiciele starszyny wyszli z namiotu w podnieceniu, trzymając się za ręce jak bracia, przy wystrzałach strzelb i odgłosach bębnow, od których pod stopami mojej matki zadrżała ziemia. Dziesięć dni – tyle potrzeba było, żeby związać ze sobą dwie obce sobie dusze na wieczność. Matka usłyszała, jak ich dwa imiona wypowiedane są razem, jakby stanowiły jedno, i zrozumiała, że utraciła część siebie.

Jej narzeczony pochodził z wpływowej rodziny i moja matka podejrzewała, że małżeństwo było częścią skomplikowanego porozumienia, które miało zakończyć wieloletni spór. Z tego powodu, jak sądziła, starszyna będzie oczekiwała od niej okazania wdzięczności. Jej ojciec wyjaśnił jej, że pokój, do którego zawarcia wykorzystano ją i jego, nie został podpisany atramentem, tylko krwią. Mogło chodzić o jakiś brutalny akt przemocy; może jacyś bracia zabili innych braci, jak to się czasem zdarza. Wiedziała, że takie okrucieństwo może sprowokować niekończące się akty zemsty, od których rzeka spłynie krwią. Aami nigdy nie poznała szczegółów, ale nie miały one znaczenia. Tak czy inaczej, została sprzedana.

Z książek historycznych matka wiedziała, że traktaty pokojowe były nietrwałe i ulatywały niczym papier na wietrze. Traktat wieńczący pierwszą wojnę światową zasiał nasiona drugiej. W 1893 roku dzięki traktatowi zawartemu z Abdurem Rahmanem Chanem, „żelaznym emirem” Afganistanu, Brytyjczycy wytyczyli przez Hindukusz linię Duranda, która podzieliła góry rozciągające się na terytorium Afganistanu i Waziristanu, wytyczając granice swojego dominium, żeby spotkać się z gniewem pasztuńskich wojowników i zatrutymi strzałami prapradziadka Yasrab. W wyniku tego porozumienia przez ponad wiek miejscowe plemiona przemieszczały się z jednej strony granicy na drugą niczym wahadło – talibski przywódca mułła Omar przekroczył ją, kiedy Brytyjczycy powrócili do Afganistanu ze swoimi amerykańskimi sojusznikami po 11 września.

Moja matka nie miała pojęcia, dlaczego spośród wszystkich panien w wiosce wybrano właśnie ją. Mawiają, że pewnego popołudnia miejscowy mułła ujrzał ją wysiadającą z autobusu i idącą drogą gruntową. Choć tradycyjny pasztuński strój zasłaniał jej twarz, wiedział, kim jest, bo jako jedyna dziewczyna ze swojej wioski uczęszczała do szkoły. Obserwował ją,

jak przechodzi przez pole kukurydzy z torbą zarzuconą na ramię i łagodnym głosem czyta wersy Koranu. Ujrzał w niej doskonałą kandydatkę, ale też zagrożenie. Zanim się zorientowała, stała się kozłem ofiarnym składanym konkurencyjnemu klanowi w ramach rytuału zawarcia pokoju noszącego nazwę *swara*, podczas którego, żeby naprawić krzywdy, oferuje się dziewczyny, czasem bardzo młode.

Rywalizujący klan wybrał Shamsa, mojego ojca, potomka wpływowego plemienia. Małżeństwem tych dwojga plemienni przywódcy zawarli więź między klanami, która miała przetrwać pokolenia. Pasztuńska starszyzna zawsze planowała przyszłość, jakby była ona powolną partią szachów, która zaczęła się dawno temu i miała być rozgrywana jeszcze długo po ich śmierci, widząc siebie jako potomków starożytnych wytyczających granice władzy swoim krewnym. Dla mojej matki znaczyło to tylko jedno – nagły koniec edukacji; wszystkie podania o przyjęcie na uniwersytet mogła podrzeć na strzępy i wykorzystać do rozpalenia paleniska, a plany zdobycia dyplomu w Lahaur rozplynęły się w kłębach czarnego dymu. Zawartego małżeństwa nie można było anulować.

Ale żaden z klanów nie wiedział, że druga strona bardzo starannie wybrała swojego kandydata na parę młodą – nie żeby zawrzeć pokój, ale by rzucić przekleństwo i wydać wyrok. Choć mój ojciec wywodził się z rodziny pasztuńskich królów, dwukrotnie trafił do zakładu dla obłąkanych za przerwanie *dżirgi* przemówieniami na temat prawa kobiet do edukacji, opieki medycznej, dziedziczenia, nabywania własności lub nawet zwyczajnego prowadzenia samochodu. Kiedy starszyzna zakazała mu wstępu na posiedzenia, wyszedł na ulice i sprejem wypisywał hasła na murach wielkimi, spływającymi literami.

Matka z kolei zabrnęła za daleko w edukacji. Po prostu wiedziała za dużo, a jej inteligencja była dla klanu niczym ropień. Ignorancja przywiązywała kobietę do domu, a płochą Aami rzadko w nim przebywała; wielu mężczyzn widziało ją ukrywającą się pomiędzy drzewami w gaju mango, bosą i senną, z odsłoniętymi kostkami i otwartą książką – i to nie Koranem. Wielu sądziło, że w pogoni za ideałami wkrótce ucieknie, wybierając los gorszy od śmierci. Zamiast więc skazywać tych dwoje heretyków na ukamienowanie lub dom wariatów, skazali ich na siebie.

W dniu ślubu ani ojciec mojej matki, ani jego przyszły zięć nie ustępowali w pojedynku strzeleckim, trwał więc on dużo dłużej niż zwykle. Tego chłodnego poranka mężczyźni odnaleźli w cichej, radosnej grze prawdziwe

i niespodziewane braterstwo. Później panna młoda i pan młody uznali to za znak od Allaha, który obserwujący grę uczeni mułłowie powinni wziąć pod uwagę.

Dopiero gdy strzelający trafił w środek tarczy, do plemienia Aami mogła dotrzeć wiadomość, że ceremonia zawarcia małżeństwa powinna się rozpocząć. Kobiety już czekały, zgromadzone w pokoju mojej matki. Jej kuzynki przyozdobiły jej ręce henną, wzorami kwitnących winnic i ptakami. Umieściły pierścienie z klejnotami na jej smukłych, drżących palcach. Matka ubrała się już w *dzorrę*, która zakrywała jej twarz i całą figurę aż do stóp. Przez mlecznobiały welon widziała tylko to, co chciała zobaczyć, czyli nic. Postacie poruszały się niczym zjawy w mgle. Pogrzebana pod tyłoma satynowymi warstwami czuła własny oddech, a woń olejków wtartych w jej skórę i splecione w warkoczach włosy otumaniały ją jak narkotyk.

Kobieta z wioski, która miała najwięcej synów – siedmiu – splótła jej włosy, przeciągając wstążkę przez grube pukle. Godziny poranka mijały, a kobieta nie przestawała jej ozdabiać. Matka myślała: „Próbują przykryć pięknem coś tak okropnego”. Kiedy matka miała ponownie zobaczyć się nieozdobioną, nie będzie należała do siebie. Każda część jej ciała, łącznie z umysłem, stanie się własnością jej męża. Aami musiała powstrzymać się przed zrzuconiem z siebie sukni i ucieczką.

Kiedy dotarła wieść, że mój ojciec i dziadek ze strony matki obaj trafili w środek tarczy, uzyskując bezprecedensowy remis, kobiety popatrzyły po sobie z niedowierzaniem. Ktoś powiedział, że to pomyślny znak – ale nikt nie wyjaśnił, co dokładnie oznacza. Zaraz potem usłyszała głucho dudnienie werbli, odbijające się od nieba wystrzały strzelb i wiedziała już, że mężczyźni – w wielkiej procesji zwanej *dżandż* – przybyli, żeby zabrać ją wraz z jedwabiami, w które była ubrana. Poczowała, jak ziemia osuwa jej się spod filigranowych pantofli, a oni sadzają ją na łóżku przyozdobionym kwiatami.

W meczecie matka wreszcie go ujrzała. Gdy pasztuński imam recytował święte wersety, przez szczelinę w welonie spojrzała w twarz mojego ojca. Pan młody wyczuł jej drobne ruchy, zerknął w jej kierunku i ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Jego oczy wydały jej się bez dna i niezwykle czyste. Uśmiechnął się, ale się go bała. Spojrzała na jego wielkie, kwadratowe dłonie zwisające po bokach i słuchała jego głosu powtarzającego modlitwy mułły. Jego ostra szczeka wyglądała, jakby wycięto ją nożem myśliwskim. Teraz przyszedł czas na jej mowę. Z trudem łapiąc oddech, wyrecytowała trzykrotnie

imię ojca pana młodego jako własnego ojca. W zamian obiecał opiekować się nią tak samo jak innymi kobietami w domostwie. Następnie dopełnili zawarcia umowy małżeńskiej zwanej *nikah* i nagle matka poczuła, że oddycha innym powietrzem. Była mężatką. Już po wszystkim.

O zmierzchu pojechali jako mąż i żona samochodem przyozdobionym kwiatami i dzwonkami. Wypaliły strzelby. Słysząc było pieśni i dudnienie bębnow. Matka nie miała już na sobie welonu. Księżyc w pełni oświetlał ziemię srebrnym światłem, a podczas całej podróży ojciec nie odezwał się do matki ani słowem. Słyszała jedynie odgłos silnika. Noc zapadła szybko, wzgórza poczerniały, a ona widziała chmury owadów kłębiących się niczym dym w świetle reflektorów. Często pytałam matkę o tę godzinną podróż krętymi, błotnistymi górskimi drogami.

– Nie miałam pojęcia, czy jest szatanem, czy bogiem, ale trzymał całe moje życie w swojej wielkiej garści.

Wjechali do wioski mojego ojca, przy meczecie skręcili w wąską boczną uliczkę. Za zakrętem matka ujrzała wyłaniający się z mroku jej nowy dom, w którym miałam się urodzić. Stał niczym forteca na wzgórzu ukoronowanym błękitnymi jodłami. Ojciec zatrzymał samochód, żeby otworzyć frontową bramę, a matka – wciąż owinięta w ciężką *dzorę* – wysiadła, żeby mu pomóc. Razem rozsunęli żelazne wrota, przy jękach zardzewiałego metalu. Na bramie zauważyła ciężką kłódkę, a u męża wielką obręcz z licznymi kluczami. Zastanawiała się, czy zamki mają powstrzymać ludzi przed wchodzeniem na teren posiadłości, czy przed jej opuszczeniem.

Wnętrze było bardzo ciemne, ojciec poprowadził swoją żonę na górę przez korytarz oświetlany tylko kilkoma lampami. Jej jedwabiste podeszwy wydawały cichy odgłos na ubitej posadzce. Wciąż nie powiedzieli do siebie ani słowa, nie wymienili żadnych uprzejmości, nawet kiedy potknęła się na schodku. Matka zasłoniła hidżabem twarz. Wyznała mi, że całą swoją uwagę skupiała na danej chwili, żeby tylko za dużo się nie zastanawiać, bo jeśli wybiegałaby myślami za daleko w przyszłość, zbyt łatwo wpadłaby w panikę. Panika oznaczała ucieczkę, ucieczka zaś oznaczała dla dziadka hańbę na resztę życia, a dla niej pewną śmierć.

Ojciec zatrzymał się w rogu przed drzwiami prowadzącymi do małżeńskiej części domu. Matka po meblach zorientowała się, że jest w pokoju gościnnym, i skorzystała z niemej propozycji, by zajęła krzesło. Gdy siadała, jej nieporęczna *dzorra* się zmarszczyła. Jakże pragnęła zdjąć z siebie ten ciężki sarkofag i jak bardzo go nienawidziła. Stare kobiety powiedziały, że jej

świętym obowiązkiem jest wypełnianie wszystkich poleceń. Na stole zauważyła otwartą książkę i jej myśli zatrzymały się przy niej. Wiele innych książek leżało w równych stertach na podłodze. Wyteńczyła wzrok przez swój strój i na grzbiecie jednej z nich odczytała półgłosem słowa: *Moby Dick*. Ojciec jakimś cudem usłyszał jej głos, obrócił się i wlepił w nią wzrok. Z wielkim pudełkiem w dłoni podszedł do przerażonej panny młodej i uklęknął przed nią.

– Zjawiaś się tu chyba po to, żeby sprawdzić moją wiedzę, Yasrab. W twoich oczach widzę, że wielbisz słońce, a z twojego wdzięku wnioskuję, że jesteś królową.

Matka do dziś pamięta, jaki szok wywołały u niej te słowa. Poczula jego palce zdejmujące jej hidżab, żeby odsłonić w pełni jej twarz. Był delikatny i ani razu nie dotknął jej skóry. Jej ciało było wilgotne ze strachu, była pewna, że on to czuje. Nawet w starszym wieku matka mawiała nam, że kiedy zamyka oczy, słyszy w głowie każde słowo ich pierwszej rozmowy, a ówczesne przerażenie w jej młodym głosie wciąż mrozi jej krew w żyłach.

– Nie jestem królową Saby, a ty nie jesteś królem Salomonem.

Matka powiedziała, że tak bardzo rozśmieszyła tym ojca, że jego ciemne oczy zaszyły łzami, a głową trząśł tak mocno, że spodziewała się usłyszeć jej grzechot. Następnie sięgnął po pudełko i je otworzył. Wyciągnął z niego błękitny strój. Wstał i rozłożył przed nią dzinsową kurtkę z guzikami srebrnymi niczym monety. Położył ją na jej kolanach i zsunął hidżab aż do ramion, odsłaniając jej warkocze i wyswabadzając cały żar zamknięty wewnątrz.

– W takim razie uczynię cię nią.

W ciągu tych kilku sekund absurdu matka natychmiast odgadła, że starszyzna skazała ją na małżeństwo z szaleńcem. Podniosła sztywny materiał.

– Co mam niby z tym zrobić? Założyć na burkę czy na głowę?

– To dzinsowa kurtka, Levi's, z Ameryki. Mój prezent ślubny dla ciebie. Nie żądam od ciebie, byś nosiła cokolwiek na głowie, chyba że sama tego chcesz. W tych murach, w moim towarzystwie jesteś królową tego domu.

W noc poślubną rodzice stanęli razem przed lustrem ubrani w dzinsy – ona w swojej dzinsowej kurtce, a on w dzinsowych spodniach. Śmiali się, oglądając siebie nawzajem, widząc w swoim odbiciu ukryte możliwości – mieli wrażenie, jakby w jeden dzień odkryli nowy kontynent.

– Kiedy twój ojciec do mnie przemówił, Mario, jego słowa trafiły prosto do mojego serca. To był cud. Po tygodniu wróciłam do szkoły.

*

Dwa tygodnie później 16-letnia dziewczyna z ich wioski uciekła wraz z chłopcem w jej wieku zdezelowanym zaprzęgiem konnym do miasta Peszawar. Młodzi tłumaczyli, że pragnęli się pobrać, ale grupy pościgowej, która za nimi ruszyła, nic to nie obchodziło. Wielu świadków potwierdziło, że spółkowali ze sobą, i zostali skazani na śmierć jeszcze przed złapaniem. Rodzina chłopca musiała zapłacić rekompensatę ojcu dziewczyny za hańbę, jaką na jego rodzinę sprowadziły ich grzeszne akty. Po uiszczeniu wyznaczonej sumy chłopiec został zastrzelony – kulą w kark – gdyż żadna inna kara nie mogłaby wymazać jego czynu. Rodzina dziewczyny obiecała już ją mężczyźnie z wioski, który stracił żonę przy porodzie. Nie miało znaczenia, że pięć razy dziennie modlili się w doskonałym stanie *wudu*. Hańba dopadła rodzinę niczym szarańcza, a cała wioska zamarała, kiedy stawiano namiot na potrzeby *dżirgi*. Dziewczyna była drobna i miała tak niezwykle błękitne oczy, że niektórzy uznali to za oznakę nieczystości.

Z płaskiego dachu rodzinnego domu ojca matka miała doskonały widok na kamienisty żleb, w którym odbywały się egzekucje. Patrzyła, co mogłoby się jej przytrafić, gdyby było jej pisane coś innego. W dniu egzekucji mężczyźni zjawili się w uroczystej atmosferze, zebrani wokół dziewczyny owiniętej w brązową szatę i woal, w których miała umrzeć. Wokół jej talii zaciśnięto gruby sznur – prowadzono ją na nim niczym kozła.

Kilku mężczyzn podeszło do niej i wzięło za ramiona, następnie podniosło jej twarz tak, żeby stała wyprostowana i patrzyła przed siebie. Brodaty mężczyzna podeszedł i odczytał na głos długi akt oskarżenia. Matka widziała, jak pod ciężkim strojem dziewczyna się porusza, jej głowa kilkakrotnie lekko opadała. Mężczyzna zapytał, czy przed śmiercią zgadza się z wyrokiem. Aami zastanawiała się dlaczego. Wciąż się zastanawia. Chciała krzyknąć: „Nie!”, ale w swojej kryjówce na zacienionym dachu mogła tylko szeptem, raz za razem powtarzać to słowo. Oczy dziewczyny biegały w tę i w tę od płytkiego dołu przed nią do uroczystego mężczyzny w kefiji. Białka jej oczu świeciły błagalnie – matka widziała je nawet ze swojej kryjówki. Dziewczyna wciąż miała jakąś nadzieję na łaskę, wyciągnęła ręce do mężczyzny, który prawdopodobnie był jej ojcem, ale na głos prosiła o łaskę tylko Boga. Teraz mężczyzna w kefiji podeszedł do mężczyzny z brodą, z rękami splecionymi na wystającym brzuchu. Aami wyteżyła siły, żeby ich usłyszeć, a każde słowo z ich dyskusji zapisała w pamięci niczym coś świętego.

– Czy jest coś, co chciałbyś powiedzieć swojej córce?

– Nie.

– Błagaj go, żeby przebaczył mi, nim Bóg mi przebaczy. Proszę.

– Każda dziewczyna błaga o to swego ojca przed ukamienowaniem. To się często zdarza. Powiem ci, co mówimy mężczyznom na twoim miejscu. Allah wynagrodzi cię za to, że wybaczyłeś swojej córce wstyd, którego ci przysporzyła.

– Nie, nie potrafię jej wybaczyć. Serce żadnego mężczyzny by tego nie potrafiło.

– Baba, wybacz mi, wybacz mi.

– Nie. Nie nazywaj mnie tak. Nie jesteś już moją córką, a ja nie jestem twoim ojcem.

– Dobrze. Nie jesteś jej ojcem, ale skoro cię poprosiła, musisz jej wybaczyć. Została zmuszona do tego uczynku przez tego mężczyznę i powinna być ostrzeżeniem dla innych kobiet, które napotkają na swojej drodze podobnych mężczyzn.

– Wybacz mi. Wybacz. Wybacz...

– Zrób to, nawet jeśli miałbyś się poczuć z tego powodu źle. Za chwilę Allah i tak jej wybaczy.

– Baba, wybacz mi.

– Nie mów do mnie tak, mówiłem ci. Dobrze, wybaczam. Będziesz teraz cicho?

– Dobrze. Zaprowadź ją do dołu i zwiąż stopy.

Z rękoma mocno zaciśniętymi na obwiązany wokół jej talii sznurze ojciec poprowadził ją drżąca, zatrzymując się dwukrotnie, żeby mogła poprawić niesforną szatę, o którą się potykała. Spieszył się i patrzył na swoją córkę z irytacją. Nie widziała go, jej oczy patrzyły gdzie indziej. Gdy pozostali szukali odpowiednich kamieni, on lekko popchnął ją jedną ręką do dołu. Mimo zamkniętych oczu dziewczyna instynktownie upadła na kolana. Brodaty człowiek przytaknął ruchem głowy i kazał jej zmówić modlitwę. Zrobiła to, ale mówiła tak cicho, że Aami nie była w stanie jej usłyszeć. Następnie ojciec zeskoczył do niej i związał jej stopy, żeby nie mogła uciec. Kobięcie, której się to udawało, często darowywano życie.

– Weź moją dłoń, ojcie. Potrzymaj ją przez chwilę.

Matka słyszała, jak dziewczyna kilkakrotnie powtarza te słowa, i zacisnęła dłonie w pięści. Niemal czuła zimną rękę dziewczyny w swojej dłoni.

– Nie.

– Weź moją dłoń.

– Nie mógłbym dłonią, którą bym cię trzymał, wziąć kamienia, który cię zabije.

Dziewczyna złożyła głowę na miękkim piasku i czekała, szeptem wypowiadając modlitwy. Pierwszy i drugi kamień sprawiły, że wydała odbijający się echem krzyk i zaczęła szarpać się spętana. Mężczyźni rzucali po kolei, a każdy kamień trafiał ją prosto w głowę – po kilku uderzeniach uciszyła się i przestała ruszać. Matka odwróciła wzrok, ganiąc się za ten moment tchórzostwa. Wzięła głęboki oddech i spojrzała znowu. Tam, gdzie chwilę wcześniej widziała bladą, niebieskooką twarz, teraz była już tylko krwawa miazga. Matka przyznała mi, że zmusiła się, by nie odrywać oczu od tej sceny, skupiając się na ciele ukaranej – osuniętym i wciąż drgającym w dole. Wreszcie brodaty mężczyzna zagwizdał, podszedł do dziewczyny i kopnął ją, a ona jeszcze się poruszyła. Następnie wskazał innego mężczyznę, a ten podał zawstydzonemu ojcu największy kamień, którym mógł zadać śmiertelny cios. Miotany gniewem ojciec bez chwili wahania podniósł głaz. Stał nie dalej niż półtora metra od swego półżywego dziecka. Niczym z katapulty cisnął ciężkim kamieniem w zmasakrowaną twarz dziewczyny, zabierając jej resztki życia.

Po tym, jak matka była świadkiem egzekucji młodej dziewczyny imieniem Adeela, wielokrotnie wertowała Koran, ale nie znalazła ani słowa na interesujący ją temat. Poprosiła więc ojca, żeby zapytał duchownego, co ma do powiedzenia na temat tego rytuału. Ojciec wrócił do domu z owocem granatu w dłoni. Wręczył go jej niczym podarek i powiedział, czego nauczył się podczas porannej modlitwy.

– Kobieta musi zostać zakopana w ziemi aż po pierś, ze związanymi stopami i dłońmi, w razie gdyby chciała uciec. Kamienie nie mogą być tak duże, żeby zabić ją po pierwszym albo drugim uderzeniu, ani tak małe, żeby móc je nazwać kamykami.

Powiedziawszy to, ojciec upadł na ziemię, chwytając stopy żony tak, że nie mogła się ruszyć.

– Przebacz mi, Yasrab.

– Dlaczego?

– Przyszłaś, żeby przetestować moją wiedzę, a ja już cię zawiodłem. Nie mam odpowiedzi.

– Ale powiedziałaś mi to, o co cię poprosiłam.

– Przebacz mi. Powiedz, że mi wybaczasz.

Matka wyznała mi, że to właśnie w chwili, gdy ojciec patrzył na nią

błagalnie, z wilgotną twarzą schowaną w jej pachnących kminkiem dłoniach, zrozumiała, że jej małżeństwo jest święte. Wiedziała, że jest bezpieczna.

– Dobrze, Salomonie, wybaczam ci. Wstań z ziemi i weź mą dłoń.

ROZDZIAŁ 4

DŻYNGIS-CHAN

Przestałam być Marią, gdy miałam cztery i pół roku; stało się to w Dolinie Boga – Dera Ismail Chan – na zachód od Indusu, sześć i pół kilometra od jego szerokich, błotnistych brzegów. Tam po raz pierwszy ujrzałam rzekę, która mnie zrodziła – Abasin, przemierzając w bród jej spokojne srebrne wody płynące przez zielone doliny, kiedy nasza rodzina wyprowadziła się z Południowego Waziristanu do prowincji Chajber Pasztunchwa. Do spokojnego miasta Dera Ismail Chan wjechaliśmy naszą białą półciężarówką w południe; nasz dobytek był przywiązany w wielkich tobołach na dachu, a ponadto wieźliśmy dwa gdaczące kurczaki w klatce, butelki z wodą, kilka rzuconych luzem pomarańczy, gramofon i ciężkie podręczniki matki związane w sterty u naszych stóp.

To nie była emigracja, tylko exodus, jeden z wielu. Udaliśmy się ponad trzysta kilometrów od naszego rodzinnego domu wąską drogą przez południową część Przełęczy Chajberskiej. W upale wczesnego lata nasza ciężarówka posuwała się w oparach spalin Daraban Road z wioski ojca do miasta. Zmierzaliśmy do rejonu uznawanego za kolebkę wyższej edukacji, pełnego koledżów i uniwersytetów, które przyjmowały kobiety. Matka wkrótce miała znaleźć się w gronie studentek, przez cztery lata uczęszczając na zajęcia, aż do uzyskania licencjatu z historii.

Pierwszym ślubnym prezentem ojca dla matki były niebieskie džinsy Levi's; drugim, który podarował jej kilka lat później, wznowienie edukacji. Koniec z kursami korespondencyjnymi i długim podróżowaniem góorskimi szlakami na wykłady. Kiedy ojciec poinformował starszą, że chce się wyprowadzić z całą rodziną, uwierzyli w jego historię, że ma zamiar wrócić na politechnikę, gdzie poprowadzi zajęcia z inżynierii. Nie wspomniał o tym, że matka została przyjęta na państwową uczelnię – list z tej instytucji trzymała złożony w kieszeni i co chwilę go wyjmowała, żeby znowu przeczytać.

Wąski gliniany mur otaczał Dera Ismail Chan, a brama wyglądała niczym sekretne wrota do miłej, tętniącej życiem cytadeli. Oczarowały mnie pierwsze

widoki miasta: szerokie niczym występujące z brzegów rzeki trzypasmowe bulwary, autobusy i wielkie ciężarówki, przemykające między nimi motorowery, masa rowerów – wszystko to składało się na kolorowy, bezkształtny ruch. I wszędzie mnóstwo ludzi przemierzających alejki, zbijających się w gwarne grupki: muzułmanie chodzili obok hindusów, sikhów, Pendżabczyków, Beludźów, Dżatów i Pasztunów, bogatych i biednych, zwanych wspólnie Derawalami.

Ciężarówka zwolniła na prowadzącej do koledżu mojego ojca University Road, wzniesając tumany kurzu, wywołując gdakanie kurczaków i śmiech mojej matki, która obejmowała mnie miękkim ramieniem. Była w ciąży i jej brzuch zrobił się napięty i okrągły niczym bęben; często go pocierałam, jakby była Buddą. Moja ośmioletnia siostra Ayesha, która miała pójść do pierwszej klasy w miejscowej szkole dla dziewcząt, siedziała po drugiej stronie matki. Taimur zajmował miejsce z przodu, koło ojca, z mapą na kolanach. Wjechaliśmy na osiedle, na którym mieszkali pracownicy koledżu, życie wkoło spowolniło, a gwar ucichł. Było tam mnóstwo krótkich, krętych i ślepych uliczek, przy których mieszkali profesorowie, wszystkie domy otynkowano na biało. Za osiedlem rozciągała się wielka dolina spadająca do smukłej, bystrej rzeki, a w oddali majaczyły szczyty gór.

Miesiąc po tym, jak wprowadziliśmy się do naszego uniwersyteckiego domu, matka zniknęła pewnej nocy na kilka dni. Wiedziałam, że znajduje się na oddziale porodowym miejskiego szpitala, gdzie rodzi po raz czwarty w życiu, ale po raz pierwszy w czystej, jasnej sali.

Kiedy kilka dni później ojciec przyprowadził do domu matkę – oboje byli uśmiechnięci od ucha do ucha i trzymali po jednym zawiniątku – myślałam po prostu, że łowili dzieci w Indusie. Jak dobrze, że ojciec miał dużą sieć, bo złowili dwójkę.

Pierwszego chłopca rodzice nazwali Sangeen Chan, a siódmego dnia, podczas rytuału nadawania imion, ojciec ukląkł przede mną z drugim bliźniakiem, wręczając mi wypolerowaną złotą monetę.

– Ten jest dla ciebie, Mario. Prąd rzeczny zniósł go do mojej sieci, kiedy miałem wyciągać Sangeena. Wtedy ujrzałem dwa małe nacięcia na jego skroniach, widzisz je? I wtedy zrozumiałem, że jest dla ciebie.

– Co oznaczają te znamiona?

– To ślady zębów Wielkiego Lwa. Twoje skronie oznakował w ten sam sposób. Weź swojego brata i nadaj mu imię Babrak Chan.

Wyciągnęłam więc moje krótkie rączki i wzięłam śpiące niemowlę.

Przykucnęłam, czując, jak jego oddech owiewa mój policzek, i przysunęłam usta do malutkiego niczym muszelka ucha.

– Babrak Chan. Nie lękaj się, bo jesteś moim chłopcem. Będę się tobą opiekować. – Następnie do prawego ucha z miłością całego świata wyszeptałam *adhan*, muzułmańskie wezwanie do modlitwy.

*

Każdego ranka wszyscy członkowie mojej rodziny, z wyjątkiem mnie i bliźniaków, wyruszali przez drzwi frontowe niczym podróżnicy, z torbami przewieszonymi przez ramiona i zapakowanym prowiantem, na zatłoczone, słoneczne ulice Dera Ismail Chan, prosto do sal lekcyjnych i wykładowych. Ojciec odprowadzał Ayeszę i Taimura do miejscowej szkoły podstawowej, a następnie udawał się do koledżu, na którym wykładał, matka zaś autobusem miejskim jechała na swoje zajęcia. Ojciec szedł pieszo, nawet jeśli musiał dotrzeć gdzieś daleko albo się spieszył. Ludzie zwracali uwagę na jego wysoką, dostojną postać. Do dziś mówią, że Shams Wazir ma krok generała.

Przyzwyczaiałam się do godzin spędzonych w samotności, samotność stała się moją drugą naturą, ale teraz dwoje płaczących niemowlaków zaburzyło ciszę mojego świata. Zamiast iść do szkoły, musiałam zostać w domu, żeby nauczyć się być matką – i to szybko. Jakoś mi się udało. Ayesha pokazała, że ma talent do nauki; czytała już proste teksty i robiła błyskawiczne postępy w nauce angielskiego. Byłam jeszcze bardzo mała i książki mnie nie interesowały, za to interesowali mnie bracia bliźniacy. Nie miałam jeszcze pięciu lat, a już czułam się jak dorosła. Wiele pasztuńskich dzieci dorasta szybko. Nie mają innego wyboru.

Matka uczyła się w niepełnym wymiarze godzin, więc znikwała na kilka popołudni w tygodniu. Dni, gdy zostawała w domu, często wykorzystywała, żeby nauczyć mnie pisać i liczyć. Wczesnym wieczorem, kiedy rodzice wracali z torbami wypełnionymi papierami oraz napuchniętymi od czytania oczami, odpoczywali przy świetle lampy w naszym małym pokoju gościnnym. Przynosiłam im gorącą zieloną herbatę w małych filiżankach, a potem dawałam im płaczącego Sangeena. Babrak był jednak mój i zostawał ze mną tak długo, jak to możliwe – rodzice dobrze wiedzieli, co robią.

Często przed wyruszeniem na zajęcia matka smarowała mi olejkiem włosy i układała warkocze, wplatając w każdy z nich długą, błyszczącą wstążkę. Ubierała mnie jak lalkę, które często rozrzucałam lub niszczyłam długopisami.

Te rytuały sprawiały jej ogromną radość, ale mnie nie. Co jakiś czas odwiedzał nas starszy człowiek z ogromną stertą złożonych sukni owiniętych w białe prześcieradło, które nosił na głowie. Jego żona była szwaczką, a on zarabiał na życie, handlując obwoźnie jej ozdobnymi ubiorami. Matka tygodniami zanosila do skupu zużyte metalowe puszki, żeby zaoszczędzić pieniądze na zakup. Czasami przynosiła dwie lub trzy suknie jednocześnie, każda bardziej ozdobna od poprzedniej. I każda przyprawiała mnie o udrękę.

*

Kiedy bliźniaki ukończyły pół roku, matka zwiększyła liczbę zajęć i coraz częściej znikala na całe dni. Zawsze zostawiała buteleczkę koziego mleka, którą nauczyłam się podgrzewać na naszej pojedynczej elektrycznej grzałce w płytkim naczyniu z wodą; sprawdzałam temperaturę, upuszczając kroplę na nadgarstek. Lubiłam je zlizywać – słodkie i białe niczym perła na mojej ręce. Gdy bliźniaki zaczęły jeść stałe pokarmy, z wielką przyjemnością przyrządzałam im posiłki. Obierałam owoce mango i rozdrabniałam je widelcem – a szybko odkryłam, że mogę w ten sposób wszystko przygotować na jedzenie dla dzieci: chleb naan nasączony w rosole, biały ryż ugotowany z soczewicą, mandarynkę. Wszystko to w formie dziwacznych, gęstych mieszanek, które bliźniacy uwielbiali, oblizując swoje gładkie, wilgotne dziąsła, jakbym dawała im samą mannę z nieba. Klęcząc na chłodnej gliniastej podłodze, wybierałam palcami małe kęsy jedzenia z miski i karmiłam nimi dzieci – właśnie nauczyły się siadać – wkładając w ich otwarte, bezzębne usta małe kawałki.

Gdy bliźniaki były już najedzone i lepki od soku mango rączkami ciągnęły mnie za warkocze, wynosiłam ich do naszego ogródka z tyłu domu. Przechadzałam się w słońcu, recytując wersety Koranu zwane *ajatami* i kołyszac braci, dopóki nie rozboleły mnie ręce, a potem kładłam obu na kocach rozłożonych w cieniu, obserwując, jak się turlają, chwytając powietrze swoimi małymi piąstkami. Raz przyłapałam Sangeena z kamieniem w ustach i dostałam nauczkę. W końcu ogarniało ich zmęczenie, a ja patrzyłam, jak sobie razem drzemają, upewniając się, że śpią głęboko, i próbując odgadnąć, co też widzą pod tymi małutkimi, drgającymi powiekami. Ostrożnie owijałam ich małe, ciepłe ciała tkaniną, jakby to były paczki, i każdego wkładałam do hamaka niczym nasiono do łupiny. Przez sen obaj wydawali ciche odgłosy, niczym ptaki.

Zostawiałam ich drzemiących w wiszących łódeczkach, wkładałam sandały i wypuszczałam się, by zwiedzać najbliższą okolicę. Pewnego dnia obiecałam sobie, że pobiegnę do Indusu, by zobaczyć, jak połyskuje wśród pól, i oddać wreszcie cześć Abasinowi. Do tamtej pory ograniczałam się do cichej, małej i ślepej uliczki biegnącej od naszych frontowych drzwi, a zwykle przesiadywałam na niskim krawężniku przy bramie. Mieszkająca naprzeciwko w domu będącym lustrzanym odbiciem naszego kobieta z ludu Saraiki często przychodziła sprawdzić, jak się mam lub raczej – jak się mają moi bracia. Czasami częstowała nas świeżym jogurtem albo to ja zносиłam jej maślankę, za pomocą której przyrządzała górę ciasta na chleb naan. Rysy jej jasnej, indoaryjskiej twarzy były tak doskonale symetryczne, jakby zostały namalowane, a jej długie, czarne niczym smoła loki połyskiwały, kiedy się poruszała. Odcięta od świata w pasztuńskim plemienu widywałam jedynie wazirskie twarze, podobne do mojej własnej, więc jej egzotyczny czar początkowo mnie zaskoczył. Nigdy nie widziałam tak wielkich oczu, a jej liczne piękne dzieci, które zawsze miała przy sobie, były do niej podobne.

Nasi sąsiedzi z ludu Saraiki często podziwiali moje haftowane sukienki i misternie splecione długie warkocze kontrastujące z moją surową figurą. Od noszenia dzieci miałam wielkie niczym awokado mięśnie ramion. Kiedy szłam dumnym krokiem – nieodrodna córka swego ojca – widać było, że wywodzę się z długiej linii wazirskich wojowników.

O zmięczeniu ślepa uliczka często zamieniała się w tętniącą życiem scenę, na której pojedyncza drewniana lampa uliczna oświetlała parę siedzących pod nią bębniarzy. Z pierwszym głośnym uderzeniem *dhol*, dwustronnego bębna przyozdobionego pomponami, wszyscy krzepcy Pendżabczyccy z sąsiedztwa zbierali się na ulicy i ruszali w dziki taniec zwany *bhangra*, wywijając ciałami, kołysząc biodrami, wymachując ramionami i nogami, co miejscowi nazywali „okazywaniem szczęścia”. Muzyka wibrowała w mojej klatce piersiowej, gdy oglądałam ich oniemiała z wrażenia.

*

Niedługo przed moimi piątymi urodzinami zdałam sobie sprawę, że nie jestem typową plemienną córką – w ogóle nie jestem typową dziewczynką. Znacznie bardziej wolałabym taplać się w błocie z Tai-murem, kopać piłkę albo rzucać kamieniami, niż bawić się lalkami z moją

filigranową siostrą Ayeszą. W końcu w czasie długiej i pełnej pasji tyłady zakomunikowałam ojcu, że chcę nosić takie ubrania, jak brat. Wysłuchał mnie, wziął na kolana, pokiwał głową i zaśmiał się w głos. Wszyscy w rodzinie zauważyli już, że mam w sobie więcej cech męskich niż żeńskich. Wkrótce mój hojny Baba wrócił do domu z bazaru z parą żółtych szortów i pasującym do nich T-shirtem, które mogłam nosić po domu. Chyba nie podejrzewał, że kiedykolwiek wyjdę w nich na zewnątrz – co zrobiłam – i nie zostanę na tym przyłapana. Czasem myślę sobie, że ten jasny chłopięcy strój odmienił moje życie.

Pewnego dnia przechadzałam się w moich sportowych ubraniach, podążając za cienką białą smugą pozostawioną przez przelatujący samolot i recytując sury – krótkie fragmenty Koranu – błękitnemu niebu. Z tego stanu wyrwało mnie nagle wysokie rżenie przestraszonego konia i tętent dzikiego cwału. Ujrzałam zmierzającego w moją stronę siwego mężczyznę na wozie; był w czerwonej kefiji, a przy boku miał karabin AK-47, zawieszony na ozdobnym pasie. Poruszał się niczym dziwna starożytna zjawka, wpadając i wypadając z cienia. Zatrzymałam się, żeby mu się przyjrzeć. Mężczyzna pociągnął za wodze i koń zwolnił, zbacząc z wozem z drogi. Po chwili stanął tuż przede mną. W kieszeniach szortów szukałam kostek cukru, które często nosiłam jak cukierki.

Poczułam gorąco bijące od skóry zwierzęcia, usłyszałam ciężki, wilgotny oddech. Wielki brzuch konia był okrągły, a jego długa szyja srebrzyła się w słońcu, kiedy wyciągnęłam rękę, żeby go pogłaskać. Mężczyzna wydał z siebie głos i koń wykonał kilka kroków do przodu, a ja przebiegłam dłonią po jego boku. Wtedy poczułam twardy czubek buta na ramieniu, spojrzałam w zarysowaną na tle jasnego nieba ocienioną twarz mężczyzny.

– W twoich włosach widzę wstążki, dziewczynko, a na twojej brudnej skórze diabła.

Podniosłam dłoń do twarzy i poczułam jedwabistą wstążkę spadającą na moje spocone plecy. Powinnam była uciekać. Wyłonił się nade mną jak mroczna i świszcząca postać, koń natomiast chrząknął i odwrócił łeb. Mężczyzna pogładził pas od karabinu i pokiwał głową, przyglądając mi się od stóp do głów. Nagle bicz przeciął powietrze z sykiem atakującej kobry i rozciął mi policzek. Wrzasnęłam. Głośno i boleśnie. Przekląłam nie tyle oniemiałego mężczyznę w siodle, co mroczne góry, z których, jak byłam przekonana, przybył, żeby mnie odnaleźć. Zanim zdążył uderzyć mnie drugi raz, pobiegłam w stronę naszego domu, by schronić się wśród gliniastych

ścian.

Przez kilka kolejnych dni bez żadnych skarg, z obojętnym wyrazem twarzy pozwalałam matce ubierać mnie w ważące niemal tyle samo co ja sukienki, które zakładała mi przez głowę. Wplatając jedwabne wstążki w moje włosy palcami pachnącymi słodkim olejkiem, spojrzała na mnie i wskazała cienką czerwoną bruzdę na moim policzku. Wzruszyłam ramionami, tłumiąc w sobie gniew. „Za kilka dni zniknie” – powiedziałam.

Tego popołudnia patrzyłam przez otwarte okno na bawiących się nieopodal naszego domu chłopców z wioski. Usiadłam, opierając się o gliniany parapet, obserwując ich nieskrępowane ruchy i czując, jak moja skóra staje się coraz gorętsza. Radosne krzyki i taniec gumowej piłki pomiędzy zwinnymi bosymi stopami chłopców nie dawały mi spokoju. Co jakiś czas któryś z nich patrzył w moim kierunku i nasze spojrzenia się spotykały. To, co zrobiłam potem, uczyniłam bez emocji. Przyływ adrenaliny i czysty instynkt kazały mi popełnić ten brzemienny w skutki czyn, który miał zdefiniować całą moją przyszłość.

Podpaliłam oblane naftą jedwabne suknie, a one stanęły w wysokich płomieniach; głośne, trzeszczące dźwięki były niczym wystrzały na cześć urodzin syna. Ozdoby ze wstążek odpadły i uleciały, gnane nagłym podmuchem wiatru. Sperta sukien wyglądała niczym ciała małych kobiet rzuconych na stos po wydaniu wyroku śmierci. Spaliłam wszystko, a sama włożyłam koszulę i spodnie mojego brata Tai-mura, podwijając rękawy i nogawki. Po chwili wzięłam nóż i odcięłam długie pukle włosów, rzucając je prosto w ogień. Zaczęłam biegać niczym opętana wokół szalejących płomieni.

Ojciec wszedł do ogrodu, kiedy ostatni język ognia wzniósł się ku jasnemu niebu, trawiąc resztki tkaniny. Przez chwilę mnie obserwował. Kiedy w końcu się odwróciłam i go ujrzałam, zobaczyłam, że jest zszokowany, ale nie zły. W jego twarzy widać było, że ujrzał we mnie coś, co zawsze miał nadzieję ujrzeć – czystą wazirską odwagę. Następnie podszedł do mnie i oboje staliśmy tak wśród powoli opadających popiołów, patrząc, jak dym unosi się w stronę horyzontu niczym prorocstwo. Zaśmiał się, żegnając swoją drugą córkę i witając w ramionach nowego syna.

Po tym, jak spaliłam suknie i ścięłam włosy, matka i ojciec pozwolili mi ubierać się i żyć, jak mi się podobało – czyli jako Dzyngis-chan. Dla dziecka takiego jak ja, które przez większość czasu i tak żyło jak chłopiec, nie było innego wyboru. Byłam zdeterminowana, im zaś nie pozostało nic innego, jak

pomóc mi być sobą. A życie w skórze chłopca wydawało się piękne – bez jedwabnych wstążek, bez udekorowanych paciorkami sukni i bez długich czarnych warkoczy. Było w tym śmiałe i surowe piękno oraz wolność biegania pod błękitem nieba. Nosiłam przepocone T-shirty i szorty, z których wyrósł mój brat. Zakładałam trampki i puszczałam latawce na bezkresnej równinie. W czasie jednego z pierwszych dni nowego życia udałam się do doliny i dołączyłam do grupy chłopców zebranych przy wielkim występie skalnym; wiedziałam, że się tam regularnie spotykają, bo dostrzegałam ich przez okno. Przeskakując nad ciemną plamą zgaszonego ogniska, strząsnęłam popiół z moich nowych białych butów, nie odrywając oczu od piłki tańczącej mi pomiędzy stopami.

Chłopcy wszystko nazywali po swojemu. Piłka była Magią, pole Oceanem, najbogatszy z nich Dubajem, a na najbiedniejszego wołali Uthana, co w języku Pasztunów oznacza grosz. Najszybszy był smukły Pendzabczyk zwany Bumerangiem. Zacisnęłam pięści i z krótko przystrzyżonymi włosami przedstawiłam się jako Dzyngis-chan.

Z rozmysłem podeszłam do piłki i ją kopnęłam. Mocno. Usłyszałam, jak napięta guma uderza w mój but i poczułam ostre ukłucie. Piłka jak na komendę poszybowała w górę, zataczając ostry łuk. Przez chwilę świat jakby stanął w miejscu. Patrzyliśmy, jak piłka wiruje, a czerń i biel mieszają się w szarość, aż piłka upadła na ziemię, wzniecając cienki pióropusz kurzu, i wszyscy chłopcy pomknęli za nią, krzycząc ku słońcu. Jedno mocne kopnięcie wystarczyło, żeby zakomunikować im, że pasuję do ich grupy. Dubaj i ja zostaliśmy sami; wyszczerzył zęby i postukał w swój złoty zegarek. Był pod wrażeniem. Wiedziałam już, że brakuje im zawodnika.

– W samą porę, Dzyngis-chanie. Witamy.

Kiedy matka zostawała w domu, by zaopiekować się bliźniakami, spotykałam się z chłopcami przy skale, skąd wybiegaliśmy na równinę, szalejąc między głazami i kępami wysokiej trawy, grając w piłkę, strzelając z procy, biegając bez celu i wzniecając wielkie tumany kurzu. Biegałam z nimi, aż moja koszula była całkiem mokra, a po skroniach spływał mi pot. Gdy miałam już dość, padałam na kolana na rozpaloną glebę. Silna, nieokiełznana i twarda, zawsze przewodziłam. Choć byłam najmłodsza, górowałam fizycznie w każdej dyscyplinie. Żaden przeciwnik nie potrafił mnie pokonać i po tygodniu nikt z nich nie ośmieliłby się próbować.

Dziwne było to, że choć oni dopiero co poznali Dzyngis-chana, ja znałam ich już od miesięcy, bo obserwowałam ich z cienia mojego pokoju na górze.

Widziałam, jak siedzą po turecku na suchej ziemi w półkolu i obierają mango, a sok lśni na ich palcach, gdy pochłaniają wielkie kawałki. Niekiedy któryś wdawał się w awanturę i wtedy głosy się podnosiły, w ruch szły pięści i wszystko uspokajało się dopiero, kiedy ktoś zdecydował, że polało się zbyt dużo krwi. Jeden z chłopców przynosił czasami ręcznie wykonany łuk i wtedy szwendali się, strugając scyzorykami cienkie gałęzie i robiąc z nich strzały, którymi celowali prosto w napełnione piaskiem worki. Później znikali w blasku słońca, udając się w kierunku Indusu na długie popołudniowe polowanie na króliki bądź gazele. Przez długi czas nienawidziłam tych chłopców, teraz staliśmy się jednością.

Innymi popołudniami szłam długą wiejską drogą prowadzącą z miasta prosto na szerokie pola trzciny cukrowej. Wyciągałam kieszonkowy nóż, wysuwałam ostrze z wykonanej z kości słoniowej rękojeści i zapuszczałam się pomiędzy długie rzędy, szukając odpowiedniej łodygi. Znalazłszy ją, klękałam i cięłam trzinę blisko ziemi, pozwalając jej upaść. Następnie kroiałam łodygę na fragmenty długości ramienia, zachowując spoiny, w których gromadzi się słodki, pyszny sok, i zabierałam je do domu. Czasami zabijałam czas, włączając się wzdłuż starej drogi i jedząc prażone orzechy nerkowca, które nosiłam w kieszeniach. Marii już dawno nie było, moje ramiona i nogi pociemniały od słońca i pokryły się siniakami, raz na jakiś czas tylko szeptałam do siebie moje trzy imiona, żeby mieć pewność, że córka mojego ojca jeszcze żyje.

ROZDZIAŁ 5

MUZA BHUTTO

Żułam trzcinę, a słodki zielony sok spływał mi po brodzie. Z pęczkiem trzciny pod pachą niczym z podpałką weszłam do chłodnego domu prosto z upału, od którego pulsowała mi głowa. W chłodnym mroku usłyszałam przemierzający się w głębi cichych pokoi głos siostry i podążyłam za nim aż na podwórko.

Ubrana w białe szaty Ayesha stała pewnie niczym królowa na betonowym patio. Mówiła głośnym, czystym głosem, wymawiając słowa dobitnie i z przekonaniem niezwykłym jak na jej dziewięć lat. Wygłaszała przemowę na temat praw kobiet, którą ćwiczyła od wielu dni. Siostra skądś wiedziała, że pisana jest jej kariera w polityce. Gdy miała siedem lat, ojciec zabierał ją na debaty i konkursy oratorskie w całym kraju. W państwowej szkole dla chłopców w Miramshah zdobyła pierwszą nagrodę, choć była jedyną dziewczynką, do tego młodszą od innych uczniów o prawie dekadę. Kiedy jej rówieśniczki bawiły się lalkami, a ja biegałam jak w amoku, Ayesha ćwiczyła swoje umiejętności deklamatorskie. Mawiała nam, że jej największą ambicją jest zostać sekretarzem generalnym ONZ i zabiegać o pokój na świecie. Jak w przypadku wszystkich naszych marzeń, ojciec zachęcał Ayeszę z niesłabnącym entuzjazmem. Pomógł jej w pracy nad dykcją i woził ją, kiedy mógł, na wszystkie zawody recytatorskie w całym Pakistanie. Z każdej podobnej rywalizacji Ayesha wracała z nagrodą.

Stałam tak ze strupami na poobijanych kolanach, z kurzem w krótkich włosach i nie byłam w stanie nawet drgnąć, obserwując ją – biały hidżab, dopiero co wyprasowany, odbijał słońce tak mocno, że musiałam zmrużyć oczy. Ayesha rozpostarła ręce. Przed nią w kilku rzędach stały pionowo czerwone cegły, ułożone w szachownicę. Ayesha przemawiała do nich, starannie kontrolując swój oddech i poruszając rękami. Co jakiś czas przerywała, jakby spojrzała komuś prosto w oczy. Chciało mi się śmiać, ale widząc ojca oglądającego ją ze składanego metalowego krzesła, z rękami na kolanach i dumą w oczach, wiedziałam, że nie powinnam. Powietrze znieruchomiało, a słońce zdawało się świecić wyłącznie na Ayeszę. Stałam

więc zasłuchana.

– W dzisiejszym świecie w walce o wyzwolenie kobiet nie ma miejsca na neutralność. Powiem wam coś: najlepszy hidżab to taki, jaki się komu podoba.

Ojciec przytargał cegły z pobliskiej ulicy w zardzewiałej taczce, dając za nie dwa worki ryżu mężczyźnie, który chciał wybudować na podwórku piec, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Zastanawiałam się, co też ojciec chce zrobić z tymi wielkimi karmazynowymi bryłami ułożonymi niczym drugi mur pod ścianą naszego domu. Nie miałam pojęcia, że zamierza zmienić nasz ogródek w makietę zgromadzenia delegatów ONZ. Wciąż miał jakieś plany. Czasem wpadał na szalone pomysły, pozwalając na przykład jednej ze swoich córek biegać po talibskich terenach ubranej jak chłopiec albo zachęcając żonę do noszenia dzinsowych kurtek, czytania książek i ubiegania się o stopień magistra. Wciąż nie przyciął wąsów.

Ojciec podniósł się z krzesła i zaczął bić brawo. Rzucił okiem na scenę i niczym reżyser poprawił jedną czy dwie cegły. Następnie zwrócił się do mnie.

– Widzę, że jesz trawę, która daje miód bez pomocy pszczół.

Wyciągnął mi spod pachy długi kawałek trzciny, ugryzł go i wskazał nim na rzędy cegieł.

– Posłuchaj twojej siostry przemawiającej do bufonów z ONZ, którzy rozpętują wojny z naładowanymi strzelbami, a potem próbują je zakończyć pustymi słowami.

– Ayesha przemawia do cegieł, a nie ludzi.

– Tak, Dzyngis, masz rację. A teraz przynieś misę na pranie, to zabiorę cię w podróż dookoła świata.

W kuchni przy stole siedziała matka, gryzmołąc coś na kartce i mówiąc do siebie w języku, którego nie rozumiałam. Przed sobą miała otwarty słownik z postrzępionymi od wertowania rogami oraz pół szklanki soku z mango. Kiedy ją mijalam, nie podnosząc wzroku znad kartki, wyciągnęła dłoń – drugą ręką wciąż pisała z zapamiętaniem. Położyłam jej na dłoni słodką trzcinę, a jej smukła, pomalowana henną ręka z różowymi paznokciami zacisnęła się na niej. Wzięła trzcinę i odgryzła kawałek, kiwając głową i uśmiechając się nieśmiało, kiedy syrop wypełnił jej usta. Szybko wertowała strony, przeszukując zadrukowane kolumny. Wiedziałam, że pisze przemowy Ayeshy; w ten sposób obie uczyły się angielskiego. A ja nauczyłam się go przez osmozę, po prostu nadstawiając uszu. Słuchając mojej matki i siostry mówiących po angielsku, zaczęłam przyswajać ten język słowo po słowie.

Ojciec zawsze powtarzał, że nasza rodzina jest jak fabryka produkująca inteligentne istoty ludzkie.

Bez słowa podążyłam do kąta i zdjęłam z haka wielką metalową misę; upadła na podłogę, wydając głośny szcęk. Matka spojrzała na mnie i na misę, która była niemal mojego wzrostu, i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Widzę, że Fileas Fogg zamierza zabrać cię w podróż dookoła świata. Mam nadzieję, że nie zajmie mu to 80 dni.

Ojciec na trawniku przeszukał grządki kwiatów i zebrał kilka kamieni, a ja napełniłam misę, wlewając do niej wodę z wiadra na głębokość pięciu centymetrów – ale nie więcej. Po drugiej stronie muru słyszałam, jak sąsiad czyści broń, a inny dekoruje bębny *dhol*. Ojciec ułożył kamienie wokół misy, przyglądając się każdemu uważnie, a następnie pojedynczo powkładał je do wody; wszystkie wystawały ponad powierzchnię niczym wyspy.

– No dobrze, Ayesho, największy kamień to który kontynent? Widzisz go?

– Azja. Afryka wygląda idealnie, nawet ten róg. Powinieneś zachować ten kamień.

– Mario, ten najmniejszy kamień, co to jest?

– Antarktyda. Nie odwiedzajmy jej dzisiaj. Jest tam za zimno.

– Tak jest. Obie macie rację. Teraz przyniosę moją łódź.

Wydrążona i wyczyszczona łupina awokado służyła jako łódź, którą ojciec sterował z jednego końca świata na drugi za pomocą palca. W Cieśninie Beringa zaatakował nas sztorm, utonęło kilku marynarzy. Byliśmy Wikingami na Grenlandii, towarzyszami Marco Polo szukającego przypraw w Chinach, wydobywaliśmy jadeit w Japonii. Ayesha stała nad misą, w falującej wodzie odbijał się jej hidżab, a ona recytowała nazwiska obecnych i historycznych władców kamienistych krain, które odwiedzaliśmy.

– Margaret Thatcher, John Major, George Bush, Bill Clinton, Mao Tse-tung, Fidel Castro, Michaił Gorbaczow, Abraham Lincoln, Mahatma Gandhi. – Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. – Dżyngis-
-chan.

Dopłynęliśmy naszą łupiną pełną skarbów – od pereł po ziarna pieprzu – do portu Gwadar w zachodniej pakistańskiej prowincji Beludżystan u wybrzeży Morza Arabskiego.

Później ojciec rozłożył prześcieradło na trawie pod mierzącym sześć metrów drzewem dżambu*, obficie porośniętym podłużnymi fioletowymi owocami jagód. Podniósł nas, żebyśmy mogły dostać się do gałęzi, wśród których czułyśmy się niczym podróżnicy w jakimś prehistorycznym

himalajskim świecie. Owoców było mnóstwo i wyglądały jak wielkie, ciemne, soczyste klejnoty.

– A teraz, dzieci, skaczcie!

Zaczęłyśmy skakać z Ayeszą, chichocząc niczym ptaszki, aż gałęzie zaczęły się pod nami trząść i posypał się z nich grad fioletowych kamieni prosto na białe prześcieradło.

– Ayesho, dlaczego liście są zielone?

– Przez chlorofil.

– Jak liście produkują żywność, Dzyngis?

– W pniu znajduje się kuchnia.

– Odpowiedz, chłopcze, bo każę ci się nauczyć na pamięć dziesięciu sur zamiast pięciu.

– Znam już dziesięć, więc wszystko mi jedno. Ale powiem ci, Baba. Odpowiedzią jest fotosynteza zachodząca dzięki wielkiemu słońcu naszego Allaha.

Ojciec roześmiał się w głos. Śmiejąc się, wymachiwał rękami niczym dyrygent, a my skakałyśmy po gałęziach, trzymając się ich mocno, podczas gdy na jego głowę, ramiona i plecy spadał deszcz owoców. Złapał jeden z nich i wgrzył się w niego; usta ojca natychmiast stały się fioletowe, a język czarny, jakby zanurzył go w atramencie.

– Ayesho, powiedz swojemu bratu wojownikowi, siedzącemu na tronie dżambu, trzy najpiękniejsze słowa wszystkich języków świata.

Widziałam nad sobą Ayeszę, siedziała wśród liści i gałęzi. Uśmiechnęła się, a ja mogłam zobaczyć perlistą biel jej zębów. Nawet dziś pamiętam ten elegancki, donośny głos. Przy każdym słowie owoce z drzewa dżambu spadały do stóp ojca:

– *We the people...***

*

Później oglądaliśmy na ekranie telewizora – czarno-białego zenitha, którego głośniki trzeszczały w rytm obracającej się taśmy wideo w magnetowidzie wypożyczonym na weekend od wykładowcy z uczelni – przemawiała kobieta z wielkimi oczami i wysokimi kośćmi policzkowymi, cała w bieli. Rozpostarła długie ramiona niczym skrzydła, powieka ani jej drgnęła. Raz udało nam się doliczyć do 99, zanim mrugnęła. Przeszukując uniwersyteckie biblioteki, ojciec przyniósł do domu taśmy z jej wszystkimi przemówieniami.

Znałam jej twarz doskonale, a w jej głosie dźwięczała podobna siła jak u mojej matki; była córką naszego niegdysiejszego wielkiego przywódcy Zulfikara i pierwszą kobietą, która stanęła na czele muzułmańskiego kraju. Benazir Bhutto – jedyna bohaterka moja i Ayeshy.

Jako dziewiąty premier Pakistanu jej ojciec otworzył ponad 6000 szkół w całym kraju, a Benazir kontynuowała jego dzieło, zachęcając dziewczynki z całego państwa do podjęcia edukacji. Dzięki Benazir Bhutto uwierzyliśmy, że my także możemy osiągnąć wielki sukces. Ayesha stanęła, wyprostowała się i przemawiała, patrząc na ziarnisty ekran. Doskonale zsynchronizowała swój głos z taśmą i odwzorowywała każdy gest, poprawiając nawet hidżab, żeby podkreślić jakieś słowo, wykonując pauzę, żeby przekrzywić głowę i mówić dalej. Jej głos, o sile wykraczającej poza jej wiek i posturę, rozbrzmiewał w całym pokoju. Nagle nasz dom zmienił się w audytorium, ze mną i resztą rodziny siedzącymi na składanych krzesłach, przyniesionych przez ojca ze szkoły. Następnie siostra zwróciła się do nas, a za nią Benazir zwracała się do amerykańskiej Izby Reprezentantów w 1989 roku; ich twarze były lekko obrócone, podniesione wysoko. Słowa wypowiadały unisono, doskonale zgrane w czasie.

– Zebraliśmy się tu, żeby celebrować wolność, celebrować demokrację, celebrować najpiękniejsze słowa w języku angielskim... My, naród.

Miesiąc później Ayesha siedziała obok ojca w półciężarówce, śpiewając sury i zmierając poprzez Góry Sulejmańskie do doliny, w której mieściła się nasza rodzinna wioska. Benazir Bhutto zgodziła się przemówić do zgromadzenia pasztuńskich liderów w samym sercu FATA (Federally Administered Tribal Areas – Terytoria Plemienne Administrowane Federalnie). Spotkanie organizowała dalsza rodzina mojego ojca, która miała wpływy i była politycznie zaangażowana w regionie. Kiedy ojciec dowiedział się o nim, postanowił udać się tam wraz z Ayeshą. Mogła to być dla niej jedyna szansa osobistego poznania jej bohaterki. Siostra postanowiła, że zrobi coś więcej – że wygłosi przed Benazir swoje najlepsze przemówienie. Szlifowały je razem z matką, uprały także i wyprasowały najbielszy strój Ayeshy, a ojciec zatankował samochód na tę długą podróż w nasze rodzinne strony. Od kiedy ktoś doniósł na moją matkę, że porzuciła domowe obowiązki na rzecz koledżu, nie byli tam mile widziani, ale kodeks Pasztonów wymagał od nich wyjątkowej gościnności. Baba zdawał sobie sprawę, że tyle im wystarczy – potrzebowali niecałego dnia, wystarczyła im jedna godzina.

Wioskę ze wszystkich stron otoczyli uzbrojeni strażnicy. Ojciec nie

potrzebował żadnych papierów – z jego oczu i sposobu mówienia widać było, że jest stąd. Jednym machnięciem ręki strażnicy ich przepuścili. Ojciec i siostra ujrzeli rozstawiony namiot, usłyszeli bicie bębnow i karabinowe wystrzały. Ayesha rozłożyła swój biały hidżab i owinęła się nim, ojciec wygładził strój tu i ówdzie. Wiedział, że kuzyni i wujkowie będą zakłopotani, gdy ich ujrzą.

Gdy ojciec i dziewięcioletnia Ayesha weszli w lśniących strojach do namiotu, było za późno na odwrót. Nikt nie chciał ryzykować scen na tak ważnym wydarzeniu, a wszyscy wiedzieli, że doszłoby do nich, gdyby natknęli się na ojca. Głowy zwróciły się w ich kierunku, usta rozwarły, ale nikt nie odważył się wypowiedzieć ani słowa. Któż byłby w stanie cokolwiek powiedzieć, skoro drugą kobietą w pomieszczeniu, zaproszoną, żeby przemówić do najważniejszych rodzin w FATA, była ekspremier i córka wielkiego przywódcy? Ojciec śmiał się z tego, opowiadając nam później ze szczegółami tę historię.

Kilka minut po ich przybyciu Benazir Bhutto weszła na scenę. Jej oczy przejęły kontrolę nad pomieszczeniem. Ayesha zaczęła liczyć w myślach i powiedziała mi, że doliczyła do 43, zanim ich wzrok się spotkał i jednocześnie mrugnęły, patrząc na swoje stroje. Kiedy Benazir mówiła, nikt się nie odezwał; słyszać było tylko jej głos, wznoszący się niczym fala, zalewająca całe zgromadzenie. Błyskały lampy aparatów. Strażnicy otoczyli namiot, wypatrując zamachowców z karabinami i samobójców obwieszonych bombami. Zawsze istniały liczne zagrożenia. Po kilku minutach jeden czy dwóch starszych mężczyzn jęknęło, ale większość siedziała jak trusie, czasem tylko szurając stopami po jedwabnych afgańskich dywanach, którymi wyłożono żwirowe podłogę.

Gdy Benazir Bhutto skończyła przemawiać, zgromadzeni powstali. Wypaliła strzelba, a tłum zbliżył się, gdy schodziła z podium, by przywitać się osobiście z niektórymi słuchaczami. Nasi kuzyni, zamiast wziąć Ayeshę za rękę, wepchnęli się przed nią, dając jej do zrozumienia, że nie jest tu mile widziana. Mogli pozwolić jej siedzieć na widowni, ale nie chcieli dopuścić jej do Benazir Bhutto. W tłoku zgubiła ojca. Mężczyźni krzyczeli i przepychali się, żeby podejść bliżej. Nieważne, że Bhutto była kobietą; miała władzę i żeby tylko dotknąć jej dłoni, gotowi byli uciąć sobie własną. Ayesha policzyła, że w jednym rzędzie znajdowało się 25 mężczyzn, a rzędów było 15. W tłumie ujrzała ojca i wyciągnęła rękę, żeby się do niego dostać. Powiedziała nam później, że miała wrażenie, jakby przeciskała się przez tunel, ze wszystkich

stron napierali na nią ludzie.

Ojciec złapał rękę Ayeshy i wyciągnął ją z tłumu. W tym momencie moja siostra ujrzała przez gąszcz ludzi rąbek białej szaty przeslizgującej się po czerwonym afgańskim dywanie. Była tak blisko, że niemal mogła go sięgnąć. Benazir wystarczył moment, żeby wypatrzeć różę rozkwitającą w tym lesie. Zatrzymała się.

– Tam jest dziecko. Pozwólcie mu ze mną porozmawiać.

– Wasza Ekszelencjo, napisałam dla pani przemówienie. Po angielsku. Mogę je wygłosić?

– Zróbcie jej przejście na podium, żebyśmy wszyscy mogli ją usłyszeć.

Ayesha przemówiła silnym głosem lejącym się na zgromadzonych niczym potężny wodospad.

– Dlaczego dziewczynie nie wolno studiować na uniwersytecie, pójść do lekarza albo podróżować po świecie, jak robi to Benazir Bhutto? Dlaczego ma poślubić mężczyznę, jeśli tego nie pragnie? Dlaczego to karabin ma władzę nad umysłem? Gdzie się podziały nasze wybory? Allah nam ich nie odebrał, zrobili to mężczyźni. Nikt nie powstrzyma mnie przed mówieniem tych rzeczy. Wszędzie będę opowiadała się za prawami kobiet i przeciwko niesprawiedliwości. Jeśli będziecie próbowali mnie uciszyć, będę mówić jeszcze głośniej.

Kiedy Ayesha skończyła, siedząca na jedwabnym fotelu Benazir skinęła na nią, aż zadźwięczały jej złote bransolety.

– Mam w torebce 10 000 rupii. Dam ci je, bo myślę, że taka jest twoja cena.

Ayesha lekko się uśmiechnęła i odparła:

– Jako że Wasza Ekszelencja nie jest już naszym premierem, nie mogę przyjąć takiego подарunku. Potrzebuje pani tych rupii.

Benazir Bhutto przekrzywiła głowę, chwilę się zastanowiła, po czym bardzo długo wpatrywała się w moją siostrę, która z kamienną twarzą patrzyła na nią, nawet nie mrugnawszy okiem. Minęło wiele minut, tłum przyglądał im się w milczeniu, a ojciec pomyślał, że może rozmawiają w języku, którego nikt inny nie może usłyszeć. Wreszcie Benazir się roześmiała. Te inteligentne oczy, te doskonałe zęby i usta w kolorze dżambu; z dyplomami Harvardu i Oxfordu oraz nieprzeniknionym umysłem była ucieleśnieniem wszystkich marzeń Ayeshy.

– Dziecko, nie mów do mnie Ekszelencjo. Od dziś nazywaj mnie Matką.

Wystarczyło jedno spotkanie z jej bohaterką, żeby wzmocnić u Ayeshy postanowienie, że spełni swoje polityczne ambicje. I nigdy nie zeszła

z obranej ścieżki. Będąc nastolatką, pracowała jako prezenterka w nagrywanym w Islamabadzie programie telewizyjnym zajmującym się polityką. Gdy pewna siebie siedziała z gracją przed kamerami, nikt nie zgadłby, że wciąż jest dzieckiem. Kiedy moja siostra czegoś pragnęła, sięgała po to obiema rękami, i nigdy nie wyrzekła się marzenia o ponownym spotkaniu Benazir Bhutto. Gdy tylko osiągnęła odpowiedni wiek, wstąpiła do Pakistańskiej Partii Ludowej, wchodząc na scenę polityczną, jakby ta do niej należała. Przez lata wymieniały korespondencję, dostała od Benazir Bhutto wielki niczym cegła słownik Oxfordu oraz dwie efektowne suknie.

Dziewięć lat później marzenie Ayeshy spełniło się w Islamabadzie. Miała zaledwie 18 lat i znów znajdowała się w zatłoczonym pomieszczeniu, czekając na przemówienie Benazir, ubrana w nieskazitelną biel; tym razem jednak otaczali ją ministrowie i członkowie różnych zgromadzeń, a nie plemienna starszyzna. Nawet jeśli się denerwowała, nigdy tego nie okazywała. Kiedyś powiedziano, że jeśli ktoś jej przerwał w trakcie debaty, potrafiła go zmrozić wzrokiem – choć stopiła nim więcej serc, niż ojciec potrafił naliczyć. Gdy miała zaledwie dziesięć lat, bogaty Pasztun, który upatrzył ją sobie jako małżonkę dla swojego niesforne go syna, zaoferował ojcu worek złota ważący tyle, co ona.

Gdy Ayesha podeszła do niej tego dnia, Benazir Bhutto siedziała w fotelu. Słońce oświetlało moją siostrę przez wysokie okna od tyłu, ubrana była cała na biało, ukoronowana czarnymi włosami wystającymi spod krawędzi woalki. Bhutto powiedziała później swojemu sekretarzowi, że przez moment miała wrażenie, jakby spoglądała na anielską wersję samej siebie, kiedy wiele lat temu wróciła do Pakistanu z Massachusetts i Oxfordu, żeby zrealizować swoje doniosłe marzenia.

– Widziałam cię już, ale nie jesteś mną.

– Spotkaliśmy się, pół mojego życia temu. Pochodzę z Południowego Waziristanu i nie będę cię nazywać Ekscelencją.

Bhutto podniosła dłonie do twarzy, a wypolerowane złote bransolety zabłyszczały na jej palcach i nadgarstkach. Powiedzieli później, że opuściła pomieszczenie, żeby się wypłakać, gdyż widząc to małe dziecko powracające do niej jako wyedukowana kobieta, dostała namacalny dowód, że jej praca włożona w wyzwolenie młodych dziewczyn z Pakistanu wydała owoce. Po tym spotkaniu ludzie mówili, że Ayesha była muzą Bhutto. W chwili, kiedy moja siostra wypowiedziała pierwsze słowa, Benazir doskonale wiedziała, kim ona jest.

- Jak zatem będziesz mnie nazywać?
- Pamiętasz? Mam nie nazywać cię Eksceleńcją, tylko Matką.

*

Muzułmanie wierzą w przeznaczenie, czyli *kadar* – że wszystko, co jest i co nadejdzie, zostało spisane w świętym dekreście u zarania całego życia. Nasze narodziny zostały spisane, zanim się narodziliśmy. Dokładna godzina i sposób naszej śmierci zostały przepowiedziane tysiące lat przed tym, zanim wyzionemy ducha. Ojciec zawsze nas uczył, że wielkim przywódcą pisane jest rozblysnąć, by mogli rozświetlić cały świat: Mahatma Gandhi, John F. Kennedy, Martin Luther King, Nawabzada Liaquat Ali Chan, założyciel współczesnego Pakistanu, Zulfikar Ali Bhutto. Woleliśmy nie myśleć, że pewnego dnia jego córka dołączy do tej listy, choć obawialiśmy się tego – odwaga w Pakistanie często jest przekleństwem. W naszych sercach i umysłach Benazir Bhutto była mądrzejsza od innych, wyjątkowa, a jej wysiłki na rzecz emancypacji kobiet i pozbycia się plemiennych ekstremistów wymagały jeszcze dużo pracy. Kiedy jej polityczni rywale pod koniec lat 90. wysunęli wobec niej zarzuty o korupcję, dla własnego bezpieczeństwa opuściła kraj na osiem lat, udając się na dobrowolne zesłanie do Dubaju i Londynu.

Kiedy tryumfalnie wróciła po amnestii ogłoszonej przez prezydenta Musharrafa, ojciec stwierdził, że popełniła błąd. „Zawróć, zawróć” – mówił, oglądając w telewizji, jak jej samolot ląduje w Karaczi. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że jej życie jest zagrożone – wkrótce po opuszczeniu lotniska próbowało ją zamordować dwóch zamachowców samobójców, zabijając przy tym 136 osób. Ale ona uszła z życiem. Nawet dzisiaj słyszę, jak ojciec, patrząc na jej niezwykłą machającą do tłumy postać, błaga ją, żeby opuściła nasz kraj. Ale nie zrobiła tego, a nam na pocieszenie pozostawała wiara w *kadar*. Ale czas Benazir Bhutto, jak było jej pisane, nadszedł. Oglądaliśmy to w naszym pokoju gościnnym. Był 2007 rok. Siedzieliśmy na krzesłach w półkołu, a kiedy na ekranie pojawiła się krew, wiedzieliśmy, co się stało.

Tysiące ludzi zgromadziło się w garnizonowym mieście Rawalpindi zaledwie dwa tygodnie przed wyborami. Wszyscy wierzyli, że nasza nowa przywódczyni wróciła do domu na dobre. Stała oto na mównicy ponad morzem skandujących mężczyzn. Uśmiechała się szeroko. Niczego się nie bała. Białe welon, tym razem półprzezroczysty, okulary, które często nosiła, królewska

błękitna suknia, ałłasowy połysk. Przed zejściem z podium rzuciła okiem na zegarek, jakby czas nie miał żadnego znaczenia. Choć może miał, bo każda sekunda dłużej to coraz mniejsze szanse na przeżycie, mimo że nie zdawała sobie z tego sprawy. Potknęła się o rąbek swojego długiego bezbarwnego szala, który mógł się zabrudzić w błocie, kiedy schodziła po schodach. Przez cały czas w drodze do samochodu otaczali ją ludzie wyśpiewujący jej imię. Pamiętam, jak pomyślałam, że gdyby nie potknęła się o ten rąbek, może zyskałaby sekundy potrzebne do oszukania przeznaczenia, jakie spotkało jej ojca. Gdyby nie rzuciła okiem na zegarek. Gdyby nie pomachała do tłumu jeszcze raz. Gdyby nie znalazła się w tym miejscu. Gdyby nie wróciła do nas z wygnania. Jakiś mężczyzna podszedł do niej i pomógł jej z teatralnym gestem. Zatrzymała się, by mu podziękować. Kolejne cztery sekundy – dużo za dużo.

Wsiadła do opancerzonej białej toyoty land cruiser, ale wyjrzała przez otwierany dach, wystawiając głowę i ramiona przed rozradowanym tłumem. Setki osób z podniesionymi dłońmi otoczyło samochód. Wykrzykiwali jej imię, skandowali w wielkim ryku uwielbienia. Obraz – ziarnisty i surowy – pokazywał jej biały welon, gdy odwróciła twarz w momencie, w którym to się stało. Skandowanie ucichło, powstał chaos – trzy szybkie strzały. Jeden pistolet, jeden ogolony mężczyzna. I Benazir Bhutto, nasza wielka nadzieja, której uśmiechnięte oblicze zdobiło nasze pokoje i nasze życia, gdziekolwiek byśmy się znaleźli i jak bardzo cierpieli, osunęła się do środka. Ojciec wielokrotnie odtwarzał taśmę wideo, żeby posłuchać wystrzałów. Zamykał oczy, liczył na palcach. Jeden, dwa, trzy. Przyglądał się, w którą stronę odskoczyła głowa Benazir i jak obsunął się jej hidżab po wystrzałach. Tuż po nich wybuchła bomba i ekran najpierw stał się jasny, a potem ciemny. Patrząc, jak upada, wiedzieliśmy, że rana jest śmiertelna. W wiadomościach podano, że Benazir zmarła wkrótce potem w szpitalu.

Na miejscu zapanował chaos. Okrzyki bólu wśród dymu. Radosna sceneria w jednej chwili zmieniła się w opustoszałe pobojowisko. Szczątki ludzi, szczątki samochodów, szczątki budynków rozrzucone niczym śmieci po całym placu. Czarne, schlapane krwią podłoże piekielnej rzeźni. Żywi chodzili niczym zombie pośród martwych i umierających z wywróconymi oczami i plamami na ubraniach. Niektórzy byli cali zbroczeni krwią. Poszarpane nogawki spodni. Pewien mężczyzna siedział w szoku obok innego, który nie miał stopy. Wskazywał na jakiegoś przechodnia, któremu nic się nie stało, i jakoś domyśliłam się, że wysłała go, żeby odnalazł mu buty. Zapytałam ojca,

a on powiedział, że mężczyzna jest w szoku i nie umrze. Żar eksplozji przyżegał jego rany.

Kilka dni później ujrzałam wewnątrz samochodu Bhutto. Siedzenie, na które upadła nieprzytomna, zdobiły plamy krwi, przesiąkła nią też poduszka. Czarne skórzane buty, wewnątrz różowe, leżały na boku. Dosięły ją dwa strzały, jeden w szyję; ojciec powiedział, że była to rana śmiertelna. Myślałam sobie wówczas, że ranę śmiertelną powinno nazwać się nieśmiertelną, bo dobrze wiemy, że nasze ciała umierają, ale my nie. Było dwóch mężczyzn – jeden z pistoletem, drugi z bombą. Plan A i plan B. Pierwszy z nich postrzelił Bhutto z bliska. Sekundę później drugi zabił siebie i 20 innych osób. Wielu ludzi ranił. Wszystkie te urwane kończyny leżące w kałużach krwi należały do ludzi martwych lub półżywych. Zamachowiec musiał obładować się ostrymi narzędziami – głównie gwoźdźmi, żyłkami i metalowymi kulkami do wiatrówek. Jedna taka, jeśli trafi w oko, potrafi zabić.

Rząd próbował kontrolować informację na temat przyczyny śmierci Bhutto i podawane przez niego wersje zmieniały się co tydzień. Twierdzono, że uderzyła się w głowę i rozcięła sobie czaszkę o dźwignię okna. Pokazano zdjęcia rentgenowskie w telewizji. Dla nas nie miało to już żadnego znaczenia. Nie dla mojej siostry, która całe swoje życie związała z Benazir. Widziałyśmy, jak zgasła tak pielęgnowana przez nas nadzieja.

– Dlaczego przejmują się tym, jak zginęła, Baba? Już jej nie ma.

– Mario, wszystko zależy od tego, jak zginęła. Zamachowiec rodzi z niej męczennika. Wypadek czyni głupca.

Spojrzałam na Ayeszę, która siedziała w złotej sukni na składanym krześle, poprawiając woal, żeby odwrócić myśli od swego złamanego serca. Wiedziałam, że liczy sekundy, zanim mrugnie.

– Muzo Bhutto, powiedz mi jedną rzecz, kiedy tak siedzisz jak dziecko, które wiele lat temu sprawiało, że z drzewa dżambu spadały owoce. Powiedz, zanim wszyscy zaczniemy płakać, choć wiemy, że wszystko to było jej pisane. Wszystko dzieje się z woli Allaha.

– Powiem wszystko, co ci pomoże, Baba.

Ojciec odszedł od ekranu, zbliżył się do córki, zsunął jej woal i wziął jej blade dłonie w ręce.

– Jakie są trzy najpiękniejsze słowa wszystkich języków świata?

Ayesha spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

– Nazywaj mnie Matką.

ROZDZIAŁ 6

MUR

Wkrótce po tym, jak doszło do starcia mojego ojca i mojej siostry ze starszyzną podczas przemówienia Benazir Bhutto, zostaliśmy wygnani z naszego plemienia i powiedziano nam, że nie wolno nam wrócić do rodzinnej doliny choćby na jeden dzień. Decyzja starszyny podjęta podczas *dżirgi* była ostateczna – powrót zakończyłby się naszą śmiercią. Moja rodzina popełniła tyle herezji i tyle razy się zhańbiła, że nie dało się tego zliczyć, a co dopiero wybaczyć. Ojciec latami nieugięcie i publicznie opowiadał się po stronie praw kobiet. Miałam siedem lat i chodziłam ubrana jak chłopiec. Matka wciąż się uczyła. I wszyscy członkowie naszej rodziny – mężczyźni i kobiety – żyli jako równi sobie. Ojciec razem z moim starszym bratem Taimurem często wykonywał domowe obowiązki. Starszyzna wiele razy go ostrzegała, ale on nie chciał się podporządkować ich konserwatywnemu, patriarchalnemu kodeksowi. Jako najstarszy syn najstarszego syna Shams miał w klanie wpływy, które zaczął podkopywać swoimi buntowniczymi poglądami. Wkrótce dumny i pragnący władzy wuj doszedł do wniosku, że jego syn może przejąć miejsce mojego ojca w hierarchii i uknuł spisek przeciwko Shamsowi.

Grupa kuzynów postanowiła w środku nocy zastrzelić mojego ojca, ale wymiana ognia, która się wywiązała, trwała aż do rana. Ojciec przeżył, ale zginęło dwóch kuzynów. Do dziś ojciec wierzy, że Allah obronił go przed tymi, którzy spiskowali przeciwko niemu, żeby mógł dalej pracować, by wywalczyć sprawiedliwość dla własnych córek i wszystkich córek niemających ojca, który by się za nimi wstawił. Nie zniósłby, gdyby jedna z nas stała się jeszcze bardziej zniewolona.

– Spójrzcie na opiekującego się gniazdem ptaka. Czy najpierw karmi samczyki? Albo czy najpierw opiekuje się samczkami, a potem samiczkami? Nie. Ptaki nie widzą różnicy między swoim potomstwem. Ja jestem taki sam. Kocham i traktuję moich synów na równi z córkami. Wierzę, że tego chce dla nas Allah i nie cofnę się ze strachu.

Wiem, że ojciec powiedział to starszyźnie podczas *dżirgi*, tym samym zrzekając się uprzywilejowanej pozycji całej jego rodziny i sprowadzając na siebie wszystkie nieszczęścia. Od szybkiego wyroku śmierci podczas ostatniego spotkania, na które się udał, ocalił go jedynie jego szlachetny rodowód. Bez względu na konsekwencje wolał oddać związane ze swą błękitną krwią dobytek i władzę w imię emancypacji swojej żony i córek. Doskonale pamiętam, jak ojciec wyjaśnił swoje kłopotliwe położenie, kiedy przekazał nam, że jesteśmy banitami i już nigdy nie ujrzymy swoich licznych kuzynów. Przeczytał nam na głos cytaty z Fryderyka Nietzschego, trzymając w swoich dłoniach podniszczoną książkę filozoficzną, jakby była to święta księga, a każde jego słowo ugodziło mnie niczym nasączona odwagą strzała:

– Jednostka zawsze musi walczyć, żeby nie poddać się grupie. Jeśli tego spróbujesz, często będziesz samotny, a czasami przerażony. Ale żadna cena nie jest zbyt wysoka za przywilej bycia sobą***.

*

Tym razem nasza półciężarówka była wypchana po brzegi wszystkimi przedmiotami, które mogliśmy do niej wcisnąć. Matka dostała ofertę prowadzenia miejscowej szkoły, więc nasz dumny ojciec zdecydował o przeprowadzce. Po kilku miesiącach dostała awans na zarządcę szkół dla dziewcząt i miała nauczać w całym regionie. Usiadłam z tyłu, z bosymi nogami opalonymi na kolor melasy i szerokimi, twardymi niczym granit ramionami. Miałam na sobie jedną ze spranych koszulek ojca – z nadrukiem z Led Zeppelin. Znaki przy drodze migały nam niczym karty do gry: FABRYKA ZAPALEK TOCHI, KHYBER MATCH. Siedząc na odkrytej pacy ciężarówki, czuliśmy w powietrzu woń kardamonu i siarki. Shams odwrócił się, spojrzał na nas z fotelu kierowcy przez tylne okno i uśmiechnął się, po czym przekrzykując wiatr, stwierdził: „Znacznie lepsze od prochu!”. Powoli zaczęła zmierzchać i stada żurawi przelatywały po niebie jak żywe bumerangi. W dolinie za nami na lotnisku należącym do armii stały odrzutowce, przypominając odpoczywające wielkie ptaki. Kilkakrotnie musieliśmy zatrzymać się w wojskowych punktach kontrolnych, gdzie mój ojciec życzliwie odpowiadał na pytania strażników, pokazując radziecki pistolet Makarowa i książki w różnych językach. Szukali przemytników, ekstremistów, handlarzy opium, narkomanów – każdego, kto miał nieczyste sumienie lub krew na rękach.

Wkrótce dotarliśmy do fortu Miramshah, którego wysokie kamienne mury z szańcami i wieżyczkami strażniczymi wyrastały z półki skalnej o kolorze bursztynu niczym pamiątka po kolonialnej przeszłości. Masywny gmach przypominał inne budowle wzniesione przez Brytyjczyków na przygranicznych terenach, w których gromadzili swoje legiony mające podporządkować im dzikich Pasztunów – a mimo to byliśmy tam my, cała rodzina wazirskich uchodźców, przeciskająca się obrzeżami miasta w naszej zardzewiałej ciężarówce.

Nie zapominaliśmy o naszej pobożności – w czasie całej podróży pięć razy dziennie wysiadaliśmy z ciężarówki, przemywaliśmy dłonie zwilżoną w strumyku tkaniną i klękaliśmy na matach, żeby zmówić modlitwę, pamiętając, kim jesteśmy i w co wierzymy, jak gdyby te dwie rzeczy oznaczały dokładnie to samo. Na wezwanie muezina zatrzymaliśmy się przy wjeździe na główny bulwar, wyrecytowaliśmy modlitwy i podążyliśmy dalej do Miramshah, które rozpościerało się całą masą niskich budynków, zacienionych alejek i zatłoczonych ulic.

Państwowy koledz, w którym ojciec znalazł posadę jako profesor mechaniki samochodowej, leżał na wschodnim brzegu miasta. Niewiele było posad dla wykładowcy na uniwersytecie i często miały tylko tymczasowy charakter, na kilka semestrów lub lat. Ojciec nie posiadał się z radości, kiedy przyjęto jego podanie. Czekał na nas dobry dom, rodzice mieli solidną pracę, a moje rodzeństwo mogło kontynuować edukację, podczas gdy mnie przypadła opieka nad bliźniakami – tyle że już nigdy więcej nie mogliśmy wrócić do naszego plemienia.

Wszystkie budynki na kampusie w Miramshah wyglądały jak nowe, a trawniki pomiędzy nimi były tak zielone, że w moich oczach wyglądały jak pomalowane. Znajdowaliśmy się blisko bazy wojskowej i czułam w klatce piersiowej huk lądujących odrzutowców. Ojciec śmiał się z ogłuszającego hałasu i powiedział, że pas startowy liczy ponad dwa kilometry długości. Nasza ciężarówka podskakiwała na uliczkach, wzdłuż których stały słupy z kablami. Ojciec rozłożył na kolanach mapę miasta, ale nie spojrzał na nią ani razu.

Wraz z pracą dostał mieszkanie w – jak ją nazwano – „koledzowej kolonii”, gdzie znajdowały się domy profesorów i ich rodzin. Powiedział nam, że z jednej strony będziemy mieli widok na otwartą przestrzeń, a z drugiej na gęstą aglomerację miejską. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, zrozumiałam, że nam się poszczęściło. Praca na rządowej posadzie w Pakistanie związana była

z pewnymi przywilejami. Osiedle otoczone było długim kamiennym murem z wysoką żelazną bramą i miało ogród pełen drzew – morw, kuflików, jabłoni, morel, śliwkowo-fioletowych dżambu i uschniętych granatów po jednej stronie. Nasz parterowy dom zbudowano z dającego chłód cementu i miał czystą bieżącą wodę, z której mogliśmy korzystać, ile dusza zapagnie. Każde z nas posiadało własny pokój, a i tak zostało jeszcze kilka wolnych. Dom wydawał się tym większy, bo przywieźliśmy tak niewielki dobytek. Matka natychmiast wysłała nas z workami, żebyśmy pozbierali suche liście i napchali materace. Mieliśmy prąd, ale jedynym urządzeniem, które mogliśmy do niego podłączyć, był wiatrak.

Praca matki polegała na nauczaniu dziewcząt oraz nadzorowaniu ich szkół i wymagała podróży po całym regionie. Przez krótki czas razem z Ayeshą uczęszczałyśmy do jednej z jej szkół w Miramshah-Bazar, do której szłyśmy pieszo przełęczą pół godziny, mogąc po drodze zbierać skamieliny. Kilka razy w tygodniu po naszej porannej modlitwie fadżr udawałyśmy się razem z Aami w ciszy poranka do głównej drogi, skąd zabierały nas służące jako transport publiczny wozy konne. Kiedy matka otrzymała nową posadę dyrektorki szkoły w Darra Adam Khel, nasz plan dnia nagle się zmienił. Podróż między jej nową szkołą a domem zajmowała dziewięć godzin autobusem, do tego, jeśli tylko mogła, brała dodatkowe lekcje – z angielskiego, literatury, historii i polityki. Widywaliśmy ją w weekendy, podczas gdy w dni powszednie spała na łóżku rozłożonym na zapleczach szkół, którymi zarządzała. W domu jak zawsze nosiła dżinsową kurtkę, jej twarz była czarująca i pozbawiona wstydu, ale wychodząc, zakładała burkę i była ostrożna. Pod jej nieobecność często zarządzałam domem jako jej zastępczyni. Ayesha uczyła się, ale kiedy wracała ze szkoły, pomagała mi w obowiązkach. Moja rodzina zawsze działała drużynowo, pomagaliśmy sobie nawzajem, jak tylko mogliśmy. Na szczęście łatwo szła mi nauka w domu i opieka nad bliźniakami. Odgrywałam rolę matki, prałam ubrania, zabijałam z procy przepiórki, które skubałam i patroszyłam na podwórzu, a następnie piekłam na rożnie nad rozżarzonymi węglami na kolację. Jedliśmy chatni z mięty i gujawy. Serwowałam jajecznicę, smażone pomidory i cebulki na ostro, a także mnóstwo owoców zerwanych z licznych drzew, jeśli tylko potrafiłam do nich dosięgnąć.

Nocą robiło się chłodniej, wiał wiatr. Czasami w górach za doliną Toczi słyszeliśmy daleką burzę; brzmiała niczym niespokojne duchy Hindukuszu. Moja siostra Ayesha, która nie lękała się nikogo, przeraźliwie bała się burzy.

Krzyczała na widok błyskawic. Przez całe dzieciństwo wierzyła, że świat skończy się w wyniku wielkiego bombardowania, i każda nowa burza wywoływała u niej przerażenie. Często pomiędzy uderzeniami piorunów, z trudem łapiąc oddech, uczyła mnie recytować ajaty, wierząc, że Allah nas ocali. Pięć dni w tygodniu wstawiałam przed świtem, a jeśli w nocy była burza, często zastawiałam Ayeszę owiniętą w koszulę nocną, śpiącą koło mnie.

Każdy ranek zaczynałam od obejścia domu – korytarzy i licznych pokoi, w których na prowizorycznych łózkach spali członkowie mojej rodziny. Sprawdzałam każdy z nich. Słyszałam, jak ojciec i rodzeństwo oddychają rytmicznie, jakby to oddychał dom albo pracował napędzający nas wszystkich silnik. Wykonując święte poranne rytuały matki, odczuwałam jej brak.

Wychodziłam na podwórze, by pomodlić się na zewnątrz, jak to miałam w zwyczaju, i wracałam do kuchni. Kiedy rozniecałam ogień pod paleniskiem, słyszałam, jak matka woła mnie moim rzadko używanym drugim imieniem: „Gulgatai, Gulgatai” – pąku róży. Nie rozumiałam, dlaczego nazywa tak swoją narwaną siedmioletnią córkę ubierającą się jak chłopiec i stwardniałą od stóp do głów. Mówiła, że zwraca się w ten sposób do mojej duszy.

Klasa mojego ojca znajdowała się w przestronnym magazynie wypełnionym maszynami, pojazdami, ciężarówkami, traktorami, silnikami, ubrudzonymi smarem częściami samochodowymi rozłożonymi na długich stołach. Często odwiedzałam go w szkole, gdzie przechadzał się po swoim królestwie, grzebiąc wśród narzędzi, rozplątując kable, kucając pod silnikami i zawsze mówiąc – jeśli nie do siebie, to do zasłuchanych studentów.

– Henry Ford powiedział, że porażka to szansa na nowy początek, ale tym razem z większą wiedzą. Wszyscy musicie ponieść porażkę, ale zawsze zaczynajcie od nowa. Dzięki temu zbudował silnik V8 na jednym bloku, mimo że wszyscy inżynierowie powtarzali mu, że to niemożliwe.

Często przyprowadzałam ze sobą moich małych braci i godzinami bawiliśmy się wśród rozebranych samochodów, podczas gdy ojciec prowadził wykłady lub rozkręcał silniki. Kręciłam się koło niego, ssąc kostki cukru, które nosiłam w szortach, i w ten sposób wyławiałam szczątki wiedzy niczym rozrzucone monety. Niebawem potrafiłam nazwać podstawowe części silnika: cylindry, tłoki, świece, zawory. Wszystkie one pracowały razem w jednym celu – dla ruchu. Tak jak moja rodzina, która ciągle się przemieszczała.

Jak zahipnotyzowana obserwowałam ojca robiącego cuda w klasie. Podpalając krople benzyny w małej tubce, potrafił wydobyć taką energię, że owoc mango wystrzeliwał na wysokość 100 metrów ponad głowami

oniemiałych studentów. Wystrzelony w drzwi białego datsuna rozpryskiwał się na drobne kawałki. „Oto spalanie! Jeśli powtórzycie je 100 razy na minutę, otrzymacie silnik samochodowy. Jeśli podobnie uczynicie z umysłem, zmienicie świat”. Wiedziałam, że ojciec jest cudotwórcą. W jego obecności czułam się bogata, a gdy go nie było – biedna. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem. Nie bał się niczego, był szczery do bólu, z czupryną czarnych włosów, niesfornymi wąsami i niegasnącym uśmiechem. Nie zdawałam sobie sprawy, jak źle go opłacano i jaki czasem musiał cierpieć głód, odmawiając sobie obiadów, żeby kupić nam buty.

Ojciec wracał do domu z ubrudzonymi rękami i często miał w nich jakiś skarb: słodki turecki przysmak, który ostrożnie kroił na kawałki i którym nas częstował, długopisy z uczelni, torebkę kulek, pocztówki przedstawiające egipskie piramidy, wieżę Eiffla, Big Bena, starą kostkę Rubika z brakującymi ściankami. Ojciec miał talent do wynajdywania zniszczonych osobliwości, które były dla nas niczym małe okienka na wielki świat. Kostkę Rubika zdobył na przydrożnym straganie za torbę owoców z naszych drzew. Czasem zamiast rzeczy przyprowadzał ludzi, zapraszając ich i każąc mi zaparzyć czarną herbatę.

– Poznaj mojego nowego przyjaciela. Jest onkologiem z Lahaur i wyjaśni ci, jak nasze ciało może się przeciwko nam zbuntować, jeśli my zbuntujemy się przeciwko niemu. Pięć minut spędzone z nim sprawi, że nigdy nie sięgniesz po papierosa.

Siedząc na chłodnej posadzce naszego pokoju gościnnego, poznaliśmy aktorów z Iranu, którzy snuli Szekspirowskie opowieści, dentystę, który pokazywał modele zepsutych zębów, słuchaliśmy w skupieniu poetów recytujących wiersze, malarzy objaśniających różnice w świetle. Raz przyprowadził do domu amerykańskich podróżników, dwóch mężczyzn z Nowego Jorku. „Zapamiętajcie ich, bo nie zobaczycie takich ludzi przez wiele lat, jeśli w ogóle. Znalazłem ich, jak jedli figi pod topolą, i nie mogłem uwierzyć w moje szczęście”.

Młodzi mężczyźni usiedli na matach w naszym pokoju, pokazując w uśmiechu idealne uzębienie i cudownie rozprawiając przez trzy dni z przerwami, popijając herbatę, jedząc z nami naan. Co jakiś czas sięgali do plecaków, wyciągając z nich kwaśne cukierki i lizaki, które zmieniały barwę języka z czerwonej na zieloną. Spali na matach w długich śpiworach niczym motyle w kokonie. Trudno było ogarnąć wyobraźnią opowieści Amerykanów o domach towarowych, ruchomych schodach, windach, zmywarkach do

naczyń, odkurzaczach, sędziach przysięgłych, Korpusie Pokoju, stadionie Yankees, podróżach po całym świecie, tatużach i wychodzeniu za mąż wyłącznie z miłości.

Pierwszy raz w życiu widziałam włosy koloru kukurydzy i skórę tak białą, że można ją było wlać do szklanki. Piegi. Kiedy rozciąłem sobie kolano, dali mi lepki pasek sztucznej skóry, który nazywali *band-aid*. Nauczyłam ich moich ulubionych sur, a oni zaśpiewali mi *The Star-Spangled Banner*. Pomyślałam sobie, że „gwieździsty” oznacza uśmiechnięty jak Amerykanin. Mający wszystko. Powiedzieli mi, że być Amerykaninem to być wolnym – ojciec nauczył nas już słowa „demokracja”.

Pewnego późnego popołudnia ojciec zaprosił do domu bezdomnego, którego spotkał podczas jednej ze swoich wypraw przez Miramshah, gdy załatwiał różne sprawy i rozglądał się za nauczycielami dla nas. Zastanawialiśmy się, jakim cudem przeprowadził tak słabego mężczyznę przez całe miasto. Debatowaliśmy o tym przez całą godzinę – przyniósł go na swoich plecach? Wsadził do pożyczonej taczki? Okazało się, że po prostu szli powoli, wspierając się. Ojciec był cierpliwy. Bez słowa prowadził swojego gościa pod rękę, spokojnie, nie zwracając uwagi na jego gnijące ubrania. Odsunęliśmy się, kiedy koło nas przechodzili. Smród jego skóry sprawiał wrażenie, jakby żywy trup dotknął naszych twarzy. Wstrzymałam oddech – trudno mi było uwierzyć, że człowiek może cuchnąć niczym śmietnik.

W kuchni ojciec najpierw go nakarmił talerzem białego ryżu na parze, pieczoną koźliną i świeżym granatem. Następnie napełnił wielką misę ciepłą wodą i ostrożnie umył stopy mężczyzny mydłem z olejkiem sandałowym, cały czas mówiąc łagodnie. Dotknął jego trzęsących się dłoni, oczyścił je z brudu, dał mu świeżą koszulę i pozwolił dojsć do siebie. Mężczyzna był czysty, ale wciąż otumaniony i potargany. Zebraliśmy się w pokoju gościnnym i czekaliśmy, aż się odezwie.

– Opowiedz, proszę, moim dzieciom, jak zostałeś sam na świecie, zmuszony do zebrania na ulicy. Niech Allah ześle ci anioła za podzielenie się z nimi swoimi smutkami.

Tego dnia dowiedziałam się o heroinie – jak ją zdobyć i dlaczego lepiej tego nie robić. Mężczyzna, którego ojciec wprowadził pod ramię przez nasze wejściowe drzwi i którego posadził na jedynym naszym miękkim siedzeniu – pożyczonej z koledżu ławce obitej sztuczną skórą – był afgańskim narkomanem z rejonu Przełęcz Chajberskiej. Najpierw zaczęła brać jego matka, zachęcona przez sąsiada, który dał jej małą działkę na ból gardła. Ból natychmiast

ustąpił, a ją ogarnęła dzika euforia. Wkrótce zaczęła palić narkotyk z powodu każdej dolegliwości: bólu głowy, bezsenności, gorączki, drgawek, by zagłuszyć płacz dziecka, by wnieść trochę barw do jej nudnego życia albo by zapomnieć o samotności, gdyż wyszła za dwa razy od niej starszego wuja.

Gość ojca stał się biernym narkomanem, przesiadując obok matki, która paliła czarne kulki w długiej, szklanej fajce. Dym przenikał do jego organizmu niczym jedwabne kosmyki, zniewalając każdy centymetr jego ciała. Najpierw opium, potem heroina. Brał, kiedy nie mógł zasnąć – roztopiał narkotyk, aż ten zmienił się w złoty płyn, i wstrzykiwał go sobie pożyczoną od sąsiadki igłą. Pokazała mu, jak ucisnąć biceps i jak opukiwać żyły. Wierzyli, że heroina to zwykłe lekarstwo, tak jak aspiryna albo herbata ziołowa. Była wszędzie, sprzedawano ją w dużych ilościach w każdej wiosce, i do tego tak tanio. Nieopodal rosły pola maków. Zanim tłok doszedł do dna strzykawki, szatan wezwał go po imieniu. Jego skórę natychmiast oblała fala ciepła lepsza niż miłość. Lepsza niż najlepszy posiłek, niż pieniądze i cała przyszłość. Zaczął więc przed snem brać heroinę – była jego kochanką, najlepszą przyjaciółką, nową matką. Jego prawdziwa matka tak bardzo zanurzyła się we własnym transie, że rzadko się do niego odzywała. Pogrążali się w ośpieniu, aż jedno z nich zmarło.

W wieku 14 lat, nie mając gdzie się podziać i co jeść, mężczyzna podjął pracę przy zbiorach maku na karmazynowych polach Kunaru. Ze względu na zwinne stopy i uczciwą twarz szybko został awansowany na przemytnika. Nazwali go Maraton i przez pewien czas był gwiazdą, aż stał się bezużyteczny z powodu uzależnienia. Pobili go wtedy do nieprzytomności i wyrzucili z tyłu jeepa przy drodze do Miramshah. Matka zmarła z przedawkowania, ojciec dawno zniknął, rodzeństwo było nie wiadomo gdzie – nie miał przy sobie żywej duszy, która przejmowałaby się jego losem. Zanim Maraton trafił do naszego pokoju gościnnego, dwukrotnie go aresztowano. Zostały z niego resztki człowieka, na jego ramionach ropiały otwarte rany, ręce miał jak szpony, twarz napuchniętą od trucizny, nie mogliśmy zgadnąć, w jakim jest wieku.

– 17.

Ojciec przyprowadził do nas chłopca jako wielkie ostrzeżenie: „Żyćcie w najbardziej uzależnionym od heroiny kraju świata”. Zaczęliśmy dostrzegać podobnych mu w całym mieście: cienie zgromadzone przy ogniskach w dolinie Toczi, leżące na ławkach przy placach zabaw, szwendające się po alejkach za meczetem. Byli to przyszli rekruci ekstremistów, przyszli zamachowcy

samobójcy, gotowi wysadzać się w powietrze, tysiącami zbierani z ulicy, na wpół martwi, dawkujący sobie szczęście za pomocą narkotyków.

Niedługo po tej wizycie ojciec przyniósł do domu czerwony kwiat i położył go na dłoni niczym filiżankę. W środku był ciemny, pachniał słodko – pomyślałam, że Morze Czerwone musi być pełne maków. Ojciec wyciągnął makówkę, rozciął ją scyzorykiem i opowiedział o zawartej w środku truciznie, która zniewoliła biednego Maratona i jego matkę.

– Najgorsze cierpienie rodzi się z największego piękna. Jeśli choć raz pocałujecie ten czerwony kwiat, wysię wam duszę.

Zastanawialiśmy się, czy ojcu uda się dokonać tego, co obiecał, czyli zaprowadzić tego przeżartego przez narkotyki człowieka do kliniki niedaleko koledżu, w której stawiano takich ludzi na nogi. Ale Maraton nie potrafił uciec przed tym, co go zżerało. Myjąc jego zainfekowane kończyny, ojciec domyślił się, że chłopiec ma AIDS.

*

Świat wokół nas zdawał się nieistotny, dopóki ojciec nie zaczął go wprowadzać do domu, kawałek po kawałku, osoba po osobie, historia po historii. Wiedziałam tyle, że na zewnątrz istniało zło. Dlatego wzmacniałam ciało, jakbym chciała przygotować je na nadciągający huragan. 50 podciągnięć na drążku w ogrodzie zamieniłam na 200. 100 brzusków na 300. Ojciec przyniósł dla mnie i Taimura stary czerwony rower marki Sohrab, z dużym koszem, żebyśmy mogli załatwiać sprawunki. Czasami jeździłam po ulicach przez kilka godzin. Podnosiłam wiadra wypełnione kamieniami. Ale głównie biegałam – szybko i intensywnie, całe mile.

Wtedy odkryłam, że z naszego dachu mogę przeskoczyć na dach sąsiedniego budynku, a z niego na kolejny, zaczęłam więc skakać po dachach całymi godzinami. Na kolonię składało się wiele domów. Stałam się tak umięśniona i szybka, jakbym wyhodowała sobie zupełnie nowe ciało. W wieku ośmiu lat wyglądałam na ponad dziesięć. Kiedy matka była w domu, zajmowało mnie wyłącznie skakanie po dachach, nawet jeśli słyszałam, jak woła moje imię. Mój czas należał tylko do mnie.

Z dachu miałam piękny widok: chłopcy grali w piłkę, biegali, puszczała latawce. Pewnego wrześniowego dnia obserwowałam z oddali kilka postaci niosących wielką płachtę naprężonego żółtego jedwabiu w kształcie diamentu, podczas gdy jedwabny ogon ciągnął się po ziemi. Połyskująca powierzchnia

latawca trzepotała na wietrze, gotowa się wznieść. Jeden z chłopców zaparł się na ziemi, a drugi puścił dzikim sprintem, trzymając latawiec nad głową. Wiatr był bardzo silny – miałam wrażenie, że biegnący chłopiec odleci. Ale jakby na jakiś niewidoczny znak chłopiec puścił latawiec, a ten wzniósł się w powietrze. Zapierało mi dech w piersiach. Jedwabisty statek popłynął wysoko do srebrzystej tarczy księżyca. Chłopiec ze szpulą sterował latawcem, próbując nim manewrować. Wiatr wiał coraz mocniej, a wznoszący się przedmiot obracał się wraz z jego podmuchami. Zerwałam się i puściłam pędem. Zauważył mnie i zaczęliśmy biec razem – on ponad dolinę Toczi, ja po dachach, a chłopcy, krzycząc, za nami.

Byłam jedynym chłopcem bez własnego latawca. Nie chciałam prosić ojca o kupno czegoś tak zbędnego, mimo że zżerało mnie pragnienie posiadania rzeczy, której nie mogłam mieć. Nie wpadłam na to, że ojciec był przecież inżynierem i wiedział o lataniu wszystko. Człowiek, który potrafił zbudować silnik z małych metalowych części albo wystrzelić owoc mango jak z armaty, nie miałby żadnych problemów ze zrobieniem latawca z kawałka jedwabiu i bambusa.

Żółty latawiec wznosił się, aż skończył się sznurek. Wtedy chłopcy zaczęli go ciągnąć, jakby złowili coś w niebiańskim morzu. Stałam zdyszana, obserwując chłopców zbierających się wokół pilota. Słyszałam ich podekscytowane śmiechy. Po raz pierwszy poczułam, że jestem biedna.

Chłopiec zaczął sprowadzać na ziemię swój cenny latawiec, a ja patrzyłam, jak powoli opada. Widziałam żółty kształt zmierzający w moim kierunku, coraz większy, stopniowo zbliżający się do ziemi. Znów pobiegłam, lecz tym razem chłopcy nie ruszyli się z miejsca. Latawiec się zniżał, a chłopiec patrzył, jak biegnę. Ciągnął za szpulę mocno i zdecydowanie. Następnie krzyknął i pozwolił przedmiotowi zanurkować nade mną niczym mewie. Kierowana impulsem, podskoczyłam wysoko, niemal dotykając rękami cienki sierp księżyca. Satynowy ogon przemknął po moich dłoniach, więc go chwyciłam, ściągając tę piękną rzecz. Nagle ogarnęła mnie wobec niej nienawiść. Chłopcy krzyknęli. Złamałam bambusowy szkielet i rzuciłam go na ziemię, deptając po nim, jakby to było jakieś stworzenie. Rozerwałam żółty jedwab na strzępy. Pole jakby zamarło. Przez chwilę czuć było tylko wiatr i moją furję. Następnie chłopcy spojrzeli po sobie i puścili się pędem. Policzyłam ich, gdy nadciągali – było ich 13, pędzili ku mnie w gniewie. Spanikowana zerwałam się do biegu. Nie obejrzałam się za siebie. Ani razu.

Biegłam ponad godzinę – po rynkach, poprzez miasto, przed siebie. Biegłam

po życie, bo gdyby mnie złapali, byłoby po mnie. Dopiero kiedy miałam pewność, że w końcu ich zgubiłam, zatrzymałam się. Nikt nie był tak szybki jak ja. Oparłam dłonie na kolanach, pot kapał mi z czoła na beton. Wyprostowałam się na dachu w nieznaną mi okolicę, spragniona do bólu, z głową pękającą od żaru.

Na horyzoncie dostrzegłam charakterystyczny błękit. Zdawałam sobie sprawę, że nie uda mi się do niego dotrzeć przed zmrokiem, ale następnego ranka naładowałam owoców do małej torby i ruszyłam przed siebie. Zapomniałam już o latawcu – chciałam przed południem dotrzeć do Morza Arabskiego. Góry służyły mi za punkt orientacyjny, czasami biegłam. Piasek owiewał mi twarz, słyszałam odgłos wzburzonych fal. Wyobrażałam sobie słone powietrze i spienioną wodę obmywającą mi stopy.

Ale nie to na mnie czekało – w miejscu, w którym powinnam była ujrzeć wybrzeże, dostrzegłam ostrą krawędź przecinającą krajobraz. Niemal wbiegłam w mur dwa razy większy ode mnie. Nie widziałam, co jest po drugiej stronie, poza kłębamii czarnego dymu wznoszącego się ponad przeszkodą. Pachniało przypalonym mięsem oraz rynsztokiem i nędzą. Głos w mojej głowie krzyknął ostrzegawczo, ale wizja błękitu z poprzedniego dnia nie dawała mi spokoju.

Obeszłam mur, nasłuchując wrzawy dobiegającej z drugiej strony. Byli tam jacyś ludzie. Wielu, może nawet całe miasto, o którym nigdy nie słyszałam. Może ktoś z nich wiedziałby, jak dotrzeć do oceanu. Widziałam mapy doliny, jedną z nich sprawdziłam zeszłej nocy i nie było na niej żadnego miasta ani żadnej wioski. Żadnego oceanu zresztą też nie, ale nie chciałam w to wierzyć.

W jednym miejscu muru znalazłam szczelinę. Zbudowano go z wielkich pustaków i ktoś wypchnął kilka cegieł, żeby zrobić wejście. Albo wyjście – tego nie wiedziałam. Przyjrzałam się dziurze i przemyślałam moją sytuację. Zabawne, jak ciało potrafi przewidzieć niebezpieczeństwo. Wbrew instynktowi uklękłam na ziemi.

Urywki języka dari i paszuńskiego, płacz dzieci i dziwny zgiełk narastały. Powietrze wypełnił gryzący mnie w oczy dym. Wstrzymałam oddech i precisnęłam się przez otwór, rozdzierając swój *salwar kamiz*. Założyłam ten biały świąteczny strój specjalnie na powitanie oceanu, jakby nie był to jeden z żywiołów, a sam król. Gdy już się prześliznęłam, wyprostowałam się i rozejrzałam – i natychmiast zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd.

Wymarzony błękit nie był oceanem, nie był nawet wodą ani niczym naturalnym, tylko rzędami namiotów ciągnących się co najmniej przez pół mili,

błękitnych i łopoczących na wietrze niczym rozpostarte na prowizorycznym rusztowaniu żagle. Namioty stały 30 metrów od muru, ciągnąc się bez końca równolegle do niego. Obozowisko było ogromne, żyły w nim setki, o ile nie tysiące ludzi.

Chude i apatyczne dzieci siedziały na ziemi, albo włóczyły się jak półżywe kreatury. Wszystkie kobiety wyglądały tak samo, ukryte pod burkami, z twarzami zasłoniętymi siatką. Nieliczni mężczyźni przechadzali się pomiędzy zdezelowanymi namiotami w małych grupkach, niektórzy trzymali w rękach kije przypominające policyjne pałki. Bez celu. Co jakiś czas jeden z nich uderzał kobietę. Bez powodu.

I nagle, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem, usłyszałam wszystkie dźwięki i poczułam obezwładniający smród przenikający mnie aż do szpiku kości. Koło mojej stopy leżała brudna igła. Niemal na nią nadepnęłam. Stałam sparaliżowana, a moje ciało ogarnęły mdłości. Wtedy usłyszałam krzyki chłopców. Początkowo zastanawiałam się, jak mnie znaleźli – dzień później i wiele mil dalej. Zanim zdążyłam się obrócić, otoczyli mnie. Ale to nie byli znajomi chłopcy z kolonii domagający się wyjaśnień i nowego latawca. Nie przypominali jakichkolwiek chłopców, których widziałam.

Po raz pierwszy w życiu poczułam się słaba w zetknięciu z gangiem obcych. Nie dlatego, że nie dorównywałam im siłą, ale dlatego, że moje przerażenie zmieniło mnie w tchórza. Wystarczyło spojrzenie, żeby zdać sobie sprawę, że nigdy nie pokonam ich nienawiści. Stałam więc w mojej czystej koszuli z komicznie wyglądającą dziurą.

Nie trwało to długo. Dwa uderzenia prosto w brzuch. Może trzy. Upadłam na ziemię, wymiotując na czworakach. Jeden kopnął mnie w żebra i upadłam prosto na brzuch. W szale rozerwali moje ubrania. Myślałam, że są tak głodni, że obedną mnie żywcem ze skóry i zjedzą. Jakiś mały chłopiec dorwał moją torbę i dał w nią nura. Pożarł moje na wpół zjedzone jabłko. Widziałam, jak wgryzł się w owoc, zanim ktokolwiek zdołał mu go zabrać. Rany pokryły moje ramiona niczym ślady ukąszeń. Inni wciąż się nade mną znęcali. Pragnęłam, żeby po prostu poderżnęli mi gardło i skończyli z tym wszystkim. Czułam ich cierpkie oddechy na twarzy, która teraz pokryta była krwią i plwocinami zmieszany z ziemią. Wkrótce całą oblepiała mnie gruba, paskudna papka.

Zgubiła mnie moja biała koszula. Chleb naan i suszona morela, które wzięłam przed wyjściem. Moja torebka wypchana jedzeniem, choćby nie wiem jak marnym. Dom, w którym mieszkałam. Czysta woda. Moje sandały

z trzeciej ręki, które zerwali mi ze stóp. Moja nieskazitelnie czysta pasztuńska krew. Chłopców jednoczyła nienawiść, bytowali na samym dnie łańcucha pokarmowego. Postanowiłam się nie ruszać, kiedy mnie kopali i bili – nic ponad drgawki w reakcji na uderzenia. Nie wydawałam żadnego dźwięku. Leżałam z zamkniętymi oczami, czekając, aż skończą. Żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła, myślałam sobie, gdybym nie zniszczyła złotego latawca.

Wkrótce się zmęczeni, kopniaki stały się słabsze, aż w końcu uderzyli mnie jeszcze raz na koniec i odeszli. Nikt nic nie powiedział, nikt nie obejrzał się za siebie. Nie zapamiętałam żadnej twarzy. Leżałam długo na ziemi, aż doszłam do wniosku, że bezpiecznie będzie wyczołgać się z powrotem przez dziurę w murze.

Ojciec nauczył mnie słowa „uchodźca”, tak jak nauczył mnie innych rzeczy, ale nigdy nie przyprowadził takiego eksponatu do domu. Sama je znalazłam.

– Utracili człowieczeństwo, kiedy utracili swoje domy. Rosjanie wygnali Afgańczyków, a Amerykanie obiecali im broń i pomoc w ich odzyskaniu. Dawali im jedzenie i ubrania. Tak samo Saudyjczycy. Ale kiedy mudżahedini pozbyli się Rosjan, skończyły się darmowe przesyłki. Zostawili ich Pakistańczykom w tych obozach.

Jeszcze przez wiele lat te pozbawione twarzy sylwetki chłopców ściagały mnie w koszmarach sennych niczym stado kojotów. Budziłam się zdyszana i przerażona. Tylko raz stawiałam czoła moim prześladowcom. Znajdując się na oceanie piasku, odwróciłam się we śnie i ujrzałam nie gang dzikich stworzeń, ale jednego chłopca, stojącego za mną. Patrzył na mnie pustymi oczami i był taki wyrazisty w swoich brudnych ubraniach, jak żywy. Zerwałam się ze snu, niemal wyskoczyłam z własnej skóry. Jego imię przedarło się na moich ustach ze świata iluzji w świat rzeczywisty, kiedy krzyknęłam: Maraton! Wpatrywałam się w noc z bijącym sercem, ale nikogo nie ujrzałam. W tamtej chwili dotarło do mnie, że ojcu nie udało się go uratować.

ROZDZIAŁ 7

MIASTO BRONI

Zanim ukończyłam siedem lat, musieliśmy przemieszczać się po FATA cztery lub pięć razy. Tym razem udaliśmy się w długą podróż na północ, prawie 250 kilometrów krętą autostradą Indus, biegnącą wzdłuż rzeki niczym jej asfaltowy bliźniak do Darra Adam Khel, gdzie każdy mężczyzna dumnie chodził z bronią pod ręką. Przeprowadziliśmy się tam z rodziną ze względnie spokojnego Miramshah. Tak jak Miramshah znany jest z zapalek, tak Darra znana jest z broni – na bazarze biegnącym przez środek miasta produkuje się 1000 sztuk dziennie. Obrzeża miasta ujrzałam niczym z samolotu, kiedy wyłoniliśmy się z przełęcz, mając je pod sobą na równinie u stóp gór z piaskowca. Moja pierwsza myśl: Szwajcaria, tyle że piękniejsza. (Ojciec niedawno przyniósł z targu pocztówki z Europy). Ciężarówka zjeżdżała tak szybko, że musiałam się trzymać poręczy, i przez chwilę straciłam z oczu wzgórze. Kiedy się zbliżyliśmy, powietrze zgęstniało od kurzu, który ciągle osadzał mi się w gardle, i musiałam sięgać po trzymaną między nogami srebrną manierkę z wodą.

Pamiętam, że powietrze wibrowało – poprzez mgłę mogłam usłyszeć miasto. Minęliśmy zakręt i ze wszystkich stron dopadł nas potworny zgiełk. Setki strzelb wystrzeliwały jedna po drugiej: bum! bum! bum! bum! Wystrzały zlewały się w kanonadę niczym nadciągający huragan, gotowy zmieść wszystko, co stanie mu na drodze. Wstrząsy rzuciły nas na jedną stronę otwartej paki ciężarówki, a potem na drugą. Śmialiśmy się, nie słysząc naszego śmiechu. Ojciec ostrzegł nas, że przeprowadzamy się do niebezpiecznego miasta, w którym produkuje się broń. Przez chwilę nic nie słyszeliśmy, mimo że cała rodzina rozprawiała jak najęta.

Wkrótce ostrzał ucichł, a zamiast niego pojawiły się krótkie eksplozje rozlegające się w regularnych odstępach. Podłoga ciężarówki już się nie trzęsła i mogliśmy złapać oddech. Spokój trwał może minutę, po czym przetoczył się ponad nami niesamowity ryk, jakby niebo i góry miały zostać rozerwane na strzępy. Wtedy go ujrzałam – mały biały pocisk przeleciał nad

równiną. Z oddali usłyszeliśmy męskie okrzyki. Nawet gdy zniknął, wciąż czułam falowanie w piersi. Ojciec odsunął tylne okno, jego włosy były potargane na wietrze.

– Witajcie na Dzikim Zachodzie Waziristanu! Nie bójcie się. Nie strzelają do nas. Po prostu testują nową broń, to była mała rakietka. Biznes musi się kręcić!

Gdy dotarliśmy do obrzeży miasta, nasza ciężarówka zwolniła, dołączając do wolno sunącego sznura brudnych pojazdów: otwartych jeepów, hatchbacków, furgonetek i ciężarówek, wozów konnych, chłopców jadących na osłach, motorowerów i szwendającego się białego barana. Ojciec podwinął rękaw *salwar kamiz* i oparł swój wielki, owłosiony łokieć o ramę otwartego okna. Jego długie palce bębniły w rytm muzyki dobiegającej z radia.

Na dźwięk dobiegającego z miejskiego minaretu odległego śpiewu muezina wszyscy ludzie w zasięgu słuchu rzucili to, co robili, i w milczeniu rozłożyli maty; uklękliśmy razem przy drodze gruntowej, zwróceniem twarzą do Mekki, żeby się pomodlić. Przez te kilka świętych minut nie padł żaden wystrzał, nie pracował żaden silnik... Rozlegało się tylko mamrotanie świętych wersetów. Powietrze było tak suche, że kurz osadzał się na każdej pochylonej głowie. Czułam go na ustach, kiedy całowałam matę. Wszyscy i wszystko było nim pokryte.

Nie czułam zdenerwowania. Lubiłam przygody, a przez całe moje dzieciństwo rodzina żyła na walizkach. Przenieśliśmy się do miasta broni, żeby móc wreszcie mieszkać pod jednym dachem z matką, która prowadziła tu szkołę dla dziewcząt. W tamtym czasie nie zdawałam sobie sprawy, jaką trzeba mieć odwagę, żeby mieszkać w takim mieście, jak Darra, ale wierzyłam, że Yasrab wybrała je z tego właśnie powodu: jeśli udałoby się jej zorganizować szkołę dla dziewcząt w centrum zbrojeniowym FATA, byłaby to szansa dla całego regionu. Ojciec bez chwili wahania wsparł jej pomysł. Od początku wychowywał nas, przypominając, że pochodzimy ze szlachetnej pasztuńskiej rodziny. Dla niego bycie błękitnokrwistym Wazirem nie oznaczało lepszego życia, lecz czynienie świata lepszym. Jeśli tego dnia mogłam prosić Allaha tylko o jedną rzecz, było nią bezpieczne życie w Darra Adam Khel.

Ubrani w szare mundury członkowie Straży Granicznej (paramilitarnych jednostek rozlokowanych na granicach plemiennych regionów Pakistanu) patrolowali drogę z wielkimi półautomatycznymi karabinami na ramionach. Nosili czerwone berety, okulary przeciwsłoneczne i czarne buty zniszczone od

chodzenia cały dzień po piaszczystych drogach. Przechadzali się, uśmiechając półgębkiem, kilku z nich paliło papierosy, przesuając wzrokiem po przejeżdżających samochodach, jakby droga należała do nich. Poruszaliśmy się ciężarówką w ślimaczym tempie, musieliśmy co chwila zatrzymywać się w punktach kontrolnych, zeskakiwać z paki, czekać, otwierać torby i wyjaśniać, jaki cel ma nasza podróż.

W drugą stronę było jeszcze więcej posterunków. Przy drodze stały zaparkowane czołgi, a z otwartych włazów wystawiali żołnierze z lornetkami. Szukali przemytników broni, uzbrojonych bandytów, dilerów narkotyków, członków gangów porywających ludzi – ojciec mówił, że wszyscy oni dziesiątkami przekraczają codziennie te punkty kontrolne. Widziałam grupy mężczyzn wytaczających się z wielkich, przykrytych ciężarówek, klepiących się po ramionach i wsuwających wielkie zwitki rupii niczym talie kart w spocone dłonie uśmiechniętych żołnierzy. Natychmiast pozwalano im jechać dalej. Zanim ruszyliśmy, Shams wyjaśnił, że Darra Adam Khel jest największym targiem nielegalnej broni na świecie, a w czasach panowania talibów interes rozwijał się żwawo. Ale i tak nic, co powiedział, nie było w stanie mnie na to przygotować – wjazd do Darra przypominał pojawienie się w filmie, tyle że działało się to naprawdę. Wszyscy wjeżdżali i wyjeżdżali z miasta z szerokimi uśmiechami na ustach. Pomyślałam, że uśmiechają się jak Amerykanie.

Nasz mały dom z suszonej cegły wciśnięty był pomiędzy inne, ciągnące się wzdłuż dziobatej ulicy. Matka załatwiła nam go dzięki rządowemu uposażeniu, w ramach krzewienia edukacji w plemiennych rejonach i długofalowego planu walki z ekstremizmem. Wszystkie mieszkania były brązowe i niskie. Zbocza gór znajdowały się tak blisko, że ich zacienione sylwetki wznosiły się ponad płaskimi dachami. Matka odsunęła długą zasuwę i pchnęła drzwi wejściowe. Przez chwilę stałam w milczeniu na progu, wdychając słodki zapach ubitego błota, który przypominał mi aromat podłogi z naszego pierwszego domu. Wnętrze było chłodne, choć małe. Pamiętam, że miałam wrażenie, jakbym znalazła się w deszczowej chmurze. Kakofonia z zewnątrz mi nie przeszkadzała. Ojciec przygotował mnie na nią na długo, zanim tu przyjechaliśmy – po prostu przeprowadziliśmy się z miasta zapalek do miasta broni. Wiedziałam, że ojciec przez większość czasu pozostanie w domu, opiekując się rodzeństwem, a matka będzie w domu rano i wieczorem. Baba został przeniesiony do koledżu dla chłopców w mieście Kohat, które leżało niedaleko Darra. W tym czasie po kilku konkursach rząd zaoferował Aami

posadę dyrektorki jedynej szkoły średniej dla dziewcząt w okolicy. Nie przejmowałam się wystrzałami i kurzem, bo w Darra Adam Khel zostałam wyswobodzona z moich domowych obowiązków, a co ważniejsze, rodzina znowu była razem. W Miramshah matkę wyczerpywały dziewięciogodzinne dojazdy autobusem na weekendy. Nie miałam wtedy pojęcia, ile się najeździła po całym FATA: egzaminy zdawała w Peszawarze, papiery składała w Kohat, rekrutowała studentów po wioskach, a potem przyjeżdżała na dzień lub dwa do Miramshah. Kiedy tylko matka otrzymała finansowe wsparcie od rządu, ojciec złożył rezygnację w koledżu i załadowaliśmy ciężarówkę.

Pierwszego dnia udałam się do miasta ubrana jak zawsze – w szorty i T-shirt. Rodzina z otwartymi ramionami zaakceptowała mnie jako chłopca. Dla nich byłam Dżyngisem – chłopczycą – a na ulicy byłam zwykłym chłopcem. Ludzie tak mnie właśnie postrzegali, więc nigdy nie musiałam kłamać wprost na temat mojej płci.

Zakładałam stare ubrania Taimura, brałam zdezelowany rower i wyruszałam na pokryte kurzem ulice. Nigdy nie traktowałam tego dwukołowego ustrojstwa z zardzewiałą kierownicą i zdartymi oponami po prostu jak roweru. Dla mnie był on symbolem wolności, przyjacielem i mówiłam do niego po imieniu – Sohrab. Szybko pedałowując, puściłam się w długą. Drogi były wąskie i krótkie, po obu stronach stały szopy i ceglane domy niczym ogrodzenie, po którym przemykał cień mój i obracających się kół roweru. Okrążyłam obrzeża miasta z górskimi zboczami, grzbietami i pofałdowanym terenem w tle, wyżłobionym przez miliony deszczów. Wjechałam na niskie wzniesienie, z którego był dobry widok na miasto. Zatrzymałam się i spojrzałam na siatkę dróg, nasłuchując. Wystrzały trzęsły gruntem pod moimi stopami. Pokrywa piasku drżała na ziemi niczym płachta. Wiedziałam, że znajdujemy się w niezwykłym zakątku świata, pośród wyrzutków i chuliganów, ale jako że byłam wolna, czułam się bezpieczna – ojciec wpoił mi tę pewność – musiałam jedynie siedzieć cicho i trzymać się z dala od kłopotów. Nikt nie ruszyłby dzieciaka na rowerze – wszyscy byli zbyt zajęci handlem bronią i dżihadem. Nacisnęłam pedały, zmieniłam przerzutkę i pomknęłam prosto ku centrum miasta.

Na zatłoczonym bazarze kręciło się mnóstwo ludzi: jedni leniwie przejeżdżali konnymi zaprzęgami, inni lawirowali cichymi motocyklami, jeszcze inni przechadzali się pieszo, oglądając karabiny. Klienci testowali towar z dachów, strzelając w kierunku wzgórz. Wymieniali opinie, zastanawiali się, przyglądali elementom karabinów i podawali je sobie.

Sprawdzali każdy rodzaj broni: automatyczną, półautomatyczną, samopowtarzalną, nawet staromodne rewolwery. Mężczyźni wchodzili na dach i na ślepo strzelali w kierunku gór albo wyjeżdżali większymi grupkami na równinę, żeby przetestować cięższe uzbrojenie.

Wjechałam na małą uliczkę pełną straganów i zsiadłam z roweru. Pierwsze stoisko było wielkości szafy, a w środku po turecku siedział mężczyzna. Gadał do siebie, ale zamilkł, kiedy mnie ujrzał. Rzucił na mnie okiem i pokazał bezzębny uśmiech. Na kolanach trzymał wyrzeźbioną w drewnie rękojeść strzelby, którą szlifował. Wstał, odłożył przedmiot na stół. Ruchem ręki zachęcił mnie, żebym go dotknęła, więc oparłam rower o ścianę. Wzniesiona z drewna i błota szopa pachniała świeżo ściętym drzewem, a za mężczyzną ujrzałam kilkanaście innych oszlifowanych rękojeści opartych o ścianę.

Wyjął ze skrzyni metalowy pręt i ponownie usiadł, żeby za pomocą długiego narzędzia wydrążyć lufę. Wbijał się, kręcąc powoli nadgarstkiem, starannie naciskając, z techniką, którą niewątpliwie udoskonalał latami. Kiedy skończył, odłożył go na stertę. Większość właścicieli warsztatów miało z tyłu ceglana ścianę wielkości psiej budy, w którą strzelali, żeby przetestować nowo wykonaną broń, zanim wystawili ją na sprzedaż. Setki naboji wykorzystywano w tym celu każdego dnia. Ojciec wyjaśnił mi, że wieczorami ludzie zbierali łuski do ponownego wykorzystania. Ostrzał w Darra się nie kończył niczym święta wojna. Wszystkie ściany w mieście nosiły ślady kul.

W dni robocze, przystając w drodze po mleko czy po prostu włączając się po mieście, poznałam wszystkie części broni, tak jak wcześniej poznałam elementy samochodów i silników, przebywając w sali wykładowej Shamsa w Miramshah. Każdą stworzoną przez człowieka rzecz można było rozebrać na części i sam ten fakt mnie fascynował: silniki ciężarówek, przerzutki rowerów, telewizory, magnetowidy, strzelby, pistolety Smith & Wesson Magnum, żółte latawce...

W warsztatach kuźniczych widziałam żelazne pręty – zwane blankami – które podgrzewano i wytłaczano z nich pistolety. Wystarczyło pociągnąć dźwignię, żeby siła setek ton uformowała je w pożądaną kształt – proste jak wypiekanie ciasteczek. Sposób produkcji wyglądał prymitywnie, ale efekty były niezwykle wyrafinowane; fałszerz broni z Darra mógł przechytryć niejednego inżyniera z Instytutu Technologicznego w Massachusetts. Byli mistrzami w podrabianiu i replikowaniu. Mając do dyspozycji prymitywne tokarki, prasy, wiertła, młoty i ogień, pracując boso w brudzie, tłoku i duchocie, potrafili złożyć najbardziej skomplikowaną broń – od walthera PP

Jamesa Bonda po radziecki granatnik. Większość starszych mężczyzn była głucha. Wielu brakowało palców u rąk lub nóg, kawałka kości policzkowej, stopy albo oka. Mimo to dalej siedzieli lub kucali w tej nędzy i pracowali z narzędziami na kolanach, szlifując tysiące strzelb. Cechowała ich pewna niezłomność, nawet jeśli byli okaleczeni. Klan Afridi, który zamieszkiwał Darra Adam Khel, słynął z męstwa; roznieśli w proch całe kontyngenty Mogołów, pokonali Brytyjczyków podczas wojen brytyjsko-afgańskich i zarządzili FATA. Jeśli Wazirowie byli wojownikami, to Afridi byli królami wojny. A mimo to, jak pokazuje historia, jeszcze przed narodzinami Jezusa Chrystusa najeźdźcy myśleli, że mogą wysłać armię do Chajberu i podporządkować sobie tych twardych mieszkańców doliny. Ojciec mawiał: „Co oni sobie wyobrażali?”. Afridi byli niepokonani – zarówno wtedy, jak i dzisiaj.

*

Jakimś cudem wśród tej nieustającej kanonady moja matka nie dość, że pracowała jako dyrektorka, to jeszcze założyła małą szkołę dla dziewcząt. Pięć dni w tygodniu prowadziła zajęcia w zrujnowanym budynku na peryferiach miasta dla dwudziestu kilku dziewczynek o wielkich oczach. Przerobiła obskurną szopę na tętniącą życiem klasę – spleśniałe ściany przykryła wielkimi mapami i flagami z całego świata, tworząc z nich kolorową, łataną tapetę. Miała notatniki i papier, tablicę, słowniki i kolorowe kredki. Pakistański rząd wspierał ją finansowo, a resztę kupowała, korzystając z naszego mizernego domowego budżetu. Matka była mistrzynią nękania urzędników – obiecano jej pieniądze, jeśli uda jej się znaleźć odpowiednio dużo uczennic. Ona działała w pojedynkę, ale wokół żyło mnóstwo dziewczynek, które nie potrafiły czytać i pisać.

Darra Adam Khel był labiryntem niebezpieczeństw, nie tylko ze względu na handel bronią. Matka prowadziła szkołę dla dziewcząt w samym sercu państwa terrorystów, gdzie ubijali interesy i gromadzili arsenał. W tamtych czasach Afganistanem zarządzili talibowie, którzy mieli silne wpływy w każdym zakątku FATA. Wszyscy twierdzili, że matka postradała zmysły, ale ona wiedziała, jak dopasować się do ludzi i okoliczności. Potrafiła być zabawna lub śmiertelnie poważna, cicha lub towarzyska – wszystko, by dopiąć swego. A w Darra Adam Khel, żeby dopiąć swego, wystarczyło nosić nieskazitelny strój i nie rzucać się w oczy. Ubierała się konserwatywnie, na ramię zarzucała

torbę wypełnioną religijnymi książkami i chodziła z pochyloną głową. Wywoływała w ten sposób u ludzi wrażenie, jakie chciała wywołać, tak jak ja to robiłam, nosząc ubrania po bracie. Nigdy nie wspominała, że naucza historii, geografii, literatury i języków. Ludzie wychodzili więc z założenia, że będzie uczyć szycia i gotowania. A jeśli ktoś zapytał, mówiła po prostu, że daje zajęcia młodym, podatnym na wpływy dziewczętom, zanim nie wyjdą za mąż, wzbudzając w nich pobożność i sumienność, co tylko podnosiło ich wartość. Po kilku miesiącach nawet wojskowi mówili do niej „Madam”. Od poniedziałku do piątku ojcowie i bracia odprowadzali swoje córki i siostry do jej szkoły – pieszo, wozem konnym, a czasami wypożyczoną ciężarówką lub starym samochodem. Czekala na nie w drzwiach, witając uśmiechem każdą uczennicę. W środku dziewczynki myły ręce i twarze w dużych glinianych misach i zbierały się do wspólnej modlitwy. Następnie zabierały się do dzieła. Aami robiła, co mogła, żeby stworzyć atmosferę sprzyjającą pracy – powołała nawet kółko aktorskie i drużyny sportowe. Uczennice aktywnie działały w samorządzie szkolnym, debatując o turniejach i obchodząc święta. Po zajęciach wszystkie dziewczynki opuszczały szkołę, skrywając uśmiechy pod burkami niczym jakiś sekret.

Czasami towarzyszyłam mamie podczas weekendowych misji rekrutacyjnych do wioski skupionych w pobliżu miasta, jeżdżąc z nią autobusem autostradą Indus. Często podróżowałyśmy miejscowymi półciężarówkami, które woziły mieszkańców od wioski do wioski za drobną opłatą. Nawet jeśli miałyśmy wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zatankować samochód, bałyśmy się go wziąć. Wielu miejscowych mężczyzn dostrzegało korzyści płynące z trzymania dziewczynek w klasach, aż będą mogły zacząć pracować w domu lub zostać wydane za mąż. Kobieta za kółkiem była jednak czymś wielce obraźliwym. Zdarzały się grasujące gangi mężczyzn z misją bronienia „rodowej kultury Pasztunów”, którzy wyciągali wierzgającą i krzyczącą kobietę za włosy z samochodu i bili ją ku przestrodze innych. Kiedy indziej tylko ją ciągnęli. W tamtych czasach, a nawet później, wiele nauczycielek, które ignorowały ostrzeżenia, by lepiej wrócić do domu, zostało porwanych i zamordowanych. Jak zwykle nieustraszona Aami wstawiała każdego ranka, myła się, modliła i udawała do pracy.

Podczas pierwszej mojej podróży z matką opady deszczu zmieniły krajobraz Darry. Ogromne białe chmury zgromadziły się nad nami, formując się wzdłuż grani i szybko zmieniając otoczenie z brązowego w bladozielone. W tamtych stronach deszcz nie padał tak po prostu, tylko wisiał w powietrzu, czyniąc

z suchego kurzu grubą warstwę błota. Jeśli miało się dobre buty, lepiej ich było przez jakiś czas nie zakładać.

Po godzinie wysiadłyśmy ze złapanej furgonetki przy krętej drodze wiodącej na południe, do oddalonego o 20 kilometrów miasta Kohat. Szliśmy przez wzgórza bardzo długo, kompletnie przemoczone.

Nie odzywałam się, próbując dotrzymać kroku zdeterminowanej matce. Znajdywała domy, gdzie mieszkały dziewczynki, za pomocą jakiegoś instynktu, którego nie potrafiłam zrozumieć. Podobnym instynktem wykazywała się wobec ludzi i tylko w ten sposób umiałam wyjaśnić, jak osiągała coś nieosiągalnego, namawiając konserwatywnych ojców, żeby wysyłali swe córki zdezelowanym autobusem do szkoły w okolicy, w której grasują brutalne gangi. Rządowa obietnica 3000 rupii za dziecko również była dobrym argumentem – Yasrab zawsze zachowywała go na koniec.

Pierwsza dziewczynka, którą zapamiętałam, nie różniła się bardzo od pozostałych – miała sześć lat i była dość wysoka jak na swój wiek i pochodzenie. Jej babcia była garbusem, dziadek górnikiem, matka – jak przystało – nikim, a ojciec przebywał nie wiadomo gdzie. Aami już na progu wygłosiła krótką, pełną pasji przemowę. Zaskoczeni domownicy słuchali, jakby nie mieli drzwi, tylko dziurę w ceglach. Po chwili ich oczy z pustych zmieniły się w pełne podziwu. Stałam za matką i widziałam, że patrzą na nią tak, jak ja musiałam patrzeć na okaleczonych mężczyzn wytwarzających broń – nie mogli uwierzyć w to, co widzą.

Wkrótce siedzieliśmy już na słomianych matach w środku, popijając jogurt z ceramicznych kubków, a Aami wyciągnęła z torby podręczniki i czytała je dziewczynce, w tym *Czerwonego kapturka*. Pamiętam, że dziewczynka siedziała przed swoją pierwszą nauczycielką sztywno i nieruchomo, z rękami złożonymi na kolanach. Nigdy wcześniej nie widziała książki ani nie słyszała wierszyków. Następnie matka wyciągnęła z torby kredę i pokazała jej, jak na tablicy napisać jej imię. W chwili gdy ujrzała, jak litery formują się w słowa, a te w znaczenia opisujące jej osobę, cały świat nabrał w jej oczach piękna. Dziewczynka patrzyła zachwycona na litery nagryzmołone na trzymanym przez matkę kawałku deski.

– Co to znaczy, Madam?

– A-T-I-Y-A, Atiya. To znaczy podarunek, czyli ty.

Matka dokonywała takich cudów ciągle – udawała się do ulepionych z gliny i kamienia domów schowanych wśród skalistych przełęcz i dawała ślepym dziewczynkom wzrok.

*

Nie pamiętam, która uczennica jako pierwsza się zbuntowała i czy w ogóle była jedną z uczennic matki, mimo że słyszałam tę historię wielokrotnie. Dziewczyna należała do starszych – miała 15 lat – i mówią, że była piękna: zielone oczy, kruczoczarne włosy spływające po plecach niczym plama ropy. Zbyt pewna siebie. Zakochała się w kierowcy szkolnego autobusu, żyłastym chłopcu z Kohat. Poznali się, nie wypowiadając żadnego słowa – po prostu uśmiechnęli się do siebie, kiedy wsiadała do autobusu. Nie powinien był na nią patrzeć tak długo.

Zakochani uciekinierzy często szukali schronienia w kosmopolitycznym Peszawarze, ale nigdy nie udawało im się zbiec daleko – tej parze też nie. Autostrada biegła krętymi drogami przez wydrążone w skalistych górach przesmyki okalające strome zbocza serpentynami i była jedyną drogą mogącą ich tam zaprowadzić. Pościg, który za nimi ruszył z Darry, składał się z ludzi doświadczonych w tropieniu i dobrze uzbrojonych.

Znaleźli ich jadących konno poślubioną koleinami ścieżką przy autostradzie. Dziewczyna ześliznęła się z siodła, gubiąc buty i boso pobiegła w pole słoneczników. Tracąc nadzieję, upadła na kolana, wbiła ręce w piasek, położyła głowę i krzyczała, żeby z nią skończyli. Mężczyźni stali zdezorientowani, słysząc, jak błaga o egzekucję – większość najpierw błagała o obecność ojców, a potem o przebaczenie. Nie zastrzelili jej, choć niemal została skazana. Plemienne prawa bywają zawile. W tej zaskakującej ciszy kuzyn dziewczyny, który brał udział w pościgu, wyszedł przed szereg i odłożył strzelbę. Zawstydzony kierowca autobusu siedział sparaliżowany w siodle, patrząc, jak kuzyn wyciąga do dziewczyny rękę. Bez wahania zaproponował stojącemu obok ojcu dziewczyny, że ją poślubi. Ojciec bez słowa przyjął rozsądną decyzję kuzyna, a dziewczyna wzięła jego dłoń i stanęła obok swojego narzeczonego. Wszyscy słyszeli jej płytki, szybki oddech. Długo nie potrafiła podnieść wzroku, gapiąc się na swoje ubrudzone ziemią bosc stopy. Następnie odwróciła się do kuzyna i wyszeptwała tak, że wszyscy ją słyszeli:

– Maherbani, Maherbani, dziękuję.

Nieważne, że historia miała szczęśliwe zakończenie – od tej pory hańba spadła na wszystkie uczennice, a głównym celem ataków stała się ich nauczycielka. Matka często zapraszała dziewczynki do naszego domu, żeby czytały książki albo oglądały filmy wideo. Ojciec kilku z nich uczył gramatyki i literatury lub przyprawdzał przeróżne osoby – oficerów Straży Granicznej,

górników, filozofów albo nieszczęśliwych Pasztunów – żeby ich uczyły, tak jak uczyły nas. Kiedy zamknęli szkołę, matka zapadła się pod ziemię i przestała pokazywać publicznie. Ale to nic nie dało, bo i tak każdy wiedział, gdzie mieszkała Madam. W ciągu kilku dni nasz dom został obrzucony kamieniami, a w nocy przechodzące gangi „świętych wojowników” ostrzeliwały nasze ściany z AK-47. Siostra powiedziała mi, że ci mężczyźni określają siebie pobożnymi muzułmanami, ale najwyraźniej ignorują fragmenty Koranu mówiące, że każdy mężczyzna i kobieta powinni się edukować. Jako że życie mojej matki było poważnie zagrożone, rząd wysłał uzbrojonego strażnika, by strzegł naszego domu. Nie licząc tej rozzłoszczonej garstki, większość osób wciąż szanowała moją matkę. Nawet dzisiaj, kiedy szkoły dawno już nie ma, mieszkańcy okolicznych wiosek zapraszają ją do swych domów na specjalne okazje, jak wesela ich dzieci, i zawsze sadzają na honorowym miejscu.

Kiedy sytuacja wreszcie się uspokoiła, matka zaczęła rozglądać się za kolejnym budynkiem z dala od obrzeży miasta.

*

Mężczyzna, któremu jakoś udało się sforsować zaryglowane drzwi frontowe naszego domu, miał przy sobie amerykański pistolet M1911, kaliber .45, i oczywiste zamiary. Natychmiast rozpoznałam broń, tak jak potrafiłam rozpoznać datsuny, nissany czy beretty 9 mm. Wiedziałam też, że ściga nas z powodu szkoły matki – otrzymywaliśmy listowne ostrzeżenia. Uczenie muzułmańskich dziewcząt czegokolwiek oprócz prac domowych i Koranu było herezją, która domagała się kary. Nie mieliśmy pojęcia, co to oznacza, aż ujrzelśmy jego pistolet.

Intruz stanął przede mną, wyciągnął broń i odbezpieczył ją kciukiem. Usłyszałam kliknięcie. Jedyнным sposobem, by uniknąć kuli wymierzonej z tak bliskiej odległości, jest ucieczka – i to szybka. Byłam w domu z rodzeństwem i to właśnie zrobiliśmy – rozbiegliśmy się w różne strony, krzycząc ile sił w płucach. Wydostaliśmy się przez tylne drzwi prosto na wiosenny deszcz. Na rękach trzymałam jednego chłopca, a Ayesha drugiego. Taimur upewnił się, że wybiegłyśmy, i podążył za nami. Jakimś cudem przeskoczyliśmy mur i rzuciliśmy się przez śliską drogę, nie zatrzymując się przed samochodami ani ciężarówkami, ani żołnierzami Straży Granicznej, którzy krzyczeli na nas, ale nie zapytali, czy nie potrzebujemy pomocy. Nie zatrzymywaliśmy się przed

nikim. Kiedy ojciec znalazł nas w alejce za sklepami z bronią, mieliśmy oczy wielkie z przerażenia i chowaliśmy się skuleni i roztrzęsieni za śmietnikiem – wszyscy pokryci grubą warstwą błota.

Następnego dnia ojciec wręczył mi kupioną na targu replikę makarowa – doskonałą, z radziecką gwiazdą na uchwycie. Pistolet był prosty w użyciu. Łatwo się z niego strzelało i był precyzyjny. Ojciec nauczył mnie też, jak rozłożyć go na części i wyczyścić. Ściskając broń w moich ośmiopółletnich dłoniach, czułam jej prymitywną moc, jakby była dzikim, trudnym do poskromienia zwierzem. Widząc moją trwożę, kiedy pierwszy raz wzięłam broń w ręce, ojciec ujął moje zaciśnięte na pistolecie dłonie. Kiedy na niego spojrzałam, zamknąłem oczy. Wiedziałam, że daje mi rzecz, której nienawidzi – nie samą broń, ale władzę, jaka się z nią wiąże: władzę nad życiem, które można odebrać w ułamku sekundy.

Kiedy już poznałam pistolet, wyciągnęłam magazynek, sprawdziłam zamek i sprawnie wyjęłam nabój, który ojciec zostawił w ramach testu. Skinął głową i odetchnął. Razem wyczyściliśmy lufę za pomocą długiej szczotki, szorując ją na zmianę i przecierając tkaniną, a następnie naoliwiliśmy ją w środku. Pokazał mi, jak wyczyścić mechanizm i naoliwić jego części. Kiedy polerowałam broń tkaniną, przeciągnęłam palcami po uchwycie, poczułam jego zakamarki, starając się dotykiem zrozumieć działanie tego śmiertelnościanego mechanizmu. Załadowaliśmy broń do pełna. Dziewięć kul – osiem w magazynku, jedna w komorze.

Odkryłam w sobie talent strzelecki, ćwicząc na pustych puszkach po fancies postawionych na dachach w miejscu, gdzie testowało się broń. Wyrobiłam sobie dumny krok; kiedy idzie się ulicą z pistoletem przy boku, człowiek czuje się jak bóg. Oczywiście każdy mężczyzna, którego mijałam, miał załadowaną kaburę i lata praktyki za sobą. Wszystkie dzieciaki w okolicy wyczuły, że lepiej nie zadzierać z Dżyngis-chanem. Niektórzy ze względu na mój charakter wołali na mnie Levanai, co po pasztuńsku oznacza „szalony”. Ale jeden chłopiec zaczął mnie śledzić. Słyszałam plotki, że jego wujek był grubą rybą wśród talibów, i doszłam do wniosku, że miał szpiegować moją rodzinę.

Każdego dnia wyglądało to tak samo – szłam, a chłopiec podążał kilka kroków za mną, czasami wykrzykując obelgi, których nie słuchałam. Byłam pewna, że jest posłańcem grupki ekstremistów i ma zastraszyć moją rodzinę, ale zdecydowałam, że mu na to nie pozwolę. Pewnego dnia, widząc go na drodze, poczułam, jak gotuje się we mnie krew. Przebiegłam dłonią po wilgotnych włosach ostrzyżonych tego ranka na jeża przez wędrownego

fryzjera.

Przeskoczyłam przez niską poręcz na sąsiednią alejkę i pomknęłam ile sił w nogach. Usiłowałam rozplątać się w miejskim labiryncie, w chmurze kurzu wznoszącej się z wyschniętego po powodzi podłoża. Zwykle dawałam radę uciec temu chłopcu, jak każdemu innemu, ale i tak żałowałam, że nie wzięłam roweru.

Przebierając nogami, biegłam przez pasażę, minęłam meczet, przecinając różne uliczki. Kiedy się odwracałam, widziałam, że wciąż depcze mi po piętach. Jego różowa koszulka była przemoczona od potu. Słyszałam, jak wołał: „Chłopcze Madam”. Biegłam alejkami, w których bezzębni mężczyźni cięli drewno na uchwyty do broni, a mali chłopcy, kucając na ziemi, szlifowali kurki do pistoletów; minęłam uśmiechniętego mułę i stado owiec prowadzone do rzeźni, żebraka i stoisko z owocami, bogatych bandytów ze złotymi zębami i drogimi okularami przeciwsłonecznymi. Głuchego. Ślepego. Biegłam, aż zabrakło mi tchu – dzieciak był nieustępliwy. Domyśliłam się, że tym razem chodzi mu o coś więcej niż o zwykłe obelgi pod moim adresem. Zwykle odpuszczał po tak długim pościgu w bezlitosnym upale. Zakręciło mi się w głowie, zatrzymałam się, odwróciłam i czekałam. Miałam go dość – nieważne, dla kogo pracował.

Po chwili znalazł się obok mnie. Staliśmy tak, dysząc, z wywalonymi jęzorami. Przez chwilę się nie odzywałam, tylko na niego gapiłam. Był ode mnie o głowę wyższy, ale chudy – sama skóra i kości. Kiedy ma się broń, planuje się, jak jej użyć. Nie chciałam go zabić, ale wiedziałam, że mogę to zrobić, jeśli on jest tu w tym samym celu – jeśli wysłali go, by mnie zabił, to postanowiłam, że strzelę pierwsza.

Delikatnie podciągnęłam przepocony podkoszulek i dotknęłam palcami wypolerowanego czarnego uchwyty wystającego zza pasa. Strzelałam godzinę temu, potrafiłam trafić w pierwsze „a” na puszcze fanty. Czułam świeży smar pokrywający lufę. Płuca świszczą mi z wysiłku. Chłopiec patrzył się na mnie hardo, jakby nie robiło na nim wrażenia, co ze sobą mam. Zacisnęłam więc dłoni na rękojeści, przygryzając wargę i bez mrugnięcia okiem. Chłopiec uważnie obserwował moje ruchy. Przestał dyszeć, stał prosto, wstrzymując oddech i patrząc, jak powoli odbezpieczam broń. Wtedy zauważyłam, że jedną dłoń trzyma za plecami, ale wyciągnęłam już pistolet. Nie ruszał się.

Przez chwilę poczułam się, jakbym znów znajdowała się przy kuchennym stole, a ojciec trzymał swoje dłonie na moich. Sekundy płynęły wolno, gorące powietrze drgało, a ja znów dotarłam do miejsca, o którym nigdy bym nie

pomyślała. Wylot lufy znajdował się zaledwie pół metra od niego. Czułam szybki oddech chłopca. Od kiedy ojciec podarował mi makarowa, fantazjowałam o jego użyciu. Zastanawiałam się, co bym zrobiła mężczyznom, którzy mnie dręczyli – tym pod wierzbą, podczas meczu siatkówki, i mężczyźnie na koniu, który uderzył mnie w twarz biczem. Spojrzałam chłopcu w oczy. Teraz miałam broń. Byłam gotowa na wszystko.

– Czego chcesz?

– Co wyprawiasz? Nie słyszałeś? – Mrugnął dwukrotnie i przełknął ślinę.

– Czego chcesz? – zapytałam głośniejszym głosem, trzymając palec wskazujący tuż nad spustem.

Chłopiec ponownie przełknął ślinę.

– Rower, z dziesięcioma przerzutkami.

– Co?

– Chcę się przejechać, to wszystko.

– Śledziłeś mnie. Kto cię przysłał?

Moja dłoń była tak spocona, że czułam, jak wyslizguje mi się pistolet. Pamiętając o kuli umieszczonej w komorze, odsunęłam palec od spustu. W całym przedramieniu drgały mi mięśnie.

– Nikt mnie nie wysłał. Chciałem się przejechać na Sohrabie. Mówiłem ci o tym. Chcę się przejechać na twoim rowerze.

Brzmiało to tak absurdalnie, że nie mogłam mu uwierzyć.

– Co tam trzymasz z tyłu? Broń? Pokaż mi. Jeśli zrobisz cokolwiek głupiego, strzelę.

Potrząsał szybko głową.

– Nie. To nic takiego.

Z tylnej kieszeni wyciągnął powoli paczkę gumy do żucia. Musiał ją nosić przy sobie od dłuższego czasu – opakowanie było spłowiałe i odkształcone. Kto wie, gdzie ją zdobył. Zaproponował mi ją, trzymając na otwartej dłoni – palce mu drżały. Następnie obrócił się dookoła, pokazując, że już nic więcej nie ma.

Powoli opuściłam rękę i zabezpieczyłam broń. Pokręciłam głową, a on ostrożnie schował paczkę gum. Śliski uchwyt wymknął mi się z dłoni i pistolet upadł niczym martwe zwierzę obok moich stóp. Nie spuszczałam oczu z chłopca. Mieliśmy szczęście, że pistolet nie wypalił.

Obserwował mnie, a jego pierś szybko wznosiła się i opadała. Kiedy makarow upadł na ziemię, głęboko odetchnął, a jego oczy zaiskrzyły. Potrząsał głową, wyprostował ramiona i wzruszył nimi.

– No i? – Pot lał się strumieniami po jego twarzy.

– No i co?

– Mogę się przejechać? Nie ukradnę go, jeśli tak sobie myślisz.

Przez moment miałam wrażenie, jakbym opuściła moje ciało. Upadłam na kolana. Spojrzałam na chłopca, który wciąż na mnie patrzył – o mały włos, a pociągnęłabym za spust. Cały czas chodziło o zardzewiały rower ojca. Ja miałam rower, a on nie – zupełnie jak w przypadku żółtego latawca z Miramshah. Po prostu. Głos, który wtedy usłyszałam, klęcząc na ziemi, nie należał do mnie, tylko do kogoś, kto właśnie wrócił z przedsionka piekła.

– Dobrze, chodź ze mną do domu. Muszę zapytać ojca, to on kupił ten rower.

ROZDZIAŁ 8

BÓSTWA, ŚWIĄTYNIE I ANIOŁY

Kiedy mieszkaliśmy w Darra Adam Khel, mój pięcioletni brat Sangeen często mnie prosił, żebym opowiedziała mu o miejscach, w których żyliśmy. Dzięki tym wspomnieniom mogłam zachować spokój w tym brutalnym świecie. Gdy wróciłam do domu po całym dniu włóczenia się po ulicach i zboczach gór i weszłam przez frontowe drzwi, ujrzałam brata siedzącego ze skrzyżowanymi nogami, czekającego na mnie. Było późne popołudnie, Ayesha – która wkroczyła w nastoletni wiek – siedziała w domu, ucząc się i opiekując nim i Babrakiem.

– Dżyngis, opowiedz mi, skąd mam moje wielkie pasztuńskie usta.

– Przecież dobrze wiesz. Dostałeś je od kobiety Afridi, która odwiedziła dom leżący w pobliżu koledżu Baby w Dera Ismail Chan.

– Nie, nie, nie. Opowiedz całą historię, tak jak zawsze opowiadasz.

– No dobra, siadaj koło mnie i zacznę od początku.

Ostatni raz opowiadałam mu tę historię tuż przed tym, jak wpadłam w tarapaty w meczecie. Potrzebowałam jej bardziej niż on. Potrzebowałam jej, żeby przypomniiała mi, że świat jest pełen ludzi, a nie religii. To nie bóstwa i świątynie czynią nas dobrymi – tylko nasze uczynki.

Po ukończeniu roku Sangeen potrafił płakać tak głośno, że mógłby obudzić zmarłego – darł się tak, że pękały bębunki w uszach. Pewnego popołudnia, kiedy lał tak mocny deszcz, że strumyk wystąpił z brzegów i zmienił ulice w brązowe rzeki, obudziło go uderzenie pioruna. Trzymałam brata, wyglądając przez otwarte okno i patrząc na ulewę, a on krzyczał, jakby zawarł pakt z burzą. Kiedy działo się coś złego, modliłam się do Allaha – jak wszyscy. Moja rodzina należała do pobożnych, ale postępowych muzułmanów. Wówczas znałam tylko jednego Boga – mojego. Wierzyłam, że kiedy go wołam, on słucha, więc kołysząc niespokojnego brata, recytowałam desperacko *ajaty*. Minęła godzina, dwie, trzy. „Pokój z nim, pokój z nim, pokój z nim”. Sangeen wciąż krzyczał razem z szalejącym niebem. Kiedy pogoda się uspokoiła, miałam nadzieję, że on też zamilknie.

Ale nie mogłam go uspokoić, choćby nie wiem co. Nie miałam wtedy pieniędzy, a całe mleko zużyłam na śniadanie. W słoju nie zostały żadne rupie. Dałam więc Sangeenowi wody i nasączone w niej kawałki czerstwego chleba naan. Ale to tylko wzmogło jego gniew, zaczął się rzucać, tak że ledwie mogłam go utrzymać, twarz mu poczerwieniała jak burak, a usta ścisnął tak mocno, że odpłynęła z nich cała krew i zrobiły się białe. Spanikowana dawałam mu wciąż wodę, a on ją pił, bekał i eksplodował na nowo. Do dzisiaj nie mogę wyjść z podziwu, że taka mała istota mogła emitować taką energię.

Do kobiety z ludu Saraiki, która mieszkała naprzeciwko, dotarł jego mrozący krew w żyłach płacz i przysłała do nas. Usłyszałam, jak wykrzykuje w korytarzu imię moje i mojego brata. Wpadła do kuchni, gdzie stałam wyczerpana, blada i ledwie żywa ze strachu. Sangeen na chwilę przestał i spojrzał na nią, otwierając usta. Kobieta wydała potok niezrozumiałych słów w urdu. Po chwili znowu zaczął, a ona wzięła go ode mnie, przycisnęła do piersi i razem wybiegliśmy na zalaną ulicę.

Wpadła do sąsiedniego domu przez otwarte drzwi. W progu uderzyło mnie gryzące ciepło herbaty Masala Chai i usłyszałam delikatne stukanie filiżanek. Podążyłam za nią do dziwnego pokoju dziennego, w którym na poduszkach leżała pasztuńska kobieta z plemienia Afridi. Poznałam jej klan po kolorowej chuście, krzepkim ciele i bladej, gładkiej twarzy. Obok niej na jedwabistej macie siedziała kobieta, którą już wcześniej widziałam na ulicy, wiedziałam więc, że tu mieszka. Pochodziła także z ludu Saraiki. Miała wysokie tybetańskie policzki i owinięta była w różową i spłowiałożółtą szatę. Obie kobiety w skąnym świetle wyglądały na speszone. Kobieta Afridi usiadła, poprawiając ciężką chustę i połyskując pierścieniami. Jej oczy biegły od dwóch postaci dyszących w progu do śpiącego obok jej siedzenia pasztuńskiego niemowlaka owiniętego w prowizoryczny becik. Nie pamiętam, co powiedziała i czy powiedziała cokolwiek. Sąsiadka po prostu podeszła do kobiety Afridi i wręczyła jej łkającego Sangeena.

Przechodząc z rąk do rąk, otworzył szerzej oczy i spodziewałam się, że zawyje w proteście, budząc noworodka śpiącego zaledwie krok od niego. Jęknął i wydał ostatni, słaby krzyk na widok wypełnionej mlekiem piersi. Otworzył szeroko usta i przyssał się do niej, wywracając oczy i miarowo oddychając. Ssał tak mocno, że mleko wylewało mu się z ust, aż karmiąca kobieta, której imienia nie zapamiętałam, zachichotała. Usadowili się razem na jej wyspie miękkich poduszek i szat, a ona wygodnie się położyła

i z zadowoleniem westchnęła. Chwilę później gospodyni domu zamknęła oczy i zaczęła recytować – w pół śpiewie, w pół szepcie – mantrę z usypiającą poezją. Jakoś ją zrozumiałam, mimo że nie potrafiłam rozszyfrować ani słowa. Co jakiś czas otwierała powieki i patrzyła z uśmiechem na kobietę z plemienia Afridi i ssące dziecko, jak gdyby byli dziełem sztuki zdobiącym jej dom. Sangeen gniótł palcami ciastowatą skórę i pił, mruczając, a ona powtarzała swoją mantrę z rogu pokoju. Kobieta Afridi uśmiechnęła się do mojego brata, wyszeptała modlitwę i kołysała go w rytm śpiewu. Razem cicho śpiewały, aż pijąc, usnęły.

Z ulgą usiadłam na grubej macie obok mojej sąsiadki, która naląła mi filiżankę mocno przyprawionej herbaty z małego czerwonego garnuszka z bambusową rączką. Skrzyżowała nogi, pociągnęła łyk ze swojej porcelanowej filiżanki i uśmiechnęła się szeroko przez chmurę pachnącej pary. Zatraciłam się w tym słodkim powietrzu, obserwując wijący się dym ze świecy stojącej na rogu stołu. Płomyk tańczył przed uśmiechniętą mosiężną figurką Buddy z wielkim brzuchem, świecącym na złoto od dotyku wielu palców. Obok biały kwiat lotosu unosił się w misce pełnej czystej wody, a jego delikatne płatki wyglądały niczym blada dłoń bogini. Przyjrzałam się wszystkim tym pięknym rzeczom ułożonym w jakimś tajemniczym celu. Cały pokój wyglądał niczym świątynia duchowych światów, o których nie miałam pojęcia: bogowie i boginie na oprawionych obrazkach, figurki, obrazki świętych i proroków, mosiężny dzwon w kształcie monety, krzyż na ścianie i mocno sfatygowane książki na półkach. W tym domu zdawały się przemawiać bóstwa. Wokół kobiety, która karmiła mojego brata swą bujną piersią, także unosiła się silna aura. Członkowie plemienia Afridi robili równie wielkie wrażenie, co góry Safed Koh, z których się wywodzili. Kobieta wzięła i nakarmiła Sangeena bez słowa, bo był głodny, a ona miała mnóstwo tego, czego pragnął. Byliśmy Pasztunami, ale ona widziała to prościej – on był dzieckiem, a ona matką. Wciąż pamiętam śpiewaną przez siedzącą obok kobietę jednostajną melodię, która pieściła moje uszy w pachnącej masalą świątyni ciszy: *Namo Gurubhya, Namu Buddhaya, Namu Dharmaya, Namu Sanghaya...* Powtarzała to wiele razy, najpierw urywanym głosem, jakby ćwiczyła ten wers, czytając go z oprawionej w skórę książki leżącej na jej łonie niczym kolejne niemowlę, wodząc palcem po tekście i kiwając głową. A w przerwach mój brat wydawał spokojne pomruki.

Zanim dotarliśmy ze śpiącym, napojonym mlekiem Sangeenem przez pełną błota ulicę do domu, nasza sąsiadka Saraiki zdążyła wśliznąć się z powrotem

do swojego domu, jakby rozplynęła się w innym świecie. Po tym dniu Sangeen nabrał siły, a jego usta spuchły, jakby przejął od kobiety Afridi piękne pełne wargi niczym pamiątkę jej hojnego serca.

Kiedy tamtego dnia opowiadałam tę historię, zjawił się mój ojciec. Uśmiechnięty wszedł frontowym wejściem z wypchaną torebką pod pachą. Za nim rozbrzmiewały wystrzały z broni. Słuchał, patrząc na zahipnotyzowanego brata, który siedział na moich kolanach. Ojciec lubił słuchać, jak opowiadam braciom historie, może dlatego, że mówiłam w podobny sposób jak on sam. Kiedy skończyłam, zapanowała długa cisza. W mojej głowie kłębiło się mnóstwo pytań. Myślami byłam przy kwiecie lotosu dryfującym w misce wody, pięknym i błyszczącym okrągłym brzuchu uśmiechniętego Buddy, krzyżu, obrazkach świętych i tych wszystkich książkach. A nade wszystko w głowie kołatał mi się śpiew kobiety w jaskrawych szatach.

Kiedy Sangeen zsunął mi się z kolan, zwróciłam się w stronę ojca. Wstałam i zapytałam go, czy Allah jest jedynym Bogiem, jak to wyznajemy pięć razy dziennie na kolanach – w końcu Budda nie był Allahem. A co z chrześcijańskim Bogiem i jego synem, Jezusem, który był jednym z naszych proroków? Miałam pewne pojęcie o istnieniu innych religii i wiedziałam, że do Boga można dotrzeć w różny sposób, ale zakładałam, że Najwyższy jest tylko jeden – mój. Po co w innym wypadku chodzilibyśmy do meczetu, klękali na matach i zapamiętywali *ajaty* i sury? Ojciec położył mi dłonie na ramionach i długo się uśmiechał, jakby zobaczył we mnie lśniący diament. Powiedział, żebym poszła do kuchni, gdzie zawsze rozmawialiśmy o najważniejszych sprawach.

Dołączył do mnie po chwili, z gracją cyrkowca rozwijając ogromną mapę świata i rozkładając ją na ziemi, rogi zaś przytrzymując ceramicznymi filiżankami. Następnie włączył jasne światło.

– Nasza planeta pełna jest krajów i ludzi. Allah miał plan i miejsce dla nich wszystkich.

Wbił szpilkę w Pakistan.

Studiowaliśmy liczne granice przecinające nasz kontynent, nakreślone krętymi liniami, otaczające miejsca, których może nigdy nie zobaczę. Afganistan na zachodzie. Indie na wschodzie. Iran obok Iraku. Chiny pożerające tereny aż do wybrzeża, gdzie nachodziły na siebie trzy morza. Za nimi Pacyfik rozlewający się między wyspami aż do dzikich kontynentów obu Ameryk. Miliardy ludzi rodzą się i umierają.

– Jestem pobożnym muzułmaninem, ale jestem też człowiekiem nauki,

a naukowcy lubią zadawać pytania. Skąd przyszliśmy, Dzyngis-chanie, dokąd zmierzamy? Dlaczego tu jesteśmy? Nie przejmuję się tym, bo mam swoją wiarę. Najlepsza w życiu jest czysta ciekawość.

Staliśmy obok siebie nad mapą, patrząc na naszą szpilkę. Wtedy zaśpiewał słowa, które rozbrzmiewały w mojej głowie: *Namo Gurubhya, Namo Buddhaya, Namo Dharmaya, Namo Sanghaya*.

– Tak, Baba, to te słowa. Powtarzała je w kółko niczym surę, kiedy kobieta z ludu Afridi karmiła Sangeena. Ale ona jest Saraiki, a nie buddystką, wyznaje islam jak my. To był dziwny dom, pełen książek i obrazów. Cały pokój wyglądał jak świątynia, mimo że był zwykłym pomieszczeniem. Jeśli te słowa nie są święte, dlaczego tak dobrze utkwily mi w pamięci?

– Ach, trafiłeś do domu religioznawcy, człowieka nauki jak ja, który ma tyle pytań, co książek w domu. Lud Saraiki wyznaje wiele religii, głównie islam. Nieważne. Recytowała tybetańską pieśń: „Znajduję schronienie w Duchowych Mistrzach, moich Guru; znajduję schronienie w Oświeconym, w Buddzie; znajduję schronienie w Prawdzie, w Dharmie; znajduję schronienie w Duchowych Istotach, Sandze”. To jak nić prowadząca buddystów do ich prawdy, tak jak nasza Prosta Droga. Nasza prawda, prawda muzułmanów, zawarta jest w prostym zdaniu, jest spisana.

– Ale prawdę mówiąc, nic nie wiem.

– Owszem, wiesz dużo. Może to, po co sięgasz, jest wciąż za wysoko, jak owoc na drzewie. Nie dosięgniesz go, póki się po niego nie wespiesz albo póki nie spadnie ci prosto na głowę. W ten sposób Newton odkrył grawitację.

– Teraz zamiast dać mi odpowiedzi, sprawiłeś, że mam jeszcze więcej pytań.

– Tak, już prawie dosięgnąłeś, próbuj dalej. Sięgasz po najwyższą formę ludzkiej wiedzy.

– Czyli jaką?

W tej chwili na mapę padł chudy cień Ayeshy. Pod ramieniem trzymała oprawiony w skórę Koran. Spomiędzy połączonych krawędzi wystawała zielona wstążka zakładki. Kiedy włączyłam się po okolicy, przesiadywała godzinami w meczecie i studiowała. Ayesha spojrzała na szpilkę, a ja się zastanawiałam, czy też odniosła wrażenie, że zajmujemy tak nikłe miejsce w świecie. Zaśmiała się.

– Niepewność. Mam rację, Baba? Rzecz, która trzyma nas razem.

– Tak. Niepewność jest cudem. Pozwala żyć i miłować z pasją. Nie oznacza to, że nie wierzę w naszego jedyne boga, Allaha. Moja muzułmańska wiara

pozwoili mi sięgnąć dalej. Wiem teŹ, Źe wielu ludzi dociera do jedynego Boga na rne sposoby. Chciałbym wiedzieć, kim s, tak jak ta kobieta z ludu Saraiki. KaŹdy musi znaleźć swoj drogę, inaczej będzie zgubiony. Ayesho, powiedz swojemu dzielnemu bratu, ile religii rozsianych jest po naszej nieświadomej planecie.

– Wedłg Encyklopedii Britanniki ponad 20, wliczajc nasz. Zupełnie jakby było ponad 20 bogw, ale to nie moŹe być prawd.

Ojciec się zaśmiał.

– A moŹe to ludzie nadali rne imiona jednemu bogu?

Wził od Ayeshy jej egzemplarz Koranu. Wertował go, a miękki papier prześlizgiwał się mu międy palcami. Wiedziałam, Źe ojciec znał Koran niemal na pamieć, 114 rozdziałw, sury zawarte w poetyckich wersach i ułoŹone od najdłuzszej do najkrtszej. Jako najstarszy syn arystokratycznej pasztuńskiej rodziny spędził cał młodość, studiujc Koran, Źeby być godnym przejęcia w spadku ziem, dorobku i estymy. Po śmierci jego ojca stałby się głw jedne z najbardziej wpływowych rodzin w FATA, ale oddał to wszystko, Źeby nasza rodzina mogła Źyć w rwności i poznać świat takim, jaki jest.

Często nam mwił, Źe objęcie pozycji wśrd plemiennej starszzyny dałoby mu znacznie mniejsze wpłwy niŹ zaszczyt posłania wykształconych dzieci w świat. Dla Pasztunw honor jest najwaŹniejszy – w przeciwnieństwie do swoich przodkw nie szukał go na wojnie, tylko w ojcostwie. Dzieki temu poświęceniu Źył bliŹej muzułmańskiej wiary niŹ większość ludzi. KaŹdego dnia kazał nam recytować now surę – Źebyśmy w Dniu Sdu znali wszystkie na pamieć – a mimo to potrafił dostrzec święte prawdy w wierze innych osb. Tolerancja była najwięszym darem, jaki mgł mi dać. Na świecie Źyły miliony ludzi, którzy nie mieli pojęcia o naszej księdze, a ja mogłam nie mieć pojęcia o ich księdze, jeśli takow mieli. Nie miało to znaczenia, bo i tak wszyscy rnymi ścieŹkami zmierzaliśmy w to samo miejsce. MoŹe buddyści mieli Sutrę Lotosu. MoŹe inni nie mieli nic oprcz Źycia. Shams zamknł ksiŹkę, wyszeptał modlitwę i oddał Koran A-

yeshy. Tego popołudnia po raz pierwszy zrozumiałam, co oznacza wiara w boga: Allah był jak kotwica trzymajca mnie przy mojej duszy i przy innych.

Podeszłam do misy z owocami i wyjęłam z niej trzy owoce dŹambu dla nas, granat zostawiajc braciom. Tęskniłam za czasami, kiedy mieliśmy swój ogrd, w którym hodowaliśmy paprykę, fasolę, a kaŹdego miesica ojciec przynosił mięso, które gotowaliśmy nad paleniskiem. W Darra wszystko

musieliśmy kupować na targu i gotować posiłki wewnątrz. Podałam ojcu owoc, a on ucałował mi dłonie.

– Bóg nigdy nie przemawia do ludzi bezpośrednio. Wysyła anioły, dobre i złe, żeby nas uczyły. Kobieta, która nakarmiła Sangeena, była twoim boskim posłańcem, a ty jesteś moim. Niech Bóg broni, obyś nigdy nie zszedł z tej drogi.

Tej nocy poszłam spać, mając w głowie to, co wydarzyło się tego dnia, i to, co powiedział ojciec. Miałam bardzo wyraziste sny – Sangeen i Babrak biegali po dziwnej krainie spadających gwiazd. Próbowalam ich dogonić, ale ziemia się zatrzęsała i potknęłam się na kamieniach. Sen szybko zmienił się w koszmar, gdy ziemia przede mną się otworzyła, pękając niczym upuszczona dachówka. Wszyscy wpadliśmy w zimną otchłań, w której nic nie widziałam ani nie słyszałam. Powietrze robiło się coraz rzadsze, miałam problemy z każdym wdechem. Nagle przerażona poczułam na plecach ciepło światła. Udało mi się obrócić i ujrzałam wysokiego mężczyznę siedzącego na kamieniu, wyciągającego do mnie ręce. Przedarłam się przez tę pustkę do niego, złożyłam głowę na jego kolanach i płakałam za utraconymi braćmi. Wciąż pamiętam jego głos, głośny niczym uderzenie pioruna. Powtarzał: „Nie lękaj się”. Z dziwną pewnością, która pojawia się tylko w snach, wiedziałam, że to Jezus Chrystus. Ujrzałam za nim długi rząd innych proroków. Kiedy się obudziłam, wciąż czułam ciepło jego rąk na mojej głowie i słyszałam jego głos, którego trzymałam się niczym rozbitek koła ratunkowego w zimnym morzu nocą.

Wkrótce Bóg zesłał mi dwa anioły – jeden był prosto z nieba, a drugi został z niego wyrzucony. Ayesha nosiła pod pachą ten sam egzemplarz Koranu, który mój ojciec kartkował w kuchni. Jako Dżyngis-chan mogłam zabierać siostrę, gdzie chciała, ale chciała chodzić tylko do szkoły i do meczetu. Ayesha uczyła się w pokoju modlitw kilka razy w tygodniu z grupką zawołowanych dziewcząt. Nie wiem, czego się tam nauczyła, a czego nie mogłaby się dowiedzieć od ojca. Moim zadaniem było czekanie na koniec lekcji i przyprowadzenie siostry do domu oraz przyniesienie wiadra świeżej wody. W Darra nie było kanalizacji, ale meczety potrzebowały wody, żeby każdy muzułmanin – mężczyzna, kobieta, dziecko – mógł dokonać ablucji i znaleźć się w stanie *wudu*, zanim uklęknie w odpowiednim dla niego miejscu. W gorące dni chodziłam po kilka razy do meczetu i czekałam w długiej kolejce po wodę.

Z wiadrem w jednej ręce i Koranem w drugiej zmierzałyśmy z siostrą do

meczetu. Z daleka widziałam jego kopułę – była niczym gigantyczna perła wznosząca się ponad brązowym morzem płaskich dachów, z górującym nad nią minaretem, z którego muezin tak pięknie wzywał do modlitwy. Widok meczetu w środku obskurnej Darry zawsze dawał mi nadzieję – ale nie wiem dokładnie na co. Wokół nas mężczyźni strzelali ze swoich morderczych automatów dla sportu albo z myślą o dzihadzie – lub całkowicie bezmyślnie. Jedynie wezwanie do modlitwy, *adhan*, potrafiło uciszyć kule.

W środku meczetu powietrze było chłodne i nie docierał tam żaden dźwięk z zewnątrz. Podłogę i ściany wyściełały marmurowe płytki. Kiedy szliśmy głównym holem, nasze kroki rozbrzmiewały głośno, nawet nasze oddechy odbijały się echem. Szept potrafił dostać się z jednego końca meczetu na drugi. Nikt nie mógł mieć tu sekretów przed Allahem.

Zostawiłam wiadro na ławce przed pokojem ablucji i się wycofałam. Zatrzymałam się jeszcze, patrząc na siostrę zmierzającą w kierunku pomieszczenia do nauki, olśniewającą w białym czadorze, który zawsze pozostawał nieskazitelny, nawet jeśli wędrowaliśmy zakurzonymi ulicami Darry. Wyszłam na zewnątrz – miejski hałas uderzył mnie po tej ciszy w meczecie. Zasłoniłam uszy dłońmi i rozejrzałam się za moim gangiem. Dokądkolwiek się przeprowadziliśmy, łatwo nawiązywałam przyjaźnie. Byłam silna, bezczelna i zawsze przyciągałam grupę kolorowych, przebiegłych postaci. Czasami się biliśmy, ale zwykle biegaliśmy jak opętani, rozglądając się, co by tu porobić – pograć w piłkę, poganiać się, postrzelać z procy, czasem trochę się pobić; często solidna przyjaźń zaczynała się od uderzenia. Dla nich byłam chłopcem, nikt nie mógłby podejrzewać czegoś innego – nie tylko ze względu na moje krótkie włosy i męskie ubrania, ale też ze względu na moje zachowanie. W domu wszyscy wołali na mnie Dzyngis, akceptowaliśmy siebie takimi, jakimi byliśmy. Skoro istniała więcej niż jedna droga do Boga, uznałam, że jest też więcej niż jeden sposób na bycie dziewczyną. Na szczęście nigdy nie musiałam się przed nikim tłumaczyć – nie wiem, czy bym potrafiła.

W Darra Adam Khel moimi przyjaciółmi byli chłopcy, których inni nazywali ulicznikami i szcurami – wszędzie chodzili grupą. Jeśli mieli domy, nic mi nie było o nich wiadomo i w ogóle mnie one nie interesowały. Z procą zamiast makarowa w kieszeni znajdowałam ich, gdy czaili się w uliczkach za meczetem lub grasowali po zboczach gór. Wyłaniali się zza samochodu, zza śmietnika lub z mrocznej alejki. Zawsze ich najpierw słyszałam, a potem widziałam. Ukazywali się jeden po drugim, z łobuzerskimi uśmiechami

i tanimi pistoletami, machając do mnie.

Klepaliśmy się po ramionach i ruszaliśmy pieszo do miasta. Zwykle prowadziłam mój gang w stronę urwistych zboczy, chłopcy wzniecali kurz, aż wszyscy byliśmy nim pokryci, wyzywali się i przekomarzali. Nikt mnie nigdy nie dotknął – słyszeli o makarowie i widzieli moje umięśnione ramiona. Gdybym chciała, potrafiłabym unieść dwóch naraz. Czasem wywiązywała się bójka – zakrwawione nosy, złamany palec, wybity ząb, nic poważnego. Nie była to kwestia przyjaźni, tylko zabicia czasu, spędzenia jakoś dzieciństwa. Nie mieliśmy dużo do roboty, ale za bardzo kochałam wolność, żeby się tym przejmować. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, mimo że spędzaliśmy w swoim towarzystwie całe godziny. Nikt nie miał telewizora ani magnetowidu, nie było książek ani czasopism – byłam jedyną z nich, która kiedykolwiek widziała jakiś film. Nikt nie umiał czytać mapy, nie widział globusa, nie potrafił przeliterować swojego imienia, nie znał alfabetu. Sam fakt, że regularnie znajdowaliśmy siebie, nie mając telefonów, zegarków, nie znając swoich adresów ani planów, zakrawał na cud. A mimo to trafialiśmy na siebie w całej Darra.

Jeden z chłopców zdawał się w ogóle nie mieć imienia. Kiedy usłyszałam, jak dostał się do Darry, nazwałam go Batoor – to po pasztuńsku „dzielny”. Przyszedł sam, idąc pieszo wzdłuż autostrady Indus z Peszawaru – ponad 40 zdradliwych kilometrów jałowymi dolinami i wysokimi przełęczami. Kilka tygodni – sam nie wiedział ile – zajęło mu dotarcie do miejsca, w którym był pewien, że znajdzie stabilną pracę. Rzadko słyszało się o ludziach uciekających z dużego miasta, bo zwykle zmierzali w przeciwnym kierunku.

Batoor nie miał pieniędzy, ale miał rozum, który trzymał go przy życiu; pił wodę ze strumyków, naciągał rolników na kukurydzę, a kobiety na naan, prosił Allaha, żeby dawał mu siły iść dalej. Czasem znalazł jakiś owoc, czasem zjadł robaka. Patrząc na siedzącego na ziemi i wspierającego się łokciami chłopca, pomyślałam, że musi być po części zwierzęciem. W jego skórze, oczach i zwinnym chodzie znać było dziką bestię. Dało się po nim zauważyć, że wiele doświadczył, a mnie ciekawiło, co przeżył. Wylegając się na skałach i częstując nas prazonymi migdałami zwędzonymi niedowidzącemu kupcowi, który pchał wózek na ulicy, Batoor raczył nas opowieściami o pełnym zakamarków mieście, z którego pochodził. Żyło w nim tak dużo ludzi, że można było się w nim zatracić, i właśnie to mu się przytrafiło – chyba na dłużej, niż mówił. Batoor opuścił Peszawar, żeby przed czymś uciec – tyle udało mi się domyślić.

Batoor był ze mną, kiedy przyszedłam po Ayeszę do meczetu. Stał, rozglądając się niespokojnie, kiedy napełniałam wiadro. Podszedł do długiego rzędu zlewów, umył się, metodycznie splukując brud, jakby mył się tu już tysiące razy. Raz na jakiś czas wszyscy chłopcy, których znałam, byli niewiarygodnie czysti, mimo że sypiali na podłogach sklepów z bronią i biegali jak szaleni wśród kurzu. Żyli w brudzie, a jednak ich skóra była tak czysta, że aż lśniła. Obserwując Batoora, zdałam sobie sprawę, że musieli regularnie odwiedzać meczet, korzystając z dostępnych tu mydła i wody, ale podczas moich wizyt z wiadrem nigdy żadnego z nich tam nie spotkałam. Ani razu.

Nie tylko ich ciała były nieskazitelne, co przypisywałam zwykłej pobożności. Od czasu do czasu któryś z nich znikał na kilka dni, a inni nie wspominali o nim wtedy ani słowem. Kiedy mimochodem pytałam o nieobecnego chłopca, odpowiadali gorzkim śmiechem albo długo się na mnie gapili, jakby chcieli mi dać do zrozumienia, żebym lepiej nie pytała. Zresztą zapytałam tylko raz czy dwa. W końcu nieobecny wracał, jak odnowiony – z przystrzyżonymi włosami, paznokciami białymi niczym sierp księżycy, w czystym ubraniu i z pełnym brzuchem. Kiedy się najedli, potrafili godzinami rozmawiać o jedzeniu, jakby zwiedzili pół świata, mimo że nie mogli udać się daleko. Między nami była jakaś niewidzialna granica. Pewnych rzeczy o moich przyjaciółach – nie tylko jak się nazywają – nie wiedziałam. Może ta czystość sprawiła, że zaprosiłam Batoora do domu, żeby poznał ojca, który, jak miałam nadzieję, wyciągnie z niego tajemnicę. Długo mył się pod kranem w meczecie, aż mydło się pieniło, ale nie potrafił usunąć do końca tej swojej dzikości – na to nie starczyłoby wody w całym Indusie. Ayesha nawet nie mrugnęła, gdy go zobaczyła stojącego na wypolerowanej posadzce niczym mroczny prorok. Skinęła schowaną pod czadorem głową i ścisnęła mocniej Koran.

Weszliśmy frontowymi drzwiami i po pięciu krokach znaleźliśmy się w kuchni, gdzie ojciec siedział z głową opartą o dłoń, bębniąc palcami. Ze starego radia, które złożył ze znalezionych części, płynęła muzyka. Spojrzałam na przyjaciela, który nie mógł oderwać oczu od sprzętu. Przez chwilę myślałam, że się rozpłacze. Ojciec nic nie powiedział, nawet na nas nie spojrzał, nawet nas nie zauważył. Wziął głęboki wdech i westchnął – w Darra Adam Khel rozbrzmiewała opera. Nagle, wyczuwając czyjąś obecność, spojrzał na Batoora i wyłączył radio.

– Kogo tu mamy, Dżyngis-chanie?

– To jest Batoor.

– Tak, widzę, że jest dzielny.

Ojciec ugościł Batoora i nie próbował od niego niczego wyciągnąć – ani nazwiska ojca, ani matki, ani adresu, ani wieku, ani jego prawdziwego imienia. O nic go nie zapytał, choć miałam na to nadzieję. Po prostu przytakiwał głową, spoglądając to na mnie, to na niego. Porozmawiali trochę o Peszawarze, o długiej podróży Batoora autostradą, o tym, jak zimne są strumyki nocą i jak ciepłe w ciągu dnia. Batoor często musiał zbaczać z drogi, żeby ominąć policyjne punkty kontrolne. Chłopcy złapani przy drodze często ładowali w więzieniu, bo po prostu nie było co z nimi zrobić.

Gdy już pogadaliśmy przy stole, ojciec pozwolił Batoorowi pobawić się radiem. Zdjął tylny panel i pokazał mu wnętrze urządzenia. Chłopiec zaskoczył nas zwinnością swoich pokaleczonych rąk. Było widać, że pracując w warsztatach broni, nauczył się szybkiego przebierania palcami. Shams powymował części i poukładał je w rzędzie, a Batoor poskładał radio w dwie minuty. Potem zaczęliśmy przeskakiwać po stacjach, bawić się anteną i na pewien czas zatraciliśmy się w muzyce. Z goszczącym w kuchni Batoorem czułam się bogata; poczęstowaliśmy go orzechami nerkowca, pistacjami i kebabem z pieczonego mięsa. Ojciec powiedział mi, że istnieją szkoły, w których uczą konstruować takie rzeczy, jak radio, i że Batoor mógłby się do niej zapisać, nawet jeśli nie potrafi przeliterować swojego imienia, czego też go przez chwilę uczył. Batoor słuchał różnych stacji, zajęty grzebaniem przy innym urządzeniu, które poskładał ojciec. Przytaknął milcząco i rozejrzał się po naszym małym, dwupokojowym domu, jakby był pałacem. W świetle lampy jego spojrzenie złagodniało i wydawało mi się, że ujrzał cień marzenia, o którym już dawno zapomniał.

Ojciec zaoferował, że zapyta mułłę w meczecie, czy nie pomógłby znaleźć chłopcu szkoły. Nagle Batoor oderwał ręce od urządzenia, wstał i powiedział, że na niego już czas, jakby obawiając się, że za późno wróci do domu. Nie odpowiedział na propozycję ojca, jakby jej nigdy nie słyszał. Nawet nie dał ojcu szansy, żeby ją powtórzył – po prostu otworzył drzwi i wybiegł w purpurową noc.

Jeszcze długo po tym, jak Batoor zniknął, ojciec patrzył za nim, ściskając mnie za ramię. Staliśmy oboje w progu, czując na plecach ciepło domu i słysząc dobiegające z radia delikatne dźwięki pianina, a przed sobą mając wyboistą drogę. Ojciec kazał mi szeptem obiecać rzeczy, których nie rozumiałam – że bym nie włączyła się z Batoorem i innymi chłopcami, że bym nigdy nie zapuszczała się samotnie w uliczki,

żebym nigdy nie ufała żadnemu mężczyźnie ani nigdzie z nim nie szła. Powiedział, że jeśli będę potrzebowała rupii, wystarczy poprosić. Wpatrywał się w mrok, jakby mógł jeszcze dostrzec mojego bosego przyjaciela. Przeczuwałam, że przez najbliższe dni nie zobaczę kolegi z Peszawaru, a kiedy znowu się zjawi, będzie miał przystrzyżone włosy i doskonale spiłowane paznokcie. A jeśli mu się poszczęści, może i nową parę butów. Będzie tak szczęśliwy, że nawet się nie odezwie. Ojciec spojrział na mnie. Nasze sylwetki rysowały się w ciemności. Chciałam wiedzieć, dlaczego nie zapytał chłopca o jego historię, jak robił to w przypadku innych gości. W końcu pierwszy raz przyprowadziłam do domu taki skarb.

– Batoor i tak przeżył o 1000 lat za dużo. Poprosić go, żeby opowiedział swoją historię, to tak, jakby kazać mu przeżyć kolejne 1000.

Następnego dnia znowu zjawiłam się w meczecie z siostrą i pustym wiadrem. Ayesha w swoim nieskazitelnym czadorze poszła odnaleźć swoją grupę, a ja umyłam się i pomodliłam. Lubiłam czasem poszwendać się po meczecie, jakby moja dusza wymagała napełnienia. Stałam pod ogromną centralną kopułą. Białe sklepienie nade mną zdawało się sięgać nieba, a rozmieszczone dookoła okna w kształcie półksiężyca świeciły niczym tuzin słońc. Wierzyłam, że mieliśmy tam zobaczyć niebo. Zanim uklękłam, zwróciłam się w kierunku wgłębienia z czarnego marmuru w mihrabie, wskazującym wiernym *kibla*, kierunek, w którym powinni się modlić.

Gdyby komuś udało się przejść przez to wgłębienie jak przez tajemne drzwi i poszedłby dalej, dotarłby do świątyni Al-Kaba w Mekce. Zapomniałam odłożyć wiadro w pokoju ablucji i pomyślałam, że powinnam wrócić i postawić je na ławce. Usłyszałam wtedy za mną chrząknięcie, a gdy się obróciłam, ujrzałam uśmiechniętego mułłę w długiej szacie i białym turbanie – nie poznawałam go, mimo że prawie codziennie odwiedzałam meczet. Pachniał świeżym mydłem, tak jak Batoor i inni chłopcy. Wycierał dłonie w białą tkaninę. Bez słowa skinął na moje wiadro i kazał mi iść za sobą.

Poszliśmy więc. Udaliśmy się pustym korytarzem – on wręcz po nim sunął, jak na świętego przystało, a ja człapałam w przydużych sandałach. Z jakiegoś powodu poczułam brud we włosach i na rękach, skóra mi cierpła, mimo że porządnie wyszorowałam się w umywalni. Nie szliśmy w kierunku pokoju ablucji, nie szliśmy nigdzie, gdzie już wcześniej bym była. Mułła zaprowadził mnie do sąsiedniego budynku, kazał mi zostawić wiadro pod drzwiami, które otworzył ciężkim mosiężnym kluczem. Słyszając otwierane zamki, czułam, jak wali mi serce. Wewnątrz wszystkie zasłony były szczelnie zaciągnięte,

z wyjątkiem jednej, przez którą wpadała wąska smuga światła. Znajdowało się tam imponujące biurko, lśniący rubinowo jedwabny dywan, a w drugim końcu długa otomana przykryta poduszkami. Ledwo dostrzegłam parę przewróconych na bok chłopięcych butów.

Ujrzałam cienką smugę pary unoszącej się spiralnie ze stojącej w rogu czerwonej filizanki. Do pokoju zawitał aromat herbaty Masala Chai, jakby przeniósł się w czasie wprost z mojego dawnego życia, by dotrzeć do mnie w tym konkretnym momencie. Tyle że teraz nie było Buddy, unoszącego się na wodzie kwiatu lotosu, krzyża na ścianie, obrazków ze świętymi ani półek uginających się pod księgami. Ani żadnej kobiety, która by się mną opiekowała, gdybym się rozplakała. Ani brata siedzącego mi na kolanach, chcącego wysłuchać historii. Cokolwiek się działo, działo się naprawdę. Jakże pragnęłam znaleźć się w zacisznym pokoju tej sąsiadki z ludu Saraiki, popijać herbatę i patrzeć, jak kobieta z plemienia Afridi usypia mojego płaczącego brata – pełna zaufania do uprzejmości nieznajomych. Słyszałam śpiew kobiety, a potem głos ojca objaśniającego mi tę scenę. Mój umysł chwycił się wspomnień niczym ostatniej deski ratunku. Stanie w gabinecie mułły, kiedy próbował przywabić mnie do siebie, było jak przekraczanie granicy koszmaru. W zimnym mroku przerażenia poczułam ciepłe ręce na głowie i usłyszałam głęboki, pewny siebie głos: „Nie lękaj się”. Później zdałam sobie sprawę, jakie to było dziwne, że mimo ogromnego strachu we własnym meczecie nie zaczęłam recytować *ajatów*, zamiast tego przywołując wizerunek kobiet siedzących w pokoju i proroka z mego snu. Już za samo to mułła mógł mnie wychłostać.

Mułła podszedł do biurka, a ja czaiłam się przy progu, czując za sobą rozpościerające się niczym ocean zimno meczetu. W gabinecie było tak gorąco, że ledwie dało się myśleć. Mułła grzebał w biurku, oblizując usta, jakby czuł pragnienie. W otwartej dłoni trzymał garstkę połyskujących jak złoto rupii. Nigdy w życiu nie widziałam tyle pieniędzy w jednym miejscu – wystarczyło po nie sięgnąć. Zachichotał i wspomniął o chłopcach, z którymi się bawiłam. Powiedział, że wielokrotnie widział nas razem i dobrze ich znał – wszystkich z wyjątkiem mnie, więc chciałby mnie poznać trochę lepiej. Usiadł na otomanie i gestem ręki kazał mi do niego dołączyć wśród tych puszystych karmazynowych poduszek. Przyglądał mi się w mroku – nie tylko twarzy, ale całemu ciału – i w tej chwili zdałam sobie sprawę, czego chce.

Jakby popchnięta ręką – ręką Boga, ręką ojca, ręką Jezusa Chrystusa, którego święty głos wciąż słyszałam w głowie – zaczęłam się cofać. Mułła

zmarszczył brwi i dalej mówił, pobrzękując błyszczącymi monetami i przesuwając dłonią po czerwonych zasłonach. Skinął na mnie jeszcze raz i kazał zamknąć drzwi. Następnie sięgnął gdzieś w mrok i wyciągnął świeży owoc granatu. W chłodnym powietrzu korytarza sięgnęłam po wiadro i tak mocno szarpnęłam za rączkę, że metal uderzył o ścianę. Po całym meczecie rozszedł się brzęk przypominający dźwięk zepsutego dzwonu. Zatrzymałam się, stanęłam twardo i powiedziałam to, co musiałam powiedzieć, zanim rzuciłam się do biegu:

– Jeśli będę potrzebować rupii, poproszę ojca, jeśli będę chciał owoc, też mi go da. Wejść mi w drogę jeszcze raz, a przysięgam, że cię zabije.

Puściłam się korytarzem, mijając salę modlitw, przemykając pod niebiańską kopułą i obok filarów. Wybiegłam głównym wejściem, upuszczając wiadro, czego nawet nie słyszałam. Po prostu biegłam, nie zatrzymując się ani razu.

Gdy tylko znalazłam się na zewnątrz, dopadł mnie brud i hałas. Stałam na ulicy, połykając powietrze, jakby było czystą wodą, której ani kropli nie miałam w ustach od wielu dni. Myślałam, że moje płuca zapomniały, jak powinny pracować; nie potrafiłam złapać oddechu. Po drugiej stronie ulicy ujrzałam kilku znanych mi chłopców. Jeden z nich miał na sobie wyprasowaną koszulę i nowe buty. Nie zauważyli mnie. Szukałam Batoora, ale nie było go wśród nich. Wiedziałam, że niecałe dwie minuty wcześniej znajdowałam się o krok od mrocznego świata tego chłopca. Nie czekałam, aż mnie zobaczą. Pobiegnęłam, czując na ramieniu dłoń ojca i słysząc jego głos w uszach. Każde słowo przeszywało mnie na wylot.

– Batoor i tak przeżył o 1000 lat za dużo.

ROZDZIAŁ 9

BĘDZIESZ JADŁ BŁYSKAWICE

Życie w Darra Adam Khel stało się zbyt niebezpieczne, załadowaliśmy więc raz jeszcze ciężarówkę i wyruszyliśmy w poszukiwaniu spokoju. Patrzyłam z otwartej paki pojazdu pędzącego autostradą Indus na krętą dolinę wielkości morza. Kiedy ujrzałam metropolię wyłaniającą się gęstym skupiskiem wysokich budynków, pomyślałam, że z Peszawarem należy się liczyć. I miałam rację. Od samego początku musiałam walczyć, żeby znaleźć swoje miejsce, bo nie miałam tam gdzie biegać i nikogo nie znałam. Był rok 2001, miałam ledwie dziesięć lat i wrażenie, że pozostawiając za sobą piękne ziemie mojego plemienia, porzucam także swoje dzieciństwo.

Ojciec przed wyjazdem opisał Pasztunchwę, stolicę prowincji Chajber, jako pierwsze prawdziwe miasto, które ujrzę w życiu. Według starożytnych tekstów Parsów region ten był szóstym najpiękniejszym miejscem na ziemi, co musiało być prawdą w czasach, gdy był on klejnotem schowanym przy wschodnim krańcu Przełęczy Chajberskiej. Teraz zdominowały go pozbawione duszy budynki, jak gdyby dolina wydała bezkresny las ogromnych, bezbarwnych, uschniętych drzew wyłaniających się z bladożółtej mgły. Ojciec opowiadał nam o koledżach, nowoczesnych szpitalach, targach i parkach. Przenosiliśmy się tam w pogoni za rzeczami, których nie mogliśmy znaleźć na obszarach zamieszkałych przez nasze plemię: dobrymi szkołami, opieką medyczną, stabilną pracą i miejscem z dala od broni, czyli lepszym życiem. Brzmiało to zbyt dobrze, żeby mogło być prawdziwe. I może tak było. Gdy zjechaliśmy z autostrady na drogę Kohat, ujrzałam imponującą miejską dżunglę. Kiedy dotarliśmy do centrum miasta, ulice Peszawaru gniewnie brzęczały gęstym ruchem ulicznym, a strome ściany budynków ciągnęły się przez mile. Miasto zdawało się nie mieć końca. Pomyślałam sobie, że jeśli mu na to pozwolę, połknie mnie w całości.

Nasz nowy dom znajdował się w liczącym kilka pięter otynkowanym budynku o spłowiałym kolorze musztardy. Pamiętam, jak stanęłam przed nim z wyciągniętą szyją, oczarowana jego wielkością i licznym oknami zdobiacymi

fasadę. Czułam się, jakbym miała zamieszkać w wielkim plastrze miodu. Wzdłuż naszego bloku ciągnął się zatłoczony spieszącymi się ludźmi chodnik, pełen straganów z owocami, na których można było kupić cytryny, pomarańcze, limety, mango – wszystkie ułożone w kształt piramidy. Gdy tylko ktoś kupił jakiś owoc, sprzedawcy szybko odbudowywali ten wzór. Po ulicy jeździły motoriksze oraz samochody, których było tak wiele, że niemal stykały się zderzakami. W mieście panował gwar jak w ulu.

Przy krawężniku stał żyłasty nastolatek, obserwując, jak wyładujemy torby i skrzynie. Podskoczył do nas, wyciągając zrogowaciałą dłoń. Od razu zauważyłam, że na nadgarstku miał szereg chropowatych ran, co oznaczało, że jest uzależniony od heroiny. Wydawało się, że w Peszawarze narkomani i bezdomne dzieci są wszędzie. Ojciec skinął dłonią i wręczył mu małą monetę, obiecując, że jeśli pomoże nam wnosić dobytek do domu, dostanie kolejną. Jako że w mieszkaniu nie było miejsca dla kurczaków, przywieźliśmy ze sobą tylko ubrania, książki, pamiętniki matki, dwa wiatraki i rower ojca.

Przez pierwsze kilka tygodni miałam problemy, żeby odnaleźć się w Peszawarze. Przyjechaliśmy z równin, gdzie punktami odniesienia były zjawiska naturalne: szczyty gór, zakola rzek, drzewa akacjowe, głązy, pola słoneczników, porzucone gniazdo orła. Wystarczyło spojrzeć, gdzie jest słońce, a już wiedziałam, jaką mamy porę dnia. Teraz czułam się zagubiona w chaotycznej siatce domów i ulic. Ojciec dał każdemu z nas plan miasta i zegarek. Ale ja nie chciałam żadnego z nich – chciałam powrócić do doliny. Pragnęłam znowu ujrzeć Indus, oddychać czystym powietrzem i biegać boso po dachach i polach.

Mieszkanie było czyste i praktyczne. Mieliśmy prawdziwą łazienkę, przyjemną kuchnię z szafkami, dwie sypialnie i pokój gościnny z rozkładaną kanapą, na której spali rodzice. Taimur i bliźniacy dzielili jedną sypialnię, a Ayesha i ja drugą. Rodzeństwo szybko dostosowało się do miejskiego życia, dając się pochłonać szkolnym lekcjom. Początkowo uczyłam się w domu, ale zajęci pracą w szkole rodzice nie mieli czasu na moją edukację. Przez większość dni siedziałam pośród czterech ścian, gapiąc się przez okno i czekając, aż ktoś wróci. Kiedy otworzyło się okno, miejski żar i hałas wlewały się do środka. Dziwnie się czułam, żyjąc ściśnięta pomiędzy piętrami, wiele metrów nad ziemią. Na zewnątrz widziałam tylko inne budynki, nie mogłam wystawić twarzy do słońca. Czułam, że się duszę. Czasami płakałam do poduszki. Często myślałam o ucieczce i powrocie do Darra Adam Khel, gdzie mogłabym znów się włóczyć z procą po górach.

Rodzice zauważyli, że w Peszawarze stałam się posępna i wybuchałam z byle powodu. Miotalam się po pokojach niczym zwierzę złapane w sieć. Przeprowadzka do miasta podcięła mi skrzydła.

Rządowa rada szkolnictwa, której siedziba znajdowała się w mieście, wysyłała matkę na kursy i na zajęcia w całym rejonie. Ojciec często dojeżdżał na tereny wiejskie, by uczyć w różnych szkołach. Przez kilka pierwszych tygodni matka zabierała mnie i Ayeszę rozklekotanym kolorowym autobusem z ławkami do szkoły dla dziewcząt, w której tymczasowo nauczała. Wycieczka niemrawym szkolnym pojazdem była radosna i głośna, wypełniona szczebiotem dziewcząt, podczas gdy ja siedziałam cicho między matką a siostrą. Co jakiś czas kilka uczennic odwracało głowy i się na mnie gapiło.

W Peszawarze na życzenie rodziców znów próbowałam być Marią i chodzić do szkoły w ciemnej, gryzącej sukience oraz woalu zasłaniającym głowę i ramiona. Żeby móc uczyć się w placówce dla dziewcząt, musiałam ubierać się jak one, a na tym etapie jedyną formą zapewnienia mi ciągłości edukacji była szkoła. Taimur dostał się do dobrej szkoły średniej na drugim końcu miasta, a Ayesha miała przed sobą jeszcze dwa lata szkoły podstawowej. Bliźniaki chodziły do przedszkola, niedaleko domu.

Wkładając na siebie wełnianą tunikę każdego ranka, czułam się, jakbym zakładała czyjaś niepasującą na mnie skórę. Wciąż miałam krótkie włosy i twarde mięśnie. Z powodu sukni na mojej skórze pojawiła się bolesna wysypka. Po wielkich, kwadratowych dłoniach widać było, że lubiłam rzucać kamieniami i strzelać z procy. Nie minęło dużo czasu i inne dziewczęta zaczęły mnie mierzyć wzrokiem, kiedy tak siedziałam ściśnięta w ławce, próbując skupić się na lekcji. Zaczęły krążyć plotki, że jestem chłopcem. Ale jako że byłam dzieckiem nauczycielki, nikt nie powiedział ani słowa, po prostu zachowywały się, jakby mnie tam nie było. I tak naprawdę miały rację, bo spędzałam długie, męczące dni w szkole, uciekając w świat marzeń, gdzie spacerowałam głębokimi, żyznymi górskimi dolinami, pijąc wodę ze strumyków. Nie interesowała mnie nauka z podręczników ani czytanie z tablicy. Pokochałam naukę w domu i nie wyobrażałam sobie nabywania wiedzy w inny sposób. Matka uczyła mnie w ciepłej kuchni, a ojciec w cieniu owocowych drzew, na chłodnej posadzce w naszym pokoju lub na spacerach po kamienistych równinach. Ayesha codziennie odwiedzała mnie w klasie i zawsze kręciła przy tym głową. „Współczuję ci, Mario, nie pasujesz tu” – mawiała. I miała rację. Nie pasowałam tam i nie potrafiłam niczego sobie przyswoić. Ojciec więc zabrał mnie z tego więzienia, uczył, kiedy tylko mógł,

i znalazł mi inne zajęcie.

Moim nowym zadaniem było załatwianie rodzinnych spraw: kupowanie jedzenia, szkolnych przyborów, lekarstw, artykułów sanitarnych, gazet, książek. Wszystkiego, czego potrzebowaliśmy. Musiałam poznać miasto jak własną kieszeń, czego udało mi się dokonać w ciągu kilku miesięcy. Kiedy już orientowałam się w mieście, ojciec pozwolił mi zabierać Sohraba z doczepionymi po bokach sakiewkami i dzwonkiem przy kierownicy. Uwielbiałam gnać asfaltowymi ulicami, lawirując w miejskim ruchu, dogadywać kierowcom, dzwonić dzwonkiem, ignorować światła drogowe, znaki, przed nikim i niczym się nie zatrzymując. Ubrana w szorty i T-shirt mocno pedałowalam, podskakując na dziurach. Białe budynki rozmywały się po bokach, kiedy mijałam stare bramy, place zabaw i stadiony wzdłuż kanału rzeki Kabul. Ale za każdym razem, kiedy wsiadałam na rower, myślałam o ucieczce z Peszawaru wprost na długą drogę wiodącą do dzikich ziem naszego plemienia.

Ojciec mógł mnie wysłać po przeróżne rzeczy: pastę do zębów, żyłki albo kiść bananów. Pewnego popołudnia kazał mi kupić torbę mąki. Zdawałam sobie sprawę, że zwykle wysyła mnie tylko po to, żebym gdzieś się wyrwała. Jeśli nie potrafił wymyślić pretekstu, to po prostu kazał mi jechać w jakieś miejsce: do pięknych ogrodów Ali Mardan Chan, do Starego Peszawaru pełnego wąskich, pachnących przyprawami alejek, skąd wróciłam przesiąknięta aromatem szafranu i goździków. Raz ojciec wysłał mnie z notesem i ołówkiem na przejażdżkę szlakiem zabytków, wśród których znajdował się zbudowany przez Mogołów most Bara i wieża z zegarem Cunningham wzniesiona przez Anglików. Ale ostatecznie pomysły mu się skończyły i znowu zaczęłam szaleć.

Zaczęło się przy bramie Kabuli, najwspanialszej spośród 16 bram, które niegdyś wiodły do starego miasta. Przebiłam oponę na kawałku złamanej rury i musiałam zatrzymać się przy krawężniku, spocona i zasapana, żeby ją załatać. Gdy naprawiłam oponę, wciąż nie mogłam uspokoić oddechu. Usta mi spierzchły, a serce waliło jak młotem. Pocierałam skronie na przekór hałasującym samochodom, motorynkom i ciężarówkom. Tego dnia jeszcze bardziej niż zwykle nienawidziłam miasta. Byłam spragniona, a w manierce nie zostało już ani kropli wody, nie miałam też pieniędzy poza tymi przeznaczonymi na mąkę, po którą wysłał mnie ojciec. Jeśli w mieście nie miało się rupii, nie miało się niczego. Nie było jak na wsi, gdzie wodę można pić ze strumyków, a owoce spadały z drzew prosto w dłonie.

Znajdowałam się w samym sercu starego Peszawaru. Kamienne mury dzieliły go na trzy dzielnice – Sard Chah, Gunj i Dhaki Nalbandi. Nie pamiętam, w której byłam tego dnia, gdy zaczęli mnie śledzić jacyś chłopcy. Kiedy pierwszy mnie zawołał, obejrzałam się i wsiadłam na rower. Wtedy kilku innych także wsiadło na rowery. Musieli czatować na jakąś ofiarę. Jeden z nich zaczął biec i nagle wyłoniła się ich cała chmara. Poczawszy ich oddechy na plecach, nacisnęłam mocniej pedały, pompując nogami niczym tłokami. Słyszałam ich krzyki. Chcieli mi coś zabrać – zegarek, buty albo Sohraba. Wiedziałam, że cały sport polega na zabieraniu. Ale rzucając się w pościg za mną, nie mieli pojęcia, jak byłam silna. Dotarło do mnie, że są słabymi miejskimi chłopcami, którzy spędzają całe dnie na szlajaniu się po ulicach. Wystarczyło obejrzeć się przez ramię, by przekonać się, że mogłabym powalić ich wszystkich za jednym razem. Chciałam tego. Zjechałam w boczną alejkę, zatrzymałam się i zsiadłam z roweru.

W powietrzu unosił się smród miejskich ścieków. Chłopcy zatrzymali się obok mnie. Jeden czy dwóch bez słowa zsiadło z rowerów. Któryś krzyknął coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Nie odpowiedziałam. Doszłam do wniosku, że najsilniejszy z nich wyjdzie przed szereg. Nietrudno było go dostrzec, bo zawsze był to samiec alfa grupy. W Darra Adam Khel samcem alfa byłam ja.

Chłopiec, który do mnie podszedł, był o głowę niższy, ale przysadzisty niczym worek cementu. Wielkie ręce, szerokie ramiona, mógł się dobrze bić. Musiałam być szybka. Wymieniliśmy kilka ciosów. Próbował coś mi zabrać. Prawdopodobnie zegarek. Nie pozwoliłam mu na to. Zamiast tego trochę go przydusiłam, żeby go przestraszyć. Pozostali patrzyli, krzyczeli, robili zakłady. W Darra wielokrotnie byłam świadkiem takiej gry o męską dominację.

W kilka sekund na wąskiej, mrocznej alejce zapadła cisza. Słyszałam wodę kapiącą z rury za mną i znowu poczułam pragnienie. Byłam spokojna. Serce biło mi regularnie. Stałam otoczona przez nieznanymi mi chłopców z rowerami. Ich przywódca podszedł bliżej, zwinęłam palce w pięść. Przez chwilę gapiliśmy się na siebie, gotowi do walki. Skinął głową, nie odrywając ode mnie wzroku, i splunął mi pod stopy. W ten sposób chciał mnie sprowokować.

Nie myślałam o tym, co dalej zrobiłam. Wiedziałam jedno – nikt nie może mnie pokonać, ani tam, ani nigdzie indziej. Odciągnęłam ramię, zamachnęłam się i strzeliłam go pięścią w szczękę. Krzyknął, głowa mu odskoczyła, ale szybko wrócił do pionu, stanął twardo i uderzył mnie prosto w zęby. Poczulałam

poluzowany ząb i ciepłą krew, docisnęłam językiem ząb do dziąsła. Zwarliśmy się, mocując ramię w ramię, czoło w czoło, warcząc na siebie jak ścierające się byki. Dość szybko stracił siły. Wystarczyło, że delikatnie osłabił uścisk, a ja go przydusiłam i powaliłam na ziemię, jednym kolaniem wbijając się w glebę, a drugim go przytrzymując. Dyszał, gdy zaciskałam ramię wokół jego szyi. Czułam nierówne bicie jego serca. Jego pot śmierdzał kwaśno.

Chłopcy jeden po drugim uciszyli się, wsiedli na rowery i powoli odjechali. Koniec przedstawienia; patrzyłam na ich plecy. Wciąż mocno go trzymałam, czekając, aż ostatni zniknie za rogami. Gdy wreszcie zostaliśmy sami, puściłam go, a on upadł pod moimi nogami. Z trudem łapiąc powietrze i trzymając się za posiniaczoną szyję, wpatrywał się w ziemię. W koszu rowerowym miał butelkę z wodą, więc wzięłam ją i pociągnęłam długi łyk. Następnie podeszłam do niego i wylałam resztę na jego brudną, spoconą głowę. Czułam się dobrze, stojąc nad nim, widząc jego słabość. Nie traktowałam tego dyszącego dzieciaka jak osoby: w pierwszej rundzie pokonałam Peszawar, ale czułam, że będą następne.

*

Weszłam do domu z krwią kapiącą mi z ust, udając, że nic się nie stało, powoli zdjęłam sandały i odłożyłam do szafki. Ojciec przyjrzał się moim spuchniętym wargom, kiedy wręczałam mu torbę mąki, po którą mnie wysłał, i pokiwał głową. Chyba wierzył w to, że podczas mojej pierwszej walki w dużym mieście coś z siebie wyrzuciłam, ale cokolwiek to było, zdążyło przeniknąć do moich żył. Lubiłam podniecenie towarzyszące walce. Uwielbiałam też wygrywać.

– Co dziś robiłeś, Dzyngis-chanie? Walczyłeś z hordą nacierających Mongołów?

– Coś w tym stylu, Baba.

– W takim razie mam albo dobre, albo niefortunne wyczucie czasu.

Powlekłam się za ojcem do pokoju gościnnego, starając się zapomnieć o sińcach na twarzy. W rogu ujrzałam telewizor i magnetowid. Ojciec zawsze znalazł jakiś sposób, żeby wypożyczyć sprzęt i kasety, czasami przynosił do domu w papierowej torbie nawet siedem kaset. W wolne weekendy cała rodzina siadała wśród rozrzuconych koców i poduszek na podłodze naszego małego mieszkania i oglądała filmy. Czasami oglądaliśmy programy ze Stanów

Zjednoczonych. Nie mam pojęcia, gdzie znajdował takie rarytasy. Moim ulubionym był serial *CHiPs*: opowiadał o policjantach z drogówki z niewiarygodnie białymi zębami, którzy jeżdżą po Kalifornii motocyklami i zwalczają przestępców. Wyschnięte wzgórza otaczające Los Angeles wyglądały jak piękne brązowe zbocza wokół Darry. Ojciec wsunął do magnetowidu kasetę z filmem *Rocky*, wcisnął PLAY i uśmiechnął się do mnie, szczerząc zęby. Nie wiem, czy chciał, żeby Rocky Balboa stał się moim bohaterem, ale kiedy ten stanął do walki z Apollem Creedem, było już za późno. Zostałam kupiona. Natychmiast poczułam więź z silnym bohaterem mocującym się ze swoimi demonami o uznanie w bezdusznym mieście. Robił na ringu to, co ja robiłam na ulicy. Ojciec miał rację, miał doskonałe wyczucie czasu.

Świat filadelfijskich slumsów Rocky'ego Balboi nie różnił się od mojego świata. Byłam nieszczęśliwa w Peszawarze i dostrzegałam tylko skazy tego miasta: dziurawe drogi, zapuszczone bramy, zniszczone krawężniki, śmieci wylewające się z kontenerów, przepełnione autobusy i dotkliwy brak jakiegokolwiek zieleni. Można było przejść milę i nie ujrzeć żadnego drzewa. Nic nie było w stanie stłumić mego gniewu wobec miasta za to, że czułam się w nim jak w klatce. Peszawar stał się moim Apollem Creedem, którego musiałam rozgromić, choć się go obawiałam – miasto było dla mnie za duże. A kiedy Rocky Balboa przemówił na ekranie, miałam wrażenie, że mówi do mnie. Jego słowa, które musiałam odczytać z napisów, sprawiły, że serce zabiło mi szybciej:

Powiem ci coś, co już wiesz. Świat to nie tylko słońce i tęcze. To niezwykle surowe i paskudne miejsce. Nieważne, jak jesteś mocny, i tak powali cię na kolana i będzie cię tam trzymać, jeśli mu na to pozwolisz. Ani ty, ani ja, ani nikt inny nie potrafi uderzać tak mocno, jak życie. Ale nie chodzi o to, jak mocno uderzasz, ale jak mocno możesz oberwać i przeć dalej przed siebie.

A ja zawsze parłam przed siebie, z miasta do miasta, z doliny do doliny, z dzielnicy do dzielnicy; mijałam meczety, świątynie, szpitale, szkoły, getta, obozy afgańskich uchodźców, zapuszczone uliczki starego miasta. Gdy następnym razem wsiadłam na Sohraba, jak Rocky Balboa udałam się w poszukiwaniu bójki. I nie musiałam jej długo wypatrywać.

Nie miałam swojego gangu i nikt mnie do żadnego nie zapraszał. Pognałam rowerem głównymi arteriami Peszawaru wprost na obrzeża, gdzie ruch był mniejszy. Oczami wyobraźni jechałam przez Filadelfię, sprawując władzę nad ulicami. Widziałam przed sobą sceny z filmu, który obejrzałam już

kilkakrotnie – Rocky Balboa boksujący wiszące mięso zamiast worka treningowego, dostający ciosy w twarz i wracający po więcej.

Na obrzeżach miasta minęłam grupki szlajających się młodych mężczyzn. Niektórzy byli Afgańczykami nudzącymi się w oczekiwaniu na oficjalne przyznanie statusu uchodźcy. Organizacja Narodów Zjednoczonych dopiero co przyznała to miano ludziom uciekającym przed wojną ze Związkiem Radzieckim, mimo że wielu z nich należało do uchodźców już od ponad dekady. Inni przybyli do Peszawaru, uciekając przed talibami, którzy przejęli władzę po drugiej stronie linii Duranda. Ojciec pokazał mi zdjęcia ogromnego obozowiska Jalozi – oceanu prowizorycznych szop i namiotów rozstawionych na jałowej ziemi 30 kilometrów od Peszawaru. Wzniesiony przez ONZ nowy obóz Shamshato znajdował się 25 kilometrów od miasta, przy drodze gruntowej w dziczy, a władze były właśnie w trakcie przenoszenia ludzi z jednego obozu do drugiego. Widziałam długą drogę prowadzącą prosto do obozu oraz wzniesione tumany żółtego kurzu ciężarówka z wodą, a potem ludzi zmierzających w stronę miasta w poszukiwaniu pracy lub jedzenia. Patrząc w pustkę ich twarzy, pomyślałam, że nie trzeba być martwym, żeby nie być żywym. Baba mówił: „Biurokracja zabija więcej ludzi niż kule”. I miał rację.

Skręciłam w małą osiedlową uliczkę, przy której na sznurach suszyło się pranie. Przez otwarte okna słychać było płacz dzieci, gdzieś beczał baran. Nie wiedziałam, że jestem śledzona – możliwe, że już od kilku godzin. Od kiedy pokonałam tego chłopca, znalazłam się na celowniku. Wiedzieli, gdzie mieszkam, i czekali na mnie. Jak miałam się przekonać, miejski labirynt Peszawaru pełen był podstępnych ulicznych gangów. A jeśli obrali sobie kogoś na cel, nie było ucieczki. Bijąc jednego z nich, wywołałam wojnę.

Niektóre uliczki w starej części miasta nie należały do nikogo. Wiele budynków – obskurnych parterowców i sklepów – było w ruinie. Wzdłuż krawężników zalegały śmieci. Kilku starszych mężczyzn siedzących pod markizą na mój widok w milczeniu schowało się w środku, jakby wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałam. Postawiłam nogę na chodniku i spojrzałam w pasek błękitnego nieba, akurat gdy przecinał je ptak.

Poczułam, że ktoś jest za mną, i nagle powietrze się zmieniło. Ręce ześliznęły mi się z kierownicy. Ujrzałam jego postać z twarzą zasłoniętą chustą w szachownicę. Wyraz jego oczu powiedział mi wszystko: nie chciał żadnej materialnej rzeczy, którą miałam, chciał mnie. Na ulicę powoli wylegli inni chłopcy – na rowerach lub pieszo. Kilku wyszło z domów tylko po to, żeby

popatrzeć. Mieli butę, gdyż wiedzieli, że są na swoim terenie. Szybko zaczęłam ich liczyć, ale przestałam, gdy doszłam do dziesięciu. Jeden z chłopców był tak blisko, że czułam jego zalatujący kminkiem oddech. Spokojnie podeszłam do obdrapanej ceglanej ściany, oparłam o nią rower i wróciłam. Byłam opanowana – nie wiedzieli, że wcieliłam się w Rocky'ego. Tylko dlatego jeszcze tu byłam.

Pierwszy chłopak zaczął do mnie startować za to, co zrobiłam jego bratu. Nie miałam nic do powiedzenia, to jego brat zaczął, a nie ja. Wzruszyłam więc ramionami i dalej milczałam. Dwóch obeszło mnie z obu stron i domyśliłam się, że zamierzają mnie powalić serią kopniaków i ciosów. Ale wtedy mój przeciwnik podniósł dłoń, pokręcił głową i się odsunęli. W tej chwili poczułam się, jakbym naprawdę była Rockym – w ringu, gotowa do walki. Nie miałam nic do stracenia oprócz dumy, a to jedyna wartościowa rzecz – tylko duma utrzymała mnie na szczycie łańcucha w Darrze, a nie miałam powodu, by sądzić, że tu panują inne zasady. Ludzie obserwowali nas zza okiennic. Słyszałam ich głosy i przesuwane zasuwki. Pragnienie zwycięstwa przeszło mnie na wylot. Przez myśl przebiegł mi tekst z filmu. Może wypowiedziałam go w myślach, a może na głos, nie pamiętam: „Będziesz jadł błyskawice”.

Popchnął mnie mocno – jedną ręką, żeby mnie sprawdzić. Głośno westchnął. Popchnęłam go obiema dłońmi, prosto w klatkę piersiową, aż upadł. Runda pierwsza się zaczęła. Okładałam go po twarzy, a on mnie. Przez chwilę udawałam, że słabnę, obserwując, co zamierza, i tak bawiliśmy się ze sobą, obchodząc się dookoła, wyprowadzając kolejne ciosy. Wiedziałam, że będzie próbował mnie przydusić – pozostali chłopcy i jego brat musieli mu opisać, jak to wyglądało. Podchodził do mnie ze zgiętym ramieniem, usiłując założyć mi je na szyję. To go zgubiło – skoncentrował się na jednym ruchu, kiedy ja szukałam jego słabych stron. Każdy przeciwnik ma jakąś, trzeba ją tylko znaleźć i wykorzystać. Ojciec nauczył mnie tego dużo wcześniej, niż usłyszałam o przysłowiowej pięcie Achilleśa. Musiałam jedynie szybko złapać zgięte ramię, wyprostować je i obiema rękami pchnąć w drugą stronę niczym zawias, łamiąc mu ją w łokciu.

Jego staw wydał głuchy trzask, gdy go szarpnęłam. Trzymałam jego ramię mocno, rozważając następny ruch. Patrzyliśmy na siebie, jakbyśmy ujrzeni się pierwszy raz. Zauważyłam ból w jego czarnych oczach, oboje wiedzieliśmy, że jeśli będę chciała, mogę złamać mu rękę na pół. Wiedział, że jestem o krok od tego – posunę się centymetr dalej i będzie potrzebował gipsu. Jego wielkie, wilgotne oczy błagały mnie, żebym przestała, i tyle wystarczyło. Puściłam go,

rzucając na glebę niczym worek mąki. Bitwa skończona.

Z radia płynęła muzyka, słychać było perkusję i gitarę elektryczną. Pomyślałam o ojcu i co by powiedział, gdyby zobaczył mnie zakrwawioną, z rozciętą górną wargą. Z długiej, brudnej ulicy uszło całe powietrze, jakbyśmy je wyssali, wykorzystując każdy gram tlenu w czasie naszej walki. Wszystko trwało dość długo, może pół godziny. Nagle zrobiło się gorąco. Chłopcy zaczęli powoli, w milczeniu odjeżdżać na swoich rowerach i w zdartych butach, niczym widzowie po skończonym przedstawieniu, pozostawiając trzymającego się za łokieć towarzysza na ziemi. Tym razem zamiast rozpląnąć się w powietrzu, kilku z nich odwróciło się i skinęło mi głową. Cicha akceptacja, respekt – tylko tego potrzebowałam. Odwróciłam się, wyciągnęłam zakrwawioną dłoń, żeby pomóc wstać mojemu Apollowi Creedowi, poszłam po rower i poprowadziłam go wzdłuż ulicy.

Cegła trafiła mnie w głowę, rozcinając skórę z tyłu mojej czaszki. Trysnęła krew. Czułam ją. Stałam, chwiejąc się. Puściłam rower, który z łoskotem upadł na ziemię. Jedno koło się obracało. Upadłam na kolana. Koszulka na moich plecach nagle stała się lepka i ciepła, a ja pomyślałam o jednej rzeczy – o miodzie. Cała adrenalina towarzysząca walce nagle uszła z mego ciała. Czar Hollywood prysł. Przez chwilę myślałam, że chłopak uderzył mnie wystarczająco mocno, żeby zabić, ale wciąż czułam galopujące bicie serca. Początkowo ból nie płynął z rany, tylko wybuchł w żołądku i wzniósł się ku gardłu. Pochyliłam się i zwymiotowałam. Kręciło mi się w głowie, ale udało mi się dostrzec parę rozdartych trampek przede mną. A potem obraz zrobił się biały niczym w starym lampowym telewizorze, kiedy się go wyłączy. Upadłam na ziemię i zamknęłam oczy.

Po jakimś czasie udało mi się wstać i chwiejnie ruszyć w stronę domu. Pamiętam, że ujrzałam go w blasku zachodzącego słońca; odbijał się w licznych oknach, a ja nie pamiętałam nawet, jak się tam znalazłam. Jakimś cudem wciąż pchałam przy sobie rower. Kierownica pokryta była mieszaniną krwi, potu i brudu. Nawet nie chcę wiedzieć, jak wyglądałam, przestępując próg naszego mieszkania i wołając o szklankę wody.

Nie miało znaczenia, jak to się stało i gdzie. Ojciec chyba mnie nawet o to nie zapytał. Widział tylko krew. Wziął mnie pod ramię i zaprowadził na kanapę, oglądając mnie kończyzna po kończyźnie. Zadawał mi pytania: jak się nazywam, gdzie mieszkam, kazał policzyć od dziesięciu do jednego. Nikogo więcej nie było w domu. Rodzice często wymieniali się dniami wolnymi, tak żeby jedno z nich mogło zajmować się domem. W pokoju dziennym słychać

było tylko nasze pomrukiwanie. Zamknęłam oczy, kiedy ojciec mówił do mnie cicho, próbując jakąś tkaniną zatamować krew płynącą z rany. Nigdy nie zapomnę, jak brzmiał: jak młodsza wersja siebie, jak człowiek opiekujący się niemowlakiem.

W szpitalu lekarze zszyli mi ranę i podali środki przeciwbólowe. Zrobili mi badania i wypuścili do domu. Zanim wyszliśmy, ojciec wszedł do pokoju pobrań i stanął przede mną; krople krwi popłamiły jego biały *salwar kamiz*. Wyciągałam zaschnięte skrzepy krwi z włosów i starałam się na niego nie patrzeć. Było mi wstyd. Opowiadał mi o gniewie i o tym, jak powinnam nad nim panować. Znów był sobą, teraz, gdy jego córka została poskładana do kupy, mówił silnym barytonem. Kiedy skończył, wziął mnie pod ramiona i przycisnął do piersi, tak że słyszałam jego oddech i bicie serca. W tamtej chwili chciałam się zwinąć i w nim schować. Peszawar nie był moim domem – moim domem był mój ojciec. Nie chciałam niczego więcej.

– Mario, nie pamiętasz, co Rocky Balboa powiedział o tym, co robisz?

– Mówił wiele rzeczy. Głównie o wygrywaniu.

Zrobił krok do tyłu i lekko się uśmiechnął. Następnie dotknął mojej poobijanej twarzy.

– Musisz być idiotą... Musisz być idiotą, jeśli chcesz się bić.

ROZDZIAŁ 10

STOLICA IMPERIÓW

13 szwów mnie nie powstrzymało, tak jak nie powstrzymały mnie słowa ojca w szpitalu, choć początkowo starałam się z tym skończyć. Historia z rozbity przez cegłę głową szybko urosła do legendy wśród miejskich dzieciaków i wkrótce nie mogłam się opędzić od nowych rywali. Nagle każdy chciał walczyć z nowym Pasztunem. Nie miałam wyboru. Podporządkowywałam sobie chłopców jednego po drugim, przelewając tak mało krwi, jak to tylko możliwe.

Boks stał się moim nowym sportem, a także niezawodną metodą nawiązywania przyjaźni, a tego trzeba mi było najbardziej. Poprzez bójki biedni chłopcy z ulicy zbliżali się do siebie i chronili się nawzajem. Przekonałam się, że jeśli ktoś się wykaże, zostanie zaproszony do gangu. W ten sposób działał system i czekałam na swoją kolejkę. Jednocześnie bójki pomagały mi ugasić nienasycone pragnienie rozwijania siły fizycznej. Stałam się mistrzynią szybkich uderzeń prosto między oczy. Pierwszy cios otumaniał, a drugi posyłał na glebę – wystarczyło dziesięć sekund, czasem mniej, żeby zakończyć sprawę. Rozcinałam wargi, wybijałam zęby, łamałam nosy i już nigdy nie odwróciłam się do przeciwnika plecami. Sprowadzałam ich na glebę, ale nigdy się nad nimi nie znęcałam – taką złożyłam sobie obietnicę. Czasami walczyłam o pieniądze albo jedzenie, ale zwykle tylko po to, żeby wygrać. Nie tylko wygrać walkę, ale też zdobyć szacunek wśród członków gangu. Gangi nie różniły się bardzo od plemion i wiedziałam, że muszę do jakiegoś przynależeć, żeby przetrwać, skoro nie miałam gdzie się podziać. Po walce wyciągałam dłoń i pomagałam przeciwnikowi wstać, otrzepać plecy, wymienialiśmy uprzejmości i udawaliśmy się na targ, gdzie, jeśli starczyło mi pieniędzy, kupowałam mu na zgodę mango. Nie chowałam żadnej urazy.

Wkrótce grasowałam po okolicy z gangiem dziesięciu chłopców, których w komplecie pobiłam. Zostałam zaakceptowana i stałam się jednym z nich. Wszyscy mieliśmy ksywy i mówiliśmy naszym slangiem. Zabierali mnie z jednego krańca miasta na drugi. Ludzie nazywali nas bandytami, ale nie

łamaliśmy prawa – co najwyżej kradliśmy kawałek chleba naan. Nikt z nas nigdy nie zadawał pozostałym osobistych pytań, co bardzo mi się podobało.

W lipcu, kiedy nadciągała letnia burza, odbyłam moją ostatnią walkę na ulicy gawędziarzy, Qissa Khawani. Powinnam była się spodziewać, że ojciec będzie tędy przechodził, gdyż często kupował tu książki. Czarne niebo i wzbierający wiatr zapowiadały dziesięciodniową ulewę. Ludzie tłoczyli się na bazarze, robiąc na ostatnią chwilę zakupy: baterie, naftę, mąkę i ryż basmati. A w przypadku ojca: książki, magazyny i amerykańskie filmy.

Stałam w bocznej uliczce między blokami. Powietrze było tak wilgotne, jakbyśmy żyli w wielkiej chmurze. Na dachach i barierkach gromadziły się stada czarnych wron; siadały tuzinami na biegnących we wszystkie strony drutach elektrycznych. Krakały o czymś niepokojąco. Ich nieustępliwy wrzask potrafił doprowadzić do szału, a jeden z chłopców zaczął wrzeszczeć na nie, nazywając je krzykliwymi niewiernymi, kopał w słupy, żeby je przepłoszyć, a kilka zestrzelił za pomocą procy. W tej chwili zdałam sobie sprawę, że czai się tu jakieś zło. Siostra nazwałaby tę scenę omenem, a matka powiedziałaaby, że to, co miało nastąpić, było mi pisane – może obie miały rację.

Mój przeciwnik był postawnym Afgańczykiem z rękami jak bochny. Przyznał, że został wysłany z misją, żeby mnie powalić. Doszłam do wniosku, że jest członkiem rywalizującego gangu. Mówił mi o swojej nieustraszonej ekipie z obozu dla uchodźców. Staliśmy naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Nic nie mówiłam, nie mrugnęłam okiem – jak zwykle. Nagle ptaki zaczęły potwornie skrzeczeć, a ja odciągnęłam rękę i wyprowadziłam szybkie ciosy – jeden, drugi. Trafiły w powietrze. Może zamrugał, ale byłam zbyt zaskoczona, żeby zwrócić na to uwagę. Stał dalej, szczerząc zęby. Zacisnęłam pięści i wyprowadziłam mocniejsze ciosy – jeden, drugi – ale nie sięgały celu. Raz, dwa. Tym razem trafiłam, ale knykcie trzasnęły mi niczym łamany patek. Równie dobrze mogłam przywalić w mur.

Nie musiałam długo czekać na cios – zamachnął się i po chwili świat rozmył mi się przed oczami. Nagle rozległo się uderzenie pioruna i lunął na nas deszcz, jakby pękło niebo, zalewając ulice Peszawaru ciepłym morzem. Ledwie cokolwiek widziałam. Przeciwnik znalazł się na mnie, a ja poczułam, że upadam plecami na ziemię. Tarzaliśmy się po chodniku, walcząc jak psy. Afgańczyk wykorzystał swoją wagę, żeby mnie przyszpilić; nieważne, jak bardzo się rzucałam, byłam w potrzasku. Trzymałam ramiona w górze, osłaniając twarz, czułam, jak raną na głowie ocieram się o mokrą ziemię, ale zrośnięta skóra nie puszczała. Ptaki zerwały się do lotu, czarną chmurą

zasłaniając ciemniejące niebo, po czym się rozproszyły. Przez moment dostrzegłam czyste piękno ich ucieczki i bezsens tego, co robiłam. Po chwili przeszłam do kontrataku, szarpiąc go za włosy.

Wtedy zjawiał się ojciec. Zatrzymał się i przyglądał się nam. Mógł z oddali usłyszeć tłum skandujący spod markiz i parasoli. Obróciłam głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Pod pachą trzymał książki, osłaniając je przed deszczem. Przez chwilę pomyślałam, że to nie mój ojciec, tylko uosobienie mojego upokorzenia – nie dlatego, że biłam się tak szybko po incydencie z cegłą, ale dlatego, że mogłam przegrać tę walkę. Ojciec wsadził książki do torby i postawił ją na ziemi. Oprych wciąż trzymał mnie mocno, ale ojciec przecisnął się przez gapiów, a ja w jednej chwili wykonałam manewr, który przeważał szalę zwycięstwa na moją korzyść. Wystarczył jeden szybki cios prosto w oczy. Oszołomiony i chwilowo oślepiiony przeciwnik mnie puścił. Mocno się napięłam, przewróciłam go i teraz to ja znalazłam się na Afgańczyku, wbijając mu desperacko kciuki w oczy. Wtedy poczułam, że podnosi mnie pod ramiona para wielkich dłoni.

Wbrew swojemu wizerunkowi – wyprasowanemu białemu *salwar kamiz*, dodającej godności chuście i smukłym kończynom – ojciec potrafił być agresywny. Po raz pierwszy w życiu poczułam jego siłę, kiedy złapał mnie za kark, krzycząc do oszołomionych chłopców, że jestem spóźniona na kolację. Następnie pociągnął mnie za kołnierz po ulicy, zatrzymując się tylko po torbę. Nie miałam okazji się odwrócić, ale część mnie przyjęła to z ulgą. Wiedziałam, że i tak bym wygrała. Słyszałam jeszcze jęki Afgańczyka.

Wyszliśmy z bazaru, ojciec puścił mój sfatygowany kołnierz, ale wciąż trzymał mnie mocno za ramię, kiedy wmieszaliśmy się w tłum przechodniów. Nawet jeśli coś powiedział, nie pamiętam tego, ale i tak nie mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Wciąż próbowałam złapać oddech. Gniew, który nie mógł znaleźć ujścia, krążył po moim umyśle niczym uwięzione zwierzę, sprawiając, że przez pewien czas nie mogłam dojść do siebie. Zatrzymała się riksza, a kiedy wsiadaliśmy do niej w strugach deszczu, ojciec podał adres, który nie był adresem naszego domu. Rozsiadłszy się, przyjrzał się mojej twarzy; nie było na niej niemal śladu zacieklej walki. Wziął moją pogruchotaną dłoń i przyjrzał się ranom, z kieszeni wydając chustę i wycierając ślady krwi. Następnie sięgnął do trzymanego między nogami worka. Mamrocząc coś pod nosem i osłaniając cenne używane książki przed deszczem lejącym się na nas ze wszystkich stron przez dziurawy foliowy dach, wyciągnął książkę z postrzępioną okładką i pękniętym grzbietem. Widniało na

nim tylko jedno słowo – Platon. To drugi po Sokratesie ulubiony grecki filozof ojca. Kartkował strony, a gdy znalazł fragment, którego szukał, wskazał mi go palcem: „Zwycięstwo nad samym sobą jest pierwszym ze wszystkich zwycięstw i najszczytniejszym zwycięstwem”****.

Zmieszana musiałam odwrócić wzrok. W niezachwianym spokoju ojca widziałam swój wstyd.

– Jesteś na mnie zły, Baba?

– Nie. Jeszcze nie. Szukam rozwiązania.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Zabieram cię w miejsce, w którym będziesz mógł walczyć ze swoimi demonami zamiast z tymi bezwartościowymi chuliganami. Jeśli Bóg da, wyprowadzimy cię na prostą, Dżyngis-chanie.

*

Pomimo lejącego deszczu ośrodek sportowy, na który składał się stadion i kilka innych dużych obiektów, był ogromny i robił imponujące wrażenie. Z powodu ulewy nikt nie spacerował po szerokim cementowym dziedzińcu ani po ścieżkach, dlatego przestraszyłam się, że ojciec zabrał mnie do aresztu dla nieletnich albo do ośrodka poprawczego. Wciąż nie zdradził mi, jakie dokładnie ma plany. Piłkę nożną kopałam lata temu na polu. Większość chłopców w moim wieku miało już swój ulubiony sport, który trenowali, a ja do tej pory wdawałam się tylko w uliczne bójki. Ojciec powiedział, że czas coś zmienić.

Wewnątrz paliły się wszystkie światła, ale przestronny hol był pusty, nie licząc mężczyzny siedzącego pod przeciwną ścianą na krześle i czytającego gazetę. Za każdym razem, kiedy uderzał piorun, światła przygasały. Początkowo myślałam, że mężczyzna śpi twardym snem, bo nawet nie drgnął przy walących piorunach. Ale kiedy podeszliśmy bliżej, spojrzał na nas i się uśmiechnął. Miał przyjazną twarz, szeroki uśmiech i białe zęby, które przywołały mi na myśl amerykańskie programy telewizyjne. Przywołał nas gestem ręki. Wstał i obejrzał mnie od stóp do głów, a następnie odszedł na stronę i zamienił kilka słów z ojcem. Usłyszałam słowa „silny”, „dzielny”, „chłopiec”, „bójki” i „12 lat”. Następnie mężczyzna podeszedł i przyjrzał się moim poobijanym dłoniom, wskazał na postrzępioną bliznę z tyłu mojej czaszki i spojrzał na ojca. Przemoczona i poturbowana stanowiłam niezapomniany okaz. Zaśmiali się razem.

– A więc jesteś silnym dzieckiem. Może chciałbyś podnosić ciężary?

Zastanowiłam się chwilę, spojrzałam na ojca, który skinął głową i złożył ramiona.

– Dobrze, czemu nie?

– Jak ci na imię, chłopcze?

– Dzyngis-chan.

– Ach, Wielki Chan. – Zaśmiał się głośno, odchylając głowę. – Doskonale.

Trafiłam do właściwego człowieka. Okazało się, że mężczyzna był trenerem sztangistów, a do drużyny brakowało mu kilku chłopców. Wystarczył rzut oka na moje umięśnione ramiona, silne dłonie i posturę, by się zorientował, że mam odpowiednie predyspozycje – siłę, żeby podnosić sztangi, oraz upartą nieustępliwość. Następnego dnia ojciec zapisał mnie do sekcji wraz z moim starszym bratem Taimurem.

Zanim zaczęłam podnosić ciężary, Taimur i ja nie spędzaliśmy ze sobą dużo czasu. Był cztery lata starszy i zawsze uczył się ze szkolnymi przyjaciółmi. Ale kiedy ojciec przyprowadził mnie do ośrodka sportowego, zaczęliśmy trenować niemal codziennie. Ojciec nie ufał spoconym mężczyznom z siłowni i obawiał się, że odkryją moją płęć. Zadaniem Taimura było dopilnowanie, aby do tego nie doszło. Była to też dla nas szansa na zacieśnienie relacji. Podnosił ze mną ciężary wyłącznie po to, żeby mieć mnie na oku. Ale nawet jeśli nie miał ochoty dołączyć do drużyny, nigdy tego nie zdradził. Mój cichy, sumienny brat nigdy nie okazywał emocji, ale swoje zadania traktował serio. Chodził za mną jak cień.

Taimur i ja nie poznaliśmy innych chłopców z drużyny. Oni trenowali razem z trenerem, a my osobno, bo byliśmy rodzeństwem. Często patrzyłam na brata; stał z boku, wysoki, cichy i pewny siebie, wodząc oczami po zatłoczonym pomieszczeniu. Wiedziałam, że jeśli ktokolwiek mnie ruszy, mój mierzący blisko 180 centymetrów 16-letni brat o łagodnym spojrzeniu da tej osobie solidny wycisk. Pomyślałam sobie, że byłam dla niego tym, czym dla mnie byli Sangeen i Babrak – cenną rzeczą, którą należy chronić za wszelką cenę. Czuję się dobrze, mając go przy sobie.

W podnoszeniu ciężarów zawodnik musi opanować dwie rzeczy – rwanie i podrzut. Nie chodziło o samo podniesienie sztangi – to była ostatnia rzecz, o jaką musiałam się martwić. Przede wszystkim trzeba było przygotować się fizycznie i psychicznie. W rwaniu sztangista musi podnieść jednym ruchem sztangę ponad głowę. Wymaga to uwolnienia w jednej chwili dużej siły i manewr ten przyszedł mi niemal instynktownie. Miałam duże zasoby energii,

które potrafiłam skoordynować z ruchem. Okazało się, że jeśli zebrałam całą moją furję i wykonałam manewr bezbłędnie – przyjmując odpowiednią postawę, panując nad oddechem i nad ruchami – ciężar, który powinien mi zmiażdżyć kości, poddawał się mojej kontroli.

Podrzut wymagał dwóch ruchów: pierwszym było podniesienie sztangi na wysokość klatki piersiowej, a po krótkiej pauzie należało wynieść ją na wyprostowanych rękach nad głowę. Ta krótka pauza sprawiała, że był to znacznie trudniejszy pod względem fizycznym manewr. Początkowo miałam problemy z wyniesieniem sztangi ponad obojczyk. Próbowałam całymi dniami i zawsze upuszczałam ją na podłogę. Kiedy wreszcie udało mi się ją podnieść na samą górę, czułam, jakbym przeszła transformację.

W tym momencie odkryłam fundamentalną dla wszystkich sportowców prawdę – zwycięstwo i porażka rodzą się w mózgu, a następnie przekazywane są do reszty ciała. Stając przed wielką sztangą, mówiłam sobie, że uda mi się ją podnieść, a moje mięśnie naturalnie się ze mną zgadzały. Jeśli pozwoliłam, by choć cień wątpliwości przeniknął mi do umysłu, szybko zawodziłam. Mówiłam sobie, że jestem niezwyciężona, a moje ciało jakoś w to wierzyło. Nauczyłam się rozpoznawać każdy mięsień w moich kończynach i komunikować się z nim telepatycznie. I po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że jestem istotą materialną, szkieletem opancerzonym napiętymi mięśniami, i że jestem silniejsza niż inne dzieci w moim wieku – chłopcy czy dziewczynki.

Miałam szansę udowodnić to podczas mojego pierwszego turnieju w Lahaur, stolicy prowincji Pendżab i jednym z najbardziej zatłoczonych miast na świecie. Nasza drużyna, reprezentująca prowincję Chajber Pasztunchwa, przebyła 500 kilometrów autostradą AH1 błękitno-białym busem. Taimur usiadł ze mną na przedzie, patrząc przez upstrzoną owadami szeroką przednią szybę. Autostrada była długa i gładka, a niebo zachmurzone i bezkresne. Bycie silnym oznaczało, że mogłam gdzieś wyjechać. Wsiadając do autobusu z torbą przewieszoną przez ramię i w nowej drużynowej koszulce, czułam się, jakbym była daleko od dziurawych ulic Peszawaru. Razem z rodziną podróżowaliśmy po dzikich ziemiach naszego plemienia, ale nigdy nie zapuszczaliśmy się w głąb Pakistanu. Po drodze mijaliśmy wiele miast: Rawalpindi, Talagang, Kallar Kahar, Bhalwal, Pindi Bhattian, Śekhupurę. Podczas tej sześciogodzinnej podróży zielonymi wzgórzami i dolinami zakochałam się w moim kraju, w moim Pakistanie – tak wielkim i pięknym, że tylko Bóg mógł go stworzyć.

Lahaur ze swoimi wieżowcami, minaretami, setkami świątyń i kościołów, muzeami, mauzoleami, fortami kolonialnymi, kampusami uniwersyteckimi, szpitalami i połączeniami kwiecistych parków sprawiał, że Peszawar wyglądał przy nim jak przerośnięta wioska. Lahaur ma tysiącletnią historię jako siedziba władz – od dynastii Ghaznawidzów z XI wieku, poprzez Mogołów z XVI, którzy założyli w mieście wiele bajecznych ogrodów, po panowanie Sikhów w XIX wieku i Indie Brytyjskie, kiedy to Lahaur stał się stolicą prowincji Pendżab.

Ale ja pojechałam do Lahaur, żeby wygrać, i nie myślałam o niczym innym. Podnoszenie ciężarów nie było tak popularnym sportem w Pakistanie, jak hokej, squash czy krykiet, i turnieje odbywały się rzadko. Mógł minąć rok, zanim znowu wzięłabym udział w kolejnym. Dla mnie w podnoszeniu ciężarów nie chodziło o pokonanie pozostałych chłopców, ale przede wszystkim o odkrycie w sobie pełnych pokładów siły. Chciałam wrócić do domu i oznajmić ojcu, że dokonałam tego, co radził Platon: walczyłam i pokonałam siebie, i to w dodatku w stolicy imperiów.

Pozornie nie przejmowałam się, że podczas trzydniowego turnieju będę spała wśród chłopców w zatłoczonym hostelu. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że ktoś może odkryć moją prawdziwą płć. Bałam się tego tak bardzo, że wolałam nie zbliżyć się nawet do tej myśli, jak do stromego urwiska. Taimur zadbał, żebym wzięła łóżko w dalekim kącie, a sam zajął miejsce obok mnie. Choć startował w turnieju w innej kategorii, jego głównym zadaniem było pilnowanie, żebym się nie zdradziła. Tymczasem poznałam moich kolegów z drużyny, którzy pochodzili z różnych zakątków prowincji Chajber Pasztunchwa – jak zwykle dokazywaliśmy, żartowaliśmy i przyjaźnie sobie dogadywaliśmy. Pięć razy dziennie, kiedy dobiegał nas śpiew muezina, jednoczyliśmy się w wierze z dala od domu i razem klękaliśmy do modlitwy.

Przez cały czas Taimur miał mnie na oku niczym dyskretny i oddany ochroniarz. Był uprzejmy wobec innych, czasem wymienił z kimś kilka żartów, ale przez większość czasu stał w pokoju niczym filar. Pilnował, żebym przebierała się sama we wspólnej łazience, stojąc ze złożonymi rękami przed wejściem niczym wartownik. I tak nie musiałam się martwić, że jakiś chłopiec wejdzie do środka, kiedy korzystałam z łazienki. Skromność i czystość to podstawy naszej wiary i żaden z członków drużyny nie odważyłby się załatwiać do pisuaru, kiedy w pobliżu był ktoś inny. Czułam się bezpiecznie i wielokrotnie mówiłam Taimurowi, żeby wyluzował i cieszył się naszą wycieczką. W wieku 12 lat już od blisko ośmiu żyłam jako chłopiec i Dżyngis-

chan stał się moim drugim ja. Właściwie to znałam go lepiej niż samą siebie. Nawet Taimur od lat nie używał imienia Maria.

Stadion znajdował się blisko murów starego miasta, udaliśmy się na niego w dniu rejestracji całą drużyną, z torbami przewieszonymi przez ramię, co jakiś czas popijając wodę z butelek. Uprzedniej nocy zintegrowaliśmy się, szwendając po parku Iqbal, jedząc kebaby od ulicznych sprzedawców i ganiając wokół wieży Minar-e-Pakistan, która wznosiła się niczym ozdobny sztylet. Zbudowano ją dla upamiętnienia uzyskania niepodległości w 1947 roku; często była porównywana do paryskiej wieży Eiffla. Wcześniej widziałam ją tylko w książkach, więc niczym zahipnotyzowana patrzyłam na kolorowo oświetloną fasadę, myśląc sobie, że po raz pierwszy w życiu jestem członkiem jakiejś grupy i nie muszę z nikim walczyć. Kiedy weszliśmy na stadion, żeby się zarejestrować, zostaliśmy zaprowadzeni do wielkiej sali gimnastycznej pełnej chłopców z całego kraju. Dołączyłam do jednej z kolejek wiodących do długiego rzędu stołów i postawiłam torbę przy nogach. W pokoju czuło się podniecenie. Rozejrzałam się, żeby sprawdzić rywali. Niektórzy chłopcy byli mali i żyłaści, nie przejmowałam się nimi, ale inni byli wielcy jak dęby. Napotkałam wzrok kilku z nich i natychmiast zaczęliśmy się mierzyć, jak na ulicy. Wszystkim nam kręciło się w głowach i byliśmy trochę głodni, bo nie jedliśmy nic od wieczora, żeby podczas rejestracji utrzymać jak najniższą wagę. W zawodach z podziałem na kategorie wagowe osoba ważąca najwięcej w danym przedziale i posiadająca najlepszą technikę miała największe szanse na zwycięstwo. Po ważeniu zostaliśmy podzieleni na grupy i zaprowadzeni do sal. W zawodach, w których podnoszono ten sam ciężar, o masie decydowała waga zawodnika – wygrywał najlżejszy. Trener podzielił nas na kategorie wagowe już w Peszawarze, ale musiałam przejść oficjalne ważenie przed zawodami.

Myślami byłam gdzieś indziej, stojąc nonszalancko z Taimurem i innymi zawodnikami. Snuliśmy plany wyjścia na wspólną kolację i pozwiedzania starego miasta. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że po złożeniu podpisów każda drużyna zostaje wysłana do innego pokoju. Przez otwarte drzwi ujrzałam wagę. Następnie zauważyłam, jak chłopcy ściągają szorty i T-shirty, kładą je na stoliku i wchodzą na wagę ubrani tylko w bieliznę. Gdy ujrzałam ich nagie ciała coś we mnie drgnęło i poczułam krople potu zbierające mi się na czole. Odwróciłam się do Taimura, który widział to samo co ja – wymieniliśmy spanikowane spojrzenia, ale się nie odzywaliśmy. Powietrze zrobiło się ciężkie, a ja wciągałam je, jakby brakło mi tlenu. Nasza drużyna była już na

przedzie. Taimur dotknął mego ramienia i wyszeptał:

– Nie rób tego.

Mężczyzna za biurkiem skinął ręką na naszą grupę i podążyliśmy na rejestrację. Miałam ochotę zwymiotować. Przez te kilka sekund, które zajęło mi napisanie w formularzu słów: „Dzyngis-chan, mężczyzna, lat 12”, szukałam desperacko jakiejś wymówki, ale spanikowana, z kompletną pustką w głowie, podążyłam za innymi do pokoju z wagami. Widziałam chłopca schodzącego z wagi i zakładającego ubrania. Brat stał za mną, ale powiedział, żebym puściła go przodem. Mężczyzna patrzył na mnie, a mnie zrobiło się gorąco. W Darra Adam Khel celowano do mnie z broni, ale nic nie mogło równać się ze strachem, jaki odczuwałam przed zdjęciem ubrań i tym, że mój sekret się wyda w tym pomieszczeniu. Taimur się nie mylił: nie miałam wyboru, nie mogłam tego zrobić. Człowiek stojący z clipboardem koło wagi spojrzał na moją bladą twarz i domyślił się, że coś jest ze mną nie tak. Wskazał na stół i poinstruował mnie, żeby zdjąć ubranie i wejść na wagę. Koledzy rozpinali już guziki. Musiał powtórzyć to dwu- lub trzykrotnie, zanim wymyśliłam, co odpowiedzieć.

– Nie, proszę pana. Nie mogę. – Głos Taimura był cichy, ale wyraźny. Mojemu bratu nie zależało na podnoszeniu ciężarów, a na udział w turnieju zgodził się tylko, żeby móc mi asystować. Teraz postawiłam go w niezręcznej sytuacji. Słyszając jego głos, pomyślałam o utraconej szansy wykazania się siłą po wyczerpującym dwumiesięcznym treningu. Doszłam do wniosku, że dla mnie to koniec – nie tylko podnoszenia ciężarów, ale w ogóle uprawiania jakiegokolwiek sportu. Za kilka dni wrócę wszczynać burdy na ulicach. Pomyślałam o moim dzielnym bracie, który postanowił poświęcić dla mnie swoją dumę.

Stałam obok niego.

– Ja też nie mogę.

Mężczyzna przy wadze gapił się na nas. Był wysoki, gładko ogolony i mocno pachniał mydłem. Na stole obok wagi zobaczyłam jego egzemplarz Koranu, a w kącie zwiniętą grubą matę do modlitwy. Przyjrzał mi się uważnie ciemnymi oczyma z długimi rzęsami. Nie miałam żadnych wątpliwości, że potrafi widzieć przez ubranie. Już chciałam uciec – przez park wprost do hostelu – kiedy podszedł bliżej, położył rękę na moim ramieniu i spojrzał mi w oczy.

– Wstydzicie się. Rozumiem.

Przytaknęliśmy skinieniem głowy. Wbiłam wzrok w podłogę, serce waliło

mi w piersi tak mocno, że ledwo potrafiłam złapać oddech. Czekałam, nie wiedząc na co. Na to, że spoliczkuje mojego brata i mnie? Na tyradę? Na jakieś ostateczne upokorzenie, a potem koniec świata? Ale po prostu wziął mnie pod rękę i zaprowadził do wagi w koszulce i szortach, każąc mi tylko zdjąć buty. Nie musiałam zdejmować nawet skarpetek. Wyregulował wagę, odczytał liczbę, zanotował ją, a ja stałam jak sparaliżowana. Sekundę później było po wszystkim. Zesłam z wagi, a strach mnie opuścił, jakbym przebyła ocean. Schyliłam się, by założyć buty, ale z trudem łapałam oddech i o mało co nie zemdlałam. Mężczyzna poklepał mnie po plecach i życzył powodzenia. Drżącymi rękoma zawiązałam sznurowadła i podniosłam wzrok akurat w chwili, kiedy mój brat w ubraniu wchodził na wagę. Gdy się minęliśmy, spotkaliśmy się wzrokiem, nic nie mówiąc, ale wymieniając 1000 słów. W stoickim spojrzeniu Taimura ujrzałam łzy.

Dzięki Bogu kiedy poszłam się przebrać, szatnia była pusta. Taimur w milczeniu stanął na straży przed drzwiami. Moje oczy powoli przyzwyczajały się do sztucznego światła, bo w sali nie było okna. Nigdy wcześniej nie znajdowałam się w pomieszczeniu pod ziemią. Unosił się tam słaby zapach talku, a neonowa lampa cicho brzęczała. Na metalowych ławkach porozrzucane były mokre ręczniki, papiery i papierki po cukierkach. Na podłodze leżał zwitek zakrwawionych chusteczek. Słyszałam nade mną przytłumiony gwar tłumu wypełniającego stadion, mimo że podziemny pokój był zupełnie cichy. Co jakiś czas dobiegał mnie dźwięk dzwonka sygnalizującego zakończenie pojedynku i aplauz przetaczający się nad głową niczym werble. Zostało mi tylko kilka minut na przygotowanie, zanim wywołają moje imię. Po raz pierwszy w życiu miałam stanąć do zawodów, ale nie bałam się – pragnęłam tylko zwycięstwa.

Wzięłam głęboki wdech i zanurzyłam dłonie w talku. Na stadionie znowu wybuchł aplauz, tłum tupał rytmicznie w podłogę. Spojrzałam w sufit, wyobrażając sobie ich wszystkich, ich krzyczące twarze, i poczułam przyływ adrenaliny. Wciąż byłam spięta ze względu na to, jak niewiele brakowało do wpadki podczas ważenia, ale nie mogłam pozwolić, żeby zwątpienie wdarło się do mojego umysłu. Pomyślałam o mężczyźnie przy wadze, o jego decyzji, by uchronić mnie przed wstydem, i o Koranie spoczywającym na stole, w zasięgu ręki. Upadłam więc na kolana i zrobiłam jedyną rzecz, która w tej chwili mogła mnie uspokoić. Przywarłam do podłogi, nisko chyląc głowę. Zamknęłam oczy, położyłam dłonie na udach i zaczęłam szeptać sury do Allaha, jedna po drugiej, aż poczułam, że tętno mi się uspokaja, a pulsowanie

w skroniach ustaje wraz z odgłosami tłumu trzy piętra wyżej.

Opanowany umysł i zamknięte powieki pozwoliły mi przenieść się w przeszłość, ujrzałam ojca stojącego koło mnie i koło ogniska, w którym spaliłam moje suknie. Poczułam, jak obejmuje mnie ramieniem i szepcze mi do ucha moje nowe imię oraz wezwanie do modlitwy. Ze względu na pracę nie mógł ze mną przyjechać do Lahaur, ale zabrałam ze sobą kawałek niego. Sięgnęłam do torby i wyciągnęłam z niej złotą monetę, którą podarował mi dawno temu pod niebieskim sklepieniem Waziristanu. Wciąż klęcząc na podłodze, mocno ścisnęłam monetę w dłoni. Metal zrobił się ciepły i wrzynał mi się w skórę. Usłyszałam, jak ojciec wypowiada moje imię głośno i wyraźnie – Dzyngis-chan – jakby stał koło mnie. Wiedziałam, że mogę pokonać innych.

Podniosłam się i poszłam na zawody. Najpierw rwanie. Sztanga leżała przede mną. Spojrzałam na nią, jakby była żywą osobą, i uspokoiłam oddech. Ustawiłam się w pozycji: stopy na szerokość bioder, plecy prosto, oddychałam szybko i głęboko. Ogarnęła mnie wściekłość wobec niczego i wszystkiego, wobec faktu, że byłam tam jako chłopiec – czułam, jak gniew przeszywa mnie aż od stóp do głów, niczym uderzenie pioruna. Złapałam drążek – ręce szeroko, kręgosłup sztywno – i uniosłam sztangę ponad ziemię. Zaczepiłam powietrze i wszystko w moim ciele i umyśle podporządkowałam jednemu ruchowi, podnosząc sztangę ponad głowę. Wytrzeszczyłam oczy, skupiłam całą uwagę na ciężarze, który nagle jakby zniknął. Trzymałam sztangę ponad głowę na wyprostowanych rękach, tłum zaczął wiwatować, aż usłyszałam dzwonek. Wypuściłam powietrze i opuściłam ciężar. Tłum wiwatował tak głośno, że aż drżało mi w klatce piersiowej. Wypełniła mnie duma. Powtarzałam ten manewr kilka razy, za każdym z coraz większym obciążeniem, dochodząc do 25 półkilogramowych obciążników – aż zmiołam wszystkich przeciwników w mojej kategorii.

Podrzut był ostatni. Moim przeciwnikiem okazał się krzepki Pendzabczyk, kilka lat starszy, z dłońmi jak bochny i nogami jak działa armatnie. Był aktualnym mistrzem. Na korytarzu oznajmiłam mu, że nadszedł jego koniec, a on zaśmiał mi się w twarz. Podchodząc na stanowisko, spojrzałam na niego i puściłam mu oko. Następnie, uwalniając całą moją siłę, wykonałam serię doskonałych podrzutów, aż zostaliśmy na arenie sami. W tej chwili nie chodziło już o pokonanie tego chłopaka czy kogokolwiek. Znajdowałam się w swoim żywiole, w świetle reflektorów, z szalejącą publicznością, która podziwiała mój pokaz siły. Pokonałam już najlepszych i samą siebie. Ale gdy

podnosiłam zwycięską wagę, 75 kilogramów, ponad ramiona, obróciłam kolano i coś trzasnęło. Sztanga była już ponad moją głową i opuściłam ją niemal równo z dzwonkiem, wyprzedzając go zaledwie o milisekundę. Tłum zamilkł, a ja zamknęłam oczy, przygryzając wargę aż do krwi.

Odbierający złoto Pendzabczyk został nagrodzony krótkimi, uprzejmymi oklaskami. Zrobił to, czego po nim oczekiwano – był starszy, większy i trenował od lat. Potem wystąpiłam ja po srebro. Przypadła mi chwila cichej sławy. W sumie nie powinnam była niczego wygrać. Konferansjer wywołał moje imię – OTO DŻYNGIS-

-CHAN Z PESZAWARU – pokonany, najmłodszy, po zaledwie ośmiu tygodniach treningów. I nagle jakby w stadion uderzył piorun. Publiczność zerwała się na nogi, skandując w kółko moje imię. Stałam na podium, uśmiechnięta, wznosząc ręce jak mistrz, i pokłoniłam się wiwatującemu tłumowi. W ich mniemaniu to ja byłam zwyciężcą. Czułam się jak najsilniejszy dzieciak w Pakistanie. Wybuchłam śmiechem przez łzy – zrobiłam to, o co prosił mnie ojciec, i zdobyłam najszczytniejsze zwycięstwo. W głębi cieszyłam się, że pokonałam tylu chłopców, którzy nie wiedzieli, że jestem dziewczyną. Nabrałam ich wszystkich – i to było w tym najlepsze.

W drodze powrotnej w busie brat patrzył na mnie, ale się nie uśmiechał. Kilka razy westchnął, ale nic nie powiedział. Wreszcie spojrzałam na niego i zakomunikowałam mu, że jeśli coś go gnębi, to niech lepiej mi od razu powie. Podczas całego wyjazdu wymieniliśmy zaledwie kilka zdań – taki już był. Taimur mocno ścisnął mi dłoń, ale nie patrzył na mnie. Odwrócił twarz, wpatrując się długo w mijane przez nas krajobrazy tonące w ulewnym deszczu. Słyszeliśmy syreny i widzieliśmy migające światła. Na drodze doszło do kilku wypadków i byliśmy spóźnieni. Taimur przemówił tak cicho, że ledwie go słyszałam, choć wiedziałam, że musiał zebrać w sobie wszystkie siły, żeby to powiedzieć. Powiedział, że widział siebie jako mojego opiekuna, i zdałam sobie sprawę, że przez trzy dni, podczas których ja żyłam współzawodnictwem, on był przerażony, że mnie zawiedzie.

– Jeśli kiedykolwiek wyda się to, co zrobiłaś w Lahaur, Mario, że pokonałaś ich wszystkich, wtedy cię dopadną, uwierz mi, dopadną i zabiją.

ROZDZIAŁ 11

NAZYWAM SIĘ MARIA

Moja chwała nie trwała długo. Srebrny medal powędrował na ścianę w pokoju gościnnym, gdzie zawisł na haku. Z turnieju przywiozłam także ogromny puchar z rżniętego szkła, którego rowki były tak ostre, że błyszczały przy oknie niczym 1000 malutkich noży. Puchar stał na honorowym miejscu na stole, a dyplom z misternie wykaligrafowanym moim fałszywym imieniem – Dzyngis-chan – spoczywał w ramce obok niego. Może oczekiwałam jakiejś znaczącej zmiany po moim zwycięstwie w stylu Rocky’ego Balboi w Lahaur, ale nic się nie wydarzyło. W domu życie powróciło do swojego zwyczajowego rytmu. Turnieje podnoszenia ciężarów odbywały się rzadko i mógł minąć rok, zanim znów będę miała szansę wykazać się w jakimś mieście. A wychodzenie na ulicę, by przepychać się z innymi chłopakami, straciło sens.

Kilka razy w tygodniu trenowałam w ośrodku sportowym razem z Taimurem. Kiedy nie mogło być przy mnie ojca, zawsze towarzyszył mi brat. Nie musiał mi nawet tego mówić, za każdym razem, kiedy się odwracałam, stał tam, mając mnie na oku. Rozumieliśmy się. Byłam dla niego bardziej jak młodszy brat niż młodsza siostra – uprawialiśmy razem sport i nosiłam po nim ubrania. Rzadko kiedy się odzywał, po prostu zakładał i zdejmował ciężary ze sztangi, liczył, ile razy ją podniosłam, i pił wodę z naszej butelki. Czasem przybił mi piątkę. Co jakiś czas wpadał trener, by sprawdzić, jak sobie radzimy, albo zabrać nas na ważenie – zawsze ważyłam się w ubraniu.

Pierwsze zwycięstwo przyszło mi bardzo łatwo, ale wciąż znajdowałam się w wadze piórkowej. Część mnie pragnęła wrócić do Lahaur, zdobyć złoto i zmiażdżyć tego chłopaka, który sprzątnął mi zwycięstwo sprzed nosa. Ale drugiej części na tym nie zależało. Wiedziałam, że i tak go pokonałam. Dała mi to do zrozumienia reakcja tłumu, a także liczby – po miesięcznym treningu podnosiłam większe ciężary. Problem w tym, że musiałabym czekać kolejny rok, żeby to udowodnić. Emocjonalnie byłam zdruzgotana. Miałam wrażenie, że żyję na wahadle, kursując między domem a salą gimnastyczną. Większość

czasu spędzałam w zatłoczonym, skrzypiącym autobusie, ściśnięta z bratem niczym sardynka w puszcze.

Podnoszenie ciężarów to sport samotników. Po turnieju nigdy nie spotkałam moich kolegów z drużyny. Czasami wydawało mi się, że zmaterializowaliśmy się w Lahaur jak we śnie, a olśniewające miasto z dnia na dzień traciło blask, stając się odległą iluzją, która zacierała się w pamięci podczas wykonywania codziennych obowiązków.

Kiedy byłam mała, ojciec opowiedział nam mit o królu Syzyfie i podczas treningów przypomiinałam go sobie, wraz z innymi opowieściami przekazanymi przez ojca. Zeus skazał Syzyfa na wieczne wpychanie głazu na szczyt góry za to, że za bardzo spoufalął się z bogami. Za każdym razem, gdy wycieńczony król miał wepchnąć ogromny kamień na szczyt, Zeus sprawiał, że staczał się on na sam dół. Każdego ranka Syzyf musiał zaczynać od nowa, aż do końca świata. Ja i Taimur podnosiliśmy te same ciężary, dodając do nich kolejne odważniki. Czułam się skazana na syzyfowe prace.

Zmieniało się tylko jedno – ja. Żywa tkanka rosła, a moje ciało przechodziło metamorfozę. W domu lub przy straganie na targu pożerałam jedzenie jak dziki zwierz, wyjadając ryż i odrywając kawały mięsa lub chleba naan i głośno popijając wodą z butelki. Moje bicepsy wyłaniały się spod ubrań po bracie, a przepocona tkanina przylegała do skóry, pokazując ich zarys. Kark miałam szeroki jak pień. Czasami rzucałam okiem na moje odbicie w lustrach porozstawianych w siłowni. Wstrzymywałam oddech, żeby nie powiedzieć: „Kim jest ten wielki chłopak? To na pewno nie ja”. Nie rozpoznawałam siebie z zewnątrz. Możliwe, że od środka też nie. Ludzie zatrzymywali się na siłowni, a nawet na ulicy, żeby lepiej mi się przyjrzeć. Ściągną na moich nogach naciągały się podczas chodzenia niczym napięte liny.

Na nudnych treningach spędziłam setki godzin. Słyszałam tylko szcęk metalowych odważników, jęki mężczyzn i szum wentylatora. Pomieszczenie nie miało okien, oświetlały je świetlówki. Ściany wyłożone były lustrami, a w środku unosił się kwaśny odór męskiego potu. Chłopcy i mężczyźni wchodzili i wychodzili. Nic się nie zmieniało oprócz godziny. Monotonia uprawianego przeze mnie sportu miała w sobie jakieś piękno, ale ja nudziłam się na śmierć.

Pamiętam, jak spojrzałam na brata po tym, jak upuściłam sztangę tak mocno, że aż podskoczyła na betonowej posadzce – bum! Przekrzywił głowę, ale nic nie powiedział, obserwował tylko dyski toczące się w jego stronę.

– Co my tu robimy, Taimur?

- Podnosimy ciężary.
- Mam już tego dość, a ty?
- Ja też.

Wracaliśmy do domu zatłoczonym, skrzypiącym autobusem – pomalowanym na złoto, żółto i różowo oraz pokrytym ozdobami – niczym przeładowanym promem. Stłoczeni mężczyźni trzymali się poręczy i bujali wraz z przechylającym się na zakrętach pojazdem. Dzwonki szczękały, mężczyźni trajkotali, silnik rzeził, a rura wydechowa wypluwała spaliny. Autobusy nigdy się nie zatrzymywały, żeby zabrać pasażerów, tylko zwalniały, a potem, szarpiąc, przyspieszały i dołączały do innych pojazdów. Staliśmy na chodniku i obserwowaliśmy z Taimurem podjeżdżający autobus, który wyłaniał się z chaotycznego ruchu. Wszystko zależało od jednego skoku. Musiałam postawić na schodku sandał i znaleźć coś, czego mogłam się chwycić – wyciągniętą rękę, korbkę szyby, poręcz – a potem wciągnąć do środka resztę ciała, wpychając się między spoconą masę ciał, podczas gdy autobus nabierał prędkości. Czasami gubiliśmy się, nawołując ze śmiechem. Przeciskałam się przez las kończyn do okna, żeby zobaczyć go stojącego na drodze, wymachującego rękami i wrzeszczącego. Musiałam wtedy precyzyjnie przycisnąć się na sam koniec pojazdu i wyskoczyć z tyłu. Mężczyźni wołali, żebym się zatrzymała, ale ze śmiechem wyskakiwałam wprost w uliczny ruch, pędząc do brata. Było to dla mnie jak gra i jedyny moment dnia, w którym czułam, że żyję.

W dniu, kiedy postanowiłam zerwać z podnoszeniem ciężarów, gapiłam się przez okno podczas jazdy z jednego końca miasta na drugi, wciśnięta pomiędzy tych wszystkich mężczyzn w *salwar kamiz*, z zaczesanymi ciemnymi włosami, naoliwionymi tak mocno, że błyszczały jak sierść norek. Byłam ubrana w przeupoconą koszulkę i szorty. Stałam wśród nich twardo jak słup, nikt nie brał mnie za kobietę. Nie musiałam niczego udawać – byłam sobą. Lubiłam ubierać się w sportowe ubrania, nigdy nie pragnęłam nosić sukienki. Każdy mężczyzna w tym autobusie, w Peszawarze, w całym Pakistanie czy na całym świecie gotów byłby się założyć, że jestem chłopcem. Moja żałosna egzystencja nie miała nic wspólnego z moim gargantuicznym kłamstwem ani z tym, czy byłam dziewczyną, czy nie. Żyłam w mieście, marząc o górach i otwartej przestrzeni. Zamknęłam oczy, kiedy wjechaliśmy w gęstą siatkę dziurawych dróg. W tamtym świecie biegaliśmy ze starymi przyjaciółmi po kamienistych dolinach, kopaliśmy piłkę, goniliśmy latawce i każdy dzień był inny. W Peszawarze miałam tylko autobus.

Ostatnio odnosiłam także wrażenie, że zegar tyka tuż nad moją głową. Za rok lub dwa nie będę mogła już tak łatwo ukryć faktu, że jestem kobietą. Nadciągający okres dojrzewania ciążył nade mną niczym wyrok śmierci. Żyłam na krawędzi. Patrząc na Ayeszę, która przemieniała się w pewną siebie kobietę, byłam zarówno pełna podziwu dla niej, jak i przerażona na myśl o samej sobie. Przed hormonami i kulturowymi oczekiwaniami nie było żadnej ucieczki. Od dawna miałam świadomość nieuchronnych zmian, których wkrótce miało doświadczyć moje ciało. Nie miałam ochoty zmienić się w kobietę. Oznaczało to koniec Dżyngisa i mojej wolności. W nocy albo stojąc w autobusie, rozmyślałam, co się stanie, kiedy zacznę się zmieniać i utracę dar androgeniczności. Przyszłość była przeciwnikiem, którego nie potrafiłam pokonać.

Co jakiś czas myślałam o Amerykanach, którzy gościli u nas przez kilka dni w Miramshah i opowiadali historie o ich części świata; dla mnie połyskiwała ona niczym cukierki rzucone na otwartą dłoń. Ojciec mówił, że mieli szczęście, że udało im się dotrzeć do ziem naszego plemienia, i miał nadzieję, że dotrą żywi do Peszawaru. Nie rozumiałam wtedy, o co mu chodziło. Nie miałam świadomości, że żyliśmy w rejonie niebezpiecznym dla obcokrajowców, bo po prostu żadnych tam nie było. Po powrocie z Lahaur, gdzie odniosłam zwycięstwo jako Dżyngis, zastanawiałam się, czy nie jestem taką samą szczęściarą jak ci chłopcy z Nowego Jorku. W tym rozklekotanym autobusie mogli nie przetrwać pół minuty bez jakichś kłopotów, a ja stałam tam, jak gdyby nigdy nic, z krótkimi włosami, w ubraniach brata. W tym autobusie, pośród tych mężczyzn byłam równie obca, co tamci Amerykanie.

Po powrocie do domu rzuciłam torbę gimnastyczną i poszłam poszukać ojca. W tamtych czasach dawał wykłady kilka razy w tygodniu, a potem wracał do domu. Wiedziałam, że tęskni – jak my wszyscy – za matką, która pracowała cały czas. Rodzeństwo było jeszcze w szkole i miało wrócić na obiad, który gotowaliśmy razem z ojcem. Często przyrządzaliśmy proste posiłki z ziemniaków smażonych w oleju z papryką i pomidorami. Zwykle do mnie należało wypiekanie chleba. Zostawialiśmy dla matki talerz i wszyscy potem zmywaliśmy. Znalazłam ojca samego przy oknie w pokoju dziennym, jego smukła sylwetka była przygarbiona, kiedy patrzył przez szybę niczym w gigantyczny telewizor. Przy twarzy miał lornetkę; pomyślałam o mężczyznach wyruszających w głąb Afryki na safari; ale to był tylko mój ojciec, który stał kilka piętér ponad ruchliwymi ulicami Peszawaru.

– Skąd masz tę lornetkę, Baba?

Kiedy się odwrócił w moją stronę, jego szeroki biały uśmiech w ciemnym świetle niemal mnie powalił. Gdziekolwiek się znajdował, ojciec żył tak, jakby został stworzony do wielkich celów. Kochał życie i to wprost od niego biło, jakby został stworzony ze światła – nawet w tamtej chwili.

– Pożyczyłem od przyjaciela. Chciałem się bliżej przyjrzeć rzeczom. Jutro muszę mu ją oddać.

– Wszystko tutaj jest takie samo. Założę się, że na każdej ulicy są tacy sami mężczyźni robiący te same rzeczy.

Uśmiech ojca zgasł, a on uważnie mi się przyjrzał.

– No, no, no. Zastanawiałem się, kiedy podnoszenie ciężarów cię przygniecie.

Ryknął śmiechem z własnego dowcipu. Odszedł od brudnego okna, przetarł lornetkę i wręczył mi ją.

Przyłożyłam ciężkie szkła do nosa i spojrzałam w dół na zatłoczoną ulicę. Wyglądała jak wolno płynąca rzeka: statki żeglowały zgodnie z prądem, mężczyźni spacerowali szerokimi brzegami. Obraz był rozmyty. Pokręciłam ostrością zgodnie z radą ojca i ustawiłam ją na świat poniżej. Było coś zabawnego w przyglądaniu się z bliska terenowi, po którym jeszcze chwilę temu szłam. Odsunęłam się od okna i zaśmiałam, patrząc z podziwem na ojca. Tylko raz wcześniej czułam taką władzę – kiedy po raz pierwszy włączyłam telewizor. Wciskałam wciąż guzik, włączając i wyłączając cały świat jednym dotknięciem palca.

Ojciec uśmiechnął się do mnie szeroko i gestem ręki zachęcił, żebym znowu popatrzyła przez lornetkę, co też uczyniłam. Powoli skanowałam wzrokiem całą scenę – poruszające się postacie, poruszające się rzeczy. Czułam się trochę jak drapieżca obserwujący nieświadomych niczego ludzi, którzy przemierzali ulice jak w transie, siedzieli w samochodach albo w riksach, pochylali się na motocyklach lub zwisali z autobusów. Bez żadnego wyrazu, niczym lunatycy – żywi, lecz martwi.

Ojciec wyszeptał mi do ucha słowo, które równie dobrze mógł przeczytać na kartach mojego umysłu:

– Zombie.

Poruszali się w ślimaczym tempie. Niektórzy stali na chodniku, macali się po kieszeniach, czekali na autobus albo rozmawiali z towarzyszami – na moich oczach rozgrywał się dramat życia. Patrzyłam na dwóch mężczyzn spierających się pod markizą po drugiej stronie ulicy, żywo gestykułujących rękami. Spojrzałam dalej, w głąb ulicy, i ujrzałam chłopca podkradającego

mango ze straganu. Obserwowałam go, chichocząc. Kiedy owoc znalazł się już w jego dłoni, rzucił go niczym piłkę w stronę stojącego tuż za nim towarzysza, który wsunął go do poszarpanej torby. Ukradli w ten sposób co najmniej sześć sztuk, tak sprawnie rzucając jaskrawymi owocami, że nikt, poza mną obserwującą ich z góry, nie dostrzegł kradzieży.

Następnie poprawiłam *zoom* i spojrzałam na bulwar. Poprzez mgłę spalin ujrzałam grupę chłopców podążających wraz z ulicznym ruchem w stronę mojego budynku, przeciskających się pomiędzy pojazdami. Nie musiałam się im długo przyglądać, żeby ich rozpoznać – byli członkami mojego dawnego gangu. Od samego patrzenia mogłam domyślić się wydawanych przez nich dźwięków: wysokich krzyków, nawoływania się przez hałas silników i klaksonów. Niczym rój os krążyli wokół samochodów i ciężarówek. Mieli całkowitą władzę nad drogą; gdy patrzyłam, jak pędzą bez śladu wahania, widziałam, że zdają sobie z tego sprawę. Dziwnie się czułam, obserwując ich z zacisza mojego pokoju. Widząc, jak pokonują tę asfaltową rzekę, wyobraziłam sobie siebie pośród nich, zawsze na czele. Przemierzaliśmy miasto niczym wojownicy, dawaliśmy się ponieść instynktom, zawsze byliśmy w ruchu. Pomimo krwawych i bolesnych bójek nagle zatęskniłam za tym gangiem, choć nie pamiętałam imienia ani jednego z tych chłopców z poobijanymi twarzami. Byłam pewna, że po mieście rozeszła się wieść, że trenuję podnoszenie ciężarów. Żaden chłopak w Peszawarze, niezależnie jak byłby pewny siebie, nie odważyłby się mnie zaczepiać. Wiedziałam, że te dni minęły. Oddałam lornetkę ojcu.

- Ciekawe, czy Allah czuje to samo, gdy nas obserwuje?
- Allah nie tyle patrzy, co wie. Nie potrzebuje lornetki.
- Chciałbym wiedzieć, czego oczekuje po mnie.
- Cokolwiek to jest, Dżyngisie, już to robisz.
- Nic nie robię.

Ojciec znów przyłożył lornetkę do oczu, wpatrując się w scenerię poniżej.

– Zaczynaj rozglądać się jutro. Może znajdziesz się na rozstaju dróg. Ja znajduję je ciągle.

– Rozstaje dróg?

– Tak. Otwórz oczy. Czasami musisz pójść w złym kierunku, żeby odnaleźć ten dobry.

Nie minął tydzień. Pogoda była nie do zniesienia. Wyły syreny i klaksony. Ludzie krzyczeli na ulicach. Raz czy dwa wydawało mi się, że słyszę wystrzał z broni, choć możliwe, że to wystrzelił tylko silnik – trudno powiedzieć. Szłam asfaltowym chodnikiem przed ośrodkiem sportowym w oślepiającym blasku słońca. Miało się wrażenie, że niebo zapłonęło. O chmurach mogliśmy tylko pomarzyć, a o chłodzie nie było warto nawet marzyć. Przewiesiłam torbę przez ramię, pełna manierka obijała mi się o udo. Stałam w cieniu niewielkiego drzewa, czekając, aż Taimur skończy zajęcia. Usiadłam na niskim murku i popijałam letnią wodę, wycierając krople potu ze skroni. Chłopcy przechodzili chodnikiem, rzucając okiem na moje twarde niczym skała kończyny – już nikt nie patrzył mi w oczy.

Twardy cement ocierał mi nogi, musiałam więc co chwilę zmieniać pozycję. Wypatrywałam brata jak pieszy, który czeka na zmianę świateł, tyle że zdawało się to trwać całe godziny. Przyglądałam się budowli po drugiej stronie dziecinca. Wysoka, pomalowana na jasny pomarańcz, wyglądała okazale przy mojej siłowni. Ludzie wchodzili do niej małymi, rozentuzjasmowanymi grupkami. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, dobiegał mnie nieomylny dźwięk ekscytującego meczu, musiałam jednak wyteżyc słuch, żeby rozpoznać poszczególne emocje – krzyki radości i jęki zawodu. Kiedy drzwi się zamykały, hałas cichł, pozostawiając mnie w monotonii nieznośnego upału.

Znudzona, podniosłam się i przeszłam przez plac – jeśli odbywał się tam jakiś mecz, chciałam go obejrzeć. Zajrzałam przez szklane drzwi, przyciskając twarz do chłodnej szyby, która drżała tak, jakby spotkanie osiągnęło swój punkt kulminacyjny. Z tyłu nadszedł wysoki mężczyzna i otworzył drzwi. Minęłam za nim próg. Na ramieniu miał przewieszony pokrowiec na raketę, musiał mieć ponad 180 centymetrów wzrostu. Jego ciało było smukłe i poruszał się ze sprężystą zwinnością, której nigdy wcześniej nie widziałam. Chyba domyślił się, że go obserwuję, bo odwrócił się, zatrzymał i uśmiechnął, jakby zapraszał mnie do środka. Podążyłam za nim długim, cichym korytarzem prosto na trybunę. Gorący i monotony świat pozostał na zewnątrz. Mężczyzna szedł dużo szybciej, pokonując dwa schodki jednym krokiem, aż dołączył do swojej grupy w pierwszym rzędzie. Kręcąc się po zatłoczonych trybunach, patrzyłam na przeszklony kort. Powietrze było chłodne, a światło przyciemnione. Znowu mogłam oddychać. Usiadłam na ławce, czekając na rozpoczęcie kolejnego meczu.

Już to, że znalazłam się w tym miejscu, było niespodziewane. Dwaj

mężczyźni w jaskrawych strojach stanęli pośrodku oświetlonego pomieszczenia, jakby wewnątrz kostki lodu. Pograżona w mroku publiczność wstrzymała oddech. Przez chwilę nikt nie wydał żadnego dźwięku. Dwaj gracze stali i kręcili raketami, jakby zastanawiali się, kto ma zacząć. Rakietę z łoskotem upadła na ziemię. Kilka osób z publiczności coś krzyknęło. Widziałam mecz squasha raz, w telewizji z wyłączonym dźwiękiem. Obok krykieta była to najpopularniejsza dyscyplina sportu w Pakistanie, ale nie wiedziałam o niej nic poza tym, że gra polega na uderzaniu piłki o ścianę.

Pierwszy zawodnik zaserwował z impetem. Nigdy nie zapomnę jego jęknięcia, a potem głuchego odgłosu, z którym gumowa piłka się odbiła, wprawiając graczy w dziki wyścig. Mężczyźni przemierzali się po korcie. Skakali. Nurkowali. Biegali. Buty skrzypiały na wypolerowanej posadzce. Złapałam bakcyła od pierwszego uderzenia – kontrolowany chaos ruchów, piłka mknąca jak pocisk. Gracze poruszali się przez całą rozgrywkę. Nawet nie zwracałam uwagi, kto wygrał, tylko patrzyłam – oniemiała – jakby cały mój świat w okamgnieniu wywrócił się do góry nogami.

– Co tu robisz?

Niski, opiekuńczy głos Taimura wyrwał mnie z transu, spojrzałam na niego oszołomiona. Byłam jak zahipnotyzowana, nie potrafiłam oderwać oczu od gumowej piłki. Za każdym razem, kiedy odbijała się od ściany, czułam uderzenie serca. Mój wysoki, obdarzony szerokimi ramionami brat wyglądał niechlujnie, kiedy był zdezorientowany, chociaż wciąż miał idealnie ułożone włosy. Uśmiechnęłam się szeroko.

– Co sądzisz o squashu, Taimur? Jest piękny.

Taimur wcisnął się obok mnie, położył teczkę na ziemi, a torbę gimnastyczną na kolanach i zaczął oglądać mecz. Długo siedzieliśmy obok siebie, nie odzywając się ani nie ruszając. Kilka razy czułam, jak mi się przygląda, a potem ponownie zaczyna patrzeć na grę. Trudno powiedzieć, czy pochłaniała go tak samo jak mnie. Obserwował otoczenie, głośnych, rozradowanych kibiców wokół nas, którzy śledzili ruchy graczy na jasnym oszklonym korcie. Kiedy publiczność wybuchła po szczególnie długiej wymianie piłek, nie zdradzał żadnych emocji. Kilka razy pisnęłam, na co chyba zareagował śmiechem. Powinniśmy byli teraz podnosić ciężary. Czekałam, aż szturchnie mnie w ramię i zabierze swoje rzeczy, ale może wiedział, że musiałby wyciągać mnie stamtąd siłą. Im dłużej tam siedzieliśmy, tym bardziej byłam pewna, że już nie wrócę na siłownię. Wreszcie odetchnął, jakby podjął jakąś decyzję. Taimur czasami przemawiał dobitnym językiem

westchnięć, gestów i chrząknięć. Zdjął torbę z kolan i rzucił na podłogę, kopiąc ją pod ławkę. Rozsiadł się, skrzyżował ręce na piersi i pokiwał głową. Następnie odwrócił się do mnie i szepnął mi do ucha:

- Podoba mi się, Dżyngisie.
- A ja jestem zachwycony!
- Będziemy potrzebowali rakiet.

Tego wieczora znalazłam ojca siedzącego w słabym świetle lampy do czytania i zaszywającego dziurę w swoim ubraniu. Nóżka lampy owinięta była ciasno taśmą samoprzylepną. Nie wiem, gdzie znalazł taśmę, ale ostatnio naprawiał nią wszystko: chybotające się nogi stołu, rozlatujące się grzbiety książek, łopatkę wiatraka, szczoteczkę do zębów i złamaną lampę. Ojciec miał wielkie, kwadratowe ręce, ale jego długie palce sprawnie obchodziły się z nicią. Patrzyłam, jak trzymaną palcem wskazującym i kciukiem igłą wodzi w górę i w dół, zręcznie robiąc szwy w takt muzyki, która bez wątplenia grała w jego głowie. Wykonywał pracę domową, za którą gdzie indziej zostałyby wyśmiany. Po chwili spojrzął na mnie, uśmiechając się lekko. Przez moment nie odzywaliśmy się do siebie, równie dobrze mogłam być na dalekiej wyprawie – i w pewnym sensie byłam.

– Oto i wreszcie wróciłeś, Dżyngis-chanie, ze swojej podróży, mam rację? Widzę to w twoich oczach: złowiłeś w nie gwiazdy.

Od momentu zakończenia meczu nie przestawałam się uśmiechać:

- Znalazłem rozstaj dróg. Tak jak mówiłeś.
- Aha! Wiedziałem. Zawsze potrafiłeś słuchać. Niech zgadnę: nie stało się to na siłowni.
- Nie, w wielkim szklanym sześcianie.

Ojciec słuchał, obserwując mnie bacznie, kiedy opowiadałam o meczu i jego szybkim tempie. Po kilku minutach wstał i wyłączył poklejoną lampę. Matka objęła posadę dyrektorki szkoły nieopodal Darra Adam Khel i nie było jej w domu. Pięć dni w tygodniu po porannej modlitwie fadżr i szybkim śniadaniu wychodziła do nowej pracy, a wracała wieczorem, głodna i zmęczona. Pod jej nieobecność reszta rodziny dzieliła między siebie obowiązki, niczym drużyna porządkowa z ojcem w roli kapitana. Większość pasztuńskich dzieci z obrzydzeniem patrzyłaby na ojca wykonującego niewdzięczne obowiązki, ale dla nas był to dar. Uwielbiałam wracać do domu i go tam znajdować. Często piliśmy razem herbatę, czekając na powrót matki i rodzeństwa.

Bez słowa opuściliśmy dom, w półmroku zesłaliśmy po schodach

i znaleźliśmy się na gwarnej ulicy, żeby złapać riksę. Ojciec nie wydawał się dużo rozmyślać nad tym, że chciałam rzucić podnoszenie ciężarów i zająć się squashem. Po prostu ze swym zwyczajowym rozsądkiem zaakceptował moją decyzję bez pytania, tak jak osiem lat wcześniej przyjął do wiadomości to, że spaliłam swoje sukienki. Kiedy później matka wyraziła opinię, że lepiej by było, gdybym poszła do szkoły, uspokoił ją. Od dawna miała nadzieję, że podobnie jak siostra podążę jej śladem, zdobędę tytuł naukowy i podejmę karierę w edukacji. Nigdy nie brała pod uwagę, że będzie miała córkę zawodowo uprawiającą sport. Nigdy nawet nie spotkała sportsmenki, bo w naszej części świata takich po prostu nie było. Nieraz słyszałam, jak w nocy rodzice podnieconym szeptem debatują o moim losie. Kiedyś ojciec powiedział: „Maria nie jest jak inne dziewczynki. Nie jest Ayeszą ani nie jest tobą”. W końcu matka się z nim zgodziła.

Przeczuwałam, że ojciec, słuchając, jak trajkoczę o porywającym meczu squasha, będzie myślał o swojej siostrze, po której zostałam nazwana – często ją wspominał, kiedy mówiliśmy o moich planach. Czasami przyznawał, że patrząc na mnie, widzi ją. A czasami widział ją, ale się nie odzywał, tak jak tamtego popołudnia. Byliśmy do siebie bardzo podobni – fizycznie, a także z powodu temperamentu i porywczego zachowania – ale nie czekał nas ten sam tragiczny los. Moje suknie były jedyną częścią mnie, którą pozwolił mi spalić. Usiadłszy w rikszach, ojciec ujął mnie za dłoń i pocałował w głowę. Szepnął coś, gdy rikszarz włączał się do ruchu, ale nie usłyszałam co.

Zajechaliśmy pod budynek za siłownią i wkroczyliśmy do opuszczonego lobby wyłożonego wypolerowanymi płytkami. Byłam tutaj zaledwie kilka godzin wcześniej, ale teraz cisza i sztuczne światło tworzyły tajemniczą atmosferę. Myślałam, że będzie jak poprzednim razem: znajdziemy trenera, wpiszę moje imię i już znajdę się w drużynie. Po jednej stronie za biurkiem siedział jakiś mężczyzna, więc podeszliśmy do niego. Był gładko ogolony i pachniał skórą pomarańczy. Jego dłonie były szerokie i szorstkie, a kiedy podniósł głowę, rozpoznaliśmy się. To on był tym wysokim mężczyzną z rakieta, za którym podążałam po południu.

Ojciec chwilę porozmawiał z nim szeptem, podczas gdy ja kręciłam się po holu, czując się tu już jak w domu. Oglądałam na ścianach obramowane zdjęcia zawodników trzymających puchary. Tryskali radością, a na wygrawerowanych tabliczkach podano daty i nazwy miast z całego świata: Londyn, Tokio, Hongkong, Filadelfia, Nowy Jork. Słyszałam dudnienie wywołane przez ludzi grających w szklanych kortach. Brzmiało to tak, jakby

w głębi tego wielkiego budynku znajdował się ogromny ul pełen takich kortów. W powietrzu unosiła się powalająca energia, podobna do tej, którą odczuwałam, czekając na przystanku na autobus i gotując się do skoku. Niczego nie pragnęłam w życiu tak bardzo, jak grać w squasha. Już sama myśl, że będę trzymać rakieta i uderzać piłką o białe ściany, sprawiała, że chciałam wyjść ze skóry.

Ojciec przywołał mnie do biurka, a mężczyzna spojrział na mnie z zaciekawieniem. Zapytał, czy naprawdę pragnę nauczyć się grać, więc przytaknęłam. Wysunął szufladę, wyciągając z niej formularz i długopis, po czym mi je podsunął. Wskazał palcem, a ja podpisałam się na dole. A potem spojrział na mnie i powiedział: „A teraz potrzebujemy jeszcze twojego świadectwa urodzenia”.

Cała krew odpłynęła mi z głowy i poczułam ból żołądka. Spojrzałam na ojca i domyśliłam się, że nie chce niczego wyjaśniać – nie tam, nie w tamtym momencie. Staliśmy w kompletnej ciszy, a ja czułam, że marzenie, które już miałam w garści, szybko mi się wymyka. Miałam przy sobie tylko identyfikator, a ojciec powiedział, że będziemy musieli wrócić do domu po świadectwo. Mężczyzna skinął głową i powiedział, że to na razie wystarczy. Tak czy inaczej, nie było odwrotu. W panice, jakby od tego zależało moje życie, szukałam w głowie wytłumaczenia, dlaczego nie mogę dostarczyć dokumentu, który by mnie wydał. Nawet z profilu widziałam napięcie na twarzy ojca i żyły pulsujące mu na karku. Nie mrugnął okiem. Wiedziałam, że robi to samo co ja, próbując obejść biurokrację i nie powiedzieć prawdy. Byłam pewna, że ma ochotę wyjść bez słowa wyjaśnienia.

Nie wiem, co mnie napadło, żeby przejąć kontrolę nad sytuacją. Lekko dotknęłam ramienia ojca i kiwnęłam głową. Spojrzeliśmy sobie przenikliwie prosto w oczy – domyślił się, czego chcę.

– Czy pozwalacie grać dziewczynkom? Moja córka chciałaby wiedzieć.

Mężczyzna gapił się zza biurka, powieki mu drgały i w zamyśleniu gładził się po twarzy. Patrzył na mnie tak, jakbym spadła prosto z nieba. Kiedy się uśmiechnął, poczułam, jakby świat pode mną się otworzył i połknął mnie w całości.

– A więc jesteś dziewczynką – powiedział do mnie, jakby ojca w ogóle tam nie było. Poczułam, że ojciec się odsuwa, oddając mi miejsce. Wiedział, że sobie poradzę. Ja też to wiedziałam.

– Tak. Nazywam się Maria.

Mężczyzna wstał zza biurka. W życiu nie byłam tak wdzięczna za uśmiech

nieznajomego.
– Witamy.

ROZDZIAŁ 12

GRASZ JAK BABA

Początkowo nic się nie zmieniło. Wstawałam zaspana i ubierałam się jak wcześniej – w szorty po Taimurze i stary T-shirt. O poranku cisza unosiła się nad wszystkim niczym mgła. Przemywałam twarz, patrzyłam w pęknięte lustro nad umywalką – na swoje krótko przystryżone włosy, baczki. Gdybym chciała wyglądać jak dziewczynka, nie wiedziałabym, od czego zacząć. Z torbą gimnastyczną przewieszoną na plecach pędziłam Sohrabem przez budzący się do życia Peszawar, naciskając pedały rozłożącymi się tenisówkami. Z wyglądu wciąż byłam Dżyngisem, tak jak poprzedniego dnia, kiedy wstrzymując oddech, wypowiedziałam moje prawdziwe imię. Nie przyszło mi do głowy zmienić cokolwiek w moim wyglądzie. Akceptacja rodziny oznaczała, że nie musiałam – ani dla nich, ani dla nikogo innego. Po tylu latach beztroskiego życia w ubraniach po bracie byłam gdzieś pomiędzy Dżyngisem a Marią, nie decydując się do końca na żadną ze stron.

Kilka osób przyjrzało się mi, kiedy stanęłam na światłach, opierając się stopą o asfalt i pociągając szybki łyk z mojej manierki. Spojrzałam na nich, ściskając kierownicę i uwydatniając napięte mięśnie na moich ramionach. Było tak wcześnie, że większość sklepów była jeszcze zamknięta, a ulice puste. Spojrzałam na ciemne zarysy chmur wiszące w oddali nad horyzontem i wyobraziłam sobie senne przestworza Waziristanu. Na ulicy było wciąż tak cicho i spokojnie, że gdybym zamknęła oczy, przeniosłabym się do dawno utraconych dolin. Jadąc wzdłuż zamkniętych witryn, widziałam przed sobą tylko bryły budynków. Przydrożni sprzedawcy kebabów wyciągali z wózków białe tusze pozbawione głów i wieszali je na hakach. Będą rąbać mięso przez cały ranek, aż studzienki spłyną świeżą czerwoną krwią. Unosił się zapach rozpalanych palenisk, a z oddali dobiegała woń deszczu. Zapowiadał się długi, wilgotny dzień, który miałam spędzić, biegając zamknięta w czterech ścianach.

Podjechałam pod ośrodek sportowy sama, akurat w momencie, gdy ulice zaczęły rozbrzmiewać dźwiękami. W tym miesiącu Taimur pisał egzaminy

i nie mógł grać. W środku budynku usłyszałam tylko słumiony odgłos uderzeń gumowej piłki o ścianę. Szłam w stronę kortu, a dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Uprzejmy mężczyzna, który pozwolił mi się zapisać, ubrany teraz w nieskazitelną biel uderzał piłką o ścianę. Było w tym coś dzikiego, ale też pięknego – gwałtowne wystrzały niczym na strzelnicy. Jak uprzednio czułam w klatce piersiowej każde uderzenie. Zostawiał odciski stóp na wypolerowanej posadzce, a czarna gumowa piłka mknęła od ściany do ściany, zataczając hipnotyzujące łuki.

Mój pierwszy trener squasha był także podpułkownikiem w siłach powietrznych oraz dyrektorem PAF (Pakistan Air Force Squash Academy Peshawar – Akademii Squasha Pakistańskich Sił Powietrznych w Peszawarze), miał więc refleks człowieka przyzwyczajonego do pilotowania maszyn poruszających się z prędkością dźwięku. To on panował nad piłką. Uderzał ją i uderzał, bez przerwy na złapanie oddechu lub na łyk wody, a jego ramię i rakieta przecinały powietrze z elektryczną precyzją. Widziałam, jak przesuwam przedramię, jak lekko napina łopatkę, jak drobnym ruchem rakiety potrafi zmienić kąt uderzenia i trajektorię lotu. Piłka posłusznie mknęła z prędkością, jaką jej nadał. Jego długie i smukłe ciało obdarzone było onieśmielającą zwinnością. Sprawiał wrażenie, że potrafiłby złapać kulę w locie. Jakby potrafił czytać w moich myślach, zatrzymał się, podniósł rękę i złapał nadlatującą piłkę. Odwrócił się i w półmroku posłał mi uśmiech. Następnie zamachał, wzywając mnie do siebie.

– Taimur powiedział, że będziesz potrzebowała rakiety. Ta jest dla ciebie.

Wręczył mi ją.

Rączka była ciepła i wilgotna od jego potu. Zaciskając na niej dłoń, poczułam, jak łączy się z resztą mojego ciała. Kiedy dziś myślę o tej chwili, czuję się tak, jakbym znalazła brakującą kończynę. Trener się odsunął, jego twarz połyskiwała od potu, i mi się przyjrzał. Pewnie myślał sobie, jaka ze mnie chłopczyca albo – miałam nadzieję – jaka jestem dzielna. Pomachałam rakieta w górę i w dół, do tyłu i do przodu, najpierw powoli. Kiedy przyłożyłam dłoń do gęstej i napiętej siatki, poczułam, jak żyłki wbijają mi się w skórę. Byłam gotowa. Teraz myślałam już tylko o uderzaniu piłki.

– Dziękuję, trenerze, jest dobra.

– To seria firmowana przez Jonathona Powera. Jest mistrzem świata. Oby przyniosła ci szczęście.

– Myślę, że już przyniosła.

Trener, którego często nazywałam Pułkownikiem, spojrział na mnie

i pokiwał głową, podczas gdy na jego twarzy rysowało się zaciekawienie, bez krzty złości. Zwróciłam uwagę, że ma oczy podobne do ojca. Od momentu, w którym się poznaliśmy, mogłam mu powierzyć całe swoje życie. Wziął moją dłoń i wręczył mi piłkę – miękką i gorącą od tego bezlitosnego uderzenia. Zaciśnęłam na niej palce, czując jej żar, i w jednej chwili wszystkie moje mięśnie się ożywiły. Myślałam, że to ja znalazłam squasha, ale teraz wierzę, że to squash odnalazł mnie.

Chociaż czułam tę grę całym moim sercem, wciąż nie miałam pojęcia o zasadach. Trener postawił mnie pod tylną ścianą kortu i mi o nich opowiedział. W teorii nie było tu nic szczególnego, ale w praktyce opanowanie gry wymagało niezwykłego połączenia zwinności i wytrzymałości. Żeby złapać pocisk, trzeba być szybkim jak on; żeby nad nim panować co do milisekundy, potrzeba biegłości graniczącej z magią. Pułkownik ustawił mnie w kwadracie serwisowym. Przećwiczyliśmy kilka uderzeń „na sucho”. Przecinałam powietrze moją nową rakietą, uderzając wyimaginowaną piłkę tak mocno, jakbym chciała ją rozbić na atomy. Następnie stanął po drugiej stronie i kazał mi uderzyć naprawdę...

– Zobacz, jak ci pójdzie. Uderzaj tak mocno, jak chcesz, i tak długo, jak dasz radę.

Wciągnęło mnie od pierwszego uderzenia. Kierowana moją ręką rakietą czysto uderzyła w piłkę. Zanim się zorientowałam, rozgrzana guma pomknęła przez powietrze, uderzyła o ścianę i wróciła. Podskoczyłam do środkowej linii, przechyliłam raketę i ponownie posłałam piłkę w kierunku ściany. Musnęła powierzchnię i spadła na podłogę, ale udało mi się zagrać jedną rundę. Radość pierwszego uderzenia rozsadzała mnie od środka, wybuchłam więc śmiechem, który odbił się w czterech ścianach kortu – słyszę go po dziś dzień. Na zewnątrz zaczął padać deszcz, który bębnił o dach. Po chwili budynek zatrzęsł się od pioruna. Tam było jak na wojnie, a my znajdowaliśmy się w fortecy. Z raketą w dłoni, stopami na posadzce kortu i wzrokiem na piłce po raz pierwszy od przeprowadzki do Peszawaru poczułam, że jestem w swoim żywiole.

Upadłam na parkiet niczym złamane drzewo. Nie spodziewałam się tego; po prostu runęłam na podłogę. Natychmiast się zerwałam, otrząsnęłam i przyjęłam pozycję. Trener mnie przystopował i wskazał kilka elementów: górną linię autową, dolną blachę i środkową linię serwisową, w którą miałam celować. Kazał mi wrócić do uderzania piłką o ścianę, obserwując moją celność. Kopiowałam każdy jego ruch, aż zaczęłam dyszeć ze zmęczenia. Trener stanął

z tyłu i wołał:

– Uważaj na stopy! Wolniej! Przyjmij pozycję! Wracaj do punktu T!

I tak w kółko. Potykałam się, zdierałam kolana, obijałam boki, ale nie zwracałam na to uwagi. Każda fala bólu po upadku i powstaniu była wspianała. Pułkownik obserwował mnie z rękami złożonymi na piersi, kiwając głową przy każdym uderzeniu. Grałam z zapałem jak nigdy, ale niezbyt dobrze – byłam przerośniętym 12-letnim dzieciakiem z ogromnymi ramionami i wolnymi nogami. Ale to nie miało znaczenia.

Trener wskoczył i złapał piłkę w powietrzu, wyrrywając mnie z transu.

– Walczysz z demonami, Mario Toorpakai, a masz ich wiele.

– To dobrze? – Pot spływał mi po twarzy.

– Tak. To jedyny sposób, by wygrać.

Wziął swoją rakieta i zaczęliśmy grać.

Uczyłam się podstaw, szamotałam się, potykałam o własne nogi, krzyczałam i czułam, że serce wali mi tak mocno, jakby miało pęknąć. Czułam się jak w wielkim pudle na buty. Piłka latała wokół mnie jak koliber. Zanim się zorientowałam, minęły dwie godziny, a potem trzy i Pułkownik złapał piłkę. Dysząc, spojrzał na mnie. Padłam na podłogę, ciężko sapiąc. Na zewnątrz wciąż lał deszcz, a w środku światła migwały, jakby wpadła tutaj błyskawica.

Następnie wstałam i zaczęłam obracać rakieta poobijanymi dłońmi. Jeśli myślał, że mam dość, mylił się. Nie byłam dobra – nie potrafiłam prowadzić wymiany dłużej niż przez dziesięć sekund. Grałam jak ofiara. Ale wiedziałam jedno: znalazłam swoją dyscyplinę. Podeszłam do niego i przybiliśmy piątkę. Powiedział, że nigdy nie spotkał dzieciaka, który podchodziłby do tego jak ja – niczym wojownik. Odpowiedziałam mu, że nie jestem zwykłą dziewczyną. Jestem córką mojego ojca. Jestem Wazirką – do ostatniej kropli krwi.

*

Kilkunastu chłopców w nowych białych butach weszło na kort. Nikt się nie odezwał, tylko wymieniali spojrzenia. Grałam w squasha dopiero od jakichś dziesięciu tygodni, ale podczas weekendowych rozgrywek spotkałam kilku z nich na korcie. Tych, których pokonałam, już więcej nie ujrzałam. Pułkownik dzielił nas na grupy. Byli też inni trenerzy, ale to on wszystkiemu przewodził i kierował akademią. Towarzyszył mi Taimur, zerkał z tyłu, zawiązując buty – nowsze niż moje, ale i tak podarte jak u żebraka. Stałam przed bratem, spoglądałam przed siebie, wsłuchując się w echo przyciszonych męskich

głosów odbijających się od wysokiego sufitu jak w meczecie. Znajdowaliśmy się w jednym z wielu kortów otoczonych rzędem ławek ustawionych za przeszkloną ścianą, na których czekała większość dzieciaków. Trener przeszedł się wzdłuż kortów, przyglądając się drużynom. Byłam jedyną dziewczyną.

Podszedł do naszej grupy i zajrzał do notesu. Ustawił nas pod ścianą i policzył. Kiedy doszedł do mnie, zatrzymał się na moment i pokiwał głową. Nie byłam pewna dlaczego. Nawet wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że stąпам po krawędzi – z wyglądu nikt nie powiedziałby, że nie jestem stuprocentowym mężczyzną. Zapiisałam się jako dziewczyna, ale grałam jak chłopak. Prawdę mówiąc, wygodniej było mi nie ujawniać swojej płci. Niech inni myślą, co chcą. Innej dziewczyny nie było w zasięgu wzroku.

Kiedy Pułkownik przechodził albo wkraczał na kort, cichły wszystkie głosy. W Pakistanie pieczę nad trzema głównymi dyscyplinami sportowymi sprawują główne rodzaje wojsk: krykiet należy do piechoty, hokej na trawie do marynarki, a squash do sił powietrznych. Taki system został stworzony, żeby rząd mógł kierować federalne fundusze prosto do najważniejszych drużyn i programów. W moim kraju, jeśli chodzi o narodową dumę i kulturową przynależność, wojskowa i sportowa sprawność idą w parze. Pod okiem najpotężniejszych pakistańskich organizacji każdy chłopiec pilnował siebie. Nawet na tak małym korcie, gdzie było tak dużo czasu do zabicia, nikt się nikomu nie przedstawiał.

Przyszedł kolejny trener i stanął na punkcie T z piłką w ręce. Rozpoczął się trening uderzeń. Każdy po kolei podchodził do piłki, a następnie wracał na swoje miejsce. Najpierw uderzaliśmy piłką o ścianę – podstawowy manewr. Potem zaczęliśmy ćwiczyć przeróżne uderzenia, zapamiętanie ich nazw zajęło mi miesiące: *rolling nick*, *corkscrew*, *cross court* i *boast*. Biegaliśmy po korcie, aż każdy z nas dyszał jak pies. Następnie ten sam trener podzielił nas na mniejsze grupy i wystawił do pojedynków. Taimur został wysłany do chłopców z innej drużyny. Spojrzał na mnie i na chłopców z mojej grupy. Skinęłam na niego i kazałam mu iść.

Prawie nikt się nie odzywał. Cisza pozwalała mi się skoncentrować. Do squasha podchodziłam bardziej serio niż do innych rzeczy. Skupiłam się całkowicie na nauce zasad i rozpracowywaniu innych zawodników – kto mógł mnie pokonać, kto nie miał szans. Nie chciałam tracić czasu na słabszych. Dziewczyna czy nie, byłam największa ze wszystkich. Kilku chłopaków uważnie mi się przyglądało, a bardziej doświadczeni gracze – ci w białych

butach z nowymi sznurówkami, drogimi raketami i własnymi skórzanymi torbami – pozwoliło sobie na trochę drwin pod moim adresem. Dziwne, jak jednym spojrzeniem chłopak mógł sprawić, że czułam się gorsza. Na ulicy próbowało wielu, ale do tej pory żadnemu się to nie udawało. Podczas treningu widziałam, jak zwinnie, lekko i zręcznie się poruszali, czego ja nie potrafiłam. Cechowała ich wytrzymałość, której mi brakowało, ale moim atutem były ramiona jak tarany. Nie mogłam się doczekać, aż poślę prosto w ich bezczelne oczy mocną piłkę. Może nie byłam najszybsza, ale planowałam powalić ich wszystkich na łopatki.

Swoją szansę dostałam niecałą godzinę później, kiedy zostałam wysłana na pojedynek z dzieciakiem o głowę lub dwie wyższym i znacznie szczuplejszym ode mnie. Tylko uścisnęliśmy sobie dłonie. Dla mnie to lepiej. Bo co miałabym powiedzieć? Byłam tam jako Maria Toorpakai Wazir, ale wiedzieli o tym tylko Pułkownik i mój brat. Żyłasty chłopak przyjrzał się moim poszarpanym ciuchom i rakiecie. Wyglądała na zużytą, ale wiedziałam, że się wyróżnia. Pochodziła ze specjalnej edycji – Taimur wyjaśnił mi, co to znaczy. Natychmiast zrozumiałam, co pomyślał, patrząc na mój sprzęt: że gram od lat. Zakręciliśmy raketą i wypadło, że ja pierwsza serwuję. Wzięłam głęboki wdech i walnęłam piłkę, która przeleciała przez kort, odbiła się od ściany i wróciła z prędkością światła. Mój przeciwnik rzucił się, żeby ją odbić. Słyszałam, jak gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc. Spudłował. Spojrzał na mnie, przyglądając się mojemu ramieniu i siatce niebieskich żył, które zawsze wychodziły mi przy wysiłku. Wróciłam na pozycję i zaserwowałam jeszcze raz, w ten sam sposób, a on ponownie poległ. I tak pięć razy z rzędu. Za każdym razem, kiedy piłka upadała przed nim, wzdychał i przygryzał wargę. Gdy się obróciłam, ujrzałam rząd twarzy przyklejonych do szyby. Gdy tylko usłyszeli mój pierwszy serw, głośny jak uderzenie pioruna, rzucili swoje rakiety. Wtedy do środka wszedł Pułkownik i spojrzał na mnie.

– Zamieńcie się – powiedział.

Rzuciłam ciepłą piłkę przeciwnikowi. Stał w swoim rogu, patrząc przed siebie. Coś w nim rozпалиłam – pragnienie dania mi nauczki. Celowo uderzył piłkę lekko, jak dziecko. Rzuciłam się płasko na parkiet z wyciągniętą raketą, ale minęłam się z piłką o milę. Potem zrobił to ponownie, uderzając leciutko, a ja rzuciłam się, ledwie muskając piłkę obramowaniem. Powtórzył ten manewr pięciokrotnie, za każdym razem sprawiając, że lądowałam na ziemi, a potem posłał mi czystą, prostą piłkę. Podbiegłam do niej i odbiłam ją. Gdy przestaliśmy się bezsensownie popisywać, zaczęliśmy prawdziwą grę. Wtedy

zdałam sobie sprawę, że to nie uliczny pojedynek na pięści, tylko squash, a ja jestem członkiem drużyny. Odbijaliśmy do siebie piłkę, najpierw łagodnie. Ale nie trwało to długo. On grał precyzyjnie i kontrolował prędkość – po kilku minutach biegania po korcie pot lał się ze mnie strumieniami.

Wystarczyło mu dziesięć sekund, żeby odsłonić moją piętę Achillesa: miałam mordercze uderzenie, ale nie potrafiłam odbierać piłek, więc sprawił, że bezsensownie biegałam po całym korcie. Na problemy reagowałam jak zawsze – nieustępliwością. Piłka odbijała się od ściany i spadała przede mną. Byliśmy dziećmi uczącymi się grać, ale nasza rywalizacja miała w sobie plemienną zaciekłość. Krzyczeliśmy na siebie – czasem ze śmiechem, czasem, żeby sobie dopiec. Drwiny nie ruszały chłopców – wiedziałam to dobrze. Raz czy dwa uderzyłam tak mocno, że odskoczył ode mnie, jakbym wystrzeliła z pistoletu. Podczas tej rozgrywki wielokrotnie upadałam na kolana, zawsze wstając z nich ze zmęczonym uśmiechem.

Chłopcy stłoczeni za szybko nigdy nie widzieli kogoś takiego, jak ja. Mocne nogi sprawiały, że byłam szybka i twarda. Nie potrafiłam się zatrzymać w odpowiednim momencie i przejąć kontroli nad piłką, ale z pełnym zapałem angażowałam się w grę. Mój doświadczony przeciwnik potrafił wybrać odpowiednie uderzenie i znał wszystkie techniki. Ja miałam tylko surową moc i zabójczy instynkt. Wciąż się trzymałam, nawet jeśli oddychałam tak, jakby ktoś wbił mi nóż w gardło. Trener nam przerwał, kręcąc głową, spojrzał na mnie, na moje poobijane kolana i spuchnięte dłonie. Podniósł naszą piłkę, zacisnął na niej palce, gwizdnął przez zęby i upuścił, jakby to był rozżarzony węgiel. Zdjęłam buty i ściągnęłam zakrwawione skarpetki. Kilku chłopaków waliło w ścianę. Chcieli się ze mną zmierzyć. Mój przeciwnik próbował złapać oddech, pił wodę i mierzył mnie wzrokiem w sposób, jaki znałam z podnoszenia ciężarów. Wygrał, ale jednocześnie przegrał. Podał mi ręcznik. Przez otwarte drzwi słyszałam rozmowy gapiów. Rozmawiali o swoich meczach i o mnie. Jeden z nich zapytał, co za dzieciak grałby tak zaciekle.

– Spójrz na tego wielkiego Pasztuna. Wygląda, jakby ktoś przestrzelił mu kolana.

Założyłam, że mogę czuć się bezpiecznie w tej grupie. Przeszłam test, jak zawsze, wykazując się siłą, dowiodłam swojej pozycji. Pomimo sfatygowanych butów stałam się częścią grupy.

Pułkownik wezwał mnie oraz mojego przeciwnika do punktu T i kazał nam ucisnąć sobie dłonie. Pamiętam, że dzieciak miał na imię tak samo jak mój brat – Sangeen – co mu zresztą powiedziałam. Uśmiechnęliśmy się do siebie

i wróciliśmy do naszych kolegów. Gdy schodziłam z kortu, Pułkownik spojrzał na mnie i powiedział coś, co nagle przewróciło wszystko do góry nogami.

– Twoja rakietka nie wytrzyma zbyt długo, Mario.

Równie dobrze mógł wetknąć kij w mrowisko.

Wyszedł przez wąskie drzwi w tylnej ścianie. Zanim się za nim zamknęły, wyczułam zmianę energii na korcie. Mój oddech nagle stał się płytki i czułam, jak skacze mi ciśnienie. Czekałam, aż ktoś coś powie i wrócimy do meczu. Dudniło mi jeszcze w głowie od gry. Nie biegałam tyle, od kiedy mieszkałam w dolinie. Podniosłam z ziemi piłkę, którą zostawił trener, ale nikt się nie odezwał.

– Jeszcze jest gorąca – powiedziałam, nie okazując, że jestem speszona, i wręczyłam ją przeciwnikowi.

Wziął ją ode mnie, spojrzał mi na chwilę w oczy, ale zaraz odwrócił wzrok. Pozostali chłopcy wciąż przyglądali się zza szyby. Kilku z nich usłyszało moje imię. Widziałam to w ich spojrzeniach. Patrzyli na mnie jak na jakiś dziwny okaz z wystawy. Wciąż jednak nie czułam wstydu ani strachu. Jeśli wyszło szydło z worka, nic już nie można było z tym zrobić. Czasy bójek i szlajania się dawno minęły. Byłam tu, żeby grać w squasha na zaproszenie Pułkownika, i robiłam to aż do szaleństwa. Żaden chłopiec nie mógł mnie ruszyć. Kiedy odkaszlnęłam w biały ręcznik, zakłuło mnie w płucach; myślałam, że odkrztuszę krew. Jeśli chcieli konfrontacji, nie odważyli się na nią. Nie teraz. Nie po tym meczu. Po kolanach ciekły mi strużki krwi. Widzieli po moich wielkich dłoniach i ramionach, że mogłabym im zrobić to, co zrobiłam piłce do squasha.

Mój przeciwnik postanowił udawać, że się przesłyszał. Po tym, jak intensywnie mrugał, poznałam, że jest zmieszany, kiedy zbierał się do opuszczenia kortu. Inni podążyli za nim, zerkając przez ramię, gdy zmiierzaliśmy w stronę korytarza, żeby zabrać nasze torby. Rzucali spojrzenia na moją pierś, na moje sfatygowane szorty, na moje krępe nogi, szukając odpowiedzi. Mogłam z tych spojrzeń odczytać pytania. Niech się zastanawiają, myślałam sobie, nikomu nie jestem nic dłużna.

Największy z nich wystąpił z grupy; powinnam była się spodziewać, że tak się to skończy. Nawet w takim elitarnym i czystym sporcie jak squash rządzi prawo dżungli. Ktoś jest zawsze alfą. Podszedł do mnie, kiedy kierowałam się do wyjścia, pijąc z manierki pewnymi ruchami. Niektórzy chłopcy przysunęli się i nasłuchiwali. Mogłam go powalić w sekundę. Był jednym z tych ubranych w nieskazitelną biel, z zamożnych rodzin. Nawet po morderczym treningu

zachował idealną postawę. Czułam od niego słodki zapach drzewa sandałowego, będący jak zniewaga dla nędzy, z której według niego się wywodziłam. Może sądził, że wszystko odgadł po dziurach w mojej koszulce i starych plamach na szortach.

– Powinienem być się domyślić. Grasz jak baba. Nie potrafisz nawet biegać.

Myślałam, żeby zmierzyć się z nim tu i teraz, w jasnym korytarzu. Nasz trener siedział przy biurku, rozmawiając przez telefon. Na ścianach wisiały obramowane portrety mistrzów z pięciu dekad i nie było wśród nich ani jednej kobiety. Nagle poczułam dumę. Zaczęłam uprawiać narodowy sport na zaproszenie sił powietrznych, Pułkownik powiedział, że rząd stara się zachęcić do sportu więcej dziewcząt. Wiedziałam, że byłam jedną z pierwszych. Z jakiegoś powodu prezydent Pakistanu chciał nas na korcie.

Odwróciłam się do nich, wyciągnęłam raketę i się uśmiechnęłam.

– Dokładnie tak. Pokażę wam znowu w przyszłym tygodniu.

*

Nic, co powiedziałam, nie miało znaczenia – chłopcy mieli mnie na oku. Zawsze gdy grałam, gapili się na mnie przez szybę z wywalonymi jęzorami. Plotka się rozeszła: na korcie jest pasztuńska dziewczyna. Nic, co powiedział ani zrobił Pułkownik, nie mogło zmasać ze mnie tej skazy. Ich męska duma była zbyt silna. Niejednego doprowadziłam do szału na korcie. Tak naprawdę się mnie bali. Wiedziałam to. Nie przypominałam znanych im dziewczyn: skrytych za woalem, skromnych siostr czy cichych, czułych matek. Byłam jak oni, tyle że silniejsza. Ale kiedy ten chłopak w nieskazitelnej bieli przeszedł koło mnie na korcie, dotykając dłonią mojego tyłka i się śmiejąc, coś we mnie pękło. Nie odwróciłam się do niego, tylko wyszłam z raketą i rozpadającą się torbą na korytarz i udałam wprost do domu. Następnego ranka – i każdego kolejnego – wstawałam przed świtem, ubierałam się w stare dresy i pedałowalam przez Peszawar na korty. Jedynym sposobem pokonania ich wszystkich było pokonanie każdego z nich. Tyle wiedziałam.

Wtedy squash przerodził się z gry w totalne uzależnienie. Woźni zawsze mnie wpuszczali i czasem graliśmy razem. Wchodziłam na kort z każdym, z kim mogłam rozegrać solidny, zawzięty pojedynek. Taimur wpadał tylko na kilka meczów po szkole. Grałam z wojskowymi pilotami, z ochroniarzami szukającymi rozrywki po pracy, nauczycielami, kucharzami. Kiedy w pobliżu nie było chętnej osoby z raketą, szukałam wolnego kortu i grałam sama.

Wiedziałam, nad czym muszę pracować – nad prędkością i precyzją. Po kilku szalonych tygodniach, w czasie których byłam na korcie każdego dnia, czasem nawet po osiem godzin, jeśli tylko mogłam sobie na to pozwolić, zaczęłam robić postępy. To już nie było hobby, lecz sposób, by trzymać mnie z dala od ulicy i od kłopotów, sposób na wyładowanie mojej nieposkromionej agresji. Pokochałam squasha całą sobą. Ojciec nie kwestionował mojego nagłego zapału – znikaliśmy z domu o brzasku, a wracałam poturbowana i opuchnięta w nocy. Lepsza rakietą niż pistolet albo pięść. Lepszy kort do squasha niż ciemna uliczka i 14 szwów na głowie. Istnieje różnica pomiędzy zwycięzcą a mistrzem. Miałam nastawienie „wszystko albo nic”. Za każdym razem, kiedy rzucałam się do rozpedzonej piłki, widziałam te dzieciaki w nieskazitelnej bieli i to, jak ich wszystkich po kolei pokonuję.

*

Stałam z rakieta na schodach, kiedy zaczęli schodzić się chłopcy; niektórzy gromadzili się przed kortami, sprawdzając harmonogram rozgrywek. Miałam obklejone dłonie, żeby ukryć odciski, a moje poobijane kolana były owinięte bandażami. Na korcie straciłam dwa paznokcie i zrzuciłam tyle kilogramów, że musiałam nosić stare dresy z ciasno zawiązanym sznurkiem. Wciąż byłam górą mięśni, ale zrzuciłam tyle ciała, że zyskałam zwinność. Na przekór sprośnym spojrzeniom zza szyby zapuściłam włosy – niech sobie patrzą na mnie jak na dziewczynę. Wzięłam kostkę lodu, przyłożyłam do ucha i przekułam sobie w łazience uszy igłą. Jeśli ci wymuskani chłopcy z prywatnych szkół próbowali mnie dopaść, wybrali sobie zły cel.

Szłam korytarzem, wzdłuż zapełnionych ławek, a głowy się za mną obracały. Miałam we włosach jaskraworóżową opaskę. Trenera nie było na początku zajęć. Postawiłam w rogu torbę i wyjęłam rakieta, rozglądając się za piłką. Niektórzy chłopcy już zaczynali swoje – stanęli za mną, patrzyli, szturchali jeden drugiego nie wiadomo po co. Minęłam ich, wchodząc na kort, rozejrzałam się za przeciwnikiem, aż wreszcie sama go sobie wybrałam, wskazując rakieta. Wszyscy się zaśmiali. Pomyślałam, że nawet ci elitarni zawodnicy w wykrochmalonych strojach zachowują się jak ulicznicy. Chodzili pięć dni w tygodniu do szkoły, ale byli równie głupi. Tak uważałam i możliwe, że to powiedziałam. Nie pamiętam.

Rozstawiliśmy się z moim pierwszym przeciwnikiem na korcie w pełnej gotowości. Nie pamiętam, kto serwował, tylko to, co stało się później.

Każdym zamachem posyłałam go na glebę. Kosiłam piłkę, jakby to była dla mnie pestka, wprawiając go w osłupienie. Wtedy postanowiłam: pobiję ich wszystkich tu i teraz. Doskonale pamiętam, że było ich 14. Zanim doszłam do siódmego, zaczęli się uciszać za szybą – wszyscy, z wyjątkiem tego chłopaka w wykrochmalonym i wyprasowanym białym stroju. Napierał na szybę i miał niewyparzoną gębę. Krzyczał coś o mojej nowej fryzurze i czy mój ojciec wie, co robi jego córka nierządnicą. Wtedy zaprosiłam go na kort. Kiedy wszedł wolnym krokiem, napięcie między nami było tak duże, że aż iskrzyło. Wiedział, że jeśli przegra, to po nim. A ja wiedziałam, że jeśli wygram, znienawidzą mnie jeszcze bardziej. W tym paradoksie krył się klucz do mojego przetrwania – za nienawiścią będzie szedł szacunek. Jeśli nie zniszczę tego dzieciaka, już nigdy nie dadzą mi grać w spokoju.

Celowo nie spieszyłam się z serwisem. I tak był niezadowolony, że nie wygrał losowania. Leniwym krokiem powlokłam się do mojego rogu, wzięłam piłkę, ścisnęłam ją i spojrzałam na niego. Światła migaly, a chłopcy za szybą pojękiwali. Czułam zapach rozgrzanej elektrycznej instalacji. Powietrze drgało. Następnie wzięłam wdech, podrzuciłam piłkę i walnęłam ją tak mocno, że do ściany doleciała w dwóch kawałkach. Obejrzałam się za siebie i jeden z dzieciaków przyniósł nową. Kiedy mu podziękowałam, nie odważył się spojrzeć mi w oczy. Coś zaczęło się zmieniać. Musiałam ich wszystkich pokonać albo nie miałam czego szukać w akademii.

Chciałabym powiedzieć, że mój przeciwnik walczył zaciekle, ale w rzeczywistości ledwie się ruszał. Rozwalając piłkę, wytrąciłam go z równowagi. I nie mógł mieć wątpliwości, że byłam dziewczyną – jaskrawa opaska, małe, okrągłe kolczyki, które dostałam od siostry. Tego dnia wyglądałam najbardziej kobieco od wielu lat, przez co jeszcze trudniej mu było stanąć ze mną do walki. Zrobiłam więc to, co miałam do zrobienia, co trenowałam codziennie, całymi godzinami, tydzień po tygodniu. Rozwaliłam go na kawałki. Kiedy skończyłam, słyszałam jego urywany, wściekły oddech. Z zaciśniętymi ustami podszedł do drzwi i pchnął je tak szybko, że trzasnęły, uderzając o ścianę. Następnie się do mnie odwrócił.

– Będę się modlił za twojego ojca. Żaden mężczyzna, niezależnie za jakie grzechy, nie powinien mieć za córkę takiej suki, jak ty.

Wszedł, po czym spojrzał na mnie zza szyby, otoczony przez innych chłopców. Przycisnął biodra do szkła i wystawił język. Kilku chłopców zarżało, ale większość gapiała się, nie wiedząc, co począć. Najodważniejsi po prostu wyszli.

Poczułam znajomą falę gorąca na karku. Podniosłam rakieta i krzyknęłam na niego – i na każdego chłopca czy mężczyznę, który miałby zamiar wejść mi w drogę. Rozsadzała mnie wściekłość, więc cisnęłam rakieta niczym oszczepem prosto w szybę. Chłopak odskoczył, gdy uderzyła o powierzchnię, pękając. Następnie wezwałam go na inny pojedynek. Widział, że jestem śmiertelnie poważna. Stałam, tupiąc nogą i wzywając go gestem ręki. Podeszłam do szyby, zmierzyliśmy się wzrokiem, aż zauważyłam, że ogarnęło go przerażenie. Dałam mu do zrozumienia, że mogę mu zrobić krzywdę. Jeśli odważyłby się wejść do środka, rozerwałabym go na strzępy, z czego zdawał sobie sprawę. Zaczął odsuwać się od szyby, a wtedy ja wrzasnęłam ile sił w płucach:

– Chcesz wiedzieć, jak grają baby? Właśnie tak!

ROZDZIAŁ 13

PALENIE SKORPIONÓW

Po wzgórzach naszych rodzinnych ziem szwendały się dzikie psy. Po przeprowadzce do Peszawaru zwierzęta te zaczęły mnie nawiedzać w snach, czasem słyszałam jedynie mrozące krew w żyłach dźwięki. Słyszałam echo ich szczekania, gdy nawoływały się nocą pod ciemnymi graniami. Jako małe dziecko leżałam w łóżku, nasłuchując, jak wściekłe sfory ścigały jakieś stworzenia po obrzeżach naszej doliny, żlebami i po zimnej równinie. Po ich odgłosach, które nagle wzbierały na sile, gdy sfora otoczyła ofiarę, mogłam się domyślić, jak zaciekle atakują. Ostatnia seria wściekłego wycia następowała, gdy rozrywały swoją zdobycz na kawałki. Czasami konające zwierzę słabo zaskomlało w noc. Już wówczas dobrze znałam jęk towarzyszący śmierci.

Gdy byłam mała, moja rodzina trzymała udomowioną suczkę. Wielu sąsiadów wykorzystywało te zwierzęta do obrony domu albo do strzeżenia stada owiec. Każdej wiosny zapach naszego przywabiał dzikie psy, ściągając je do naszej spokojnej wioski. Poruszały się wzdłuż rzeki niczym banda chuliganów zgrają liczącą dziesięć lub więcej osobników – zwieszały mokre języki i pochylały łby. Kiedy udało im się wśliznąć na podwórko, nasz pies chował się na tyłach domu, nawet jeśli frontowe drzwi były zamknięte na zasuwę, a okiennice zatrzasknięte. Słuchając ich złowieszczych powarkowań, ojciec mówił nam, że nie możemy nic zrobić, żeby się ich pozbyć. Wiedziały, że mamy tutaj samicę, i chciały jej. W końcu psy wpadały w taki szał, że atakowały drzwi z przerażającą furją, drapiąc i warcząc, jakby wszystkie się wściekły. Choć byłam schowana w bezpiecznych ramionach ojca, wierzyłam, że te psy chcą dopaść mnie, nas wszystkich, i nie wycofają się, dopóki nie wedrą się do środka. Kilka razy zjawili się u nas mężczyźni z wioski, którzy zastrzelili parę psów, płosząc resztę w góry.

Wiele lat później, po przeprowadzce do Peszawaru, zastanawiałam się, dlaczego tak często śni mi się, że te psy mnie ścigają – zawsze mnie samą – przez bezkresną noc. Na przełomie 2001 i 2002 roku żwawy Peszawar zaczął powoli cichnąć. Tłum ludzi wypełniający ulice zrzędł, mimo że populacja

miasta wciąż rosła; mijane twarze nosiły znamiona złych przeczuć, ale dla mnie jako dziecka nie miało to znaczenia. Po prostu zauważyłam, że atmosfera w mieście się zagęściła, ludzie częściej wpadali w gniew, przy drogach błąkały się głodne dzieci uchodźców, a gangi narkomanów rozprzestrzeniały się niczym wirus. W domu ojciec często zatapiał się w cichej kontemplacji. Nigdy go nie pytałam dlaczego. Za bardzo pochłaniało mnie uderzenie gumowej piłki tak szybko i mocno, jak mogłam. Mimo że wciąż poruszałam się po korcie niezgrabnie i zdarzało mi się spudłować, squash stał się całym moim światem. Dziś często się zastanawiam, jak ojcu i matce udało się dokonać tego cudu: pielęgnowali naszą rodzinę w sanktuarium pokoju, podczas gdy wokół rozszalała się wojna tak zaciekle, że mogła zniszczyć wszystko, co stało jej na drodze.

Od kiedy przyszedłam na świat, przez ponad 20 lat Afganistan, z którym dzieliliśmy granicę i wspólny rodowód aż od czasów starożytnych, pogrążony był w wojnie. Najpierw była inwazja radziecka (1979–1989), potem wojny domowe (1989–2001) – ustąpienie komunistycznego rządu Nadżibullaha, a później mroczny reżim talibów. Ojciec wyjaśnił mi tło i rozumiałam, że ten konflikt jest częścią istoty zarówno tego państwa, jak i naszego. Ale rok 2001 był zupełnie inny. Wyzwolił bezprecedensowe barbarzyństwo, nawet jak na rejon z tak krwawą historią. Na całych terenach FATA i wzdłuż linii Duranda wzywano do wojny. Obecne od dawna tarcia, niektóre sięgające kilku pokoleń wstecz, sięgnęły zenitu i pewnego sądnego dnia podpaliły niekończący się lont.

Słyszałam, że większość mieszkańców krajów zachodniego świata dokładnie pamięta, gdzie była w momencie historycznych wydarzeń: w czasie pierwszego lądowania na Księżycu, zabójstwa prezydenta Johna F. Kennedy'ego, katastrofy promu kosmicznego Challenger, 11 września. Nie pamiętam, co robiłam 11 września 2001 roku, kiedy terroryści wlecieli dwoma wypełnionymi paliwem odrzutowcami w nowojorskie wieże World Trade Center, a trzecim w waszyngtoński Pentagon; czwarty samolot dzięki bohaterstwu pasażerów spadł na pola w Pensylwanii. Wciąż byliśmy nowi w Peszawarze, nie mieliśmy telewizji ani dostępu do wiadomości. Mineły godziny, zanim ta brzmiąca nieprawdopodobnie historia dotarła do naszych uszu. Nawet gdy usłyszałam o ataku, a na okładkach gazet rozłożonych na ulicznych stoiskach zobaczyłam zdjęcia, nie zwracałam na nie uwagi – ani na skalę tragicznych wydarzeń i tysiące niewinnych ofiar, o których nie wiedziałam, ani na to, że owo katastrofalne wydarzenie można powiązać

z naszą częścią świata. Ameryka leżała za oceanami i była dla mnie nie bardziej realna niż hollywoodzkie filmy, które od czasu do czasu wypożyczał mój ojciec. Dom tych dwóch turystów z plecakami był dla mnie baśniową krainą pełną cukierków i uśmiechniętych ludzi.

11 września miałam niecałe 11 lat i spędzałam dni, walcząc o swoją pozycję na ulicach miasta. Teraz przypominam sobie, że gdy się obudziłam, zastałam Ayeszę pogrążoną w żalu, siedzącą na podłodze z opuszczoną głową, owiniętą białym czadorem, a nad nią pochylał się ojciec i mówił coś przyciszonym głosem. W tle stał ponury Taimur, patrząc na swoje dłonie. Zobaczyli gdzieś zdjęcia z ataków, dorwali jakąś gazetę, dotarli do makabrycznych doniesień i poznali liczbę ofiar. Matka dowiedziała się o tym później, kiedy wróciła do domu, a ojciec usiadł z nią w rogu naszego pokoju dziennego, popijając herbatę. Pamiętam, jak szeptał jej do ucha, a ona cały czas wzdychała. Pamiętam słowo „Al-Ka’ida” – wypowiedziane szybko i cicho, jakby było zakazane – ale wówczas nic mi ono nie mówiło. Później słyszałam, jak modliła się za te wszystkie dusze i jak chodziła z pokoju do pokoju. Nie zasnęła tej nocy. Żadne z nas nie zasnęło. Kilka dni później patrzyłam z okna, jak ojciec i Ayesha wychodzą przygarbieni na deszcz, a ich sylwetki rozplływają się we mgle. Spędzili kilka godzin, stojąc w długiej kolejce przy Hospital Road, żeby wpisać się do księgi kondolencyjnej konsulatu generalnego Stanów Zjednoczonych. Wrócili przemoczeni i zasmuceni, nie odzywali się, nie licząc prośby o zrobienie herbaty. Usiedli zamyśleni w półmroku. Wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałam – że żyjemy na beczce prochu i jest tylko kwestią czasu, kiedy ona wybuchnie.

Podobnie jak dla reszty świata, 11 września był dla Pakistanu dniem przełomowym. Po tej dacie nic już nie było takie samo. Członkowie Al Ka’idy rozprzestrzenili się po Afganistanie. Ich lider, Osama Bin Laden, działał pod osłoną panującego tam reżimu talibów. Kiedy talibowie odmówili oddania go w ręce Zachodu, Zachód zmobilizował wojska. Zaledwie dwa tygodnie po zamachach Pakistan wycofał swoje wieloletnie poparcie dla talibów, a zaczął popierać Stany Zjednoczone i ich sojuszników. Ta decyzja nie obyła się bez poważnych konsekwencji dla naszego kraju. Od 1947 roku, kiedy to linia Duranda podzieliła plemienne tereny, Afganistan nie chciał zaakceptować granicy, zgłaszając pretensje do terytorium Pasztunów po pakistańskiej stronie. Żeby utrzymać pokój, Pakistan musiał pójść na ustępstwa wobec Afganistanu i uregulować swoje zawile i kłopotliwe stosunki z Indiami po drugiej stronie. Decyzje polityczne nie opierały się na ich słuszności bądź jej braku –

podporządkowane zostały przetrwaniu narodu. Jeden zły ruch i Pakistan mógł się znaleźć pomiędzy parą obnażonych kłów. Kiedy amerykański prezydent George W. Bush oznajmił światu: „Albo jesteście z nami, albo z terrorystami”, Pakistan uznał, że występowanie przeciwko supermocarstwu to zły pomysł.

Prowadzona przez Stany Zjednoczone operacja przeciwko Afganistanowi zakończyła się szybko – w przeciągu trzech miesięcy. Po krwawej walce i zdobyciu w listopadzie fortu w pobliżu miasta Mazar-i Szarif, talibowie polegli. Choć ludzie mogli się cieszyć z upadku tego barbarzyńskiego reżimu, przemoc dopiero się rozkręcała. Ojciec przewidział to, choć dopiero po latach zrozumiałam, co miał na myśli, gdy przemierzając nasz pokój, powtarzał zwrot „puszka Pandory” i kręcił głową. Zdecydowani zmiażdżyć zachodnich najeźdźców wojownicy – talibowie, Al-Ka’ida, Uzbegy, Tadżykowie, Czeczeni i Arabowie, w tym sam Osama Bin Laden – chyłkiem przekraczali niebezpieczną linię Duranda, przemieszczając się między Afganistanem i Pakistanem, jak ich przodkowie robili to od wieków. Kryli się w odległych wioskach, w trudno dostępnych terenach, pod osłoną starszyzny plemion, z którymi dzielili historię dłuższą od chrześcijaństwa.

Dla plemion historia jest znacznie dłuższa niż pojedynczy konflikt. Dla nich upadek talibów w Afganistanie był tylko przejściowym kłopotem. Poddanie się nie wchodziło w grę – koniec wojny był daleki. Zepchnięci wojownicy po prostu się przegrupowywali i czekali na odpowiedni moment. To nie był zwykły konflikt, tylko dżihad na pełną skalę – kruczata w imię Boga przeciwko niewiernym najeźdźcom. Nie zakończą go bomby burzące miasta ani traktaty. Nie miało znaczenia, że Pakistan sprzymierzył się z najeźdźcami; głęboko na plemiennych ziemiach bojownicy mieli swobodę ruchu, te tereny nigdy nie znalazły się pod panowaniem konkretnej władzy. W kolejnych miesiącach i latach grupy bojowników stawały się coraz większe i rosły w siłę. Tymczasem cywilni uchodźcy zalewali nasze miasto. Nad Peszawar powoli niczym mgła opadła śmierć.

Wśród wysiedlonych Afgańczyków znajdowali się zakamuflowani bojownicy dżihadu, tworząc tu po cichu swoją armię. Zbierali się w domach albo skrywali w nędznych obozach uchodźców na obrzeżach naszego miasta. Wznosili po kryjomu składy broni, rozszerzali swoją siatkę, organizowali kontyngenty dilerów narkotyków i porywaczy, indoktrynowali bezdomnych, głodnych, bezsilnych i uzależnionych. Następnie knuli plany i robili to, w czym byli o wiele lepsi od swoich przeciwników: szwendali się po górach jak dzikie psy, otaczali swoją ofiarę, zbliżali się do niej i czekali.

*

Przenieśliśmy się do domu w Bara Gate, spokojniejszej dzielnicy na południowym zachodzie Peszawaru, i codzienne życie stało się łatwiejsze. Rada edukacji, jeśli było to możliwe, dawała dyrektorom i innym pracownikom domy na przyjemnych osiedlach mieszkaniowych, a matka całymi miesiącami czekała, aż znajdzie się na liście. Był rok 2002 i nie myślałam o wojnie w Afganistanie, o atakach ani o tym, co dzieje się po drugiej stronie gór otaczających naszą gwarną dolinę. Równie dobrze mogło się to dziać tysiące mil stąd.

Nawet po 11 września ojciec nauczał w koledżach w głębi FATA, przez co musiał godzinami podróżować po coraz to bardziej wrogim terenie. Okolice, do jakich dojeżdżał, były zbyt niebezpieczne, żeby mogła w nich zamieszkać nasza rodzina, ale nie zrezygnował z pracy nauczyciela w tych małych oazach pokoju, które się tam jeszcze ostały. Każdego ranka pakował teczkę, brał jakiś owoc, sznur modlitewny i wsiadał do autobusu. W drodze na plemienne tereny przekraczał wiele wojskowych posterunków i zmieniał połączenia. Nikt nie kwestionował jego obecności. Pełnokrwieści Pasztunowie byli tam wpuszczani bez pytania. Kiedy nocą jak inni ojcowie wracał do domu z pracy, po jego zakurzonej i wykończonej twarzy dało się poznać, że widział rzeczy, o których jeszcze latami nie chciał mówić: porzucone przy drodze ciała podziurawione kulami, splądrowane całe wioski i ani jednej kobiety w zasięgu wzroku.

Nasz dom w Bara Gate był skromną budowlą z cegły i zaprawy, ale mieliśmy okna, przez które wpadało dużo światła, schody oraz frontowe i tylne drzwi. Dobiegał nas ciągły harmider samochodów i motocykli. Zaledwie kilka kroków od ruchliwej dwupasmowej drogi Bara mieliśmy w końcu to, za czym tak długo tęskniłam – własny mały kawałek nieba. Dom znajdował się w okolicy pełnej szkół i dzieciaki były wszędzie – biegały po ulicy, skakały na skakankach w kolorowych ubraniach. Jeździłam na rowerze do ośrodka squasha Janshera Chana, a rodzeństwo miało blisko do szkoły.

Brakowało nam pieniędzy na wszystko poza pożywieniem. Nasze ubrania były w strzępach, a buty nosiliśmy do szewca, aż już nic nie dało się z nimi zrobić. Młodszy bracia nieraz musieli chodzić boso. Biedę rekompensowała nam jedna rzecz: łatwy dostęp do edukacji. Rodzeństwo chodziło do dobrych szkół. Ojciec uważał, że różnię się od innych dzieci i muszę się uczyć na wolnym powietrzu, jak zawsze. Nie pasowałam do pokornych i pilnych uczniów, którzy potrafili godzinami siedzieć w książkach. Na zewnątrz budziła

się moja wyobraźnia, żywa i bogata jak hollywoodzki film. Ojciec domyślał się, że trzymanie mnie w klatce sprawi mi ból. Twierdził, że jestem bystra, więc tak czy inaczej nauczę się tego, co trzeba. I miał rację. Trzymałam się z boku, przyswajając edukację innego rodzaju: uprawiałam sport, pomagałam w domu, przysłuchiwałam się, jak rodzice uczą rodzeństwo z podręczników matematyki, geometrii i fizyki, a także włóczyłam się po mieście od bramy do bramy.

Lipiec 2002 roku był upalny, wszędzie unosił się kurz. Wielu Pasztunów, którzy zasiedlili naszą okolicę, zbierało się w dużych grupach przy drodze w marnym cieniu uschłych drzew – wszyscy mieli na sobie luźne białe ubrania. Obserwowałam ich przez cienki całun kurzu, a rozgrzana gleba paliła moje posiniaczone nogi. Gdy przypominam sobie tę scenę, zawsze widzę ją jakby sfilmowaną przez złotawy filtr kurzu, przez co przyprawia mnie o dreszcze. Mężczyźni rozmawiali o walkach i rozlewie krwi, ale to było tylko tło. Przysłuchując im się uważnie, słyszałam urywki historii i słów, których znaczenia jeszcze nie znałam. Najczęściej padało określenie „talibowie”. Jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale tanto lato miało być przełomowe.

Po raz pierwszy od 1947 roku pakistańska armia wysłała żołnierzy do autonomicznych plemiennych regionów. Ich obecność na terenach ogarniętych paranoją na punkcie obcych była efektem negocjacji z głównymi plemionami, ale nie każdy klan zgadzał się na napływ uzbrojonych rządowych żołnierzy. Pomimo ogromnego wysiłku armii złapano jedynie garstkę terrorystów. Korzystając z gościnności wymaganej przez kodeks Pasztunwali, wszędzie mogli znaleźć bezpieczne schronienie. Wkrótce plemiona Wazirów zaczęły postrzegać przeciągającą się obecność pakistańskiej armii na ich ziemi jako próbę ujarznienia ich ludzi i odebrania im terenów, aż wreszcie naturalny brak zaufania przerodził się w nienawiść.

Matka wróciła na stanowisko dyrektora szkoły w Darra Adam Khel. Tym razem rada edukacji dała jej to, o co prosiła: jej uczniowie mieli prawdziwy budynek szkolny, podręczniki, tablice, boisko do badmintona, pałki i piłki do krykieta, ołówki i papier. Brakowało tylko nauczycieli. Matka wraz z kilkoma innymi kobietami brały na swoje barki tyle lekcji, ile tylko mogły poprowadzić. Z pobliskich wzgórz często dobiegały odgłosy bomb, granatów i karabinów maszynowych, ale tutaj wciąż żyły dzieci i rodziny próbujące urządzić się w dolinie, zbierać zniwa, karmić i hodować zwierzyne, prowadzić małe sklepiki i chodzić do szkoły. Ich jedyną bronią była

przyszłość. Matka, która codziennie rano musiała pakować torbę i wychodzić na autobus, a następnie odbyć nim podróż przez posterunki, mawiała: „Co zostało spisane, jest spisane”. Rodzice zawsze wracali do domu na kolację.

Jeśli cokolwiek w tamtym czasie sprawiało, że czułam się nieszczęśliwa, to granie w squasha z chłopcami. Mieszkałam przy Bara Road i na korty mogłam jeździć rowerem. Po drodze przelatywały nade mną lądujące na lotnisku Bacha Chan pasażerskie odrzutowce albo wojskowe myśliwce z pobliskiej bazy. Odgłosy startujących i lądujących samolotów zapierały dech w piersiach. Czasami zatrzymywałam się przy drodze, patrząc, jak jeden z nich przelatuje nad miastem, przecinając niebo niczym ostrze. Główne arterie były szerokie jak Indus i zdawały się równie długie. Pędziłam obwodnicą Peszawaru pośród gnających samochodów, mocno naciskałam pedały, starając się za nimi nadążyć i szukając odpowiedniego zjazdu. Widziałam świat jak przez mgłę. Kiedy z wałącym sercem i w przepoconych ubraniach podjeżdżałam pod ośrodek, wiedziałam, co się zaraz stanie. Chłopcy zaczną się schodzić niczym drapieżcy do ofiary, gdy tylko przekroczę próg. Wciąż trenowałam, bo sam sport – ruch i uderzanie piłki o ścianę – pomagał mi zapomnieć o wszelkich problemach. Jeśli w pobliżu był brat, graliśmy długi mecz. Od czasu do czasu dawał się do tego namówić ktoś z obsługi, ale musiałam zrezygnować z bardzo krępujących sesji grupowych. Nieważne, jak bardzo starałam się nie rzucać w oczy – sfora deptała mi po piętach.

Gdy szłam korytarzem w kierunku kortów, nagle ucichały rytmiczne odgłosy gry. Chłopcy odwracali się w moim kierunku. Wiedziałam, że mnie nienawidzili – za moje łachmany, za niesforne włosy, które były ani długie, ani krótkie, za jeden kolczyk, który nosiłam w uchu, jakby chcąc wzbudzić u nich niepewność, za to, że pobiłam ich jeden po drugim, i za to, że rozbiłam rakietę o szybę, co było kolosalnym błędem. Dałam im do zrozumienia, że nie mogę wygrać tej gierki w kotka i myszkę, którą zaczęli. Jeśli nadal będę traciła panowanie nad sobą, mogą mnie wyrzucić z akademii, z czego zdawali sobie sprawę. Niestety, trudno było wyjaśnić i udowodnić władzom, że jestem przez nich po cichu prześladowana.

Miesiącami wierzyłam, że jeśli będę siedzieć cicho, zmęczą się i pozwolą mi grać i trenować. Otworzyłam drzwi do ostatniego kortu w szeregu, wyciągnęłam rakietę i uderzyłam piłkę, żeby się rozgrzać. W myślach już liczyłam – nie liczbę uderzeń, ale ile sekund minie, zanim się tu przywłoką niczym zwierzęta wypuszczone z klatek. Chyba nigdy nie doszłam do minuty, zanim nie wyczułam ich obecności – zawsze było wśród nich trzech czy

czterech tych samych chłopaków. I zawsze zaczynało się tak samo: stali za szybą, gapiąc się, sunąc po moim ciele oczami jak rękoma. Jeśli się obróciłam, jeden z nich mógł wykonać lubieżny gest ustami albo językiem, po którym natychmiast się czerwieniłam. Nie mogłam grać, kiedy czułam, jak się na mnie gapią, często więc pudłowałam albo potykałam się o własne nogi. Po trzech miesiącach takiej gry nie zrobiłam żadnych postępów, mimo że trenowałam godzinami. Ciągłe za mną stali, zmieniając się, jakby zaplanowali sobie, żeby mnie gnębić. Czułam się tym zbyt zawstydzona, żeby powiedzieć trenerowi... czy komukolwiek. Był to element działań mających mnie pokonać i wiedziałam, że przegrywam.

Kiedy ostatniego dnia wróciłam, ojciec stał w drzwiach frontowych, patrząc w kierunku niespokojnego zachodu. Nad naszymi głowami przeleciał odrzutowiec, zataczając krąg nad miastem i z hukiem odlatując w kierunku gór. Zmierzchało już, a ojciec powoli sączył zieloną herbatę z trzymanej w rękach filiżanki. Ostatnio był jak wartownik czekający wieczorem, aż wrócę do domu. Oparłam Sohraba o ścianę, rzuciłam pokrowiec na raketę, zawiązałam but, nie patrząc mu w oczy. Potarłam ręce pełne popękanych odcisków. Do domu pedałowałam rozgniewana, walcząc w myślach z moimi prześladowcami. Wiedziałam, że mogłam powalić każdego z nich jednym uderzeniem, ale to oznaczałoby definitywny koniec ze squashem. Zamęt wywołany tym paradoksem doprowadzał mnie do szału. Poczułam wzrok ojca i spojrzałam na niego. Widziałam, że chce o coś zapytać – nie o to, jak minął mi dzień, bo to widział po moich skulonych ramionach. Czasami ojciec witał nas pytaniem jak z quizu:

– Mario, widziałem, jak pędziłaś ulicą niczym tygrys tasmański, i muszę zadać ci jedno pytanie.

– Tak, Baba?

– Pierwsza zasada dynamiki, znasz ją?

Odpowiedziałam natychmiast, nawet nie musiałam się zastanawiać:

– Ciało w ruchu pozostanie w ruchu, dopóki nie zadziała na niego inna siła. Tak jak jechanie na rowerze i hamowanie, żeby się zatrzymać. Oczywiście, grawitacja odgrywa tutaj swoją rolę.

Uśmiechnięty ojciec pokiwał głową i pociągnął głęboki łyk. Oparty o framugę w czystym *salwar kamiz*, wyglądał, jakby wypoczywał na wakacjach, i nikt nie pomyślałby, że tego dnia odwiedził gorącą strefę konfliktu.

– Jak to jest, Mario, że znasz wszystkie trzy zasady dynamiki New-

tona, mimo że nigdy nie chodziłaś do szkoły? Niektóre dzieci w twoim wieku dopiero uczą się używać linijki.

– Ty jesteś moją szkołą i słucham, jak inni się uczą. Wczoraj tłumaczyłeś Taimurowi fizykę i nauczyłam się o prędkości.

Zaśmiał się krótko, odstawił filiżankę na ziemię i podszedł do mnie. Nie mówiąc nic, wziął moje dłonie, rozłożył je i przebiegł palcami po mojej zgrubiałej skórze. Następnie przyjrzał mi się tak wnikliwie, jakby spędził cały dzień, oglądając mnie na kortach, widząc chłopców molestujących mnie wzrokiem, słysząc słowa, które pod moim adresem wypowiadali, a które ledwie do mnie docierały przez hałas wywołany piłką uderzaną o ścianę i waleniem pięści o szybę.

– Patrząc na twoje ręce, widzę pasję do gry. Ale kiedy wróciłaś, na twojej twarzy widziałem coś zupełnie innego: apatię. Zastanawiałem się, co robić, i chyba wiem. Nie spodoba ci się ten pomysł, ale to dla twojego dobra. Pora, żebyś wróciła do szkoły.

Mój ojciec. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem, a ja byłam znużona. Nie miałam siły walczyć. Nie mogłam mu się przeciwstawić – ani wtedy, ani kiedykolwiek. I prawdę mówiąc, czułam, że ma rację. Odstawiłam rakietę w rogu, przekonana, że odstawiam ją na zawsze.

*

Szkoła Warsak Model, do której pięć dni w tygodniu uczęszczali brat i siostra, znajdowała się o krótką przejażdżkę autobusem od naszego domu. Funkcjonuje do dziś, jest tak samo poważana jak wtedy i to ona była jednym z powodów, dla których w ogóle przeprowadziliśmy się do Peszawaru. Kiedy matka zobaczyła ją pierwszy raz, wróciła do domu, usiadła i zapłakała. Ceglany budynek z czystym dziedzińcem i nowoczesnym wyposażeniem: komputerami, laboratoriami oraz biblioteką. Siostra tam zakwitła, spełniając wszelkie nadzieje pokładane w niej przez rodziców. Każdego dnia wysiadała z autobusu z torbą wypchaną książkami i umysłem wypełnionym nową wiedzą. Podobnie jak matka znalazła się wśród jednego procenta wiejskich dziewcząt, które otrzymały porządną edukację. Siostra w białej szacie i z nieskazitelnymi manierami była modelową studentką. A ja...

Czekałam na autobus ubrana w poszarpane brązowe spodnie. Bawiłam się fałdami białego czadoru na moich ramionach, który cały czas mi się zsuwał. Odmówiłam zarzucenia go na swoje zmierzwiłone włosy. Od czwartego roku

życia nie zakrywałam głowy i nie miałam zamiaru zacząć to robić w wieku 12 lat. Nikt by mnie nie zmusił – wystarczyło, że zgodziłam się pójść do szkoły. Gdy autobus podjeżdżał, słyszałam narastającą wrzawę dziecięcych głosów dobiegających przez otwarte okna. Poczułam w trzewiach strach. Spojrzałam na zegarek – nie było jeszcze ósmej, a ja już odliczałam godziny i minuty. Zanim wsiadłyśmy, Ayesha wyjaśniła mi, że chłopcy i dziewczynki są rozdzieleni – chłopcy siedzą z tyłu, dziewczynki z przodu, a nauczyciele pośrodku. Słyszałam ją, ale jej nie słuchałam.

Ayesha usiadła w pierwszym rzędzie, a ja schyliłam się, przycisnęłam torbę z książkami i manierką, wbijając wzrok w brudną podłogę. Czułam na sobie palące, pytające spojrzenia. Minęłam ławkę nauczycieli i poszłam na sam tył. Ayesha powiedziała znajomym, że jej siostra właśnie została przyjęta do szkoły. Spojrzeli na mnie, na moją umięśnioną sylwetkę, na chłopięce ubrania i milczeli w osłupieniu. Spodziewali się mniejszej wersji Ayeshy, a nie jej niezdarnego przeciwieństwa w spodniach. Gdy mijałam kolejne rzędy, głosy cichły. Zajęłam wolne siedzenie wśród chłopców, którzy musieli się rozsunąć, żeby zrobić mi miejsce. Czułam, jak rośnie temperatura ich męskich ciał. W końcu jeden z nauczycieli kazał mi się przesiąść, ale odmówiłam milcząco, po prostu uśmiechając się i wzruszając ramionami. Autobus ruszył i włączył się do ruchu. Po chwili nauczycielka się zaśmiała, zarumieniła na twarzy i zrezygnowała. Nie wiem, dlaczego tam usiadłam – nie była to forma protestu. W przeciwieństwie do Ayeshy wychowywałam się wśród chłopców, jako członek ich grupy, a najczęściej przywódca. Nie wiedziałam, jak dziewczyna powinna zachowywać się wśród dziewczyn.

Gdy tak jechaliśmy główną ulicą, patrzyłam na rzędy plastikowych siedzeń. Wszystkie twarze – z wyjątkiem twarzy Ayeshy – zwrócone były w moją stronę. Widziałam, jak siedzi nieruchomo na przedzie w białym czadorze, patrząc na ulicę, zapewne z rękami złożonymi na kolanach. W tej chwili kochałam ją jeszcze bardziej niż zawsze. Nie robiąc i nie mówiąc nic, w pewnym sensie mnie broniła. Szanowali ją, szanowali moich rodziców za to, że uczyli zaniedbane wiejskie dzieci, więc pozwolili mi być sobą.

*

Szkoła była dla mnie porażką. Moimi pierwszymi salami były skaliste doliny, po których biegałam z procą. Uczyłam się od ojca, siedząc pod drzewem dżambu albo na glinianej posadzce, słuchając anegdot przybłądów, których

przyprawiał do domu. Pierwszego dnia szkoły znalazłam się przy czystym biurku, ślizgając się palcami po gładkim, wypolerowanym drewnie. Od razu poznałam, że jestem w innej, prawdziwej szkole. Uczniowie nie siedzieli ściśnięci w obskurnym pomieszczeniu, kłócąc się o ogryzki ołówka i skrawki papieru. Elektryczne lampy oświetlały czyste białe ściany. Szkoła miała długie korytarze i łazienki. Koniec lekcji oznajmiał dzwonek. Były komputery, wielkie tablice i aktualne mapy. Początkowo myślałam, że taki dobrobyt podziała na mnie motywująco. Miałam własny słownik, podręczniki i kalkulator. Moja nauczycielka ignorowała nawet fakt, że siedziałam w żeńskiej klasie w spodniach. Dziewczęta chichotały, kilka z nich się przywitało i rozmawiało o mojej siostrze, ale nigdy nie sprawiły, że czułam się wśród nich obco. Wszyscy zdawali się akceptować fakt, że przez większość życia żyłam jako chłopiec. Było to coś tak niewyobrażalnego, że aż do przyjęcia. Świat miał teraz znacznie poważniejsze problemy niż mój strój. A mimo to każdego ranka po pierwszym dzwonku siadałam, otwierałam zeszyt i po kilku minutach zasypiałam z głową zwieszoną nad książką.

Za biurkiem miałam najlepsze sny: byłam w Darra, strugając łuki i strzały, puszczając latawce i samoloty. Nauczyciele nie wiedzieli, co począć z wiecznie senną Marią Toorpakai. Moja umiejętność spania na lekcjach wśród rozgadanych uczennic i dzwoniących dzwonek stała się legendarna. Zirytowani nauczyciele stukali mnie linijkami, a uczniowie oblewali mi głowę wodą. Nic nie działało. Nawet jeśli spałam w nocy dziesięć godzin, i tak zasypiałam na lekcjach. Nie mogłam na to nic poradzić. Drzemałam już w szkolnym autobusie, obśliniając siostrę.

Zeszyty schowane w biurku, po jednym na każdy przedmiot, obrastały kurzem. Po dwóch lub trzech miesiącach beznadziejnych ocen moja wychowawczyni poprosiła mnie o nie, a następnie stanęła nade mną, wertując puste strony. Widziałam jej drżące palce przewracające kartki, pragnące znaleźć choćby ślad jakiegokolwiek aktywności. Na twarzy rysował jej się wyraz, którego wciąż nie potrafię zrozumieć – coś w stylu przerażonego niedowierzania, tak głębokiego, że nic nie powiedziała. W kolejnych tygodniach nauczycielka próbowała bez powodzenia znaleźć mi książkę, która mogłaby mnie zainteresować, wymyślić mi jakiś indywidualny tok pracy, ale równie dobrze mogłaby próbować złowić rybę ręką. Niczego w ten sposób nie przyswoiłam, co też jej zakomunikowałam.

– Nie potrafię się niczego nauczyć na siedząco, Madam. Muszę się ruszać. Siedzenie pod tymi lampami sprawia, że mózg mi się wyłącza.

Wkrótce potem zostałam wezwana na dywanik i wyrzucona. Kiedy ojciec wrócił do domu, nic nie powiedział, przeczytał tylko list ze szkoły i popatrzył na mnie. Wiedziałam, że kończą mu się pomysły. Mnie też się kończyły. Po raz pierwszy ujrzałam w jego oczach strach. Rodzina po prostu nie wiedziała, co ze mną zrobić.

Uwolniona od szkoły, jeździłam rowerem po całym mieście. Wracając do Bara Gate z jednej z moich długich podróży, przekonałam się, że świat kompletnie zwariował. Sunęłam powoli. Nie spieszyłam się, zjeżdżając z głównej ulicy w wąskie dróżki, omijając zamknięte odcinki. Aż do tego dnia nie zaznałam wojny. Jadąc alejką znajdującą się tuż obok domu, zdjęłam nogi z pedałów, rozprostowałam je i sunęłam samym rozpędem. Czułam wojnę w kościach. Jeśli dla Amerykanów jej początek wiąże się z przerażającymi obrazami 11 września, dla mnie zaczęła się ona od przerwanej rowerowej przejażdżki.

Przede mną ujrzałam opartego o ścianę mężczyznę, który palił małego brązowego skręta. Od razu poznałam, że to narkotyk – pewnie haszysz. Po jego pustym i bezcelowym spojrzeniu domyśliłam się, że jest narkomanem. Tacy często chodzili grupami, a ich twarze były tak otępiełe, że aż mnie przerażały. Gromadzili się pod mostami, w alejkach albo półżywi włóczyli się po drogach. Ten był samotny, z dużą chustą na głowie i ciemną od słońca skórą. Byłam pewna, że już go wcześniej widziałam. Kiedy się oparł i podniósł rękę, żeby się zaciągnąć, zza jego paska wyłonił się pistolet. Nigdy bym nie zwolniła, gdyby nie ta broń. Gdy tylko zauważyłam gwiazdę na rękoności, przypomniało mi się, jak siedzieliśmy z ojcem w kuchni w Darra Adam Khel – był to makarow, taki sam jak mój.

Zwalniając, spojrzałam mu w oczy. Z prędkością i zdecydowaniem, których się po nim nie spodziewałam, mężczyzna zrobił krok naprzód, zachodząc mi drogę. Następnie, jakby złapał ofiarę, chwycił za tył mojego roweru i go podniósł. Przez kilka sekund koło obracało się w powietrzu, gdy ja pedałowalam. Z jakiegoś powodu, może żeby stłumić przerażenie, pomyślałam o pierwszej zasadzie dynamiki Newtona – postawiłam stopy na ziemi.

Nie wiem, dlaczego zaczęłam się trząść. Nic się jeszcze nie stało, mężczyzna jeszcze się nie odezwał, tylko stanął przede mną. Było południe, większość ludzi brała właśnie drzemkę, miasto wyglądało na opustoszałe. Mężczyzna przyglądał mi się niespiesznie od stóp do głów. Przycisnęłam dłonie do śliskich od potu ud. Powiedziałabym coś, gdybym tylko wiedziała

co, ale po chwili to on przemówił. Z jego gorącego oddechu bił metaliczny kwas. Był na haju – nie miałam co do tego wątpliwości – ale wciąż zachowywał pewność siebie.

– Kim jesteś?

Nie miałam pojęcia, co mu na to odpowiedzieć.

– Pasztunem. Wazirem.

Moja odpowiedź tylko go zirytowała, więc potrząsł moim rowerem.

– To wiem. Widziałem, jak wychodzisz z tamtego domu. Kim jesteś: siostrą, bratem, synem, córką?

Samo pytanie dało mi do zrozumienia, że znalazłam się w tarapatkach, wolałam więc nie odpowiadać. Zanim wymyśliłam, jak się wykaraskać, rzucił tłącego się skręta na ziemię; rozpadł się, ale wciąż palił, a ja na chwilę zatrzymałam na nim wzrok. Wyglądał, jakby był wypełniony suchą glebą, i wydobywał się z niego gryzący zapach, od którego łzawiły mi oczy. Podszedł do mnie z boku i wziął pod ramiona, zdejmując z siedzenia. Gdy tak się szarpaliśmy, rower upadł, zadrapując mi łydki. Nie spodziewałam się, że mężczyzna jest tak silny i potrafi zadać taki ból, więc ledwo co łapałam oddech, kiedy mnie trzymał, zbliżając swoją twarz do mojej.

Czułam jego spokojny oddech na moich policzkach; skupiłam wzrok na niedopałku tłącym się koło moich stóp. Dziwnie pachniał – gorąco i niemal słodko – a dym wdierał mi się przez nozdrza do ciała. Skupiłam na nim uwagę, żeby nie zwymiotować. To nie był haszysz, którego zapach unosił się w całym mieście. Gorący kwas żołądkowy przelewał mi się w jelitach. Zaczęłam młócić powietrze, więc mężczyzna przytrzymał mnie mocniej. Nieważne, jak bardzo wierzgałam, nie mogłam wyswobodzić się z jego uchwytu, gdyż naciskał z coraz większą siłą. Usłyszałam, że coś wypadło na ziemię z jego ubrania. Szybko spojrzałam na mały woreczek, z którego wysypały się dziwne przedmioty: kilka krótkich brązowych końcówek, zakrzywionych i prążkowanych, z jednego końca zwężonych. Rozpoznałam je natychmiast – podobnie jak pistolet, przywołały wspomnienia z Darra – były to ogony skorpiona. Narkomani na głodzie często w akcie desperacji łapali te stworzenia i palili z tytoniem truciznę z ich ogonów. Czasami była to jedyna metoda na złapanie haju, zanim w ich ręce nie wpadła kolejna porcja narkotyków.

Powtórzył pytanie, a cienka smuga powietrza pomiędzy nami zrobiła się natychmiast gorąca. Spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami, ze wzroku mężczyzny wyraźnie można było wyczytać jego zamiary. Miał zjełczały

oddech. Jeśli nic bym nie zrobiła, z pewnością próbowałyby sam znaleźć odpowiedź, której nie chciałam mu udzielić. Gdy poczułam jego dłonie zaciskające się na moich nadgarstkach, adrenalina wzięła górę. Szybkie i mocne kolano niczym młot przywaliło mu w krocze. Zatoczył się do tyłu. Zrobiłam krok naprzód i kopnęłam go jeszcze mocniej. Wyzywałam go od psów i drani. Upadł na kolana i wydał z siebie jęk. Odsuwając się, zauważyłam na ziemi kawałek pękniętej rury i ją podniosłam. Spojrzałam na niego, gdy jego wzrok powędrował w górę i próbował skupić się na przedmiocie, który nad nim trzymałam.

– Tak, jestem dziewczyną, siostrą, córką, Wazirką.

Cisnęłam w nim rurą. Po tym nie był w stanie się podnieść.

Przerażona wsiadłam na rower, moimi mięśniami targały drgawki. Odjeżdżając z mętlikiem w głowie, usłyszałam jeszcze, jak krzyczy, że jestem grzesznicą i że mój czas nadejdzie. Wróciwszy do domu, schowałam się w kącie i zrobiło mi się niedobrze.

W kolejnych dniach widziałam tego mężczyznę kręcącego się po Bara Gate i palącego ogony skorpionów. Włóczył się po pobliskich drogach, czekając na mnie. Raz lub dwa znalazł się tuż pod naszymi drzwiami, obserwując, jak przychodzę i wychodzę. W końcu musiałam powiedzieć ojcu, co się stało, gdyż obawiałam się, że gotów jest posunąć się dalej niż do obmacywania. Mówiąc to, płakałam jak nigdy wcześniej. Wiedziałam, że ojciec nie jest typem mężczyzny, który ukarze swoją córkę za to, że była molestowana, ale z niezrozumiałych dla mnie powodów wciąż czułam wstyd.

Wiedziałam, że nie wezwie policji – w Peszawarze w tamtych czasach nie tak załatwiano sprawy. Policja oczekiwałaby łapówki, żeby tylko otworzyć sprawę, i jeszcze więcej pieniędzy, żeby jej nie zamykać. Nawet gdybyśmy je dali, mielibyśmy szczęście, jeśli cokolwiek by zrobili. Kiedy opowiedziałam o szczegółach, twarz ojca spochmurniała. Spodziewałam się, że wyciągnie pistolet, odnajdzie mężczyznę i wymierzy mu sprawiedliwość. Ale on tylko słuchał z kamienną twarzą, w środku gotując się ze złości; zadał mi kilka pytań, a potem zamilkł. Zrobił herbatę i siedział zatopiony w myślach przez kilka godzin. Byłam pewna, że szuka sposobu na zabicie mojego prześladowcy w taki sposób, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi, co mogło być trudne w tak zaludnionym mieście, albo na pobicie go tak dotkliwie, żeby już więcej nie wrócił.

Kiedy nadszedł czas, ruszyłam z ojcem. Wystarczyło przejść jedną przecznicę, żeby znaleźć przestępcę. Mężczyzna, który mnie molestował, stał

jak zwykle, paląc kolejnego trującego skręta. W czasie rozmowy ojciec wyjaśnił mi, że jad skorpiona nie tylko powoduje, że ludzie są na haju, ale sprawia też, że stają się agresywni. Ojciec zauważył już tego mężczyznę wcześniej i zastanawiał się, dlaczego obserwuje nasz dom.

Staliśmy na ulicy. Ojciec i mężczyzna byli niecałe pół metra od siebie, ja czekałam wyzywająco za ojcem. Przez długi czas dyskutowali, nie wykazując żadnych oznak wrogości. Rozmawiali o mojej rodzinie: kim byliśmy i skąd pochodziliśmy. Ojciec wydawał się spokojny, stał pewnie w swoich wyprasowanych ubraniach. Powiedział tamtemu, żeby trzymał się z dala od jego dzieci, bo następnym razem nie będzie już taki miły. Mężczyzna skinął głową i się rozejrzał, zaciągając skrętem. Kiedy ojciec skończył mówić, mężczyzna zaproponował, że zabierze nas na herbatę, ale odmówiliśmy. Wzruszył ramionami i przeprosił ojca, wiedząc już teraz, że pochodzi on z dystygowanej rodziny. Po chwili afgański narkoman odszedł, rozpluwając się we mgle, a my z ojcem wolnym krokiem poszliśmy do domu. W drodze powrotnej poczułam, jak gniew krąży mi w żyłach niczym trucizna. Ojciec nic nie zrobił, tylko porozmawiał. Gdy wchodziliśmy do domu, zapewnił mnie, kładąc mi ręce na ramionach, że już nigdy więcej nie zobaczę tego mężczyzny.

Po raz pierwszy i ostatni byłam wściekła na ojca, co też mu powiedziałam. Uznałam go za tchórza. Powinien był pobić tego mężczyznę albo go zabić za to, że się do mnie zbliżył. Tak się załatwiało te sprawy. Ojciec nie słuchał tych zarzutów i nie zwracał uwagi na moje łzy, tylko wyszedł do drugiego pokoju. Zamilkłam i pomrukując, podążyłam za nim. Usiedliśmy na matach rozłożonych na podłodze; wciąż się trzęsłam, gdy po cichu opowiadał mi o toczącej się wojnie, o talibach i innych wojujących grupach pogrążonych w dżihadzie i ich zamiarach – zamiarach większości dżihadystów, którzy przeniknęli do naszego kraju – o ich wersji islamu, ograniczającej wolność, prawa kobiet i dziewcząt, takich jak moja matka, siostra i ja.

– Jad skorpiona, który palił ten człowiek, nawet w połowie nie jest tak groźny, jak trucizna w jego głowie. Gdybym zrobił to, co chciałaś, czego po mnie oczekiwałaś, mogłoby tu przyjść wielu innych, podobnych mu mężczyzn, bojowników dżihadu. To, co ci zrobił, to część czegoś znacznie większego. To część świętej wojny.

Prawdę mówiąc, nie rozumiałam w pełni słów ojca. Zostałam odarta z godności, a potem ze sprawiedliwości, jaką pasztuński ojciec powinien wymierzyć w imieniu swojej córki. Całe lata zajęło mi rozplątanie węzłów mojego gniewu i zrozumienie, że postąpił mądrze. Rozmawiając spokojnie

z szalonym bojownikiem, ojciec ocalił życie moje i mojej rodziny.

ROZDZIAŁ 14

RUPIE DLA MATKI

Po wydaleniu ze szkoły przesiadywałam sama w pustym domu, ztracałam się w bezcelowości. Rzucona w kąć torba na raketę mnie wzywała. Czasami spędzałam całe godziny, wpatrując się, jak stoi oparta niczym strzelba o ścianę. W końcu nie zapytałam o pozwolenie. Wciąż pragnęłam grać, tyle że nie w towarzystwie bandy grubiańskich chłopaków; ojciec też tego dla mnie nie chciał. Cała rodzina wybywała na pół dnia – do szkół, kształcić się i zarabiać pieniądze, które pozwalały nam przeżyć. Wreszcie podeszłam do torby, uklękłam przed nią i rozsunęłam suwak. Gdy wyjęłam raketę i wzięłam ją w dłoń, poczułam się tak, jakbym odzyskała trzecie ramię. Obróciłam uchwyt, czując, jakby były w nim zaklęte tysiące uderzeń pragnących się wydostać. Siedziałam tak długą chwilę, bawiąc się nią, rozmyślając i marząc.

Zamiast odłożyć raketę do torby, zabrałam ją ze sobą do kuchni. Ściana naprzeciwko znajdowała się daleko i była pomalowana na biało. Zdałam sobie sprawę, że jest wystarczająco duża, żeby oddać w jej kierunku porządne uderzenie. Tylko to chodziło mi po głowie – jedno solidne uderzenie, może dwa. Nie miałam nic do roboty, poza gniciem. Kilka razy w tygodniu jeździłam na rowerze, załatwiając sprawunki, sprzątałam dom, gotowałam posiłki i przesypiałam resztę dnia. Czasami prosiłam Allaha o jeden kolorowy sen pełen szerokich równin, płynących rzek i uśmiechu matki, którego nie widziałam od tygodni, jakby zgubiła go gdzieś między domem a FATA. Ale takie sny nigdy nie nadchodziły.

Przepchnęłam stół na drugi koniec pomieszczenia, przesunęłam taboret, zdjęłam ze ściany mapę świata. Następnie przyłożyłam dłoń do wysokiej, nieskazitelnej ściany. Była idealna. W kuchni panowała cisza. Stałam na rozstawionych nogach, przyjęłam pozycję. W oddali słyszałam samochody sunące Bara Road, syreny, ćwierkające ptaki i płaczące dzieci. Gładka i dobrze znana mi piłka ogrzała się w mojej dłoni. Przygotowałam raketę. Nabrałam powietrza w płuca, wyrzuciłam z umysłu zbędne myśli.

Wyprowadziłam serw – piłka pomknęła przez kuchnię, uderzając o białą ścianę. Fala dźwiękowa uderzenia rozeszła się po całym pomieszczeniu, atakując mnie. Poczułam się tak, jakby ktoś wcisnął zapomniany przycisk i wszystkie zaniedbane mięśnie w moim ciele nagle ożyły. Kiedy piłka wróciła, znowu ją walnęłam, a potem jeszcze raz i ponownie. Wywiązała się z tego długa seria uderzeń, która zamknęła pewien nudny rozdział mojego życia. Kiedy wreszcie spudłowałam, musiałam na chwilę odłożyć rakieta. Stałam w ciemnej kuchni, pozwalając piłce zatrzymać się na cementowej posadzce. Pochyliłam się, kładąc ręce na moich niegdyś poobijanych kolanach, zamknęłam oczy i roześmiałam się głośno. Nikt nie mógł mnie usłyszeć. Następnie się wyprostowałam i zaczęłam jeszcze raz – tyle że mocniej. Nie robiłam przerw na nic – ani na jedzenie, ani na picie, ani na długą drzemkę, która pozwalała mi przetrwać każde popołudnie. Godzinami wyprowadzałam uderzenia. Rakietą mną zawładnęła.

Po kilku dniach kuchennych treningów moja jedyna piłka rozpadła się na pół. Można było przypuszczać, że to koniec zabawy, ale w pokoju minęłam złamaną lampę. Przyjrzałam się srebrnej taśmie łączącej dwie części i pognałam do szafki, w której trzymaliśmy młotki, gwoździe, oliwę do strzelby, pinezki, zepsute liczydło i cenną taśmę klejącą ojca. Znalazłam rolkę, odciąłam mały kawałek i odłożyłam ją na miejsce. Taśmą owinęłam piłkę i wróciłam do gry. Przez jakiś czas trzymała mocno, ale kiedy puściła, a piłki nie dało się już naprawić, wiedziałam, że zostało mi tylko jedno: w upalne popołudnie wskoczyłam na Sohraba i bez cienia lęku pojechałam przed siebie. Nie miałam zamiaru wchodzić do budynku, przysięgłam sobie, że nigdy tego nie zrobię. Ale na dziedzińcu i wzdłuż ścieżek stare, zużyte piłki do squasha porozrzucane były niczym śmieci. Poszukiwanie ich stało się moim nowym zajęciem. Czasem, jeśli dopisało mi szczęście, udało mi się znaleźć jakąś nową, zgubioną pod żywopłotem albo w rynsztoku. Choć działałam potajemnie, byłam dumna, że mam zajęcie na cały dzień, i to w dodatku niekosztujące moich rodziców ani rupii. Nie mieliśmy pieniędzy na takie luksusy jak piłki do squasha, i nie chciałam im mówić, co robiłam. Ojciec wiedział, jak cierpiałam na korcie, i obawiał się, że w ogóle przyjdzie mi na myśl tam wrócić. Nie miał pojęcia, co zrobić ze swoją niesforną córką, i byłam wściekła na samą siebie, że jestem dla niego takim obciążeniem. Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, że opuszczenie akademii squasha było pomyłką. Nuda okazała się znacznie gorszym przeciwnikiem niż chłopcy i ich drwiny. Gdy ojciec ostatnio na mnie patrzył, widziałam w jego oczach tylko

troskę. Rodzeństwo podążało jasno wytyczonymi ścieżkami – Ayesha została wybrana na osobę nadzorującą dyscyplinę w szkole, Taimur studiował z kolegami, bliźniaki poszły do podstawówki – ja jedna dryfowałam w nieznane.

Całymi tygodniami walczyłam z wyimaginowanymi przeciwnikami w naszej kuchni – na dłoniach znowu pojawiły mi się odciski, na rękach uwidoczniły się mięśnie, a serce przypomniało sobie o swojej jedynej pasji. Nigdy nie przyszło mi do głowy po prostu zapytać o pozwolenie na powrót do gry. Kiedy ojciec się czymś martwił, zawsze to szanowałam. Bez reszty pochłaniały mnie te tajne turnieje, gdy całymi godzinami waliłam piłką o ścianę, aż moje ciało się poddawało i upadałam na chłodny cement niczym szmaciana lalka. Rodzice nie wiedzieli, że squash mnie ocalił. Gdy tylko wzięłam do ręki raketę, całe zwątpienie w siebie wyparowało. Kiedy uderzałam piłkę, świat przestawał dla mnie istnieć; może dlatego gdy pewnego dnia ojciec wrócił do domu wcześniej, nie zauważyłam, że stoi w drzwiach i mi się przygląda.

W końcu wydał jakiś dźwięk – zakaszał, poszurał nogami czy coś w tym stylu – wyrywając mnie z transu. Piłka kilkakrotnie odbiła się od podłogi, zatrzymując się. Stałam tam, dysząc, z wybałuszonymi oczami, i trzymałam raketę, jakby zamrożona w środku ruchu, spocona, z walącym sercem. Zostałam przyłapana. Popatrzyliśmy na siebie, ojciec skinął głową, przyglądając się bałaganowi w kuchni – stół odsunięty pod ścianę, w wiadrze niepozmywane naczynia, na blacie resztki czerstwego chleba niedojedzonego przez braci – a potem znowu mnie, nieruchomej, z piłką u stóp. Zdjął przepelnioną torbę, stanął prosto, oparł się o framugę, jakby chcąc uspokoić się przed tym, co ma nadejść. Następnie wybuchł tak gromkim śmiechem, że mogłabym przysiąc, że przygasało światło.

– Myślisz, Mario, że jesteś ślepi? Wiemy, co wyprawiasz. Czekałem, aż sama mi o tym powiesz. Ale wiedzieć i widzieć to dwie różne rzeczy. Bardzo różne. Zdajesz sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie obserwowałem, jak grasz?

Stałam oszołomiona, dysząc jak zwierz, z raketą wiszącą w dłoniach niczym złamana kończyzna. Ojciec podszedł do poobijanej białej ściany, wodząc po niej dłonią, jakby z podziwem oglądał jakieś dzieło sztuki. Biała powierzchnia pokryta była konstelacją szarych i czarnych plam. Każdego popołudnia szorowałam ją szczotką i odstawiałam stół na miejsce, aż do tamtego dnia wierząc, że robiłam to dobrze. Siedząc na zimnym cemencie, zdałam sobie sprawę z tego, jak absurdalnie postępowałam. Ojciec pochylił

się i wziął ode mnie raketę. Kilka razy się nią zamachnął, następnie podniósł do twarzy i spojrzął na mnie przez siatkę.

– Albert Einstein powiedział kiedyś: „Stół, krzesło, miska owoców i skrzypce. Czego więcej człowiekowi potrzeba do szczęścia?”. Jesteś szczęściarą, bo tobie potrzebna jest tylko jedna rzecz: rakietka do squasha.

– Każesz mi wrócić na korty?

– Niczego ci nie każę. Już raz popełniłem ten błąd. Mówię tylko, że jeśli zdecydujesz się wrócić... tym razem bądź konsekwentna.

Oddał mi raketę.

*

Mocno się spóźniłam. Moja grupa właśnie skończyła mecze, pary już się pakowały, niektórzy opuszczali korty. Długimi, pewnymi siebie krokami przeszłam przez tłum chłopców, mając w głowie śmiech ojca, a za sobą tygodnie wypełnione beczynnością. Czułam na sobie palące spojrzenia. Przez ramię miałam przewieszony futerał z raketą, a w dłoni nową piłkę – prezent na powitanie od Pułkownika. Jeden czy dwaj chłopcy skrzywili się albo zaśmiali, ale szłam dalej. Cierpiałam gorsze rzeczy. Na pierwszym korcie zapytałam chłopca, czy skończył grać. Gdy przytaknął, podziękowałam mu i weszłam do środka.

Wyjęłam raketę i zabrałam się do roboty, nawet się nie odwracając, żeby sprawdzić, czy chłopcy ustawili się za mną, choć byłam pewna, że tak. Od pierwszego bezlitosnego uderzenia waliłam tak, jak w kuchni – dla siebie, dla czystej radości gry. Skupiałam się na zwiększaniu siły i prędkości. Jeśli upadłam, odchrząkałam i wstawałam. Waliłam coraz mocniej. Biegałam coraz szybciej. W pewnej chwili zapomniałam o wszystkim innym poza ujarzmianiem tej dzikiej kuli. Godziny – kto wie ile – mijały. Gapiący się chłopcy widzieli już, jak gram, aż krwawiły mi kolana. Teraz widzieli, że trenuję jak szalona – od otwarcia aż do zamknięcia ośrodka. Gdy tylko przyszli, już tam byłam.

Nie wiem, jak długo stali za mną, patrząc na nieprzerwaną serię uderzeń. Ich drwiny nic już dla mnie nie znaczyły. Moje ostatnie doświadczenia z palącym skorpiony napastnikiem pod moim domem sprawiły, że ich zaczepki były dla mnie jak wygłupy cyrkowych zwierzątek. Poza murami akademii czyhało na mnie znacznie większe niebezpieczeństwo. Niecałe 100 mil stąd ludzie zabijali się w imię Boga, kilka przecznic dalej narkomani i fanatycy

kręcili się po targu, a w Bara Gate stała pusta szkolna ławka, która mogła mnie uśpić na wieczność. Jakkolwiek na to spojrzeć, znajdowałam się w bezpiecznym miejscu, robiąc jedyną rzecz, która mi wychodziła. Pot spływał mi po włosach. Gumowa podeszwa odchodziła z moich butów. Goniłam za piłką niczym wściekły łowca.

Grałam tak całymi miesiącami, udowadniając coś sobie i im i odbierając należną mi pozycję. Pewnego wieczora, gdy pakowałam się, by opuścić kort, ktoś wstał z ławki i podszedł do szyby. Gdy tylko ujrzałam w półmroku tę postać, natychmiast go rozpoznałam, mimo że sylwetka była niewyraźna. Spojrzeliśmy sobie w oczy przez szybę niczym przez jakąś przepaść. To on pierwszy mnie zaczepiał – zamożny, najedzony, nieskazitelnie ubrany prowodyr, na którego białych ubraniach nie było żadnych plam nawet po całym popołudniu spędzonym na grze. Staliśmy tak, on ze złożonymi na piersi rękami, rozdzielala nas przezroczysta ściana. Widziałam po jego twarzy, że coś ukrywa, niczym gracz bojący się ujawnić asa w rękawie. Znałam to spojrzenie u chłopców z dolin i ulic, a teraz dostrzegłam je na gładkiej, czystej twarzy jednego z lepszych zawodników, który cieszył się wszelkimi przywilejami.

Wiedział, że nie miałam zamiaru nigdy opuszczać akademii. Ktoś z nas musiał się poddać i nie miałam to być ja. Mój uśmiech w tamtej chwili okazał się mocniejszy od jakiegokolwiek uderzenia. Trafił go mocno przez szybę, prosto między oczy, wiedziałam, że w końcu mnie zrozumiał. Chciałam tylko tego, co robiłam – grać jak inne dzieci w moim wieku. Wzruszyłam ramionami – „Co mi zrobisz?” – i podniosłam torbę. Na jego twarzy pojawił się ledwo powstrzymany uśmiech i skinął głową. Podniósł rękę, przyłożył do szyby i odwrócił się, odchodząc korytarzem. Następnym razem, kiedy ujrzałam go w zatłoczonym holu, przywitał się ze mną.

*

Kilka dni później Pułkownik wszedł na mój kort z białą kartką w dłoni. Coraz częściej przychodził oglądać moje fanatyczne treningi. Rozegraliśmy kilka rundek i nauczył mnie nowych uderzeń. Pod koniec zawsze składał tę samą obietnicę – że znajdzie inne dziewczęta do gry. Zamierzał stworzyć żeńską drużynę. Ale pomimo poszukiwań wychodzących poza granice miasta żadna moja rówieśnica nie zdecydowała się dołączyć do akademii. Peszawar był

przedsionkiem plemiennych terenów, a konserwatywna kultura płynęła w żyłach większości Pasztunów. Dziewczęta mogły przed ślubem uczęszczać do szkoły, ale sport był wykluczony. Nie byłam wyjątkiem, lecz wybrykiem natury. Pułkownik pomachał mi kartką niczym flagą. Czułam świeży atrament faksu. Wyszczrzył do mnie zęby w uśmiechu.

– Oto nadszedł twój czas, Mario Toorpakai. Wysyłamy cię na turniej. Zmierzysz się z dziewczętami z całego Pakistanu.

*

Wah Cantonment – znane także jako Wah Cantt – to miasto w prowincji Pendżab. Zamożne i cywilizowane, ma najmniejszy współczynnik analfabetyzmu w kraju i mieści największe i najnowocześniejsze fabryki sprzętu wojskowego. Fundusze rządowe płynęły rzeką do czystego miasta w rozległej dolinie. Wstążki strumyków przecinały ścieżki, żyzne tereny porastały obfite drzewa owocowe. Według legendy gdy mogolski władca ujrzał ze wzgórza tę zapierającą dech w piersi dolinę, wydał okrzyk *wah*, co miało oznaczać „łaał”, w ten sposób nadając dolinie nazwę. Do leżącego 130 kilometrów na południowy wschód od Peszawaru celu dojechaliśmy autobusem w ciągu dwóch godzin. Nie zaprzętałam sobie głowy geografią – choć ojciec zaprowadził mnie do mapy, żeby pokazać, gdzie leży miasto – tylko turniejem, moją nieoczekiwaną szansą zmierzenia się z innymi zawodnikami – z innymi dziewczętami. Sam fakt, że byłam jedyną w Wah Cantt reprezentującą moje miasto, napawał mnie dumą.

Klub squasha na wschodnim krańcu miasta był wciśnięty pomiędzy tętniące życiem budynki koledżu i kampusu oraz fabryki broni. Wsiadłam z autobusu z torbą do squasha i małą torbą podróżną pożyczoną od Taimura. Musiałam skleić moje buty i wyszorować je najlepiej, jak mogłam. Miałam do wyboru turniej albo parę nowych butów – bez wahania wybrałam to pierwsze.

Nie towarzyszył mi nikt z rodziny, z trudem udało mi się wysupłać rupie na podróż do Wah Cantt. Jeśli myślałam o zwycięstwie, a myślałam o nim przez cały czas, w pierwszej kolejności planowałam pokrycie wydatków, jakie ponieśliśmy, żeby wysłać mnie tam w podartym odzieniu i rozpadających się butach.

Widząc inne dziewczęta wysiadające z autobusów i zmierzające w kierunku rejestracji, zdałam sobie sprawę, w jak złachmanionych ubraniach jestem. Większość z nich miała na sobie jaskrawe stroje pasujące do ich pełnych,

białych uśmiechów. Włosy przyozdabiały im aksamitne wstążki, a na drobnych nadgarstkach połyskiwały bransoletki. Wąskie, wysportowane kończyny. Smukłe talie. Pułkownik spojrzał na nie i się uśmiechnął, jakby czytał w moich myślach. Dziewczęta szczebiotały wokół nas niczym ptaki albo jak uczennice w szkolnym autobusie, zanim nie poszłam na sam tył.

Bez wątpienia się wyróżniałam. Gdy ustawiłam się w kolejce, wydawało mi się, że słyszę szept. Spojrzenia przez ramię w moim kierunku, szybkie niczym strzały. Widziałam w ich twarzach znajomą niepewność. Bez powodzenia próbowały odgadnąć moją płęć. Przyzwyczaiałam się już do pytających spojrzeń. Zostałam zaatakowana przez szaleńca, więc zakłopotany wzrok mnie nie ruszał. Byłam zbyt zaabsorbowana tym, po co się tam zjawiałam, i kosztami, jakie ponieśli moi rodzice, żeby mnie tam wysłać. Turniej pochłonał równowartość kilkudniowej pensji matki. Kiedy zdałam sobie sprawę, ile to będzie kosztować, niemal się wycofałam, ale rodzina nalegała – powiedzieli, że bez tego sportu umrę od środka. Nie chodziłam do szkoły, więc nie musieli płacić za moją edukację, nigdy nie nosiłam drogich sukni, nie namaszczałam włosów oliwą ani nie prosiłam o aksamitne wstążki. Stwierdzili, że i tak wychowanie mnie nie kosztowało ich dużo. Stałam cicho w kolejce, przypominając sobie moje najlepsze uderzenia i wyławiając wzrokiem z tłumu zawodniczki, które wyglądały najgroźniej. Żadna nie mogła się równać ze mną pod względem masy mięśniowej. Moje bicepsy były szerokie jak ich łydki. W moim ciele mogły się zmieścić dwie dowolne dziewczynki z kolejki. Na chwilę wróciłam myślami do turnieju podnoszenia ciężarów w Lahaur, który nic nie kosztował mojej rodziny, ale mnie mógł kosztować wszystko. Nikt nie wie, co by się stało, gdyby przyłapano mnie wtedy na udawaniu chłopca. Mrużąc oczy, spojrzałam na jasne elektryczne lampy świecące nad głowami. O wiele łatwiej będzie grać, nie musząc kłamać.

Patrzyłam ponad głowami dziewcząt na rząd stolików. Dziewczyna przede mną wyciągnęła identyfikator, wypełniła formularz i odeszła na bok. Podeszłam po tej długowłosej, pięknej niewiaście i stanęłam przed działaczem PAF. Nie pamiętam dlaczego, ale Pułkownik wyszedł na kilka minut, które okazały się kluczowe. Mężczyzna podniósł wzrok. Spojrzał na pojedynczy kolczyk w moim uchu i na torbę przewieszoną przez moje ramię. Powoli nałożył skuwkę na długopis i ziewnął.

– Tak?

Odłożyłam futerał i torbę, powiedziałam, jak się nazywam i skąd jestem.

Mężczyzna wzruszył ramionami, wyciągnął długi palec wskazujący i przejechał nim po wydrukowanej liście, bezszelestnie przewracając kartki, aż wreszcie postukał, kiedy znalazł mnie pod literą T – Toorpakai. Pamiętam, że koniuszek jego palca był pomarańczowy od szafranu. Uśmiechając się, spojrział na wolne miejsce obok mnie i zmarszczył brwi. Zrozumiałam natychmiast, że wziął mnie za chłopca – pewnie oddanego brata towarzyszącego swej siostrze. Widział, że byłam jedyną zawodniczką z Peszawaru. Nie czułam się obrażona. Zwykła pomyłka. Nigdy nie wstydziłam się swojego wyglądu; gdyby tak było, dawno bym go zmieniła. Zaśmiałam się, pokręciłam głową i wytłumaczyłam, kim jestem, ale mężczyzna nie chciał słuchać. Parokrotnie powiedział „nie”, za każdym razem coraz głośniej. Kilka znajdujących się w pobliżu dziewcząt zamilkło. Dobiegła nas cicha fala szeptów.

Mężczyzna siedzący na krześle obok, widząc, że powstało jakieś zamieszanie, zajrzał do nas. Wymienili szeptem kilka zdań, a następnie zmierzili mnie wzrokiem. W końcu jeden z nich wstał i poszedł naradzić się z innymi działaczami. Po chwili wszyscy podeszli do naszego stolika. Wszystko się zatrzymało, podczas gdy oni, stojąc przede mną, ściszonymi głosami debatowali na temat mojej płci. Nieobecność trenera doskwierała mi tak, jakbym straciła koło ratunkowe. Cała ironia polegała na tym, że jeszcze chwilę wcześniej czułam ulgę, że będę mogła grać jako ja. A tymczasem okazało się, że to prawda, a nie kłamstwo jest moim wrogiem. Kiedy wrócili na swoje miejsca, mężczyzna, nie patrząc mi w oczy, ponurym głosem oświadczył, że moja kandydatura została odrzucona. Usiadł na krześle, wziął długopis, zdjął skuwkę i natychmiast wykreślił moje imię z listy.

Nie mogłam nic zrobić. Nigdzie nie widziałam trenera. W końcu działacz odłożył długopis, zepchnął papiery na bok niczym jakieś śmieci i wygłosił długą, cichą tyradę, która wyszała ze mnie życie. Gdy skończył, w mojej głowie wciąż kołatały pojedyncze słowa: oszustwo, podstęp, hańba. Przypomniało mi się, jak matka ostrożnie wsuwała opłatę rejestracyjną do koperty. Wręczyła mi ją, kiedy pakowałam torbę. Na jej twarzy rysowała się duma, ale w niegdyś dziarskich oczach widziałam odbicie długich dni w pogrążonych w wojnie i biedzie plemiennych regionach. Matka mogła poprosić o przeniesienie do bezpiecznej szkoły w Peszawarze albo gdzieś w dolnej części Pakistanu, lecz nigdy jej to nie przyszło do głowy. Cierpiała, żeby dzieci z naszych plemion mogły nauczyć się czytać i pisać. W końcu, jak mówiła, wszyscy byliśmy owocami wydanymi przez różne gałęzie tego

samego drzewa. Moje imię zostało wykreślone z rejestracji na turniej w Wah Cantt z powodu cech, jakie pielęgnowaliśmy w domu. Zaprzepaściłam wszystko. Łzy napłynęły mi do oczu. I nagle poczułam na ramieniu zdecydowany nacisk jakiejś ręki, jakby sięgnęła mnie prosto z nieba. Obróciłam się i ujrzałam Pułkownika.

Pokręcił głową i przeszedł koło mnie, roztaczając aurę władzy, która dodawała mu wzrostu. Szepnął słowo lub dwa w ucho działacza i pokazał swój wojskowy identyfikator. Słyszałam, jak głośno i wyraźnie wypowiedział moje imię. Odnalazł wykreślone nazwisko w formularzu, wskazał je i zapytał, kto za to odpowiada. Następnie za mnie poręczył. Wywiązała się kłótnia, która przyciągnęła wszystkich działaczy w pomieszczeniu, a po chwili nawet z zewnątrz. Cała wrzawa ucichła. Zrobiło mi się gorąco. Czułam, jak wbite we mnie oczy wiercą mi dziury w plecach. Słyszałam warkot sufitowego wentylatora i brzęczenie lamp. Wciąż przyciszonymi głosami debatowali nad moją płcią. Słyszałam, jak mówili, że nie wyglądam na dziewczynę, nie ubieram się jak dziewczyna, więc nie mogę nią być. Pułkownik się zaśmiał.

Zaczął grzebać w swojej torbie, wyciągając spod starannie ułożonych ubrań papiery i koperty, aż znalazł to, czego szukał. Spojrzał na mnie uspokajająco i już wiedziałam. W rękach trzymał kartkę, dzięki której w ogóle zostałam dopuszczona do gry. Wręczył moje świadectwo urodzenia mężczyźnie, który zakwestionował moją płć, a on usiadł i przyjrzał się pieczęci pod światło. Po chwili wydał odgłos, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Spojrzał na mnie ostatni raz, rozdziawiając usta tak szeroko, że mógłby połknąć cały owoc dżambu.

Po chwili było już po wszystkim. Bez słowa wręczyli mi identyfikator oraz kolorową mapę ośrodka. Gdy się odwróciłam, ujrzałam ponad setkę dziewcząt wpatrujących się we mnie. Zarzuciłam torby na ramię i podążyłam za Pułkownikiem jak za przewodnikiem.

Na zewnątrz musiałam na chwilę usiąść. Znaleźliśmy niski murek na uboczu w cieniu drzewa. Pułkownik usiadł kawałek dalej, zamykając oczy i wystawiając twarz do słońca.

– W chwili gdy cię poznałem, Mario, i zdałem sobie sprawę, kim jesteś i co robisz, a potem obserwując godzinami, jak sama grasz, pomyślałem tylko o jednym. Jeśli myślisz podobnie, wiesz o czym mówię.

– O czym?

– Po prostu: to było ci pisane.

W jego słowach usłyszałam łagodny głos matki. Gdy opuszczałam dom, powiedziała mi dokładnie to samo. Widziałam ją, jak stała w drzwiach,

z bliźniakami przy boku, i odprowadzała mnie wzrokiem.

W hostelowym pokoju wybrałam łóżko przy drzwiach. Byłam sama, ściągnęłam zdarte buty. Stopy miałam gorące, a z włosów na plecy spływały mi stróżki potu. Położyłam się na łóżku, rozglądając się po pustym pokoju, który miałam dzielić z pięcioma innymi dziewczętami z całego kraju. Panowała cisza, nie licząc bzyczenia grubej muchy uderzającej o szybę. Po chwili usłyszałam moje rówieśnice idące korytarzem. Ich głosy stawały się coraz głośniejsze, aż kroki ucichły i otworzyły się drzwi. Kiedy weszły, byłam gotowa – gotowa wypowiedzieć moje imię i stać się dziewczyną pośród dziewcząt. Tak długo żyłam jak chłopiec pośród chłopców, że byłam ciekawa, jak to jest zachowywać się jak zwykła dziewczynka, cokolwiek to znaczyło. Miałam nadzieję, że oznacza to być miłym.

Pierwsza dziewczyna, która weszła, zatrzymała wzrok na moich kłocowatych stopach, następnie przebiegła wzrokiem po mojej sylwetce, przyglądając się mojemu byczemu karkowi i niezdarnemu uśmiechowi, który zadziwił ją najbardziej.

– Cześć, jestem Maria Toorpakai. – Nie pozwoliłam, by choć przez ułamek sekundy trzymać ją w niepewności.

Za nią weszły inne. Nie patrzyły na mnie, tylko wybierały łóżka. Jedna otworzyła okno, inna rozsunęła zamek walizki i wyciągnęła z niej torbę tureckich słodyczy, częstując nimi pozostałe. Pierwsza nadal stała przede mną, nic nie mówiąc. Po chwili odwróciła się do reszty, czekając, aż zobaczą to, co sama ujrzała. Siedziałam na łóżku, uśmiechając się, otworzyłam torbę i wyciągnęłam butelkę wody. Zamknęłam powieki, a chłodna woda gasiła moje pragnienie. Gdy otworzyłam je ponownie, wszystkie dziewczyny patrzyły na mnie.

Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, jakbym w gorący dzień wskoczyła do chłodnego basenu. Widziałam ich uśmiechy – zakłopotania, ciekawości, zaskoczenia – bez cienia pogardy. Powoli podeszły do mnie ze wszystkich stron i jednocześnie zaczęły zadawać mi pytania. Miałam na sobie szorty i T-shirt i pierwszą rzeczą, jaką chciały wiedzieć, było: skąd jestem, a potem: skąd pomysł na jeden kolczyk w uchu i na krótkie włosy, jak na to zareagowała moja rodzina. Wszystkie te pytania, gęste niczym wstążki w ich włosach, pozwoliły mi sięgnąć pamięcią do mojego dzieciństwa w Waziristanie. To właśnie w tamtym pokoju po raz pierwszy wyjawiałam moją historię – urodziłam się dziewczyną, spaliłam moje suknie, żyłam jako Dżyngis, aż sięgnęłam po raketę. W ciszy, jaka zapanowała, czekałam, aż ich ciekawość

zmieni się we wrogość, ale nic takiego się nie stało. Powinnam była się domyślić, że te pakistańskie dziewczęta, które na swój sposób były pionierkami, zaakceptują mnie jak nikt inny. Gdy torba z cukierkami dotarła do mnie, wzięłam jednego i podałam ją dalej, stając się jedną z nich.

Z tego pierwszego turnieju najbardziej utkwiło mi w pamięci, że szybko się skończył. Przed pierwszym meczem Pułkownik powiedział mi o nagrodzie i jak tylko usłyszałam sumę – 1400 rupii – skoncentrowałam się na tym, by ją zgarnąć. Było to więcej, niż kosztował mnie ten wyjazd, co oznaczało, że przywiozłabym do domu pieniądze, a marzenie to wydawało się tak nieziemskie, że nigdy nawet nie odważyłam się o nim pomyśleć. Rozegrałam kilka szybkich meczów. Te wszystkie filigranowe dziewczęta nie miały szans w starciu z moją siłą. Posyłałam przeciwników na ziemię z prędkością błyskawicy. Jeśli nie wygrałam po pierwszym serwisie, to wygrywałam minutę później. Żadna z nich się mnie nie spodziewała. Niektóre opuszczały kort z płaczem. Inne wciąż dopytywały się, czy naprawdę jestem dziewczynką. Współczułam moim przeciwniczkom i nie chciałam zniszczyć czegoś, co mogło przerodzić się w pierwszą prawdziwą przyjaźń. Wszystkie znalazłyśmy się w nowej sytuacji. Mecze trwały tak krótko, że trudno je było nazwać meczami, ale nie miałam wyboru. Grałam, żeby wygrać.

W drodze do domu jechałam z rękami założonymi na piersi, bo pod koszulą trzymałam kopertę wypchaną gotówką. Sprawdzałam ją kilkanaście razy. Obok mnie siedział uśmiechnięty Pułkownik. Gdy wysiedliśmy z autobusu, zawiózł mnie rikszą pod dom i poczekał, aż Taimur otworzył drzwi. Brat pacnął mnie w ramię, zażartował, że znowu chodzę w jego ciuchach, spojrzał za mnie i pomachał. Spod koszuli wyciągnęłam zmiętą kopertę. Uniosłam ją wysoko, Pułkownik wydał radosny okrzyk, a riksha odjechała w kierunku Bara Road. Znalazłam matkę pochyloną przy kuchennym stole, sprawdzała zadania z matematyki; przyciemnione światło podkreślało jej znużenie. Spojrzała na mnie, marszcząc czoło. Wróciłam dzień wcześniej.

– Moja Gulgatai, wróciłaś.

Od dawna nie nazywała mnie pąkiem róży, czego nie omieszkalam jej wypomnieć.

Zanim wstała, podeszłam do niej i spojrzałam na porozrzucane papiery. Trzymała w dłoni czerwony długopis. Wszystkie kartki zdobił nieśmiały charakter pisma młodej dziewczyny z plemiennych terenów, która po prostu chciała się uczyć. Dotarło do mnie, że zrobiłam coś, czego z wyjątkiem mojej matki żadna pasztuńska dziewczyna nigdy nie miała okazji zrobić –

przyniosłam do domu pieniądze. To dzięki nauczycielskiej posadzie matki mieliśmy ładny dom w przyjemnej okolicy Bara Gate. Matka spojrzała na mnie, pytając, jak mi poszło w Wah Cantt, jak wypadłam w turnieju. Nie mówiąc nic, otworzyłam kopertę, wyciągnęłam rupie i pozwoliłam im rozsypać się niczym liściom na papiery, które przyniosła w swojej torbie.

Matka wydała stłumiony okrzyk. Zebrała pieniądze w małą kupkę i przeliczyła. Wiedziałam, że razem z ojcem oddadzą część mojej wygranej na biednych w ramach jałmużny zwanej *zakat*, która jest obowiązkiem każdego muzułmanina. Ręce jej się trzęsły, oczy błyszczały, jakby porzuciła zmartwienia. Zapytała mnie, jak tego dokonałam, i wybuchnęła śmiechem. 1400 rupii to niedużo – może trzydzieści dolarów. Dla naszej rodziny starczyłoby to na jedzenie na tydzień albo i więcej. Dla niej oznaczało to spokój ducha, bo dobrze wychowała swoją krnąbrną Gulgatai. Dla mnie był to cały świat.

– Jak, Mario? Jak tego dokonałaś, skoro nigdy wcześniej nie brałaś udziału w żadnym turnieju?

Usiadłam obok niej i się uśmiechnęłam. Obie patrzyłyśmy na stertę rupii.

– Ależ wielokrotnie mi powtarzałaś, że tak mi jest pisane.

ROZDZIAŁ 15

DAWCA SKARBÓW

W wieku siedmiu lat bliźniacy byli nie do opanowania. Nie pamiętam, który urodził się wcześniej, ale mawiałam, że jeden jest jak błyskawica, a drugi jak towarzyszący jej grzmot. Kiedy Sangeen i Babrak byli w domu, talerze spadały z szafek, meble się przewracały, drzwi trzaskały, a po całym domu niósł się tupot nóg. Moi mali niepokorni bracia potrzebowali czegoś, czego w wieku 12 lat nie mogłam im dać: przestrzennych dolin, drzew dżambu, skał i krętego Indusu, w którym się narodzili. Moja cierpliwość była bezkresna, jak błękitne niebo, które chętnie bym im podarowała – do czasu, aż zniszczyli pewną ceną dla mnie rzecz, zapoczątkowując serię pechowych wydarzeń.

Po tym, jak wygrałam w Wah Cantt turniej dla dzieci poniżej 13. roku życia, trenowałam w akademii od rana do popołudnia. Ale obowiązki były ważniejsze i jeśli musiałam się zająć Sangeenem i Babrakiem, wracałam do domu wcześniej. Chłopcy wpadali niczym tornado przez frontowe drzwi, rzucali plecaki na stertę książek, zostawiali sandały w korytarzu, a czapki ciskali w kąt. Chcieli jeść i pić, ale karmiłam ich, dopiero gdy umyli ręce, zmówili modlitwę i powiedzieli mi o jednej rzeczy, której tego dnia się nauczyli, i o jednym dobrym uczynku, który spełnili. Taimur, Ayesha i ja zajmowaliśmy się nimi na zmianę; moje starsze rodzeństwo potrzebowało czasem kilku dni, żeby dojść do siebie po jakiejś katastrofie, która wydarzyła się na ich zmianie. Rozumiałam dzikość bliźniaków jak nikt inny. Porozumiewaliśmy się w tym samym języku bez słów, mieliśmy tę samą potrzebę ruchu, uderzania, grania – wygrywania.

Czekając przy drodze w Bara Gate, aż wrócą ze szkoły, poznawałam ich z daleka po wzniecanych przez nich tumanach kurzu i po ich radosnych głosach. Ludzie schodzili im z drogi, gdy gonili się, popychali i wołali mnie, zawsze wyszczerzeni od ucha do ucha. Pewnego dnia zobaczyłam Sangeena skradającego się ku mnie z plecakiem przeważającym go na jedną stronę, jakby jego ramiona były szalami wagi, i od razu domyśliłam się, że coś zbroili. Sangeen podniósł jedną dłoń, żeby mi pomachać, a w drugiej trzymał

złożoną różową kartkę. Wzruszył ramionami, spuścił wzrok na buty i na ciągnące się po ziemi sznurówki, dając do zrozumienia, że cokolwiek stało się z Babrakiem, nie była to jego wina. Spieszyłam się tego popołudnia, pakowałam na podróż do Lahaur na turniej juniorów z Azji. Były to ważne zawody i trenowałam od tygodni z zamiarem zdobycia tam medalu. Zwycięstwo w pierwszej rundzie zapewniłoby mi miejsce w reprezentacji i nadało pęd mojej karierze: darmowe zakwaterowanie, prawdziwe treningi, transport i wyżywienie. Ojciec jechał ze mną i musieliśmy złapać autobus zaraz po obiedzie, żeby dotrzeć na pierwszy mecz, który rozgrywałam następnego ranka. Nie mogliśmy sobie pozwolić na hotel. Wciąż nie powiedział mi, gdzie mieliśmy spędzić noc po sześciogodzinnej podróży. Może sam tego nie wiedział. Jeśli choć raz liczyłam na to, że bracia będą współpracować, to właśnie tego popołudnia. Powiedziałam im to rano, kiedy kroiliśmy jajka na twardo i nalewałam koziego mleka do filiżanek.

Sangeen stanął przede mną ze spuszczoną głową i rzucił plecak na ziemię. Wzięłam w dłonie jego brodę i uniosłam.

– Gdzie jest twoja druga połowa, Sangeenie?

– Babrak został zabrany za karę do domu Madam.

Wręczył mi kartkę z nazwiskiem nauczycielki, jej adresem i niczym więcej.

– Co zrobił?

– Tylko sobie skakaliśmy.

– Chyba nie tylko.

I miałam rację. To Babrak wpadł na pomysł tej zabawy; po dzwonku, kiedy nauczycielka wyszła z klasy, mój brat, chcąc wydostać się ze szkoły przed innymi, wskoczył na jej biurko i spojrzał na tłum. Najłatwiej można było się wydostać na zewnątrz, skacząc po pustych ławkach, rozciągających się przed nim niczym kamienie w wodzie. Babrak skakał z jednej ławki na drugą po całej klasie, nie zwracając uwagi na to, że po drodze przewracał książki i krzesła. Z ostatniej ławki skoczył na ziemię i puścił się pędem przez drzwi, wpadając prosto na nauczycielkę, która właśnie wróciła.

– Musisz go zabrać, Mario. Nauczycielka przywiązała go do krzesła w kuchni i teraz tam siedzi.

– To jakieś szaleństwo. Skąd wiesz?

– Robiła tak wcześniej. Słyszałem o tym. Widziałem, jak go zabrała, ciągnąc za ucho.

Sangeen odwrócił się i pokazał, w którym kierunku poszli.

Gdy rozmawiałam z Sangeenem, zjawił się ojciec, więc mój brat powtórzył

mu tę historię. Ojciec tylko pokręcił głową i wyruszył po Babraka. W tym czasie matka pakowała moją torbę, a ja składałam strój na turniej. A potem czekaliśmy. Ojciec wrócił, ciągnąc skomlącego Babraka. Przy herbacie, chichocząc, opisał nam przedziwną scenę, jaką ujrzał w domu nauczycielki. Do kuchni zaprowadzony został przez jej posłusznego pasztuńskiego syna. Stał w progu i ujrzał własnego poczerwieniałego potomka na stołku pod ścianą – ręce miał związane na plecach, a nogi dyndały mu w powietrzu. Patrząc przed siebie i szybko mrugając, Babrak powtarzał tabliczkę mnożenia, a łzy ciekły mu po policzkach. Ojciec usłyszał głos nauczycielki: „Rozwiążę cię dopiero, jak wykujesz tabliczkę na blachę”. Siedziała przy stole obok Babraka, sprawdzając klasówki. Shams sprawdził węzły na nadgarstkach syna; były luźne, jak za wielkie bransolety. Następnie zwrócił się do nauczycielki, której nie ruszył widok ojca jej niesfornego ucznia. Podała mu chłodny jogurt i ze szczegółami opowiedziała o psotach Babraka. Gdy skończyła, rozwiązała chłopca. Ojciec skinął głową i kazał mu przeprosić nauczycielkę. Wyswobodzony Babrak zrobił to i zaproponował, że przez tydzień będzie zostawał po lekcjach, żeby posprzątać klasę. Następnie podążył za ojcem, z czapką w jednej dłoni i zwiniętym sznurem w drugiej. Wymyślił sobie, że od następnego dnia będzie przywiązywał śpiącego bliźniaka do łóżka.

Po obiedzie, który Sangeen i Babrak zjedli w wyjątkowej ciszy, poszłam dopakować mój tobołek. Zaraz za mną przyszedł Babrak, powłócząc nogami, jakby cały Pakistan spoczywał mu na ramionach. Zatrzymał się przede mną, ciężko westchnął, wyciągając na dłoni trofeum, które zdobyłam w turnieju w Wah Cantt. Zrobione z rżniętego szkła, przypominało mniejszą wersję trofeum za podnoszenie ciężarów, stały więc obok siebie na stole w pokoju gościnnym. Często brałam je do ręki niczym talizmany, życząc sobie szczęścia przed wyjściem na kort. Potulny niczym aniołek Babrak przeprosił za problemy przed wielkim turniejem i poprosił, żebym pozwoliła mu zabrać trofeum do szkoły, żeby mógł udowodnić, że jego siostra rzeczywiście gra w squasha. Po chwili wszedł Sangeen. Nie mówiąc nic, wdrapał się na łóżko, które dzieliłam z Ayeshą, i zaczął po nim skakać. Wyjaśniłam Babrakowi, że nagroda jest zbyt cenna, żeby mógł ją zabrać, i zaproponowałam, żeby wziął do szkoły dyplom. Sangeen skakał coraz wyżej, a sprężyny w łóżku skrzypiały. Zapytał, czy może zobaczyć trofeum, i wyciągnął po nie ręce. Gdy odwróciłam się i chciałam mu powiedzieć, żeby zszedł z łóżka, Babrak rzucił mu je nad moją głowę. Kątem oka ujrzałam, jak błyszcząca kula przelatuje w świetle.

Sangeen skoczył z łóżka, próbując ją złapać, ale minął się z nią o milimetry. Gdy upadł na ziemię, trofeum uderzyło o ścianę, rozpadając się na dwa kawałki.

Stojąca w progu Ayesha widziała wszystko i wstrzymała oddech. Po chwili obie zbierałyśmy kawałki. Odwróciłam się w kierunku braci z wyrazem twarzy, jakiego nigdy u mnie nie widzieli. Każdy wskazywał na drugiego. Ja wskazałam drzwi. Wtedy Babrak ze łzami w oczach odwrócił się i powiedział rzecz, która zdawała się prześladować mnie do samego Lahaur i dalej.

– Czy to znak, Ayesho? Omen? Zły znak dla Marii?

*

Większość długiej podróży do Lahaur przespałam z głową opartą o ramię taty. Gdy tylko wsiedliśmy do autokaru, wszystko zaczęło mnie boleć. Ojciec kazał mi się napić wody z butelki i rozmasował moje zmęczone i popękane dłonie.

– Nigdy nie ufaj tym, którzy mają miękkie dłonie albo długie języki, Mario.

Była prawie północ. Pasażerowie drzemali, trzymając torby na kolanach. Patrzyłam na miasto, na mijane ulice i minarety, których nie widziałam, od kiedy podnosiłam ciężary jako Dżyngis. Czułam go gdzieś tam w mroku, wciąż słyszałam wiwatujący tłum. Uśmiechnęłam się. Trenowałam ciężko jak nigdy, żeby wziąć udział w tych zawodach. Jeśli dostanę się do reprezentacji, nie wrócę z ojcem. Ale nie bałam się tego. Byłam dumna.

Wysiadłszy z autobusu, włączyłam się zasnana z ojcem po ulicach. Żeby oszczędzić pieniądze, przejechaliśmy rikszą tylko kawałek, a resztę drogi szliśmy w ciszy i mroku, taszcząc nasze torby. Maszerowaliśmy długo wzdłuż murów starego miasta i pod łukiem Bhati Gate. Kiedy zapytałam, dokąd idziemy, westchnął głęboko i powiedział: „Do nieba”. Po czym wskazał palcem.

Przed nami rozświetlona kopuła rzucała snopy zielonkawego światła; wyglądało to tak, jakby na ziemię spadła gwiazda. Na dziedzińcu biały marmur połyskiwał niczym wilgotny lód. Spojrzałam na lśniąca posadzkę. Uosobienie spokoju. Świątynia Data Darbar, jedna z najświętszych w Pakistanie, w Azji Południowej i na całym świecie. Odwiedzana przez tysiące ludzi, muzułmanów i niemuzułmanów, nawet gdyby nie była świątynią, sprawiałaby wrażenie świętej. Wszędzie, niczym kamienie w jeziorze, widać było sylwetki pochylonych i pogrążonych w modlitwie ludzi. Pośrodku wznosiło się majestatyczne białe mauzoleum, po bokach, niczym wartownicy, stały dwie

wieże o kształcie mosiężnych pocisków. Ukoronowaniem świątyni była kopuła koloru jadeitu, jakby dłoń z nieba przykryła ją półmiskiem. Pod nią, jak powiedział mi ojciec, znajdowały się prochy świętego, dla którego świątynia została wzniesiona. Pielgrzymi modlili się wokół grobowca. Skandowali, krzyczeli i wzywali imię pochowanego wewnątrz patrona. Liczne światła rozjaśniały udekorowane filary. Staliśmy oczarowani długą chwilę. Z tego niebiańskiego stanu wyrwał nas zapach jedzenia – byłam tak głodna, że mogłabym zjeść wszystko.

Przyległy meczet otwarty był całą dobę, a w świąteczne dni serwował żywność wiernym, niezależnie od ich wiary. Ojciec znalazł zaciszny kątek, rozwinął matę, a ja czekałam, aż wróci z chlebem, ryżem i kawałkami owoców. Usiedliśmy razem, patrząc na to wszystko jak we śnie. Ludzie mijali nas niczym służący w pałacu. Gdy skończyliśmy jeść, oparłam się o klatkę piersiową ojca. Powiedział, że nie będzie spał w nocy, tylko siedział i rozmyślał, bo jest to doskonałe ku temu miejsce. Byłam tak zmęczona, że bolało mnie w kościach. Przed nami grupka mężczyzn przeszła przez dziedziniec, bijąc w bębny, a za nimi podążał tłum, tańcząc, wirując i rozrzucając kwiaty. Dotarłszy do grobowca, niektórzy zaczęli bić pokłony i zawodzić. Poczułam, jak ojciec kręci głową.

– Spójrz na tych głupców modlących się do marmuru i kości.

– Czego chcą?

– Przybyli tu ze wszystkich stron, żeby prosić o błogosławieństwo świętego Alego Hujwiriego. Za życia znany był jako Dawca Skarbów, ale nie żyje już od prawie 1000 lat.

– Czy nie ma w tym nic złego, że przyszliśmy tu tylko zjeść i się wyspać? Może powinniśmy się pomodlić?

– Przyszliśmy tutaj, żeby nasycić ciała i dusze, które dał nam Bóg. Padanie na kolana nie uczyni nas bardziej pobożnymi. Najjaśniejsza świątynia jest w tobie.

– Zajrzę więc do własnego wnętrza i się pomodłę, żebym zwyciężyła i została mistrzem juniorów Azji.

Zaśmiał się i mnie uścisnął.

– Niech ci się poszczęści.

– Nie wierzysz w szczęście.

– Nie. Wiara w szczęście jest przekleństwem. Po prostu wierzę. A tak w ogóle to i tak wszystko jest spisane.

Człowiek, którego ojciec określał jednym słowem – „dobry” – czekał na

nas przed hostelem. Rahim Gul, trener reprezentacji narodowej squasha, miał pewny siebie chód, przez co przypominał Pułkownika. Jego głęboki, donośny głos rozbrzmiewał dźwięcznie jak instrument. Gdy rozmawiał ze mną, zabierając od ojca bagaże i pytając o podróż, poczułam się jak w domu. Opiekował się nami, dzieląc z nami pokój hotelowy, a z Shamsem miskę. Podziwiał moje bicepsy, moje szorstkie dłonie, które musiałam zalepiać plastrami, żeby nie krwawiły. Nigdy nie robił żadnych uwag na temat moich znoszonych ciuchów. Pamiętał o tym, żeby spełniać moje liczne potrzeby. Przede wszystkim moje ciało potrzebowało solidnego odpoczynku, ale na to było już za późno. Do pierwszego meczu pozostała niecała godzina.

Kiedy ujrzałam moją pierwszą przeciwniczkę, wiedziałam, że nie jesteśmy sobie równe. Stała po drugiej stronie kortu, zwrócona do swojego trenera. Patrzyłam, jak rozmawiają, bezgłośnie poruszając ustami w rytm szybkich gestów wykonywanych rękami. Słyszałam o języku migowym, ale nigdy go wcześniej nie widziałam. Nigdy w życiu nie spotkałam głuchoniemej osoby i nie spodziewałam się jej na korcie do squasha. Squash jest grą zmysłów. Lot piłki śledzi się oczami i uszami. Często podczas gry trzeba odgadnąć pozycję piłki po jej dźwięku. Natychmiast poczułam niesprawiedliwą przewagę. Pomyślałam o trofeum, które rozbił Babrak, a które ścisłałabym przed wyjazdem niczym talizman, gdyby było w jednym kawałku. Może faktycznie był to zły znak – że wygram niezasłużenie.

Od jej serwu, który zaskoczył mnie swoją precyzją, rozegraliśmy znacznie dłuższy pojedynek, niż się spodziewałam. Musiałam zmienić sposób myślenia. Swoje upośledzenie dziewczyna rekompensowała uporem. Po kilkuminutowej wymianie uderzeń zmusiła mnie do biegania po korcie niczym mysz w klatce. Gdy dostałam piłkę, uderzałam zdecydowanie. Przez większość czasu byłam jednak o milisekundy za późno. Wkrótce wysunęła się na prowadzenie. Przeczuwając porażkę, zaczęłam krzyczeć, mimo że nie mogła mnie usłyszeć. Jakimś sposobem udało jej się skrępować moje mięśnie i umysł. Szansa na miejsce w drużynie zaczęła się rozmywać. W panice grałam coraz gorzej, potykając się o własne nogi. Na długo przed końcem wiedziałam, że przegram.

Przegrałam ten i wszystkie następne mecze – jeden po drugim. Cierpliwy Rahim Gul dał mi kolejną szansę na rozegranie serii spotkań, ale w tych także poległam. Pomimo ambicji ziarno zwątpienia zasiane podczas pierwszego meczu szybko zakiełkowało, opanowując mnie całą. Byłam skończona. Ostatniego dnia rozgrywek, gdy przyszedł do mnie przedstawiciel federacji Pendżabu, by poinformować, że to koniec, miałam już

spakowaną walizkę. Ojciec wyjechał po pierwszym dniu, siedziałam więc sama na ławce.

Od strony dyrekcji ośrodka usłyszałam wołanie mężczyzny. Szedł asfaltową ścieżką, jego twarz skrywał cień, ale domyśliłam się, kim jest, zanim mogłam ją dojrzeć. Zapach kortu – rozgrzanej gumy, potu i balsamu z drzewa sandałowego – zapowiadał nadejście Rahima Gula na długo, zanim rozpoznałam go wzrokiem.

– Co tu robisz? Nigdzie nie jedziesz. Za trzy tygodnie odbędą się rozgrywki kwalifikacyjne do igrzysk azjatyckich. Spróbujesz ponownie.

– Dlaczego miałabym próbować? Tylko przegrywam.

– Ja widzę coś innego. Widzę zwyciężczynię. Nie wyjedziesz, póki też jej nie zobaczysz.

Sprawił, że uśmiechnęłam się przez łzy, przytaknęłam i powiedziałam:

– Okej.

*

Po kolejnej długiej podróży autobusem, tym razem na północ, bliżej domu, dotarliśmy w deszczu do stolicy Pakistanu. Wzniesiony w latach 90. XX wieku Islamabad zastąpił Karaczi w roli siedziby pakistańskich władz. Było to dla mnie następne wielkie miasto, w którym miałam realizować swoje marzenia, i nie pamiętam z niego dużo – ojciec na pewno czułby się zawiedziony. Armia została postawiona w stan podwyższonej gotowości, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wojskowe punkty kontrolne i czołgi stały się elementem krajobrazu całego Pakistanu. Żołnierze z karabinami maszynowymi na rozdrożach i pod budynkami stali gęsto jak drzewa. Wciąż mówiło się o Iraku i Stanach Zjednoczonych. Słyszałam o tym w trzeszczącym radiu w autobusie – mówiono o broni chemicznej, rozejmie, rezolucjach ONZ. Jakaś dziewczyna poprosiła kierowcę, żeby włączył muzykę. Wzruszył ramionami i wyłączył nasze głośniki. Siedząca obok mnie chuda dziewczyna przewróciła oczami i powiedziała: „Jeśli Amerykanie zaatakują Irak, już po nas”.

Nie zapytałam, co miała na myśli.

Podróży z reprezentacją towarzyszyła atmosfera cichej ekscytacji. Po raz pierwszy byłam na samym dnie hierarchii, zdawałam sobie sprawę, że jestem kulą u nogi. Ale żadna z zawodniczek mnie tak nie traktowała, po części ze względu na moje rozmiary, będące obiektem nieustającej fascynacji tych gibkich dziewcząt. W wieku 12 lat byłam także najmłodsza. Starsze

dziewczęta otaczały mnie matczyną opieką, do której nie byłam przyzwyczajona – pilnowały, żebym się umyła, dobrze zjadła i poszła do łóżka o odpowiedniej porze. Część mnie cieszyła się, że jestem tak rozpieszczana, ale drugiej części nic się nie podobało, bo wciąż nie potrafiłam wygrać ani jednego meczu. Za każdym razem, gdy trenowaliśmy na kortach, zostawałam zmiażdżona. Ale nadal się nie poddawałam, jeszcze nie. Po prostu trenowałam ciężej niż pozostałe dziewczęta. I dłużej.

Rozgrywane co dwa lata Igrzyska Południowej Azji, które tego roku odbywały się w Islamabadzie, były jeszcze bardziej prestiżowe niż azjatyckie mistrzostwa juniorów. Myślałam o zastąpieniu mojej zniszczonej nagrody jakąś nową, a pecha – szczęściem. Ale nie miałam na to szans. Gdy tylko stanęłam na korcie przeciwko elicie zawodniczek z całego Pakistanu, po kolei posyłały mnie w każdym meczu wprost na ziemię. Dawno minęły dni, gdy rządziłam Peszawarem, pokonując chłopców. W meczach, w których mogłam popisać się siłą, pokonywałam rasowe uliczne szczury. Dżyngis wciąż żył w moim ciele i żyje do dzisiaj, a nie znosiłam przegrywać. Nie tyle samych meczów, co z dziewczętami. Dżyngis był ze mną od dawna i na kortach budził się do życia, ale nawet on nie dawał rady. Miałam złą passę, co wyczuwała każda przeciwniczka, jakby to był zapach wydzielany przez skórę. Myślałam o słowach Rocky'ego Balboi, że nic nie bije mocniej niż życie. Mylił się. Nie istnieje nic gorszego od przegranej – zwłaszcza gdy wcześniej było się zwycięzcą.

Dusiłam w sobie nerwy i parłam aż do ostatniego meczu, przy którym poczułam, że w końcu mogę wygrać. Moją przeciwniczką była dziewczyna z Karaczi i goniłam ją punkt po punkcie. Jeśli udałoby mi się ją pokonać, potem mogłam wygrać z następną i wśliznąć się do drużyny. Zwycięstwo od dawna zdawało się tylko iluzją, więc gdy na horyzoncie zobaczyłam promyk nadziei, rzuciłam się w jego kierunku z całą siłą. I wtedy, jak intruz, do głowy wdarła mi się jedna myśl, wbijając we mnie swe śmiertelne żądło – że przegram. Ponownie znalazłam się na spirali wiodącej w dół. Gdy piłka przeleciała nade mną, wykręciłam szyję, naciągając mięsień. Sięgając po nią, poczułam przeszywający ból wzdłuż kręgosłupa i upadłam na ziemię jak kłoda. Leżałam przez kilka minut, gapiąc się w sufit i nie mogąc się ruszyć. Zbiegli się trenerzy, rozgrzewając ręce i dociskając je do moich pleców, masując nadwreżony mięsień. Po chwili usiadłam i schowałam głowę w dłoniach – gra była skończona.

Leżąc w łóżku na torbach z lodem, wierzyłam, że mój czas dobiegł końca.

Nie tyle modliłam się do Boga, co pytałam go dlaczego. W samotności płakałam jak nigdy wcześniej. Później, gdy ból pleców zelżał, a dziewczęta wciąż nie wróciły z kortów, wyszłam na zewnątrz – walizki były już spakowane i czekały w lobby. W sąsiednim budynku znajdował się telefon, z którego mogłyśmy korzystać, żeby skontaktować się z rodziną. Zanim poszłam zadzwonić do domu, usiadłam na chwilę na ławce. Od tygodni tęskniłam za domem i w pamięci odtwarzałam różne obrazy: otwieram frontowe drzwi i w środku widzę matkę, która odstawia torby i wyciąga ramiona; bliźniacy biegną po drodze, wzniesając tumany kurzu, żeby się ze mną przywitać; Taimur nieśmiało się uśmiecha; Ayesha bladą dłonią obejmuje mnie niczym ptak skrzydłem, gdy płaczę. I ojciec, który sam był domem. Rahim Gul ponownie znalazł mnie płaczącą na ławce pod drzewem.

– Znowu się tu spotykamy, Mario. Ty myślisz o wyjeździe, a ja mówię ci, żebyś została. Moim zadaniem jest podejmować decyzje, a twoim grać. Przestań płakać. Przestań płakać i wracaj do środka. Zostajesz, żeby trenować z drużyną.

I zostałam.

Wkrótce potem, 20 marca 2003 roku, Stany Zjednoczone rozpoczęły wojnę z Irakiem. Wieści o inwazji miesiącami wirowały po korytarzach jak konfetti. Irak – leżący ponad 3000 kilometrów na zachód, za górami i pustyniami, za Afganistanem i Iranem – nie znaczył dla mnie zupełnie nic. Myślałam tylko o zdobyciu medalu, a przegrywałam w rozgrywkach kwalifikacyjnych. Inwazja transmitowana była przez telewizję na całym świecie. Wciąż pamiętam ludzi ściśniętych przed małymi telewizorami. Eksplozje nad Bagdadem rozbłyskiwały na ekranie chmurami gruzu, jakby uderzały w nie błyskawice. Wracając z kortów, zastanawiałam się, czy pochłaniały one też ludzi. Prawie nikt się nie odzywał. Ludzie włączyli się po korytarzach. Niektórzy się spakowali i wyjechali. Te pełzające złe przeczucia nie miały dla mnie żadnego sensu, dopóki moje współlokatorki nie wpadły do pokoju i zapłakane nie zaczęły wyciągać ubrań z szaf. Siedziałam na łóżku z torbą pistacji w rękę, patrząc na nie, aż jedna z nich odwróciła się do mnie i kazała mi kupić bilet do domu.

– Amerykanie najechali Irak.

– No i?

– Turniej został przełożony.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Wszyscy mówią, że to trzecia wojna światowa. Za kilka

miesiące wrócimy i powtórzmy to od nowa.

– Co powtórzmy? Turniej?

– Tak. To katastrofa.

Nie dla mnie. Mój dziecięcy umysł wierzył, że to Allah interweniował, żebym mogła spróbować znowu. Usłyszał moje rozżalone pytania, dlaczego tak się stało, i zdał sobie sprawę, że nie potrafi znaleźć dobrej odpowiedzi. Rahim Gul trenował mnie przy każdej okazji. Czasami graliśmy dla czystej przyjemności. Powiedział mi, że wygrywanie to proces, a nie wydarzenie, i jak tylko uwierzyłam w jego słowa, znowu zaczęłam zwyciężać. W chwili gdy dostałam tę cudowną drugą szansę, wiedziałam, że będę górą – przecież Allah rozpętał wojnę dla zwycięzcy.

*

Kilka miesięcy później, gdy Saddam Husajn został złapany w jemie, wznowiono rozgrywki, a ja znowu znalazłam się w swoim żywiole. O meczach nie ma co opowiadać, poza tym że pokonałam niemal wszystkie przeciwniczki w mojej kategorii i dostałam się do pakistańskiej reprezentacji narodowej. Po raz pierwszy, od kiedy spaliłam suknie, dostałam własne nowe ubrania. Nawet dziś pamiętam każdy szczegół – zapach bawełny wyciąganej z pomarszczonego opakowania, tkanina tak nieskazitelna, że przez kilka dni bałam się ją wyjąć. Sterty koszulek, spodenek i skarpetek. Czysty materiał muskał moją skórę niczym pocałunki. Odświeżona i gotowa czekałam na nowe życie, moja brudna przeszłość przeminęła. Teraz byłam gdzieś indziej. Jak nigdy czułam się zwyciężcą.

I byłam nim. Mecze otwierały fanfary, parady, przemówienia, rozradowane tłumy i ekipy telewizyjne. Myślałam tylko o medalu – że będę mogła przywieźć go do domu, by zastąpić zniszczone trofeum, które przyniosło mi tyle pecha. W morderczych meczach przeciwko najlepszym zawodniczkom z Azji Południowej zdobyłam dwa medale – brązowy za rozgrywki indywidualne i srebrny za drużynowe. Nie wygrałam dlatego, że byłam lepsza, ale dlatego, że wiedziałam, iż dam sobie radę – mój trener cały czas mnie wspierał. Kiedy podbiegł uradowany, klaszcząc w dłonie, w końcu ujrzałam siebie taką, jaką on widział mnie – w roli zwyciężczyni.

Gdy wróciłam do domu, tym razem ujrzałam ojca. Przyjechałam, żeby osobiście poinformować rodzinę, jak dobrze mi poszło. Drzemał na krześle w pokoju gościnnym, z papierami na kolanach, otwartymi książkami

porozrzucanymi na podłodze i filiżanką wystygłej herbaty na stole. W domu panowała cisza, jakby wszyscy przespali okres, gdy mnie nie było, zatrzymując czas w miejscu i czekając na mój powrót. Minęły miesiące, od kiedy ostatnio byłam w domu, stałam dłuższą chwilę w moim stroju, delektując się tym uczuciem. Przed wyjazdem z Islamabadu do hostelu dotarł list z rządu, że wraz z medalami dostaniemy nagrody pieniężne. Czytałam go wielokrotnie przez całą drogę do domu, zanim uwierzyłam w to, co było tam napisane. Wygrałam więcej pieniędzy, niż mogłam sobie wyobrazić: 3500 amerykańskich dolarów. Próbowałam sobie zwizualizować tę sumę w gotówce, ale nie dawałam rady. Kopertę złożyłam i schowałam do kieszeni. Papier już zmiękł i zaczął się rozdzierać od ciągłego dotykania. Tym razem mogłam nie tylko dorzucić się do garnka, ale pomóc wytyczyć nową przyszłość dla całej rodziny.

Weszłam do pokoju, a ojciec się poruszył. Gdy mnie zobaczył, gapił się przez chwilę, jakbym była tylko senną zjawą.

– Wróciłam do domu z niespodzianką.

Otworzyłam kopertę i położyłam mu ją na kolanach. Przeczytał list i pokiwał głową. Mogłabym pojechać do Londynu i przywieźć stamtąd klejnoty koronne w zdobionej torbie podróźnej, a on nie mrugnąłby okiem. Poprosił o świeżą herbatę. Przyniosłam dwie parujące filiżanki i usiedliśmy w ciszy, czekając na pozostałych.

– Rahim Gul jest dobrym człowiekiem, Mario. Zadzwoił i powiedział, że pytasz, dlaczego każe ci zostać, skoro ciągle przegrywasz.

– Tak.

– Pamiętasz, jak mówili na świętego pochowanego w świątyni w Lahaur?

– Dawca Skarbów.

– Dokładnie.

– Dlatego mogliśmy jeść i spać w jego domu.

– W duszach niektórych osób jest schowana perła i tacy ludzie muszą znaleźć kogoś, kto ją wydobędzie. Miałas już tę cenną rzecz w sobie. Zanim spotkaliśmy Rahima Gula, myślałem, że to moje zadanie. Dziwnie było znaleźć człowieka, który mógł uczynić to, co zawsze ja czyniłem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to, co zrobił dla ciebie, zrobił też dla mnie.

– To było bardzo proste, Baba. Powiedział, że miałam umysł nastawiony na przegrywanie. Musiałam przestawić się na wygrywanie.

– Dokładnie. Znasz już siłę umysłu. Żadna bomba jej nie dorówna.

– To właśnie bomby dały mi drugą szansę.

– Nie. Kiedy cię tu ujrzałem, do głowy przyszło mi tylko jedno słowo.

– Jakie?

– Skarb. I nie miałem na myśli nagrody pieniężnej. W końcu wyglądasz na taką, jaka jesteś. Zawdzięczamy mu to.

Później, gdy Sangeen i Babrak wręczyli mi moje naprawione trofeum, z zaschniętą strużką kleju wzdłuż pęknięcia, podziękowałam im i odstawiłam je na stół, obok moich nowych medali. Leżało tam nieruszone przez lata, aż zaginęło podczas przeprowadzki. Już nigdy więcej nie dotknęłam żadnego amuletu, który miałby przynieść mi szczęście – po prostu wychodziłam z domu i zabierałam się do gry.

ROZDZIAŁ 16

NUMER JEDEN

Rahim Gul miał rację – wygrywanie to proces, to stan umysłu. Czasami sięgałam po zwycięstwo po długiej, wewnętrznej walce, innym razem spadało mi prosto w ręce jak owoc z drzewa. Zaczynało się jak mantra, gdy wchodziłam na kort, czułam, jak oplata moje ciało, odbijając się od ściany do ściany, przygotowywało moje mięśnie i odruchy, jeszcze zanim machnęłam rakieta. To samo dotyczyło zdobycia tytułu mistrzyni, najlepszej zawodniczki. Marzenie zostało zasiane, gdy założyłam drużynowy strój – zieloną marynarkę, białą sukienkę i czarne lakierki – na przyjęcie w domu pakistańskiego prezydenta. Zaprosił on moją drużynę, żeby świętować zwycięstwa podczas igrzysk. Zaproszenie przyszło na wytłaczanym papierze, tak twardym, że ojciec powiedział, że mógłby się nim golić.

Wypolerowałam skórzane buty pastą pachnącą jak oliwa do broni, aż czubki się świeciły. Po raz pierwszy od czasu mojego ogniska miałam na sobie suknię – z długimi rękawami i rąbkiem poniżej kolan – i czułam się w niej jak w worku. Gdy moja rodzina, zajęta codziennymi obowiązkami, ujrzała mnie w niej w kuchni, zamarła. Taimur odłożył śrubokręt i odsunął się od rozebranego radia Philipsa. Ojciec zostawił obcęgi. Matka cofnęła się od blatu i złapała za głowę, jakby ta miała jej odpaść. Ayesha upuściła długopis. Babrak proce. Sangeen się zaśmiał, zgiął w pół i pokazał mnie palcem.

Przed spotkaniem nasłuchiwałam się o pałacu prezydenckim, że wygląda jak wielowarstwowy tort weselny i znajduje się na szczycie góry na końcu długiej czteropasmowej drogi. Że ma 1000 okien. 100 pokoi. Złote krany. Windy. Dom jak z filmu. Nie mogłam się doczekać, żeby go zobaczyć. Zamiast tego autobus zabrał nas 20 kilometrów na południe od stolicy krótką i wąską drogą do szampańskiego piętrowego domu w mieście Rawalpindi. Prezydent Pervez Musharraf, wojskowy dyktator, który doszedł do władzy w 1999 roku, żył w surowym baraku. Niektórzy mówili, że udawał się do pałacu, tylko żeby podpisywać papiery i rozmawiać z najważniejszymi politykami. Tak czy inaczej, czułam się zawiedziona. Idąc ścieżką do ogrodu, gdzie przyjęcie już

trwało, spojrzałam na dom. Na dachu rozstawieni byli snajperzy, a w ziemi znajdowały się gniazda karabinów maszynowych. Zakratowane okna, drut kolczasty i talerz satelitarny. Dla mnie, Pasztunki wychowanej zgodnie z plemiennym kodeksem, która fartem załapała się do narodowej reprezentacji squasha, dyktator był tylko ciekawostką.

Na zewnątrz rozstawiono wielkie białe namioty. Obok nich stały donice z kwitnącymi kwiatami. Wystrojeni służący przemieszczali się wśród gości, oferując kolorowe przekąski z tac wyglądających jak egzotyczne wyspy: samosy, paszteciki, ciasta i cukierki. Razem z ojcem bawiliśmy się w sposób, jakiego nigdy dotąd nie zazналиśmy – odświętnie ubrani kosztowaliśmy przepyszne smakołyki z porcelanowych talerzy, a przyjemny gwar rozbrzmiewał wokół nas niczym egzotyczna muzyka. Pamiętam widok ojca w wykrochmalonych ubraniach i eleganckiej pasztuńskiej kamizelce, to, jak poruszał rękami podczas rozmowy, jak jego palce pływały w świetle zachodzącego słońca. Stojąc w tłumie w wysokim, ozdobnym turbanie, nie zdradzał zdenerwowania jak inni, gdy prezydent przechadzał się po przystrzyżonym trawniku, jakby przeprowadzał inspekcję – jakby był królem – z filigranową filizanką w dłoni.

Gdy nadeszła kolej na nas, stałam obok ojca i przyglądałam się Musharrafowi podczas tej wymiany uprzejmości. Widziałam jego ciemną twarz w gazetach, słyszałam głos prezydenta w radiu. Starannie zaczesane czarne włosy z siwizną po bokach i nad uszami wyglądały jak pióra. Jego pozycja powinna przemienić go z człowieka w lwa, ale nie był dużo wyższy ode mnie. Krótkie spotkanie w białym namiocie z owocami i wazami w rajskie ptaki w tle było bardzo swobodne. Zastanawiam się teraz, czy ojciec nie musiał gryźć się w język, gdy rozprawiali o moich zwycięstwach w Islamabadzie. Zaledwie dzień wcześniej musiał przedzierać się do pogrążonego w wojnie pasa ziem plemiennych, żeby poprowadzić zajęcia przed topniejącym z godziny na godzinę audytorium, a potem bezpiecznie się z niego wydostać. Człowiek, z którym rozmawiał, nie był zwykłym świadkiem historii, lecz jednym z jej twórców, odpowiedzialnym za te wydarzenia, w dodatku tracił już grunt pod nogami. Gdy my popijaliśmy herbatę i rozmawialiśmy, wojsko szalało po tych terenach jak rój os. Gdyby ojciec mógł powiedzieć cokolwiek, jestem pewna, że zaczęłby od słów: „To było do przewidzenia”.

Musharraf porozmawiał ze mną o grze. Dokładnie tak samo rozmawiał z każdym, przechadzając się po trawie. Wszystkie oczarowane zawodniczki

spijały słowa z jego ust, ale wątpię, by zapamiętał imię chociaż jednej z nas. Miał promienny uśmiech, który wyglądał na prawdziwy, i na chwilę mnie zauroczył. Ojciec ostrzegał mnie przed tą bronią polityków – im szerszy uśmiech, powiedział, tym ostrzejszy nóż. Prezydent Musharraf sprawiał wrażenie życzliwego człowieka bez żadnych zmartwień, ale pod swoim nieskazitelnym mundurem nosił pięciokilogramową kamizelkę kuloodporną. Wszechobecni strażnicy uzbrojeni byli w karabiny maszynowe. Plotki głosiły, że w kieszeni nad kaburą trzymał kapsułki z cyjankiem. Ale wszystkie te środki ostrożności nie pomogłyby w przypadku jednej kuli albo jednej bomby wycelowanych w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Wrogowie Musharrafa byli nieustępliwi. Mogli próbować zabić go bez końca – Musharraf nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd. W tamtej chwili bojownicy – schowani w górach, rozsiani po dolinach, kryjący się w obozach w odległych wioskach – obmyślali sposoby, jak go zabić. Gdyby mogli, wymierzyliby mu karę w tradycyjny sposób, rozrywając go na kawałki. Zamachowcy samobójcy ustawiali się w kolejkach, żeby wypchać swoje plecaki ładunkami wybuchowymi i rozsadzić go na kawałeczki. Jego zbrodnie były proste i wstrętne – był pionkiem niewiernych z Zachodu i zezwolił armii na rozlew krwi w całym regionie. To, co zaczęło się jako misja wykorzenia Al-Ka'idy i talibów, przemieniło się w pełnokrwisty dżihad. Gdyby historia mogła wybrać zwycięzcę, nie byłby to człowiek, który pytał dziewczęta, czy smakował im tort. Widziałam go takim, jakim był: ciało i krew, lekko przysadzisty, zostawiający ślady palców na wypolerowanym szkłe. Po niecałej minucie spojrzał nade mną i w mgnieniu oka ulotnił się w swoim zielonym mundurze, ze strażnikami po bokach. Cały wieczór widziałam ten lśniący uśmiech, gdy przechadzał się z namiotu do namiotu, z obstawą śledzącą każdy jego ruch. Kiedy wróciłam do domu, opowiedziałam matce tylko o jedzeniu.

*

Wlatując w chmury, białe niczym lodowe czapy w Górach Sulejmańskich, wstrzymałam oddech. Smugi skroplonej pary pokryły owalne okno. A może to był deszcz? Na wysokości dziewięciu kilometrów trudno to stwierdzić. Przyglądałam się każdemu szczegółowi: ruchowi kłap, gdy zmienialiśmy wysokość, koniuszkowi długiego skrzydła połyskującego za oknem, nieskazitelnie błękitnemu niebu wyłaniającemu się spośród chmur. Pod nami

przez tysiące mil rozciągał się ocean. Samolot się trząsł, lekko nas podrzucając. Poczułam ciśnienie w uszach i przełknęłam ślinę. Spojrzałam na siedzącą obok mnie dziewczynę, po czym się zaśmiałyśmy. Samolot w mgnieniu oka przedarł się przez chmury, wlatując ku czystemu niebu. Wydałam cichy odgłos radości, wyszeptałam surę i pomodliłam się kilometry nad ziemią – jeszcze nigdy nie byłam tak blisko nieba.

Pierwszy raz leciałam samolotem. Pierwszy raz opuściłam granice Pakistanu. Podróżowałam z reprezentacją, miałyśmy miejsca w kilku rzędach obok siebie. Gdy pędziliśmy, podskakując na pasie startowym, czułam, jak ściska mnie w żołądku, ale się nie bałam. Myślałam o matce, która tego ranka zegnała mnie w drzwiach w chuście zarzuconej na ramiona. Dotknęła mojej twarzy, rozganiając unoszący się jak mgła sen. Przejmowała ją trwoga, bo działy się rzeczy, których nie potrafiła pojąć – podczas gdy ona będzie jechała rozklekotanym autobusem przez pogrążone w świętej wojnie tereny, jej córka, stojąca teraz przed nią, będzie wlatywała ku niebu w wielkim srebrnym ptaku. Na niewyobrażalnej wysokości. Z oszałamiającą prędkością. Ku zupełnie innej części planety.

Poprzedniego wieczora cała nasza rodzina zebrała się przy mapie Azji Południowej. Ojciec na kolanach śledził palcem moją podróż. Wydawało się, że to rzut beretem od nas – lecimy w dół Pakistanu, przecinamy Indie, przemierzamy Zatokę Bengalską. Ponad górami i rzekami, dyktatorami i świątyniami, gdzie strapienia i łaski ludzkości zredukowane są do łebka szpilki. Przesiadka na Filipinach, a potem nad Morzem Południowochińskim do Malezji. Matka wyszeptała, że te miejsca są jej znane tylko z książek. Z dłonią na moim policzku patrzyła na mnie, gdy nad Bara Gate wstawał świt. Puściła mnie:

– Zawierzam cię Bogu.

Srebrne skrzydła sunęły ponad Zatoką Bengalską, której wody mieszały się z wodami Morza Andamańskiego – wtedy wiódł starożytny szlak handlowy między Indiami a Chinami – świat z miski ojca w ogrodzie stał się realny jak w mojej dziecięcej wyobraźni, gdy udawaliśmy, że żeglujemy po nim w łupinach awokado. Wyjrzałam, przyciskając czoło do szyby. Małe wysepki wyglądały jak kamienie. Grzywy fal mieniły się w zielonkawej wodzie jak miniaturowe bumerangi. Fale. Nigdy żadnej nie widziałam. Nigdy nie słyszałam ich szumu. A jednak były tam, nisko pode mną, milczące i rozciągające się jak okiem sięgnąć.

Na horyzoncie niczym gigantyczna dłoń wyłaniająca się z mgły zarysowała

się linia wybrzeża. Po wodzie pływały statki. Zniżyliśmy się, więc mogłam teraz rozróżnić poszczególne rzeczy: palmy, długie wstęgi plaż, ludzi jak mrówki. Kryte strzechą dachy domów – wyglądały jak wyjęte z bajki. Bujną zielenią. Myślałam sobie: Tam mieszkają ludzie. Raj. W tej jednej chwili zmieniło się całe moje wyobrażenie o przyszłości, jakbym się dowiedziała, że będę żyła 10 000 lat. Usiadłam, gdy zaczęliśmy wysuwać podwozie, i czekałam, aż zetkniemy się z ziemią.

Razem ze mną podróżowała moja drużyna – najlepsze zawodniczki w Pakistanie. Pierwszy raz byłyśmy w Malezji. W ojczyźnie ze sobą rywalizowałyśmy, toczyłyśmy ze sobą na korcie bitwy, krzyczałyśmy na siebie i posyłałyśmy piłki jak pociski. Dziewczęta potrafiły być równie narwane, jak chłopcy. Po meczu nawet na siebie nie patrzyłyśmy. Na korcie przeciwnicy nie byli ludźmi. Nie dla mnie i nie dla nich. Stawali się elementami gry jak pionki na szachownicy – jedynym prawdziwym przeciwnikiem, z którym się zmagalam, byłam ja sama. Na korcie zmieniałam się w Dżyngisa, często dostając ostrzeżenia od sędziów za swoje zachowanie. W hostelu z tymi dziewczętami byłam Marią Toorpakai, koleżanką z drużyny i kimś, kim nigdy wcześniej nie byłam – przyjaciółką.

W starciu z najlepszymi drużynami z całego świata nikt nie oczekiwał, że zagramy dobrze. I nie zagrałyśmy – mogłyśmy równie dobrze nie wysiadać z samolotu. Ale wspólne porażki zbliżyły nas do siebie bardziej niż wspólne zwycięstwa. Po kolejnej serii druzgocących meczów spotykałyśmy się w pokojach i wspólnie cierpiałyśmy upokorzenie. W Malezji zetknęłyśmy się z zupełnie nową rzeczywistością: zawodniczki w Pakistanie były traktowane jak lekkoatleci trzeciej kategorii. Nocowałyśmy w hostelu, podczas gdy chłopcy nocowali w hotelach. Musiałyśmy się zapożyczać, żeby pokryć wydatki; chłopcy mieli ich niewiele. Po raz pierwszy przekonałam się, że dobra gra i zwycięstwa nie wystarczą. Musiałam sprawić, żeby przejrżeli na oczy, i dokonałam tego.

*

Kiedy wracałam do domu z turnieju, rodzina witała mnie, jakbym wyszła godzinę temu, niezależnie od tego, ile czasu mnie nie widzieli. Tacy już byli. Nie mając dostępu do telefonu i niezawodnej poczty, sama musiałam zadbać o logistykę. Pakowałam walizki, wychodziłam i już. Nie oglądałam się za siebie, a czasami wybywałam na kilka miesięcy. Matka zawsze mnie

całowała, kiedy wracałam. Ojciec zawsze podnosił wzrok z fotela, znad mapy czy znad radia.

– Znowu grałaś w squasha? Przynies atlas.

Rodzice nie mieli pojęcia, jak się gra w tę grę, i nigdy nie mogli przyjść na mój mecz razem. Ojciec widział mnie tylko raz, w Lahaur. Cudem było samo to, że nie biegałam po ulicach, nie musiałam zasłaniać twarzy ani nie mieszkałam w lepiance. Wiele lat później zadziwiało mnie, jak wielką wagę rodzice na Zachodzie przywiązują do sportowych osiągnięć swoich dzieci. Moi nie mieli tego luksusu – musieli unikać kul i bomb w drodze do pracy. Dotarcie na moje zawody kosztowało, a nie mieliśmy funduszy na podróże. Każdego dnia byliśmy zajęci walką o przetrwanie. Choć nie zdawałam sobie z tego sprawy, nasza sytuacja pogarszała się w drastycznym tempie. W 2005 roku na terenach plemiennych było bardzo gorąco – talibowie rozprzestrzeniaли się niczym pożar buszu.

Mówiąc o talibach, ludzie myślą o Afganistanie, gdy tak naprawdę jest to termin odnoszący się do różnych frakcji z różnymi historiami, ideologiami i celami. Kiedy starałam się zrobić karierę w squashu, pakistańscy talibowie zapuszczali korzenie i budowali armię. Przywódcy zabijali rywali wśród plemiennej starszyny, zwiększając swoje wpływy i uwydatniając swoje zamiary. Rekrutowali żołnierzy wśród niezadowolonych członków plemion zamieszkujących doliny i góry, które wciąż nazywam moim domem. Wrogiem numer jeden była dla nich pakistańska armia i rząd, które przeprowadzały operacje przeciwko siłom wspierającym Al-Ka'idę i talibów. Całe kontyngenty uzbrojonych po zęby rządowych żołnierzy otwierały ogień w dolinie Tirah w prowincji Chajber. Stopniowo posuwali się w głąb FATA w kierunku doliny Szawal w Północnym Waziristanie i wkrótce dotarli do Południowego Waziristanu. Paranoiczne subplemiona postrzegały te manewry jako próbę ich podbicia. W październiku 2006 roku w religijne zgromadzenie w wiosce Chenagai w prowincji Bajaur trafiła rakietą. W ataku zginęli 12-letni chłopcy. Wiele osób winiło amerykańskie drony, mimo że do ataku przyznała się pakistańska armia. Nie miało to znaczenia. Na ziemi leżały szczątki niewinnych dzieci. Mieszkańcy wioski pragnęli zemsty. I mieli dopiąć swego. Osiem dni później 130 kilometrów na północny zachód od Islamabadu zamachowiec samobójca wysadził siebie i 42 pakistańskich żołnierzy w Dargai. Konflikt przerodził się w wojnę totalną.

W czasie tych wszystkich wydarzeń moi rodzice jeździli autobusami, a gdy przestały kursować w góry, łapali okazje ciężarówkami. Ojciec każdego dnia

udawał się w różne miejsca nauczać w różnych szkołach, a matka wciąż piastowała urząd dyrektorki placówki na przedmieściach Darra Adam Khel. Ojciec objaśniał uczniom mechanikę spalania, podczas gdy ściany szkoły drżały od eksplozji bomb w górach, a matka czytała dzieciom w przedszkolu na głos bajki, bo ich nauczycielka przestała przychodzić – i na krótką chwilę udawało im się zapomnieć, że wokół toczy się wojna.

*

Gdy wróciłam tego dnia do domu na rowerze, zastałam ojca siedzącego w progu. Spojrzał na mnie – twarz miał pokrytą kurzem – jakby dopiero zdał sobie sprawę, że znajduje się w bezpiecznym domu, w Bara Gate, a wszystkie jego dzieci, z wyjątkiem mnie, są w pobliskiej szkole. Gdy weszliśmy do środka, spojrzałam na jego nogi. Nie miał jednego buta, a łydkę pokrywały drobne draśnięcia. Lekko utykał. Nigdzie nie było jego torby. Opadł na krzesło, palcami przebiegając po nogach, jakby chciał się upewnić, że są na swoim miejscu... albo żeby ukryć drżenie rąk, które zauważyłam, gdy przyniosłam mu herbatę.

– Nie ma go – wyszeptał ochryplym głosem.

– Czego?

– Koledzu. Najpierw zabrali wszystkie moje rzeczy, a potem wysadzili go w powietrze. Został tylko krater. A co u ciebie, Mario?

Nie odpowiedziałam.

Zapytał jeszcze raz, opierając się na krześle.

Zaczęłam więc o czymś głądzić, przyglądając się jego brudnym, podartym ubraniom. Bez torby wypełnionej książkami – jego skarbu – był jak bez kończyny. Powiedziałam, że właśnie zmieniałam sponsorów z sił powietrznych na wojskową akademię squasha i nie byłam z tego powodu szczęśliwa, ale miałam większe stypendium. Pułkownik powiedział, że daje mi szansę, a im prezent. Ojciec przytakiwał, gestem ręki każąc mi mówić dalej. Opowiadałam o turniejach, w których zajmowałam trzecie, a czasem drugie miejsce. Zakasłał kilka razy, wzbijając chmurę kurzu. Dłonie miał tak poszarpane, jakby próbował się wykopać żywcem spod ziemi. Westchnęłam.

– Moje ręce i tak wyglądają lepiej niż twoje, Mario. Mów dalej, nie przerywaj sobie. Opowiem ci o tym później... za kilkadziesiąt lat.

Drzwi otworzyły się z hukiem i wpadli bliźniacy. Bili się. Wyzywali. Jeden zacisnął drugiemu ramię wokół szyi. Tarzali się po podłodze. Jeszcze nie

weszli w okres dojrzewania. Ich głosy wciąż były wysokie i przeszywające. Widząc ojca, przestali. Sangeen otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale podniosłam rękę i gestem kazałam opuścić im pokój – powiedziałam, że na targu kupiłam samosy. Gdy wychodzili, zauważyłam, jak urosli i jak szerokie stały się ich ramiona. Jeszcze niedawno byli o połowę niżsi ode mnie, przychodzili nocą mnie budzić i siadali mi na kolanach. Ojciec także odprowadził ich wzrokiem.

– Co robią po szkole, kiedy wrócą do domu?

– Jedzą, hałasują, bałaganą. Tylko tyle.

– Wychodzą na zewnątrz?

– Czasami, ale nie wiem gdzie.

– Niedobrze. Baw się z nimi. Pewnego dnia będziesz ich potrzebować, a oni ciebie.

Mieli własne rowery – rdzawoczerwone – które pod ich 11-letnimi stopami były tak szybkie, jak mój. Jeździliśmy po mieście z raketami przywiązanymi do pleców. We troje lawirowaliśmy wśród ulicznego ruchu, wyciągniętą ręką sygnalizowałam, że skręcamy. Przemierzaliśmy bulwar, przecinaliśmy targ. Mijaliśmy mężczyzn z osłami ciągnącymi wózki wypełnione drewnem na opał, sprzedawców kebabów, zakład szewski, palących haszysz mężczyzn zgromadzonych pod mostem, bladych narkomanów i kaznodziei głoszących święte wersety, ubranych w jedwabie bogatych i biednych w łachmanach. Cały Peszawar mienił się pięknymi kolorami. Co chwilę oglądałam się za siebie, patrząc, jak bracia ścigają się ze sobą albo z wiatrem, a ich śmiech przebija się przez miejską wrzawę. Potem patrzyłam przed siebie, ku słońcu, i przez ulotną chwilę kochałam moje miasto tak, jak kochałam moich braci.

Przez kilka tygodni jeździliśmy rowerami na korty squasha, gdzie uczyłam ich grać, mając nadzieję, że gra ta pochłonie ich, zanim pochłonie ich coś innego. Na kortach wygłupiali się za moimi plecami, staczając pojedynki za pomocą raket. Na parkiecie stawali się jeszcze dziksi. Celowali w siebie piłką, wciąż oskarżali się o oszustwa, ciągle ciskali pod swoim adresem obelgi. Czasami kazałam im biegać wokół kortu, żeby tylko trzymać ich od siebie z daleka. Pod koniec dnia tarzali się po posadzce, kopiąc, bijąc i jęcząc, aż musiałam ich siłą rozdzielać. Miałam tego dość. Po tygodniu Sangeen wybrał tenisa, a Babrak zapytał, czy może zostać ze mną.

Nie mając na korcie nikogo, kto by go rozpraszał, Babrak zabrał się natychmiast do gry. Kiedy zaserwował piłkę tak mocno, że pękła, wiedziałam, że jest taki jak ja. Był mniejszym z bliźniaków, tym, którego Indus prawie

porwał. Gdy rodzice położyli ich na łóżku obok siebie, widać było, że w brzuchu matki to Sangeen pochłaniał więcej jedzenia – był o głowę wyższy, płuca miał pojemne jak balony. A cherlawy Babrak wyglądał jak jego cień, z wąłymi kostkami i ramionami tak chudymi, że bałam się go podnieść, żeby go nie złamać. Dziesięć lat później stał koło mnie na korcie i rozwalał piłki na pół.

Nagle światło w korytarzu zgasło. Żarówka zamigąła, zgasła i zapaliła się ponownie. Przez kilka sekund było ciemno jak w jaskini i Babrak zaczął pohukiwać jak ptak. Wentylatory wciąż pracowały, na innych kortach dalej toczyła się gra. Ktoś wykrzyknął wynik. Widziałam dozorcę przemykającego niczym zjawa, z brzęczącym wiadrem w jednej dłoni i mopem w drugiej – niesamowite, jak detale zapadają w takiej sytuacji w pamięci. Od tego dnia rozumiem, co mieli na myśli Amerykanie, mówiąc, że pamiętają każdy szczegół z 11 września. Gdzieś ponad nami w tej chwilowej ciszy ziemia wydała ogromny jęk. Powietrze zafalowało. I znowu zapadła cisza. Co to było? Usłyszeliśmy krzyk. Potem następny. A potem kilkanaście kolejnych. Ludzie wybiegli na korytarz. Głos w mojej głowie mówił: „Coś się dzieje”. Babrak rzucił raketę. Spojrzał na mnie i powiedział: „Burza”. Ale ja wiedziałam lepiej.

Na zewnątrz wyły syreny. Krzyknęłam na Babraka, żeby się ruszył i wsiadł na rower. Stał w przejściu, patrząc w górę. Unieruchomiony. Niebo pokrywały gęste kłęby czarnego dymu. Widziałam to już wcześniej na ekranie telewizora w Islamabadzie. Babrak wciąż się gapił. Wrzasnęłam na niego, żeby go wyrwać z otępienia: „BOMBA!”, i nasz świat zmienił się w mgnieniu oka.

Niesamowite, do czego może przywyknąć człowiek. Przekształceni w żywą broń ludzie istnieli wśród nas, rozprzestrzeniając się niczym plaga. Nie codziennie i nie co tydzień, ale wystarczająco często, żeby pozostali żyli jak na krawędzi. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co zaszło tamtego popołudnia, tylko tyle, że mężczyzna wysadził się przy meczecie. Z tego co wiem, nikt oprócz zamachowcy nie zginął. Razem z Babrakiem pedałowaliśmy jak najdalej od chmury dymu, z ustami otwartymi w panice. Krzyczałam na brata: „Szybciej, szybciej, szybciej!”. Gdy dotarliśmy do domu, radio było włączone. Ayesha z ojcem stali przy kuchennym stole nad rozłożoną mapą FATA. Wpatrywali się w nią, jakby kryła w sobie rozwiązanie jakiejś niesamowitej tajemnicy. Ayesha zawsze pracowała nad artykułami, wygłaszała przemówienia w Islamabadzie, czytała naukowe teksty. Ujrzeli nas przemoczonych i sparaliżowanych ze strachu. Nie potrafiliśmy wydusić ani

słowa.

Musieliśmy się nauczyć rozpoznawać obrazy i dźwięki: odgłos burzy, pytający wyraz twarzy. Czy to niebo? Czy eksplodujący bojownik dżihadu? Jeśli był to odgłos grzmotu, ludzie łapali się za serce i śmiali. Jeśli nie, zniżali głos do szeptu, modlili się i pędzili do domu. Ulice huczały od plotek. Staralam się ich nie słuchać. Ojciec był konkretny: „Idź pewnie, nie ociągaj się, wybierz boczną uliczkę, trzymaj się z dala od hotelów, bazarów, tłumów”. Niektórzy zamachowcy byli tak naćpani, że ledwo mogli iść prosto. Plotki głosiły, że w takich przypadkach ładunek detonował ktoś inny. Jakiś trzeźwy mózg, ktoś obserwujący naćpanego pionka z dachu i czekający, aż ten podejdzie wystarczająco blisko – do zatłoczonego bazaru, meczetu czy autobusu – by wybrać numer w telefonie komórkowym. Bywało, że przez kilka tygodni nic się nie działo; miałam wtedy nadzieję, że ponury epizod z życia Peszawaru dobiegł końca. Ale myliłam się. Znaleźliśmy się w centrum dżihadu, który dopiero się rozkręcał.

*

Pokój zapewniały mi mecze, a grałam dobrze, w całym kraju, bez przerwy. W 2006 roku, gdy wokół mnie wrzało, zostałam profesjonalną zawodniczką i brałam udział w turniejach na całym kontynencie: spotykałam się z drużyną na obozach treningowych, z których wyruszałyśmy samolotem albo autokarem, zdobywałam medale, zarabiałam na rodzinę, a wracając do Peszawaru, wstrzymywałam oddech. Bez dwóch zdań byłam najlepszą zawodniczką w zespole. Ze względu na moje atomowe uderzenia trenerzy z najważniejszych klubów nazywali mnie Jahangir Chan, od legendarnego pakistańskiego zawodnika squasha i byłego mistrza świata.

Patrząc z perspektywy, to cud, że ktokolwiek robił wtedy cokolwiek – uprawiał sport, chodził do szkoły. Nad główną ulicą wschodziło słońce, sklepy i restauracje się otwierały, banki i firmy wznawiały pracę. Myliśmy się, modliliśmy o nadzieję dla nas i dla nich, żeby dzień upłynął bez masakry. Musieliśmy. Grałam w squasha, Ayesha ubiegała się o stopień licencjata na stosunkach międzynarodowych, Taimur i chłopcy wciąż uczęszczali do miejscowych szkół, a rodzice bez poczucia strachu jeździli gruntowymi drogami prosto do serca plemiennych ziem, w sam środek wojny. Uczyli młodzież, która była na tyle odważna, żeby do nich dołączyć, w ten sposób budując więź jeszcze silniejszą, niż mogłaby stworzyć między nimi święta

ceremonia czy wspólne korzenie.

W tych okolicznościach nie przywiązywałam dużej wagi do faktu, że trafiłam na szczyty rankingów. Od czterech lat regularnie wygrywałam w mojej kategorii turniej po turnieju, skupiając się na konkretnych meczach, nigdy nie zwracając uwagi na to, co działo się poza kortem, gdziekolwiek byłam – czy w Hongkongu, czy w Singapurze, czy w Kairze, czy też w Kuala Lumpur. Czasami widywałam swoje nazwisko w gazecie gdzieś na stronach sportowych wraz z moim zdjęciem, na którym trzymam medal. Pamiętam, że czułam pewną dumę, ale wiedziałam, że jeśli będę za dużo o tym myśleć, zacznę przegrywać.

Od 2005 roku zarabiałam kilka tysięcy rupii miesięcznie, najpierw grając dla wojska, a potem dla WAPDA (Water and Power Development Authority)*****. W ogólnokrajowym turnieju w starciach z najlepszymi zawodnikami z całego Pakistanu (sił lądowych, piechoty morskiej, sił powietrznych, banków, prowincji) zdobyłam dwa złote medale – w turnieju indywidualnym i zespołowym. W ich trakcie zostałam uznana najlepszą zawodniczką w kraju. Wieść ta wzbudziła we mnie podziw dla siebie samej, ale szybko wyparłam ją z głowy. Byłam tam, żeby walczyć z konkretną zawodniczką i pokonać ją, co też uczyniłam. Była to długa i stroma droga. Miałam tylko squasha, a myślałam jedynie o domu.

Ale po zdobyciu medalu nie chce się wracać do domu, żeby dowiedzieć się, że szkoła matki została zbombardowana, a potem się chwalić, jak dobrze poszło ci w turnieju. Albo że jest się numerem jeden. Albo mówić cokolwiek.

Podobnie jak ojciec, długo siedziała, pijąc herbatę i gapiąc się przed siebie. Jakby przetrawiała wiadomość o jakiejś śmiertelnej chorobie. Następnie, jak gdyby nigdy nic, powiedziała, że kolejnej już nie ma. W końcu rada edukacji wysłała ją gdzieś indziej. Znała FATA jak własną kieszeń, nie potrzebowała mapy. Dopóki na lekcje przychodziły dziewczęta – choćby jedna złąkniona wiedzy – była gotowa się tam stawić.

Większość ocalałych szkół w FATA było małymi ceglanymi budynkami z kilkoma salami, flagami wiszącymi na zewnątrz, dopóki nie stało się to niebezpieczne, i z dziewczętami w środku. Jeśli szkoła miała okiennice, wtedy je zamykano. Niektóre dziewczęta przemierzały autobusem wiele kilometrów, aż bojownicy wystrzelali kierowców, jakby dla sportu. Przyznać im trzeba, że najpierw wszystkich ostrzegli: każdy przyłapany za kółkiem szkolnego pojazdu miał zostać zabity. I spełnili swoją obietnicę, zazwyczaj celując z dużej odległości prosto w głowę. Czasami wdzierali się do autobusu, wyciągali

z niego kierowcę, bili go do nieprzytomności, a potem zabijali – w tym czasie małe twarzyczki oglądały każdy szczegół tej sceny, opowiadając potem o niej w domu, co skutkowało jeszcze lepiej niż wydawanie surowych zakazów. W Waziristanie wiele szkół zostało zamkniętych bez konieczności użycia materiałów wybuchowych – zabijanie dorosłych na oczach dzieci było doskonałą metodą, żeby dziewczęta wolały siedzieć w burkach w czterech ścianach domu.

*

Dotarliśmy z matką do domu w odstępie kilku minut z przeciwnych stron Pakistanu, z różnych światów. Usiadła, wypija filiżankę herbaty, oparła się łokciami na stole, pozwoliła, żeby jej czador opadł. Nie miało to dla mnie sensu. Wiele godzin każdego dnia spędzałam na jasno oświetlonym korcie. Wróciłam autobusem, przespawszy większość trasy. Z drugiego pokoju dobiegał odgłos radia – żadnej muzyki, tylko wiadomości. Ostatnio rodzice jeździli do FATA razem, matka siedziała z tyłu, a ojciec prowadził. W samochodzie nie było radia, co musiało doprowadzać ojca do szału. Muzyka była *haram* – zakazana. „Co następne? – pytał ojciec. – Powietrze?” Jeśli usłyszeli choćby jedną nutę, mogli cię zastrzelić. Dla pewności wyrwał więc całe to ustrojstwo z deski rozdzielczej. Gdy tak siedziała, jej ubrania pachniały doliną, jakby nostalgiczny wiatr uperfumował ją moim dzieciństwem: sosnami, czystymi rzekami, górami i mimozami. Przyniosłam jej jeszcze herbaty.

– Jak to robią, Aami? Po prostu je wysadzają?

– Najpierw zostawili informację. Niektóre szkoły mają tablice na zewnątrz, dziewczęta uczą się pod gołym niebem. Znaleźli kredę. Pismo było pełne błędów.

– Co napisali?

Znowu przeżywała całą tę scenę – widziałam to. Mozolnie maszerowała pod górę do budynku z kamienia na skalistej równinie. Dzieci zebrały się przed tablicą już wcześniej. Jedno z młodszych zaproponowało, by poprawić błędy, zanim przyjdzie Madam. Inne wymamrotało, że lepiej zostawić tak, jak jest.

– Napisali: „Wysadzimy tę szkołę. Jeśli wejdziecie i umrzecie, odpowiadacie za waszą śmierć”.

– Weszłyście?

– Nie. Dzień wcześniej dziewczęta miały test z matematyki i nie zdążyłam go jeszcze sprawdzić. Przez okno widziałyśmy na moim biurku stertę klasówek. Zastanawiałam się, czy nie wejść na chwilę tylko po testy. Ciężko pracowały. Obiecałam im cukierki.

– Ale nie zrobiłaś tego.

– Poprawiłam napis na tablicy. Pomyślałam sobie: „Niech zobaczą, jak to robię”. Wiem, że tak postąpiłby Shams. Następnie szybko zbiegłyśmy stromą kamienistą ścieżką. 50 dziewcząt. Stało się to nagle, jakby nadpłynęła gigantyczna fala. Wszystkie dziewczęta upadły.

– A co ze szkołą?

– Nie ma jej. Jakby pochłonęła ją ziemia.

– Co zrobiłyście?

– Byłyśmy porozrzucane jak nasiona. Co mogłyśmy zrobić? Widziałyśmy dym. Płakałyśmy wszystkie. A potem dziewczęta rozeszły się do domów.

– Widziałyście, kto to zrobił?

– Nie ma żadnego „kto”, Mario. Są oni. Żadnych twarzy, żadnych dusz – tylko bomby, pociski i wezwania Allaha rozbrzmiewające w górach.

Pochyliła się i zaczęła grzebać w torbie. Wyciągając stertę papierów, poprosiła mnie, żebym nalała jej jeszcze herbaty. Z mojego miejsca dostrzegłam rzędy równań – wszystkie zapisane odręcznym pismem młodych osób. Następnie wyjęła czerwony długopis.

ROZDZIAŁ 17

NA CELOWNIKU

Ludzie mówili, że nosili długie noże do odzierania ze skóry i podrzynania gardeł. Całe wsie skazane były na ich łaskę, uwięzione w bezlitosnej pułapce rozszalałego dżihadu. Przemieszczali się niepostrzeżenie po zdradzieckim terenie jakby po placu zabaw, strzelali do Straży Granicznej i pakistańskiej armii jak do kaczek, zwabiali całe kontyngenty do zaminowanych miast, w których niczego nieświadomi żołnierze zapuszczali się w labirynt pustych budynków wypełnionych materiałami wybuchowymi. Podczas gdy żołnierze ich szukali, talibowie zeszli do sieci prymitywnych tuneli i uciekli w pobliskie góry, gdzie czekali przy detonatorach. Wojskowi przeczesywali dom po domu z bronią gotową do strzału, a gdy w sidła złapało się ich wystarczająco dużo, talibowie dawali sygnał i wysadzali ich wszystkich. Plemienna starszyzna, która się im sprzeciwiała, szybko została unicestwiona, zwykle w biały dzień, za pomocą metod zadających dużo bólu i pozostawiających sporo krwi, tak żeby nikt nie miał wątpliwości, kto tu rządzi. Zaczęli jako różne komórki walczące w tym samym celu, ale połączyli się w jedną okrutną i bezlitosną siłę – pakistańskich talibów – która osiągała wszelkie swoje cele.

Ojca odwiedzali teraz często starzy sąsiedzi z utraconych przez nas dawno dolin Południowego Waziristanu, a także ludzie z ogarniętych wojną terenów. Nasza rodzina mieszkała już gdzie indziej i miałam własny pokój; dom znajdował się niedaleko poprzedniego, w okolicy pełnej takich pasztuńskich wyrzutków, jak my. Dom był lepszy, bardziej przestronny i otoczony naszymi ludźmi, zawdzięczaliśmy go nieustępliwej pracy naszej matki. Naszą okolicę zwaliśmy Małą FATA – wszędzie słychać było ludzi rozprawiających w języku Paszto, sączących herbatę na ozdobnych matach. Mogliśmy się poczuć jak w starym domu. Po pokoju niczym drobinki kurzu krążyły plotki – jakąś dziewczynę spuszczone do kadzi z kwasem, jakiś bezzałogowy samolot zrzucił bomby na szkołę. Ludzie znikali. Znikały całe wioski.

Wychodząc, mijałam pokój gościnny, z którego zawsze dobiegało stukanie filiżanek, głosy mężczyzn siorbiących herbatę i unoszący się ponad innymi

głosami głęboki bas ojca. Często też słyszałam słowo „talibowie”, przy którym moje myśli biegnęły w dwie strony – albo do mężczyzn czających się w uliczkach, palących ogony skorpiona, albo do wojny w Afganistanie. Nie zdawałam sobie sprawy, że istnieje wiele rozszaniowanych po całym FATA skupisk talibów połączonych wspólną nienawiścią i ideami, tak jak istnieje wiele szczepów wirusa. Gdy połączyli się w jedną śmiertelną plagę, przyjęli nazwę Tehrik-i-Taliban Pakistan – Talibski Ruch Pakistanu – i nie czaili się już gdzieś w oddali. Teraz chodzili po naszych ulicach, kryli się w domach, zapuszczali do obozów uchodźców, gdzie rekrutowali bojowników. Talibowie żyli wśród nas już od pewnego czasu, uzbrojeni po zęby i gotowi na długą, brutalną walkę. Wszystkie te oddziały dążyły do makabrycznego zrealizowania świętych ideałów: wygnania ze świętej ziemi niewiernych najeźdźców – pakistańskiej armii, rządu i heretyckiego Zachodu – i narzucenia mieszkańcom własnej, ekstremalnej interpretacji islamu. Ludzie mówili, że talibowie opanowali każdy zakątek Peszawaru. Jeszcze groźniejsza od ich nienawiści była umiejętność wtapiania się w otoczenie – mogli skrywać się za maską brudnego włóczędzy, życzliwego sprzedawcy owoców, szewca, nauczyciela, chłopca z sąsiedztwa, szlajającego się po ulicy mężczyzny. Jeden z nich mógł siedzieć w naszym pokoju, przysłuchując się, zbierając informacje i zapamiętując nazwiska ludzi do odstrzału. Ojciec opowiadał o niewyobrażalnych okrucieństwach talibów, odsiewając prawdę od tego, co prawdą być nie mogło. Niektóre z tych rzeczy widział na własne oczy. Prawdą było, że talibowie zdobyli nie tylko tereny, ale też się skonsolidowali, podczas gdy rząd i armia działały niezdarnie niecałe 80 kilometrów od naszego domu.

– Mają specjalną broń, która zabija tylko nieczyste kobiety. Wystrzelili ją w wioskę nieopodal Bannu i tylko jedna kobieta przeżyła. Oddali ją mulle za żonę.

– Niemożliwe – parsknął ojciec.

– Dziewczyna wyjrzała przez okno, więc zabrali ją na plac, rzucili na ziemię i pobili na śmierć.

– Prawda – stwierdził ojciec. – Dlatego malują okna na czarno.

*

Bomby wybuchły w każdy piątek – najświętszy dla nas dzień tygodnia, jak niedziela dla chrześcijan albo każdy dzień dla buddystów. Gdy tylko rozlegał się ryk i dudnienie, wszyscy się zatrzymywali i szukali na niebie wiele

mówiących kłębow gryzącego dymu. Kiedy budził się ten dzień, ludzie wiedzieli, że nadciąga nieunikniona rzeź. Wkrótce zamachy zaczęły zdarzać się także w inne dni tygodnia, stały się częstsze i bardziej wymyślne – samochody pułapki, porwania i zamachowcy samobójcy w sklepach pełnych kobiet. Wyrobiliśmy sobie odpowiednie nawyki, jak gdyby obudziła się w nas jakaś pierwotna część mózgu. Przyglądaliśmy się tłumom przy głównych ulicach, sprawdzając, czy ktoś nie ma na sobie podejrzanego plecaka, czy nie idzie zbyt powoli, czy nie mamrocze pod nosem złowieszczej modlitwy, albo szukając naćpanych bezdomnych z bronią ukrytą pod warstwami łachmanów, którzy, meandrując między stoiskami na bazarze, nawet nie zdają sobie sprawy, że przydzielono im krótkoterminową pracę masowego mordercy. Musieliśmy wychodzić z domu na zakupy. Pójście na bazar lub na ruchliwą ulicę stało się nagle aktem wiary. Tylko ona trzymała ludzi przy życiu.

W szkole średniej Taimur stał się równie pobożny, co Ayesha. Każdego ranka po przebudzeniu mył się ciepłą wodą z mydłem – zwłaszcza w piątki. Słyszałam przez drzwi przytłumiony plusk wody, gdy energicznie ją spieniał i namydlał dłonie, czasem szepcząc do siebie, jakby już zaczął modlitwę. Wychodził ubrany w biały *salwar kamiz*, z lekkim uśmiechem na ustach.

– Ty masz swoją raketę, Mario, a ja mam swój Koran.

Od lat nie graliśmy już razem w squasha. Wkraczając w okres dorastania, Taimur poszedł do szkoły, spotykał się ze swoimi przyjaciółmi, został pomocnikiem ojca, sklejjąc przedmioty za pomocą taśmy, naprawiając radia, czytając mapy i pogrążając się w książkach. Ja byłam pochłonięta grą, podróżowałam po całym kraju, czasami znikałam na kilka tygodni, trenowałam w akademii w Peszawarze, grałam mecze, zbierałam medale, zdobywałam szczyty rankingów, przynosiłam do domu pieniądze, dokładając się w tych trudnych czasach. Nie układało się między nami jak dawniej, Taimur nie miał już zuchwałego brata Dzyngisa, a ja nie miałam swojego cichego stróża. Nie poróżniła nas kłótnia, po prostu oddalaliśmy się od siebie, gdy stawał się mężczyzną. Zwinnym. Wysokim. Władczym. Rakieta poganiał mnie jak miotłą po całym korcie. Ostatni raz graliśmy razem, gdy wciąż zaliczałam się do początkujących. Byliśmy na kortach dopiero drugi tydzień, przegrałam trzy mecze z rzędu, nie zdobywając żadnego punktu. Stałam z rakieta leżącą u stóp, a on pił fantę z puszki; każdy ruch jego jabłka Adama był jak obelga, gotowałam się w środku. Widząc moją naburmuszoną minę, wyciągnął rękę, podając mi na pocieszenie puszkę:

– Co się wkurzasz? Jestem chłopakiem, oczywiście, że cię pokonam.

Zawsze.

Pod wpływem impulsu podeszłam do niego i walnęłam go pięścią w splot słoneczny, czując znajomy trzask knykcii, po którym przez kilka dni chodziłam obolała. Usłyszałam, jak wypuszcza powietrze i zgniata puszkę. Taimur zrobił krok do tyłu i potrząsnął głową, żeby ocknąć się po uderzeniu. Zakasłał i mnie pchnął, niezbyt mocno. Spojrzeliśmy na siebie. Zaśmiał się, wziął raketę, zostawiając mi resztkę napoju.

Teraz staliśmy razem w kuchni, jego wypolerowana skóra lśniła od mydła. W szarzyźnie poranka wręczył mi mały owoc granatu, niby wspomnienie utraconego na zawsze czasu i miejsca. Naszego dzieciństwa. Granaty były drogie i trudne do zdobycia, od lat nie miałam w ustach tych rubinowych nasion. Przekroiłam owoc i dałam mu jego połowę, ale odmówił, zaczęłam więc sama wydłubywać miękkie smakołyki z białej łupiny. Co piątek chodził z ojcem do meczetu, gdzie modlił się z innymi dzielnymi mężczyznami z Peszawaru. U góry słyszałam kapanie rur i kroki ojca. Spojrzałam na sufit, gdzie ujrzałam powiększającą się brązową plamę. Przez okno wpadał gorący wiatr, mierzwiąc krótkie czarne włosy Taimura. Z wiatrem do domu wpadł zapach gotowanej żywności, mapa świata na ścianie się pomarszczyła. Delektując się ostatnim nasieniem granatu, spojrzałam na Taimura, na jego nieobecną twarz, gdy przyglądał się swoim dłoniom, jakby zaskoczony, że wciąż są na miejscu. Ciekawe, czy myślał o tym, co ja – że to doskonałe ciało może rozlecieć się na kawałki. W tamtych czasach istniała długa lista rzeczy, których nie można było wypowiedzieć na głos. „Nie idź” było jedną z nich. „Dlaczego?” – inną. Razem z ojcem zawarli już pakt z Bogiem. Posłuszeństwo nie płynęło w naszej wazirskiej krwi.

Ojciec wszedł w stanie *wudu*. Taimur wstał. Bez słowa zbliżyliśmy się do drzwi – ja na plecach miałam raketę do squasha, oni w rękach święte księgi. Szliśmy razem ulicą. Oni niespiesznie bokiem, ja na Sohrabie, stopami odbijając się od ziemi; szprychy tykały jak wskazówki zegara. Mój umysł gdzieś pędził. Zerkałam na nich z ukosa. Wiele lat później spotkałam ludzi mieszkających w miastach, w których dochodziło do zamachów terrorystycznych – Tokio, Nowym Jorku, Londynie. Gdy każdego ranka zegnali się ze swoimi bliskimi, wsiadając do samochodu, autobusu czy pociągu, zawsze wisiało nad nimi niezadane pytanie. Wypowiedzenie go przerwałoby tamę potwornego strachu, więc za wszelką cenę tłumiło się je w sobie, zmuszało do uśmiechu i starało się o nim nie myśleć aż do zmierzchu: „Czy

jeszcze cię zobaczę?”.

Skęcili za rogiem w prawo, powoli sunąc wąską ulicą w stronę widocznego z oddali pojedynczego minaretu, który wzbijał się w niebo niczym wieża na tle długiego pasma miękkich chmur. Ich małe postacie wchodziły się w tłum przed nim. Mężczyźni w każdym wieku gromadzili się wokół nich, powoli idąc w stronę losu zgotowanego im przez Boga – albo przez talibów schowanych na dachach, w alejkach, za uśmiechem sprzedawcy owoców z piramidą mango i detonatorem w kieszeni. Co najmniej raz dziennie myślałam sobie: „Przeprowadziliśmy się do Peszawaru w poszukiwaniu lepszego życia”. Nie potrafię powiedzieć, kiedy i jak zaczęliśmy żyć pod mroczną płachtą terroru – po prostu zaczęliśmy.

*

Mężczyzna na rogu nic nie robił, ale zachowywał się dziwnie. Napięte mięśnie na gładko ogolonej twarzy zdradzały jego zamiary, choć po prostu stał, opierając się o poręcz. Miał tak misternie złożony turban, że gdyby go rozwinąć, tkanina ciągnęłaby się od jednej przecznicy do drugiej albo i dalej. Dostrzegł mnie kątem oka, zauważyłam ruch jego gałek ocznych, ledwie zauważalny, ale lata ganiań za piłką do squasha wyczuliły mnie na najsubtelniejsze zmiany położenia. Minęłam go, przejeżdżając powoli i zdecydowanie naciskając pedały. Nie obrócił za mną głowy. W ogóle się nie ruszył. Jeszcze nie – co samo w sobie było ostrzeżeniem. Następnie gdy już miał mi zniknąć z oczu, podniósł rękę. Spojrzałam przez ramię, żeby się upewnić. Nie zamachał. Instynkt kazał mi pedałowac szybciej, ale nie za bardzo, żeby nie wpadać w panikę. Przed sobą ujrzałam innego mężczyznę; wyglądał jak lustrzane odbicie tego pierwszego, zupełnie, jakbym doświadczyła *déjà vu*. Przestałam pedałowac, rower się zakolysał, wstrzymałam oddech, słysząc w głowie znajomy ryk.

Mrugałam, żeby wytrzeć kurz z oczu, ale on gapił się bez żadnego wyrazu przed siebie, tak jak tamten. Jak posąg, jak zombie – bojownik dżihadu. Moja wyobraźnia zaczęła działać na pełnych obrotach, próbowałam wyrzucić z głowy złe przeczucia. Za dużo nasłuchiwałam się w domu. Ścisnęłam kierownicę i postanowiłam wstrzymać oddech do końca ulicy. Pamiętam przejeżdżający autobus. Beczenie owcy. Mężczyzna znajdował się niecałe 100 metrów ode mnie. Celowo trochę przyhamowałam i przejechałam rozpędem, z udawaną nonszalancją. Mijałam go jak postać z koszmaru i wtedy to zrobił –

podniósł jedną dłoń, wskazując mnie jako cel – wtedy byłam już pewna. Naciskając mocno pedały, przemknęłam te ostatnie metry, przechylając się to na lewo, to na prawo. Krew szumiała mi w głowie, tak że niemal nie słyszałam syren ani wezwań muezina. Pędziłam tylnymi uliczkami, wąskimi alejkami, za sklepami, wzdłuż bloków mieszkalnych, przecinając handlowe arterie. Kwaśny smród ścieków, ciepło krwi bijące od rzeźnika. Byłam przerażona. W oddali usłyszałam grzmot. Wiedziałam, że to nie bomba, bo trwał za długo i dobiegał ze zbyt dużej odległości. Zatrzymałam się dopiero przed budynkiem, w którym mogłam się schronić. Dotarcie tam bocznymi uliczkami zajęło mi godzinę.

Pod akademią squasha zeskoczyłam w biegu z roweru i wpadłam przez frontowe drzwi. Zabrałam go ze sobą, rysując nim ściany aż do kortów. Jeden ze znanych mi chłopców siedział na ławce. Spojrzał na mnie i na postawiony pod ścianą rower, powiedział coś i zamilkł. Krew odpłynęła mi z twarzy, czułam to; poprosiłam, żeby ze mną zagrał. Skinął głową, podniósł się i podał mi ręcznik. Byłam przemoczona od zimnego potu, takiego, jaki przyprawia o dreszcze.

Kilka godzin później, gdy strach rozplynął się w ferworze długiej, zawziętej gry, hipnotyzującego treningu i przygotowań do następnego turnieju, wyprowadziłam rower z budynku. W bezpiecznym schronie kortów przekonałam siebie, że po prostu coś sobie wmówiłam. Wychodząc, zarzuciłam torbę z rakieta na plecy. Nikt się do mnie nie zbliżał. Na zewnątrz prowadziłam rower obok sporego tłumu zgromadzonego przy samochodzie z przebitą oponą, wokół mnie na rowerach przemykali chłopcy. Przejechały dwa skrzypiące puste autobusy. Wsiadłam na rower i włączyłam się do ruchu. Kobieta w burce przebiegła przez ulicę, potknęła się o krawężnik i krzyknęła. Niewidomy szedł z laską, chociaż mogłabym przysiąc, że wodził za mną oczami. Wszystko to było dla mnie niczym ujęcia z jakiegoś filmu. Z perspektywy czasu rozumiem, że już sama moja wyczulona uwaga była ostrzeżeniem. Do domu pojechałam inną drogą, co chwila rzucając szybkie spojrzenia przez ramię i na boki. Przejechałam obok naszego starego domu, wjechałam do Małej FATA pustymi uliczkami. Przed sobą widziałam dachy, rozdartą błękitną roletę w górnym oknie i koniuszek uschniętego jałowca. Nie odrywałam wzroku od dachu, jakbym w każdej chwili mogła się zgubić i nigdy nie dotrzeć do domu. W wyobraźni widziałam już wejściowe drzwi i czułam chłodny spokój wnętrza. Zeskoczyłam z roweru, ostatnie kilka kroków podeszłam na nogach, spojrzałam za siebie jeszcze raz – nic – i zachciało mi

się śmiać. Pomyślałam o granacie od Taimura – czasem zdajemy sobie sprawę, że za czymś tęskniliśmy, dopiero gdy ta rzecz znowu pojawi się w naszym życiu. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze będziemy żyli w pięknym, pełnym owoców obszarze FATA.

Nagle, coś się przede mną poruszyło. Z gąszczu liści wyleciał ptak. Za rogiem mignął mi mężczyzna. Jeszcze przed chwilą nikogo tam nie było. Ujrzałam tylko ciemny profil, sandał na stopie, ostatni trzepot jego ubrania i zniknął. Powiedziałam sobie, że to zwykły mężczyzna, który spieszy się do domu. Oparłam rower o ścianę. Powietrze jakby się zagęściło – zrobiło się gryzące i trochę słodkawe – coś wisiało nade mną jak zjawa. Wyjęłam klucze i skręciłam w stronę drzwi. Z pokruszonych cementowych płyt wydobywały się jasne kłęby dymu. Zasłoniłam twarz ręką. Nie widziałam źródła, ale moje spanikowane oczy skierowały się w jego stronę – na ziemi leżało coś porzuconego. Ta rzecz wciąż się tliła, skwierczała i syczała, jakby skrywała duszę węża. Zdecydowanym ruchem zmiażdżyłam stopą ogon skorpiona i weszłam do środka. Ojciec i Taimur wrócili dziesięć minut później. Po drugiej stronie miasta samochód pułapka zrównał z ziemią połowę budynku, ale było to tak daleko, że nic nie słyszeliśmy.

*

Ponownie zostałam zaproszona z ojcem na przyjęcie do prezydenta. Było jak poprzednim razem: namioty rozstawione na zewnątrz, pogaduszki o zachodzie słońca, mężczyźni przechadzający się z tacami, nawet menu. Spróbowałam tortu. Tym razem nie byłam tam jako zawodniczka medalowej drużyny, ale żeby wraz z innymi sportowcami reprezentującymi różne dyscypliny otrzymać nagrodę Salam Pakistan z rąk prezydenta Musharrafa. Mówiło się, że to nagroda za dążenie do perfekcji, co też zwykł powtarzać ojciec, spoglądając na moje dłonie, których tak lubił dotykać. Mówił, że są dowodem na to, że moje życie ma cel. Ceremonia się rozpoczęła, a ja weszłam na prowizoryczną scenę rozstawioną pod jaskrawymi jupiterami i zajęłam miejsce za podium. Prezydent wygłosił przemówienie na temat sportu w Pakistanie. Nie wiem, co mówił, byłam zajęta szukaniem mojego ojca wśród widzów usadowionych na składanych krzeselkach. Siedział w trzecim rzędzie od końca, patrzył na mnie błyszczącymi oczami. Tym razem było więcej ochrony niż ostatnio – trzy razy więcej ochroniarzy na dachach i w namiotach. Kilkakrotnie przeszukano nasze bagaże i sprawdzano nasze identyfikatory.

Był sierpień. Siedziałam na scenie, pocąc się w marynarce. Pod koszulą Musharrafa zarysowywała się kamizelka kuloodporna. Usłyszałam, jak wypowiada moje imię, i podniosłam wzrok. Nasze oczy się spotkały i wiedziałam, że mam wstać. Gdy szłam przez scenę, dotarło do mnie, że nie dostaję medalu za jeden mecz czy turniej, ale że zostałam wyróżniona jako lekkoatletka. Ponownie usłyszałam głos prezydenta, gdy mówił: „Nagroda za dążenie do perfekcji”, oraz falę okłasków, ale w tłumie widziałam tylko mojego ojca. W jego oczach błyszczała duma, która dała mi poczucie tryumfu, jakiego nigdy wcześniej – ani nigdy później – nie dało mi żadne zwycięstwo.

Jeszcze zanim się tam udaliśmy, ojciec powiedział, że wyjedziemy stamtąd tuż po ceremonii. W autobusie powrotnym spojrzał na mnie, gapiącą się przez szybę w gęstą noc, którą rozjaśniały jedynie światła samochodów z naprzeciwka.

– Jesteś zawodniczką numer jeden?

Spojrzałam na niego i się zaśmiałam.

– Tak, Baba. Mistrzem kraju.

– Kiedy to się stało?

– Nie wiem, może rok temu.

– Nigdy nic nie mówiłaś.

– Nigdy nie pytałeś.

Wybuchł gromkim śmiechem.

– I byłaś pierwszą dziewczynką, która grała w szortach i T-shircie.

– Tak, nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Pokiwał głową i pogładził się po swojej nowo wyhodowanej brodzie; w tydzień urosła mu na półtora centymetra.

– Ze wszystkich rzeczy, z których mogę być dumny, z tej jestem dumny najbardziej.

Gdybym mogła cofnąć czas i coś zmienić, zmieniałabym tylko jedną rzecz: nie pozwoliłabym zrobić sobie zdjęcia albo nie dałabym go opublikować pod moim nazwiskiem. Kiedy brat pokazał mi moją fotografię w gazecie, zwróciłam uwagę na absurdalne niedoskonałości: oczy miałam małe, nos za duży, nie podobały mi się moje włosy. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest to wyrok śmierci.

*

Wchodząc na korty, zauważyłam mężczyznę stojącego pod budynkiem. Kiedy

później wychodziłam, dalej tam stał – to samo spojrzenie, wpatrujące się we mnie zaczerwienione oczy. Przejechałam obok niego. Ulice pachniały deszczem. Przez kilka przecznic nie natrafiłam na żywą duszę. Kawałek dalej był korek, kontrola policyjna. Ostatnio zdarzały się cały czas. Wjechałam w boczną uliczkę, żeby ominąć duże arterie.

Mieszkanie w Małej FATA ostatnio zmieniło się w życie na celowniku. Talibowie upatrzyli sobie Pasztunów, swoich kuzynów, za cel, chcąc zemścić się za naszą nielojalność, mimo że korzystali z naszej gościnności, ukrywając się w naszych wioskach, gdzie knuli swoje plany. Przestraszona kluczyłam krętymi drogami, czując, że muszę dotrzeć do domu jak najszybciej. Labirynt pełen punktów kontrolnych był jak tor z przeszkodami. Wyły syreny i klaksony. Zapytałam siebie, jaki mamy dziś dzień. Nie był to piątek. Nigdzie w pobliżu nie stał meczet. Ludzie wrzeszczeli. Strzelił gaźnik samochodu i nieomal krzyknęłam. Kręciło mi się w głowie, ale powiedziałam sobie, że to z upału, więc zatrzymałam się, żeby się napić. W ciągu tylu lat przydarzyło mi się zbyt wiele złych rzeczy, a teraz złe rzeczy przydarzały się każdemu cały czas. Tłumy na ulicach były gęste, rozpalone i wściekłe.

Pod kinem przy następnej ulicy zgromadzili się ludzie, w zasadzie sami nastoletni chłopcy. Stanęli pod ścianą, jakby ją przytrzymywali plecami. Zastanawiałam się, jaki film grają, i próbowałam odczytać tytuł na markizie, ale byłam jeszcze za daleko. Wtedy drogę przeciął mi biały hatchback. W środku siedziało dwóch mężczyzn – jeden z przodu, drugi z tyłu. Na lusterku wstecznym wisiały koraliki. Gdy mnie mijali, kierowca spojrzał na mnie: oczy szkliste, zęby żółte, kilku brakowało. Drugi był pochylony i miał głowę opartą o przednie siedzenie pod dziwnym kątem. Samochód podjechał pod kino, wjechał kołem na krawężnik i stanął. Ludzie w tłumie jęknęli, kilku wyszło z kolejki, żeby się lepiej przyjrzeć. Jakiś głos w głowie mówił mi, że wydarzy się coś złego – te punkty kontrolne, tłumy, syreny. Biały samochód zatrzymał się pod samym kinem. Przejeżdżając obok, odwróciłam się, naciskając mocno pedały, i zauważyłam, jak krzywo zaparkował. Z kina wyszedł mężczyzna, krzycząc i wskazując na koło znajdujące się na chodniku. Skręciłam, przecinając główną arterię i stawiając czoła nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodom; zamierzałam skręcić w najbliższą ulicę.

Nie upłynęło dużo czasu, może z pięć sekund, gdy usłyszałam potężną eksplozję, od której zatrzęsała się ziemia. Za moimi plecami przetoczyła się fala uderzeniowa niosąca dym i gruzy. Na uliczkę spadł deszcz stopionego cementu i metalu. Pachniało świeżym, rozgrzanym popiołem. Natychmiast

pomyślałam o chłopcu w kolejce pod kinem. Pamiętałam jego pokrytą trądzikiem twarz, cienki wąsik, sposób, w jaki opierał się o ścianę. Mógł być w wieku Taimura, a razem z nim stało 20 albo 30 mu podobnych, niczym kostki domina. Może mieli nadzieję, że w środku będzie chłodno. Dopadła mnie chmura gorącego pyłu, każdy oddech rozpalał mi płuca. Pedalowałam wściekle, myśląc tylko o tym, żeby się stamtąd wydostać. W chwili, która nastąpiła tuż po eksplozji – równie dobrze mogła trwać minutę albo całe lata – panowała dziwna cisza. Nagle wrzasnęła jakaś kobieta, jakby rozbijając szklaną klatkę, w której znalazł się świat, i na ulicy za mną zapanował chaos, jak gdyby wybuchła kolejna bomba.

W domu usłyszałam trzeszczące radio. Odgłosy stóp. Otwierane i zamykane szuflady. Z moich włosów i ciała przy każdym ruchu sypał się pył. Od wściekłego pedalowania w nogach złapał mnie skurcz. Nie potrafiłam przestać odtwarzać w pamięci obrazów z ostatniej godziny: ludzie biegnący w moim kierunku z otwartymi ustami, z każdej pary oczu wyzierał strach. Samochód przecinający drogę, zatrzymujący się jednym kołem na krawężniku. Kierowca mijający mnie niczym w zwolnionym tempie. Patrzył na mnie, jakby już był na wpół martwy, została mu do zrobienia jeszcze tylko jedna rzecz. Mężczyzna z tyłu z przekrzywioną głową i pustym spojrzeniem. Myśląc o tej trwającej ułamek sekundy chwili, zdałam sobie sprawę, że już był martwy. I znowu: chłopcy oparci plecami o ścianę kina, wyglądający teraz, jakby stali przed plutonem egzekucyjnym. Zastanawiałam się, czy któremuś udało się przeżyć. Poszłam na górę do łazienki i ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi. Zimna woda. Dużo zimnej wody. Z dołu dobiegały mnie głosy Taimura i ojca i dotarła do mnie jedna myśl: żyję, tak samo jak oni.

*

W Peszawarze czas się zatrzymał. Ludzie żyli jakby w długiej, nieprzerwanej sekundzie. Nie zapamiętałam tego okresu talibskich ataków terrorystycznych jako dni, tygodni czy miesięcy, wszystko zlało mi się w jedno. Mijając się, ludzie szeptali modlitwy, wznosili oczy ku niebu, gdy pojawiał się na nim kłęb dymu. Wycie syren było dla nas niczym bicie pogrzebowego dzwonu, mimo że zwykle nie mówiło się o ofiarach ani nawet o samych zamachach. Urzędnicy, mułowie, nauczyciele, sąsiedzi przepadali jak kamień w wodę, jak w otchłań, i nikt o nich nie pytał. O zaginionych wspominało się szeptem na rogach ulic, w naszym pokoju gościnnym i w bezsenne noce. Wiadomości i gazety nie

informowały o niczym. Mężczyźni zapuszczali długie brody świadczące o pobożności, na ulicach zaroilo się od burek i tylko najodważniejsi wciąż chodzili do kina. Dalej grałam w squasha, jeździłam na rowerze, unikając głównych ulic i odosobnionych samochodów z kierowcami pogrążonymi w letargu. Zdawało mi się, że widzę ich wszędzie. Na poboczach niczym lampy wystawiali mężczyźni obserwujący mnie albo kogoś innego. Wyglądający ze swoich kryjówek niczym pająki z sieci bezdomni nagle stali się podejrzani. I zawsze pod ośrodkiem, gdzie grałam w squasha, pod drzewem przy murze widziałam jakiegoś mężczyznę. Czasami był to ten sam przez dobry tydzień lub dłużej, a czasami inny, jakby pracowali na zmiany w fabryce strachu. Myślałam nawet, że talibowie dowiedzieli się o moim zwycięstwie jako Dżyngis-chan w Lahaur.

Ojciec siedział w rogu pokoju, a wszystkie rolety były zaciągnięte. W domu zrobiło się ciemno jak w grobowcu, roztaczał się w nim zapach wilgoci z przecieku, którego nie można było zatamować. Jedyne odgłosy dobiegały z kapiących na górze kranów. Gdy go tam ujrzałam, wiedziałam, że na mnie czeka. Powitał mnie gestem ręki. Kilka dni w tygodniu wciąż ryzykował, udając się do FATA – wcześniej starannie planował swoją trasę. Zapucił gęstą brodę skrywającą połowę jego twarzy, nosił misternie spleciony turban z wykrochmalonej bawełny, różaniec oplatał mu dłonie. Każdy, kto zaglądał przez szybę jego półciązarówki, mógł pomyśleć tylko jedno – „święty człowiek” – i opuszczał broń. Nie mówił, czy wciąż naucza. Wiedzieliśmy, że nad czymś pracował, prawdopodobnie nad postawieniem na nogi kolejnej szkoły. FATA pochłaniało całą jego uwagę. Był to okres ciszy w naszej rodzinie. Dalej próbowaliśmy wypełniać nasze obowiązki – dzieci w szkole, Ayesha w koledżu, rodzice w pracy, ja na korcie – tyle że w trybie przetrwania. Ojciec siedział ze złożoną kartką w dłoniach. Wiedziałam, co to.

– Usiądźmy i porozmawiajmy, Mario. Mamy kłopoty. – W poważnych sprawach ojciec nigdy nie owijał niczego w bawełnę.

Tak samo jak talibowie.

Śmiercią zawsze grozi się bezpośrednio: lufa karabinu, ostrze noża przystawione do gardła, grzechotanie ogona grzechotnika czy list pozostawiony za wycieraczką samochodu. Moje pasztuńskie nazwisko, którym podpisane było zdjęcie w gazecie – Wazir – natychmiast zdradziło moje pochodzenie, oznajmiając, że nie jestem zwykłą pakistańską zawodniczką, a pochodzę z plemion. Moje zdjęcie z Musharrafem – wrogiem numer jeden – przesądziło o moim losie. Przypomniało mi się, jak matka mówiła, że

talibowie zawsze przed wysadzeniem szkoły wysyłali list. Jak dotąd zrównali z ziemią cztery placówki w Darra Adam Khel i wiele w innych miejscach. Czasami matce udawało się ocalić poszczególne przedmioty – ławki, tablice, pudełka z ołówkami – które mogła zanieść do kolejnej szkoły. Pracowała w niej przez kilka tygodni albo miesięcy i otrzymywała ostrzeżenie – za pomocą kartki przybitej do drzwi albo napisu na tablicy. Gdy ojciec rozkładał powoli kartkę, wiedziałam, że ta jest skierowana do mnie.

– W skrócie: jeśli nie przestaniesz grać, poniesiesz poważne konsekwencje.

– Co rozumieją przez „poważne konsekwencje”? Nie chcą mnie zabić?

Starannie złożył kartkę. Gdy ojciec się zastanawiał, widać to było po wszystkich mięśniach jego twarzy. Wyglądał wtedy, jakby doświadczał potężnego bólu.

– Nie, nie od razu. Chyba że nie będą mieli wyboru.

– To tylko squash.

Ojciec wydał z siebie odgłos, którego wcześniej nie słyszałam. Coś jakby połowiczny śmiech.

– Koran to tylko książka. Ty jesteś tylko dziewczyną. FATA to tylko skały i gleba.

– Mam przestać?

Spojrzał mi prosto w oczy i zgniótł papier w dłoni.

– Czy przestanę chodzić w piątki do meczetu? Czy wyrzucę džinsową kurtkę twojej matki? Czy zabiorę Ayeszę z uniwersytetu, wsadzę w burkę i każę jej poślubić starszego mężczyznę? Czy już nigdy nie będziemy słuchali muzyki?

No i dostałam odpowiedź.

*

Taimur towarzyszył mi na swoim rowerze w obie strony, jadąc przy okazji na rynek. Każdego dnia wybieraliśmy inną trasę. Przemierzaliśmy boczne uliczki, mijaliśmy czarne kratery w miejscach, w których kiedyś stały budynki, pozostałości meczetu albo leżące na ziemi szczątki rozbitego dachu, jakby był z porcelany. Unikaliśmy charakterystycznych punktów, szpitali, szkół oraz sprzedawców obsługujących kobiety. Gdy się rozstawaliśmy, spojrzałam przez ramię i widziałam go, jak stoi przy swoim rowerze z założonymi ramionami, rozglądając się wokół. Myślałam sobie, że list był fortelem – został podrzucony przez jakąś moją zacieklą, gotową na wszystko rywalkę, a nie przez talibów. Czemu mieliby się mną interesować?

Gdy wychodziłam, Taimur już na mnie czekał. Rower stał oparty o ławkę, obok leżał worek ryżu, jego twarz przy korze topoli wyglądała na bladą i zmęczoną. Poprowadziliśmy nasze rowery zacięną alejką, mijając na skrzyżowaniu dwóch mężczyzn. Byli gładko ogoleni, mieli sprzęt do squasha, nowiutkie ubrania, skórzane torby i ray-bany. Wyglądali jak profesjonalni zawodnicy, ale nigdy wcześniej ich nie widziałam. Jeden z nich spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby. Choć był wzorowo wystrojony, brakowało mu jednego zęba na górze.

– Witaj, Mario Wazir. Jak się masz?

Nie powinnam była na niego spojrzeć, ale to zrobiłam. Ujrzałam jego oczy – wielkie źrenice, czarne jak onyks – i dziurę w ustach, która przeczyła wszelkim pozorom klasy. Gdybym nie wstrzymała oddechu, udusiłabym się. Zobaczyłam, że zarówno on, jak i jego towarzysz mają puste ręce. To dobrze. Po prostu chcieli mi pokazać, że mój los spoczywa w ich rękach.

Odeszliśmy z dziesięć kroków, wsiedliśmy na rowery i mieliśmy już odjechać, gdy usłyszałam ten głos, tak cichy i ledwo przebijający się przez szum wiatru i ulicznego ruchu; musiałam się skupić, żeby wyodrębnić poszczególne słowa.

– Czy to twój starszy brat?

– Tak.

– Nieważne.

Gdy przyjechaliśmy do domu, ojciec czytał Sangeenowi o wojnie trojańskiej, przysiadłam się na chwilę, by posłuchać. Był na samym początku tej greckiej historii, gdy bogini niezgody, Eris, podczas zaślubin bogów rzuciła złote jabłko z napisem „dla najpiękniejszej”. Taimur odsunął ryż, nastawił wodę i czymś się zajął. Spojrzałam na ojca; jego broda sięgała za szyję i miała nieokreślony kształt. Przysłaniała mu całą twarz poza oczami. Prądu znowu nie było, więc na stole migotała lampa naftowa z knotem zwiniętym jak pijący naftę wąż w szklanym kloszu. Czytając zasypiającemu synowi, poruszał ustami, które wyłaniały się z tego gęstego gniazda. Ujrzałam wtedy fioletowe rozcięcie na jego górnej wardze. Wokół niego zaschła krew, a gdy przewracając stronę, dotykał wargi, wzdrygał się niemal niezauważalnie. Taimur odwrócony był do mnie plecami, robił nam herbatę, stukając łyżeczką o filiżankę.

Sangeen poszedł na górę, a ja usiadłam między ojcem a Taimurem, którzy przy mnie wydawali się wielcy jak dęby. Był czwartkowy wieczór. Pamiętam ciężką ciszę, to, co niewypowiedziane, miało więcej mocy niż jakiegokolwiek

słowa. Brat usiadł, spojrzął na ojca i w skrócie zdał sprawozdanie z całego popołudnia. Ojciec pokiwał głową, wziął łyk herbaty, zdmuchnął parę i zatopił się w myślach.

Czekałam, aż powie, że to koniec. Byłam na to przygotowana. Były gorsze rzeczy niż dom, kuchnia, pranie. Moi chłopcy. Mój rower. Ściana w moim pokoju doskonale nadawała się do trenowania uderzeń. Wystarczyło tylko przepchnąć materac na bok. Nie było tam innych przedmiotów. Tym razem byłoby inaczej. Lepsze to niż zawalenie szkoły albo brak możliwości zdobycia kolejnej nagrody. Albo niż zostać wysadzonym w powietrze.

– Mario, w świetle ostatnich wydarzeń musimy trochę zmienić.

– Wiem, Baba. Jestem gotowa. Co ci się stało w wargę?

– Drobne nieporozumienie odnośnie do sensu życia. Okazało się, że miałem rację.

– Nie dociera do ciebie, co mówię.

– W takim razie myślimy podobnie. Jak zawsze. Problemem jest rower. – Podniósł palec wskazujący i pokręcił nim, wprawiając światło lampy w niewielkie drżenie.

– Nie, problemem jest moja rakietka.

– Wsadź ją do bagażnika.

– Jakiego bagażnika?

– Ojciec wymienił pickupa na hatchbacka. Możesz usiąść na tylnym siedzeniu, a ja cię zawiozę. Możesz się nawet położyć. Stoi w garażu sąsiadów. Nikt o nim nie wie.

– Co? Jak się dostaniesz do pracy?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Będziesz jeździła o różnych porach i różnymi drogami, ale dotrzesz na miejsce.

– Tak, Mario. Jeśli wolno nam zatrzymać Koran, tobie będzie wolno zatrzymać raketę.

*

Gdy poszłam spać, słyszałam Ayeszę mruczącą przez sen. Ojciec chodził po domu, sprawdzając nasze pokoje. Łapał resztki snu niczym okruchy jedzenia. Zatrzymał się za drzwiami. Widziałam jego stopy przez szparę w blasku migoczącego światła. Okno przy łóżku było otwarte. Peszawar spał niespokojnym snem, przypominał liście targane na wietrze. Ojciec długo stał

pod drzwiami. Wyobraziłam sobie, jak przykładam dłoń do drewnianych desek, jakby próbował wyczuć bicie serca. W końcu powieki zrobiły mi się ciężkie. Powietrze Peszawaru drżało od oddechów trzech milionów ludzi. Nikt nie wiedział, ile z nich nie dożyje kolejnej nocy.

ROZDZIAŁ 18

PURDAH

Obudziłam się wcześnie, po niespokojnej nocy, wyplątałam się z bladobłękitnego prześcieradła i rozsunęłam roletę, wpuszczając do pokoju światło. Ulica zasypana była śmieciami, a na jej środku wrona wydziobywała resztki jedzenia z plastikowej torby. Patrzyłam na nią przez kilka minut, opierając brodę o parapet, i wstałam. W domu było jeszcze cicho. Wśliznęłam się w moje ubrania, a w głowie układałam już plan dnia: Taimur zawiezie mnie krętą trasą do akademii. Okna samochodu będą zamknięte. To nie był piątek, co nie miało jednak żadnego znaczenia. Bomby wybuchały cały czas: w szpitalach, gabinetach lekarskich, teatrach, na posterunkach policji, bazarach, w domach urzędników państwowych, a raz czy dwa w chrześcijańskim kościele. Między atakami pojawiały się groźby, niemal równie uciążliwe: ewakuowano budynki, ludzie uciekali z nich w panice. Przed szóstą byłam w kuchni, krojąc mango. Spływający po moich dłoniach sok zawsze przywoływał w pamięci doliny, gdy przesiadywałam z moją załogą w słońcu. Dziś mogli oni być zagorzałymi talibami – może nawet próbowali mnie właśnie dopaść?

Matka jeszcze nie przysłała. Rozglądałam się za jej charakterystyczną torbą pod drzwiami, w której trzymała wszystkie długopisy i mapy. Jakimś cudem zawsze miała przy sobie cukierki oraz rolkę naklejek z uśmiechniętymi buźkami. Przygryzłam wargę, powstrzymując znaną falę emocji. Ojciec spał jak zabity, czekając na krzesło przy drzwiach wejściowych. Gdy dotknęłam jego ramienia, naprężył się i poderwał. Poszliśmy razem do kuchni, gdzie dałam mu owoce i orzechy. Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Wypiliśmy po filiżance herbaty, nie odzywając się ani słowem, mimo że matka miała wrócić do domu 12 godzin temu. Gdy myśleliśmy, że drugie z nas nie widzi, ukradkiem zerkaliśmy w stronę drzwi.

Nagle chrząst zamków przerwał poranną ciszę. Stała w drzwiach, rzuciła torbę na podłogę, czador opadł jej na ramiona.

– Wreszcie! – wyrzuciła z siebie, jakby razem z nami całą noc

wstrzymywała oddech. Po chwili wszyscy staliśmy razem i rozmawialiśmy. Jeśli ktoś nie wracał przez kilka godzin, zwykle oznaczało to, że nie wróci już nigdy. Ojciec ukrył twarz w dłoniach i przez chwilę myślałam, że się rozklei, ale podniósł głowę, spojrzął na matkę, wziął głęboki wdech i się otrząsnął, powstrzymując nagły przyływ emocji. Nigdy nie widziałam płaczącego ojca i wątpię, bym kiedykolwiek zobaczyła – to nie w jego stylu. Podążyliśmy za matką do pokoju gościnnego, a ojciec dał mi znak ręką, żebym jej pomogła. Przez kilka minut nie potrafił niczego powiedzieć. Podeszłam do niej, gdy siadała na matach. Ostrożnie zdjęłam jej znoszone buty, jakby były drogocennymi przedmiotami. Ojciec podszedł i uklęknął przy mnie, ale nie potrafił jej dotknąć. Aami spojrziała na niego, uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę w kierunku jego oszołomionej twarzy i powiedziała:

– Chodź, Salomonie. Wstań z kolan.

Nie musieliśmy pytać, co się stało. Ściągając burkę i kładąc ją obok, sama zaczęła opowiadać. Wyobraziłam sobie matkę w tej tkaninie i zastanawiałam się, co widzi przez tę gęstą siatkę. Następnie zdjęła czador. Na ziemię upadło kilka ziarenek kukurydzy. Ujrzałam w nich falujące pola, mieniące się na wietrze od zieleni po srebro. Pod tymi warstwami miała *kamiz* w kwiatki. Rzadko widywałam ją bez chusty, z długimi czarnymi warkoczami opadającymi na plecy. Oparła się i odetchnęła.

– Dwaj talibscy przywódcy rozpętali strzelaninę we wsi. Rywalizowali ze sobą. Nie miało to nic wspólnego ze szkołą, ale oczywiście podczas strzelaniny musiałyśmy się ukryć. Ciągnęła się całą noc. Okna wyleciały w powietrze. Siedzieliśmy pod ławkami, gdy oni próbowali się powybijać. Trwało to aż do rana.

Ojciec usiadł koło niej, gdy próbowała rozpleść warkocz, wyciągając długie i miękkie loki. Siedział jak zahipnotyzowany, patrząc na jej palce we włosach. Jego spojrzenie miało w sobie intymność, którą rzadko między nimi wcześniej widywałam. Chwilę wcześniej wzięła ode mnie swoje buty, a zmęczone nogi przykryła wilgotnym ręcznikiem. Gdy rozpuściła włosy, widziałam po jego oczach, że jest gdzieś indziej, odpłynął w przeszłość, może do młodej dziewczyny, którą poślubił, do czasów, gdy jej delikatne dłonie pieściły dżinsową kurtkę, którą jej podarował. W jego oczach matka wciąż była Królową Domu.

– Kto wygrał, Yasrab? – Patrzył, jak strzepuje z włosów pył.

Zaśmiała się i wzięła jego dłoń.

– Nikt, oczywiście. Muszę się przespać.

Wdzięczność odjęła ojcu lat. Włożył kawałek mango do ust i zaczął jeść, wzdychając, jakby nigdy w życiu nie smakował czegoś tak pysznego. Po raz pierwszy tego ranka spojrział na mnie, a na jego twarzy nie został nawet ślad troski. Gęste powietrze wokół jego ust zalsniło. Poprosił o dokładkę, więc mu ją podałam.

– Baba, czego oni chcą?

– Kto?

– Talibowie. Chcą, żebym skończyła grać w squasha, a ty i Aami macie przestać nauczać. Ale co chcą osiągnąć tymi bombami i strzelaninami?

Ojciec nie dał się zbić z tropu. Odsunął pusty talerz i wytarł niesforną brodę, której nienawdził.

– Chcą, żeby rząd zlikwidował konstytucję i narzucił każdemu ich wersję islamu. Mówiłem ci o tym już wcześniej. Tak można to ująć jednym zdaniem. Gdybym miał się zagłębić w temat, mógłbym gadać całe wieki.

– Nigdy nie powiedziałeś mi dokładnie, jaka jest ich wersja islamu.

– Po pierwsze, musisz wiedzieć, że to nie islam. Najpierw wzięli z naszego języka słowo „talib” i je zamordowali.

– Dlatego wszyscy zaczęli używać angielskiego słowa „student”.

– Tak. A teraz przywłaszczają sobie naszą wiarę.

– Mają własne prawa.

– Tak. Kobiety nie mogą pracować poza domem, chodzić do szkoły, do lekarza, kiedy są chore, uprawiać sportu ani wychodzić nigdzie bez towarzystwa mężczyzny. W miejscach publicznych muszą być okryte od stóp do głów burką z siatką na oczach. Nie mogą nosić butów, które wydają hałas podczas chodzenia. Zabroniona jest muzyka i rozrywka. Okna domów, w których mieszkają kobiety, powinny zostać pomalowane na czarno, żeby nie dało się zobaczyć kobiecej twarzy nawet przez przypadek...

Mówił dalej, a każde jego słowo mnie przytłaczało. Ujrzałam wszystko, co robię, w nowym, okrutnym świetle: T-shirty i szorty, które często nosiłam, moja niezastłonięta twarz, pojedynczy duży kolczyk w uchu, krótkie, nastroszone włosy – słowem: mój sposób bycia – był dla nich obrazą. Tak jak sport, który uprawiałam, rower, na którym już prawie nie jeździłam. Rozejrzałam się po kuchni, podczas gdy on skończył swą wykutą na pamięć długą listę. Ostatni punkt mówił coś o szczepieniach przeciwko polio.

– Talibowie wierzą, że szczepienia to spisek Zachodu, mający na celu sterylizację muzułmanów. Ich też zabraniają.

– Kiedy przestaną? – Oczekiwałam, że usłyszę konkretny przedział

czasowy, że poda mi jakąś wartość w miesiącach albo tygodniach, ale jego odpowiedź mnie nie zadowoliła.

– Nie wiem. – Spojrzał mi prosto w oczy.

– Zrozumiałam coś, czego nie rozumiałam wcześniej.

– Możliwe.

– Nie przestanę, dopóki ja nie przestanę... grać w squasha.

– Nie. Im chodzi o coś więcej. To dopiero początek. Pochodzisz z plemion. Chcą ci narzucić *pardah* i robić z ciebie przykład dla innych.

– Co to oznacza?

Wodził wzrokiem po całej kuchni, spojrzał na gotujący się czajnik, na mokrą od soku deskę do krojenia, aż zatrzymał się na burce, którą matka zostawiła na krześle.

– Że masz siedzieć w czterech ścianach – podniósł zakurzoną tkaninę – w tym.

Po tej rozmowie przyjąłem tryb przetrwania. Przestrzegałem wszystkiego co do joty: bluzy z kapturem, tylne siedzenie samochodu, głowa pochylona nisko. Nigdy nie jechaliśmy tą samą trasą dwa razy z rzędu, nigdy nie wychodziłam na zewnątrz, zanim ktoś uprzednio nie sprawdził okolicy. Trenowałam w różnych godzinach, nigdy nikomu nie mówiąc, kiedy przyjdę ani kiedy zamierzam skończyć. Całe moje życie – jedzenie, sen, oddychanie – zmieniło się z powodu jednego listu zostawionego za wycieraczką samochodu ojca. Każdej nocy, padając ze zmęczenia, słyszałam w głowie listę talibskich nakazów i zakazów recytowaną przez ojca. Razem ze wszystkimi żyjącymi w strachu mieszkańcami Peszawaru zastanawiałam się, jaką wersję islamu wyznają talibowie, klękając do modlitwy pięć razy dziennie. W żadnym wypadku nie przypominała naszej pokojowej wiary. Kartka za wycieraczką była dopiero pierwszym krokiem w długiej kampanii. Żyłam w ciągłym niepokoju – życie bez życia, oddech zwierzęcia, szybki krok, oczy z tyłu głowy. Talibowie terroryzowali mnie w wyrachowany sposób – po malutku.

Kiedy odpowiedzialny za akademię squasha przedstawiciel wojskowych sił powietrznych wszedł na kort z dwiema puszkami fanty w dłoniach, odłożyłam raketę. Na zielonej bluzie błyszczała wojskowa odznaka, a pod nią rysowały się jego ramiona. Musiałam podnieść głowę, żeby na niego spojrzeć, a gdy to zrobiłam, ujrzałam, jak na szyi pulsują mu żyły. Na jego skroniach gromadziły się kropelki potu. W środku było gorąco, bo wysiadł system wentylacyjny. Jego policzek przecinała długa poszarpana blizna, a pod nosem miał rzadki wąs. Ludzie snuli domysły odnośnie do jego blizny, mówili, że przeżył

katastrofę lotniczą albo że został raniony w młodości, kiedy chłopcy wypuszczali się w góry walczyć z mudzahedinami. Wyglądał na człowieka, którzy przeżył coś potwornego, o czym nikomu nigdy nie mówił. Zastanawiałam się, po co przyszedł, ale pijąc orzeźwiający napój, domyśliłam się, że nie przynosi mi dobrych wieści.

– Ludzie gadają, Mario. Widzą, jak tu przychodzisz. Widzą twoją twarz.

Nie zaprzeczałam. Byłam blada ze strachu, a nie dlatego, że ukrywałam prawdę.

Powiedział mi o groźbach, które napływały do akademii, o telefonach. Pierwszy telefon był konkretny: „Pozbądźcie się jej”. Potem były już tylko głuche telefony, przynajmniej jeden dziennie. Inni zawodnicy donosili o dziwnych mężczyznach stojących pod budynkiem, obserwujących wejście, przyglądających się budynkowi, robiących notatki. Każdego ranka pracownicy znajdowali kartkę przyklejoną do drzwi. To tylko kwestia czasu. Zrozumiałam powagę sytuacji. To, co zaczęło się od pojedynczej groźby pod moim adresem, przerodziło się w liczne groźby pod adresem innych osób.

– Nie mogę tu już grać, prawda?

– Jesteś mistrzynią kraju. Jeśli ty przestaniesz grać, wszyscy przestaniemy. Wykonałem kilka telefonów.

*

Ojciec wpuścił do domu mężczyzn – czterech oficerów, żaden nie nosił munduru. Usiedli po turecku na matach, na kolanach położyli notesy. Zadawali pytania. Odpowiadałam rzeczowo, informując o dwóch mężczyznach, których minęłam, jadąc na rowerze, o dwóch innych spod budynku, ubranych jak zawodowi gracze. Gdy mówiłam, jeden z mężczyzn bacznie mi się przyglądał, jakby szukał czegoś w mojej twarzy. Drugi robił notatki dziwnym, porwanym pismem, które, jak później wytłumaczył mi ojciec, nazywa się stenografią. Dwaj pozostali stali przy drzwiach – jeden wewnątrz, drugi na zewnątrz. Co jakiś czas słyszeliśmy, jak ktoś przechodzi pod drzwiami, kaszląc krótko. Taimur powiedział mi potem, że na drodze stało ich więcej. Dowiedzieliśmy się, że groźby pod moim adresem dotarły do miejscowych władz, które debatowały, jak zapewnić mi bezpieczeństwo. Przeznaczono fundusze na całodobową ochronę. Wszystko było takie surrealistyczne.

Zaczęliśmy o świcie. Odsuwając roletę, ujrzałam na dole mężczyznę, jednego z wojskowych z poprzedniej nocy. Nie pomachaliśmy do siebie – była

to jedna z surowo zakazanych rzeczy. Powiedzieli mi, że przez większość czasu nawet nie będę zdawała sobie sprawy z ich obecności. Wojskowi, tak jak talibowie, działali pod przykryciem, wcielali się w sprzedawców, studentów, narkomanów, duchownych, zawodników squasha. Zjadłam na śniadanie dwa jajka i pobiegłam z powrotem na górę. Wyjrzałam przez okno. Mężczyzny nie było, ale gdy już miałam się odwrócić, ujrzałam innego, po drugiej stronie ulicy.

W samochodzie razem z Taimurem wypatrywaliśmy ich na zmianę. Siedziałam z tyłu, wyglądając mu przez ramię. Jeden jechał za nami zardzewiałym wozem, prawie identycznym jak nasz. Oczy zasłaniały mu ciemne okulary, na dłoniach miał rękawiczki. Gdy Taimur skręcił, on też skręcił. Gdy Taimur zawrócił, on też zawrócił. Innych nie było tak łatwo dostrzec. Na krawężniku przy końcu naszej ulicy siedział bezdomny, zwijając papierosy. Mój brat zwolnił i kazał mi się przyjrzeć jego czystym dłoniom, które natychmiast go zdradzały. Na ulicy pod akademią stał sprzedawca kebabów.

– Zauważyłaś, Mario, że wszystkie kebaby są spalone?

Zanim wysiadłam z samochodu, pociągnęłam długi łyk wody z butelki. Była chłodna i dobra. Od poprzedniego dnia wszystko się zmieniło – w samochodzie się śmialiśmy. W nocy spałam dobrze, śniąc o oceanie, falach w kształcie bumerangów i krytych strzechą domach na krystalicznie czystej plaży. Ci ludzie mnie chronili, byli w tym ekspertami. Przez jakiś czas myślałam, że jestem bezpieczna.

Na dachu akademii ujrzałam ubranych na czarno mężczyzn; siedzieli tam jak wielkie owady. Na rogach umocowane były karabiny, w świetle słońca błyskały szkła lornetek, kiedy obserwowali ścieżki, którymi szłam. Gdy wchodziłam, spojrzął na mnie mężczyzna myjący okna, z wiadrem przy boku i szmatami w dłoniach. Będzie tam aż do obiadu, a potem przyjdzie jego zmiennik.

Na kortach szło mi dobrze. Przez większość czasu tajniacy zostawali na zewnątrz, a po kilku tygodniach zaczęli się wtapiać w otoczenie. Zastanawiałam się, jak długo będą nade mną czuwać. Dowódca powiedział mi, że jeśli pogroźki ustaną, wtedy zwolnią ochronę. Ale jak dotąd tak się nie stało. Gdy już myślałam, że groźby się nie zmaterializują, zostałam brutalnie sprowadzona na ziemię – usłyszałam eksplozję samochodu na targu. Ciała zaścielały ulicę jak śmieci, coraz więcej ludzi ginęło bez śladu. Wielu znamienitych Pakistańczyków zostało porwanych albo zamordowanych.

Nie sądziłam, że ktoś się do mnie dobierze. Tego dnia od początku było coś nie tak. Przyduży dres zakrywał mnie całą. Musiałam go nosić, mimo że dosłownie się w nim gotowałam. Moje ciało zdawało się żyć własnym życiem, wciąż zmieniało wymiary. Szorty, które tydzień temu pasowały idealnie, nagle stawały się za ciasne. Stałam spocona na korcie, sama. Bolały mnie kolana, zwłaszcza lewe, które od pewnego czasu mi dokuczało. Wokół mnie rozbrzmiewały odgłosy zaciekłych meczów oraz śmiech dzieci. Akademia właśnie otworzyła zapisy dla zawodników poniżej 13 lat, niektórzy ledwie ukończyli pięć. Może to przez hałas dobiegający z innych kortów i ciągły gwar dzieci, ale nie mogłam się uspokoić. Znajdowałam się na krawędzi i wszystko było nie tak: nie wychodziły mi uderzenia i nie mogłam się skupić. Ciągłe pudłowałam.

Stałam na korcie, grzejąc piłkę w dłoniach. Myślałam. Rozbrzmiał gwizdek i wszystko ucichło. Stałam w punkcie T, gdy poczułam jakiś ruch za mną. Rozejrzałam się, ale za szybą nikogo nie było. Otrząsnęłam się, zaśmiałam z siebie i wróciłam do niespiesznego treningu. Po dziesięciu uderzeniach znowu to poczułam, tuż za mną: przemieszczające się cienie i lekkie załamane światła. Tym razem ujrzałam przemykającą za szybą postać. Odczekałam chwilę. Nie wydarzyło się nic niezwykłego, poza tym że dostałam gęziej skórki. To mógł być każdy. Zaledwie kilka minut wcześniej widziałam ochroniarza wcielającego się w czyściciela okien na korytarzu. Rozpoznałam w nim mężczyznę, który robił stenograficzne notatki. Ciągłe sobie powtarzałam, że jestem bezpieczna.

A mimo to nie potrafiłam opanować nerwów. Pod ubraniem moja skóra była gorąca, skierowałam się więc wolnym krokiem do łazienki. Połowa świetlówek zawsze była przepalona, przez co na bladożółte ściany padało słabe światło. Opłukałam kilkakrotnie twarz zimną wodą. Nagle usłyszałam kroki na korytarzu, coraz głośniejsze; im były bliżej, tym bardziej zwalniały, aż wreszcie się zatrzymały. W szparze pod drzwiami ujrzałam cień. Powiedziałam sobie, że to ochroniarz. Chwilę poczekał, może kilka sekund, i kroki zaczęły się oddalać. Światła przygasły. Podeszłam do drzwi, położyłam dłoń na klamce, wstrzymałam oddech i otworzyłam je. Korytarz był pusty.

Korty były wypełnione nowicjuszami. Pułkownik kazał im stanąć pod ścianą. Dzieci wydawały się bardzo małe, choć niektóre z nich były tego samego wzrostu co ja, kiedy zaczynałam. Ujrzawszy mnie, zamachał i wskazał palcem. Co prawda siły powietrzne już mnie nie sponsorowały, ale utrzymywaliśmy

dobre stosunki i często ze sobą graliśmy. Wszystkie dzieci spojrzały na mnie, a ich twarze pojaśniały w uśmiechach.

Natychmiast po powrocie na kort zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd. Trudno ufać instynktom, gdy się myśli, że ktoś chce cię zabić. Moją uwagę zwróciła pusta butelka po wodzie w miejscu, w którym ją zostawiłam, a potem dziwna torba w rogu. Pozostawianie bagażu bez nadzoru wewnątrz i na zewnątrz budynków było ściśle zabronione. Powstrzymując falę paniki, zaczęłam szukać wyjaśnienia, skąd wzięła się tam ta torba. W ustach mi zaschło, oddech przyspieszył. Nie podchodziłam do torby, tylko się w nią wpatrywałam. Zbyt długo. Zamarłam. Wyglądała jak moja, tyle że była zupełnie nowa, miała jeszcze metki. Była wypchana tak mocno, że suwak ledwo się dopinał. Miałam nadzieję, że nagle ktoś wpadnie, przepaszając, że o niej zapomniał. Z letargu wyrwał mnie krzyk dziecka z sąsiedniego kortu. Wybiegłam na korytarz, odwracając głowę, i zauważyłam Pułkownika, który trzymał w dłoniach bosą stopę płaczącego chłopca. Zwolniłam, nasze spojrzenia się spotkały, na widok mojej twarzy natychmiast wybiegł z kortu. Powiedziałam mu o torbie. Rozejrzeliśmy się – wokół samo szkło, szklane ściany jedna po drugiej. Po chwili wszyscy uciekali, a on biegł za mną, krzycząc.

W ciągu trzech minut wszyscy znaleźli się na zewnątrz – roztrzęsieni i milczący. Cały ośrodek sportowy został zamknięty i otoczony kordonem, snajperzy przyjęli pozycje na swoich stanowiskach. Szłam chodnikiem wraz z gęstym tłumem, zastanawiając się, jak dostanę się do domu i gdzie się podzieli moi ochroniarze. Wszędzie było wojsko, ponad głowami krążył helikopter. Wtedy po drugiej stronie ulicy zobaczyłam Taimura; stał przed samochodem, z torbą mąki w ręce, z przerażeniem patrząc na wzbierający chaos. Wiedziałałam, że mnie szuka, więc zaczęłam przeciskać się przez tłum. Poszedł na siłownię obok, żeby pobiegać na bieżni i podnosić ciężary, a potem był w sklepie po jedzenie. W tamtych czasach tylko on i ojciec chodzili na zakupy. Ludzie wokół nas spieszyli się w tym dziwnym, cichym ścisku, rozdzielając nas niczym wzburzona rzeka dwa kamienie.

Wśliznęłam się na tylne siedzenie, a Taimur podał mi torby.

– Co się stało?

Rzuciłam torby na podłogę i położyłam się na tylnym siedzeniu. Pot na policzku sprawił, że twarz przykleiła mi się do plastikowego obicia. Zamknęłam oczy. Pod zmrużonymi powiekami widziałam dzieci ustawione pod białą ścianą, jak chłopców pod kinem. Widziałam czarną torbę na

korcie – przypominała torbę na zwłoki niemowlaka. Następnie pomyślałam o rzeczy, która przerażała mnie jeszcze bardziej niż jej potencjalna zawartość – wszędzie było szkło. Silnik zakaszłał kilka razy, Taimur delikatnie docisnął pedał gazu. Zapytał mnie ponownie, tym razem lekko zdenerwowany:

– Co się dzieje? Co się stało?

Biorąc przykład z ojca, nie owijałam w bawełnę. Usiadłam na chwilę i spojrzałam mu w oczy przez lusterko wsteczne.

– Nie wiem. To chyba przeze mnie.

*

Strach wyssał ze wszystkiego życie. Przez jakiś czas codziennie padał deszcz, zmywając pył i sadzę po zburzonych budynkach. Peszawar stał się ponurym miastem, liczba ofiar ciągle rosła. Żyliśmy w koszmarze. Nadal otaczała mnie ludzka bariera wojskowych tajniaków, a talibowie wciąż im się przyglądali, szukając słabych punktów. Tobełek przekonał mnie, że z łatwością mogą taki znaleźć. Saperzy sprawdzili torbę z użyciem owczarków niemieckich wytresowanych do szukania ładunków wybuchowych. Specjaliści ubrani jak astronauta zabrali go w specjalnej skrzyni. Okazało się, że nie było tam bomby, tylko nowe, białe ręczniki – wypchano nimi torbę do granic możliwości. Sprytny wybieg, który spełnił swoją rolę. Wszyscy byliśmy przerażeni.

W naszym pokoju gościnnym ojciec objaśnił, jak działa i jak w kilku etapach zabija bomba. Mężczyźni siedzieli cicho, słuchając uważnie jak studenci, których widziałam w laboratorium. Na spalonych potem w piecu kartkach narysował podstawowe schematy, używając naukowego żargonu, z błyskiem w oku, choć temat był ponury. Stojąc tam, przeniosłam się myślami do jego sali wykładowej w Dera Ismail Chan, z otwartymi tylnymi drzwiami, wielkimi jak ekran w kinie, przez które widać było słoneczną panoramę wyschniętych gór. Widziałam, jak budował czterocylindrowy silnik ze śrub i nakrętek oraz kawałków metalu pokrytych grubą warstwą smaru. Otaczali go młodzi studenci, a mnie rozebrane na części samochody. Wszyscy patrzyli na ojca tak samo jak teraz ci mężczyźni – niczym zauroczeni.

– W zależności od punktu uderzenia bomba może zadziałać na różne sposoby. Fala uderzeniowa: cząstki powietrza pod wysokim ciśnieniem przemieszczają się od miejsca eksplozji z prędkością większą niż prędkość dźwięku, powodując strukturalne zniszczenia obiektów, które staną im na

drodze: ludzi i przedmiotów. Po nich nadchodzi seria ponaddźwiękowych fal naprężeń. Nie znamy sposobu, jak ochronić przed nimi człowieka. Niosą one więcej energii niż fale dźwiękowe i przechodzą przez ciało, rozrywając tkanki i organy. Następnie z dużą prędkością nadlatują szczątki materiałów umieszczonych w bombie: łożysk kulkowych, gwoździ, żyłek. Przy nich karabin maszynowy wygląda jak proca. Dalej są szczątki z budynków: szkło, cement, metal. Jest też oczywiście ogień, dym i intensywne gorąco, które zabija uwięzionych w gruzach. No i podmuch wiatru, który zasysa dym i szczątki w miejsce eksplozji.

Przysłuchiwałam się z boku, z rakieta do squasha przewieszoną przez ramię, i dokonywałam obliczeń. Fala uderzeniowa z białego samochodu pod kinem rozerwała chłopców na strzępy. Ci, których nie zabiła fala uderzeniowa, zginęli od fali naprężeń, co wyjaśnia nienaruszone z zewnątrz ciała na ziemi, jakby pograżone we śnie. Inni leżeli bezwładnie w przerażających pozycjach.

Gdy ojciec rysował obrazki przedstawiające dym, budynki i ludzi z kresek, zdałam sobie sprawę, że widziałam to na własne oczy. Przypomniałam to sobie, jakbym otworzyła pudełko z makabrycznymi fotografiami. Wróciłam pod kino, żeby sprawdzić to, czego mój mózg nie chciał przyjąć do wiadomości. To nie był wracający do mnie co noc koszmar. Naprawdę to zrobiłam – podjechałam rowerem do czarnej dziury, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stało kino, szukając choćby jednej osoby, która przeżyła. Ujrzałam ludzi okaleczonych przez pierwszą falę odłamków, z odartą skórą, wydłubanymi oczami, poszatkowanymi kończynami. W ruinach budynku słyszałam krzyki umierających, z ciałami, w które wbiły się jakieś szczątki – z włącznikiem światła w szyi albo klamką w brzuchu. Były tam ofiary pożaru, który odebrał im resztki powietrza. Gdy przejeżdżałam obok, płomienie wciąż szalały.

Gdy następnego dnia znalazłam się na korcie, rozejrzałam się – same szklane ściany, które w potencjalnej eksplozji rozbryznęłyby się we wszystkich kierunkach. Na korytarzu usłyszałam kolejną grupę zbierającą się na trening. Chichocząc, dzieciaki przybijały mi piątki i jedno za drugim podążały wzdłuż umytych okien do swoich kortów. Nagle wszystkie mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Mój ochroniarz ciężko pracował, pucując powierzchnię i rozglądając się za talibami, ale ja upadłam na kolana. Byłam jak tykająca bomba ukryta pod ciałem i kośćmi. Nikt nie był przy mnie bezpieczny. Musiałam stąd odejść i już nigdy nie wracać.

*

Liczyłam dni, które spędziłam w swoim pokoju – 39 – jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Czas przelatywał mi przez palce – sekundy, minuty, godziny. Czasami wychodziłam na ganek. Mężczyźni wciąż mnie pilnowali. Nigdy się nie pozdrawialiśmy. Teraz, gdy siedziałam w domu, było ich mniej.

Każdy ranek wyglądał tak samo. Robiłam śniadanie dla innych: mały kubek rozcieńczonego jogurtu, kawałki owoców, orzechy rozłożone na talerzach – jak u Hindusów w świątyni. Nie było tego wiele, tylko tyle, ile udało mi się znaleźć. Poza tym dużo chleba. Patrzyłam na chłopców – na ich włosy, zachowanie, na niedającą się usunąć z białej koszuli plamę – a gdy zjedli, myłam naczynia. Następnie sprzątałam cały dom. Wycierałam podłogi, wspominając czasy, gdy jako dziecko targałam wiadra z wodą ze strumienia wzdłuż uschniętych akacji prowadzących na pokryte bujną zielenią pola, których raczej już nigdy nie zobaczę, chyba że przez okno samolotu, ale tylko jeśli dopisze mi szczęście. Następnie szłam do mojego pokoju, spychałam materac pod ścianę, brałam rakietę i piłkę, wyprowadzając takie uderzenia, żebym mogła biegać po całym pokoju, który był trochę mniejszy od kortu. Mężczyźni na zewnątrz mnie słyszeli. Pierwszego dnia wpadli przez drzwi, wyłamując je z zawiasów, i wbiegli we cztery na górę z wyciągniętą bronią. Ujrzeni, co robię, pokiwali głową i wyszli. Potem już tylko stali, słuchając godzinami mojej gry, aż do wieczora. Czasami zastanawiałam się, czy po powrocie do domu mawiali swoim żonom i dzieciom: „Powinniście zobaczyć tę dziewczynę, jest szalona. Wali piłką o ścianę dziesięć godzin dziennie. Naprawdę. Liczyliśmy. Nie było nic innego do roboty”.

Sto dni, a ja wciąż w moim pokoju, zawieszona jak w próżni. Coraz częściej zawodziłam. Jedna kontuzja kolana albo ścięgna podkolanowego za drugą. Nie miałam opieki medycznej ani trenera. Nikogo. Tylko ścianę. W ramach buntu i żeby mieć pretekst, by ciągnąć to dalej, brałam udział w turniejach. Taimur wyszukiwał dla mnie informacje, zapamiętywał je i zawoził samochodem na przystanek autobusowy albo lotnisko. Swoją podróż aranżowałam w ostatniej chwili, nigdy nie kupowałam biletów wcześniej, często na rejestracji zjawiałam się niezapowiedziana. Gdy tylko pojawiłam się w gazecie, przychodziły kolejne pogróżki. Raz dwóch mężczyzn zatrzymało ojca na ulicy, trochę go poobijali i ucięli mu kawałek brody. W domu jak zwykle powiedział z ironią: „Drobne nieporozumienie”.

Po kilku tygodniach poczułam, że słabnę. Tyle razy upadałam na betonową

posadzkę w pokoju, że siniaki na moich kolanach stwardniały i nie chciały zejść. Rodzina nigdy nie próbowała mnie powstrzymać. Babrak w milczeniu patrzył, jak wspinam się po schodach, idąc do łóżka. Ojciec tylko wmasowywał w moje dłonie maść, rozcierał pęknięcia i odmawiał modlitwę.

Gdybym wróciła na akademię, talibowie wysadziliby ją w powietrze, nie miałam co do tego wątpliwości. Zostając w pokoju, ocalałam wiele istnień. Walczyli ze mną tak, jak z innymi. Najpierw mnie terroryzowali, potem zmuszali, żebym się ukrywała – w moim mieście, w moim domu, w moim umyśle. Wykańczali mnie. To nie byli chłopcy z ulicy, lecz żołnierze rozgniewanego boga. Po raz pierwszy w życiu nie potrafiłam wygrać.

Zaczęłam przegrywać turnieje – nie wszystkie na raz, tylko pojedyncze – z zawodniczkami, które niegdyś pokonywałam z łatwością. Wiedziałam, że przyszłość mi się wymyka. Pomimo godzin morderczych treningów w domu, mózg i ciało się poddawały. Działy się ze mną dziwne rzeczy. Kości mi sztywniały, a umysł tracił bystrość. Uderzając piłką o ścianę, słyszałam głosy. Czasami padałam na ziemię i zasypiałam, budząc się kilka godzin później w kałuży potu.

127 dni. Gdy ojciec mnie znalazł, kolana mi krwawiły. Zawołał brata. Słyszałam, jak biorą materac spod ściany. Otworzył okno i przyniósł chłodne szmaty, którymi umył mnie tak, jak kobiety na wsi myły chorych i martwych. Nie mogłam się ruszać. Razem z Taimurem podnieśli mnie i położyli na łóżku. Leżałam tam jak w grobie. Patrzyli na mnie z góry, rozmawiając po cichu. Chciałam wyciągnąć rękę, ale czułam, jakby ktoś przywiązał do niej coś ciężkiego. Po policzku popłynęła mi łza. Oczy mnie paliły. Rozplakałam się. Nie mogłam się powstrzymać, łkałam bez końca. Potem mi powiedzieli, że łkałam bezgłośnie całymi godzinami.

Nie wiedząc, jak mnie uspokoić, Taimur przyniósł kilka moich medali. Sangeen i Babrak przynieśli moje trofea. Za nimi przyszła matka i Ayesha, która miała ferie na uniwersytecie. Każde z nich w milczeniu przychodziło z moimi nagrodami, podczas gdy ja leżałam z owiniętymi zimnymi ręcznikami opuchniętymi stopami. Postawili je w rzędzie przy moim materacu, który leżał na środku pokoju niczym tratwa na morzu. Ostatni przyszedł Sangeen, trzymając w dłoniach małe, posklejane trofeum, które rozbił wiele lat wcześniej, kiedy dopiero zaczynałam grać. Moje pierwsze zwycięstwo. Wyciągnęłam dłoń, dotknęłam nagrody palcami i zasnęłam.

Obudziło mnie światło laptopa. Należał do Ayeshy i przez sen widziałam jej białe szaty przemykające po moim pokoju. Uklęknęła przede mną, zostawiła laptop, dotknęła mojej twarzy i wyszła. Pusta strona, migający kursor. Słyszałam głosy niosące się szeptem po domu, były niczym duchy. Spojrzałam na czekającą na mnie w rogu rakietę. Z rączki odklejała się warstwa ochronna, tak jak z mojego umysłu odklejały się myśli. Ostatnio miałam problemy, żeby je pozbierać, żeby wstać, ugotować coś, posprzątać, zasnąć. Po całej podłodze porozrzucone były piłki, jedne w lepszym, inne w gorszym stanie. Kilka z nich posklejałam. Nowe trzymałam w torbie wiszącej na klamce.

Klamka powoli się przekręciła i w drzwiach stanął ojciec. Przystrzygł brodę, naprawiając szkodę wyrządzoną przez napastników. Bosymi stopami przeszedł po podłodze. W korytarzu usłyszałam miękki głos i domyśliłam się, że czeka tam moja siostra. Po chwili upadł na kolana jak kolejna zjawia, a mnie dosięgły zapachy mydła i olejków. Był w stanie *wudu*. Piątek. Odwróciłam głowę do okna i ujrzałam zachodzące słońce. Spałam cały dzień. Spojrzałam na ojca. Wciąż tam był. Taimur zawołał matkę w innej części domu. On też był prawdziwy.

Ojciec delikatnie odkrył cienkie niebieskie prześcieradło i mnie obejrzał. Odwinął ręczniki z moich stóp. Odwrócił moje ręce i dotknął dłoni. Pocałował najpierw jedną, potem drugą.

– Ten pokój cię przytłacza, Mario.

– Muszę grać, Baba.

– Będziesz grała. Przysięgam. Ale nie tu. Nie w ten sposób. Nie w *purdah*.

– *Purdah* – wysapałam to słowo na głos, rozejrzałam się po czterech ścianach, które teraz wydały się bliższe. Zrozumiałam, co miał na myśli. Nie miałam lepiej niż biedna dziewczyna na plemiennych ziemiach.

Ayesha stanęła za nim. Miała w rękach kartkę, podała mi ją.

– Zrobiłam listę ponad 50 szkół z całego świata, w których trenuje się squasha. Pomogę ci z e-mailami. Spróbuj napisać do każdej z nich. Jesteś mistrzynią kraju. Ktoś ci pomoże.

Jeszcze raz spojrzałam na stojący za rzędem medali laptop z ekranem jaśniejącym niczym pusty ocean. Ojciec wstał.

– Będziesz grała daleko stąd i nikt ci nie będzie przeszkadzał.

Wyszedł z pokoju i skinął na moją siostrę. Ayesha wstała z podłogi i stukając kłapkami, podążyła za nim, zupełnie jakbym nie leżała wyczerpana na materacu w zapuszczonym pokoju w Peszawarze z tarczą strzelniczą wyrysowaną na moim sercu.

– Pomogę ci zacząć, a za kilka dni, gdy poczujesz się lepiej, będziesz mogła wysłać e-maile sama, aż ktoś ci odpowie.

– Okej. – Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

– Zastanawiam się, od czego powinniśmy zacząć.

Powoli przekręciłam się na bok, bolała mnie każda kość i każdy mięsień. Ujrzałam ślady piłki na ścianie, usłyszałam mężczyzn krzyczących na zewnątrz. Psy szczekały. Słońce schowało się za linię drzew, a ja nawet nie zapytałam, czy tego dnia wybuchła jakaś bomba. Nie musiałam pytać. Codziennie jakaś wybuchła.

Wzięłam głęboki wdech – nie wiedziałam, jak pisać listy. Nigdy w życiu żadnego nie wysłałam.

„Szanowni Państwo, nazywam się Maria Toorpakai...”

ROZDZIAŁ 19

GORĄCZKA ŁAMIĄCYCH KOŚCI

Szanowni Państwo,
nazywam się Maria Toorpakai Wazir. Pochodzę z prowincji Południowy Waziristan, leżącej na pakistańskich terenach plemiennych przy granicy z Afganistanem. Południowy Waziristan, jedna z najbardziej niespokojnych prowincji Pakistanu i siedziba talibów, jest także moim domem. Mój lud żyje na tych targanych wojną ziemiach bez żadnego promyka nadziei.

Dziewczęta w moim wieku wiodą nieszczęśliwe życie. Nie mogą korzystać z edukacji, opieki zdrowotnej ani z rozrywek. Trzymane są w czterech ścianach, mimo że pragną wyrwać się z tej epoki kamienia i zasymilować z resztą świata. Od kiedy władzę przejęli talibowie, sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej. Zabronili edukacji dziewcząt i wysadzają szkoły, zakłady fryzjerskie oraz centra muzyczne. Na pewno słyszeli Państwo o samobójczych zamachach bombowych w tych rejonach. Mój ojciec, pomimo sprzeciwu plemienia i gróźb talibów, widząc moje zdolności, nie tylko zezwolił mi na uprawianie squasha, ale też zachęcał do tego.

Dzisiaj jestem jedyną i pierwszą w historii pakistańską i pasztuńską dziewczyną, reprezentującą Pakistan w międzynarodowych turniejach squasha, osiągnąwszy 58. miejsce oraz 3. w światowym rankingu juniorów. Ciężko trenuję, żeby być najlepsza na świecie, ale pochodzę z bardzo konserwatywnych rejonów. Groźbami próbowano zmusić mnie do zaprzestania uprawiania sportu, co rzuciło się cieniem na moją karierę w ostatnich trzech latach, gdyż nie mogłam spokojnie trenować...

Czekam na Państwa odpowiedź.

Z poważaniem,
Maria Toorpakai Wazir,
profesjonalna zawodniczka squasha.

Przez ponad dwa lata wysłałam ten e-mail ponad 1000 razy do odległych uniwersytetów, koledżów, szkółek squasha i akademii. Trafił na skrzynki odbiorcze międzynarodowych mistrzów i trenerów w Europie, Australii i Ameryce Północnej, ale wszyscy go zignorowali. Rodzice uzbierali pieniądze na używany laptop, żebym całymi dniami i nocami mogła wysyłać e-maile i sprawdzać skrzynkę. Latem 2010 roku wyczerpały mi się miejsca i ludzie – a także mój upór. Groźby talibów wisiały nade mną niczym gilotyna, wciąż trenowałam w moim małym pokoju, waląc w tę samą brudną ścianę, która z białej stała się zupełnie czarna.

Postanowiłam już nigdy się nie poddawać i udało mi się utrzymać moją psychikę w ryzach. Cały trik polegał na niemyśleniu o moim życiu, tylko

kontynuowaniu wszystkiego dzień po dniu, godzina po godzinie. Wierna rodzina zbierała mnie z podłogi, opatrywała mi rany i nie zadając żadnych pytań, patrzyła, jak wracam do gry. Wielu osobom wiodło się znacznie gorzej, na przykład dziewczętom zamkniętym w zapuszczonych chatkach w górach, bez żadnej nadziei, całe mile od Peszawaru. Ambicja i nadzieja podtrzymywały mnie na duchu. Każdy wysłany e-mail był jak wiadomość wetknięta do butelki i wrzucona do oceanu. W przerwach w odbijaniu piłki wysyłałam listy z prośbą, mimo że moje szanse topniały. Zarówno w regionie, z którego pochodziłam, jak i poza Pakistanem nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

*

Taimur wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, i wpadł do mojego pokoju, ściskając w dłoni kartkę. W jego oczach malowała się radość, której nie potrafił powstrzymać. Oparłam się o ścianę, próbując złapać oddech i rozglądając się po pokoju. Za każdym razem, kiedy ktoś mi przerwał w trakcie treningu, czułam się, jakbym musiała wrócić po drabinie z zupełnie innego świata. Kiedy grałam, opuszczałam myślami ten pokój; byłam na turnieju British Open w Londynie, Malaysian Open w Kuala Lumpur, w Stanach Zjednoczonych, gdzie wygrywałam z najlepszymi zawodniczkami świata.

Wzięłam kartkę od Taimura i już od pierwszego zdania słowa uderzyły mnie z niezwykłą siłą. Jakimś cudem turniej o puchar Pakistanu postanowiono w 2010 roku zorganizować w Peszawarze, rzut beretem od naszego domu w Małej FATA. Organizowanie rozgrywek w momencie, gdy peryferia miasta opanowali talibowie, było aktem ogromnej odwagi – niektórzy twierdzili, że czystej głupoty. Talibowie uznawali sport za *haram* – zabroniony. Podeszłam do okna i wyjrzałam w kierunku stadionu. Nocą, gdy w okolicy nie było prądu, czasami wydawało mi się, że widzę dobiegające stamtąd światło. Zastanawiałam się, kto i w co tam grał.

Wiedziałam, że wezmę udział w turnieju. Utrzymanie się na szczycie rankingów zawodniczek do lat 17 i 19 było nie lada wyczynem. Ale żeby dostać się na turniej, musiałam zaryzykować życiem. Wierzyłam, że jeśli otrzymam odpowiednie warunki – prawdziwy kort i dobrego trenera – mogę zostać mistrzynią świata. Chciałam równych szans. Moja sponiewierana psychika i całe zdemoralizowane miasto potrzebowały tych rozgrywek. 21

dyscyplin i najlepsi lekkoatleci z całego kraju mieli stanąć do rywalizacji na oczach Pakistanu, rzucając promień jasnego światła na ponurą tyranię panującą wokół nas. Zamachowcy samobójcy wysadzali się już na boiskach do siatkówki i krykieta, wykrzykując swoje mordercze modlitwy. Ojciec mawiał, że wysadzą się nawet na boisku do gry w klasy, jeśli tylko napotkają jakieś na swojej drodze.

Ocknęłam się z marzeń i spojrzałam na uśmiechniętego brata. Najbardziej uwielbiałam w nim to, że moja radość była jego radością, przenikającą go od stóp do stóp. Nie musiał nic mówić. Skinęłam głową, dając mu do zrozumienia, że wezmę udział w turnieju. Podszedł, podniósł mnie, przerzucił przez ramię i zakręcił się ze mną po całym pokoju. Krzyczałam i śmiałam się.

– Dlaczego się tak cieszysz, Taimurze? Występowałam przecież już w innych turniejach.

Postawił mnie na ziemi i położył ręce na moich ramionach.

– Nie rozumiesz, co to znaczy? Wreszcie wszyscy będziemy mogli zobaczyć, jak grasz.

*

Sześć minut jazdy samochodem od naszego domu znajdował się jeden z największych obiektów sportowych w Pakistanie, stadion Qayyum, mogący pomieścić na trybunach 15 tysięcy osób. Z daleka słychać było gwar zbierającego się tłumu i bicie bębnów. Zmierzając w jego kierunku odciętą od ruchu arterią, ujrzeliśmy kolorowe światła – formowały ponad naszymi głowami zielonkawy łuk. Ponieważ nie mieliśmy radia, ojciec śpiewał na głos piosenkę Elvisa Presleya. Mogli mu zabrać jego cenne gadzety, ale nie zdołali mu odebrać doniosłego głosu. Na całe gardło śpiewał *Blue Suede Shoes*, gdy staliśmy w korku na Mall Road. Po drodze minęliśmy dziesięć policyjnych i wojskowych punktów kontrolnych, trzymaliśmy nasze identyfikatory pod ręką. Do pożyczonego od przyjaciela ojca samochodu wcisnęliśmy się w piątkę: matka, Ayesha i ja na tylnym siedzeniu, a mężczyźni z przodu. Moi ochroniarze jechali w nieoznakowanych autach z tyłu i z przodu. Teraz, gdy przebywałam w narzuconym sobie samej domowym areszcie, ochroniarze sprawdzali mnie tylko okazjonalnie lub kontaktowali się z nami, jeśli pojawiła się nowa groźba.

Wyglądając przez okno, czułam ciepło mojej rodziny – była dla mnie jak forteca. Ile lat minęło, od kiedy ostatnio podróżowaliśmy wszyscy razem

jednym samochodem? Tyle kilometrów Przełęczy Chajberskiej przejechaliśmy w poszukiwaniu wolności, stałej pracy, dobrych szkół – pokryci warstwą kurzu, z ojcem za kółkiem i resztą nas ściśniętą między pomarańczami i kurczakami. Peszawar obudził się w tę rozświetloną noc. Tłumy ludzi wylewały się z zatłoczonych mieszkań, zapuszczonych domów i zamkniętych sklepów prosto na ulice, tworząc wielki przyływ zuchwałej nadziei. Federacja squasha poprosiła mnie, żebym niosła narodową flagę w świetle reflektorów padającym na murawę. Samo przebywanie w tym miejscu było dla mnie tryumfem – po raz pierwszy od lat wyszłam na otwartą przestrzeń. Bez bluzy z kapturem. Bez pośpiechu. W drodze na stadion ani razu nie zmieniliśmy rejestracji, jak to często robiliśmy w ostatnich czasach. Pomimo wielu gróźb żaden zawodnik nie odrzucił zaproszenia.

Ale jeden został zawrócony pod samą bramą.

Gdy podjechaliśmy, mężczyzna w mundurze podszedł i wziął mnie na bok. Ubrana w drużynowy uniform, przedstawiłam moje legitymacje i zaproszenie, ale nawet nie spojrział na nie, tylko porozmawiał przez swój telefon i mnie obejrzał. Patrzyłam na wielką białą koronę stadionu, przez którą przelewały się światła i fanfary. Powietrze wokół mnie pulsowało. Nie mogłam uwierzyć, że prosto z sypialni dotarłam do tego miejsca. Był to wspaniały dzień – dla Pakistanu, dla Peszawaru, dla naszych zszarganych ideałów wolności... dla mnie.

Groźby napłynęły tego popołudnia serią niepokojących telefonów do organizatorów wydarzenia. Jeśli była jedna osoba, której talibowie nie chcieli widzieć podczas rozgrywek, byłam nią ja – pierwsza pasztuńska dziewczyna, która została profesjonalną zawodniczką i zajęła czołowe miejsce w krajowych rankingach. Tylko jedna rzecz odróżniała mnie od reszty – moja plemienna krew. Byłam przykładem dla dziewcząt trzymanyh w niewoli i dla tych, które wciąż próbowały wyrwać się z talibskich sieci. Pod żelaznymi wrotami, obserwując napływających zawodników z flagami i transparentami, dotarło do mnie tylko z grubsza to, co mi powiedziano. Dowiedziałam się, że nie wejdę do środka. „Ryzykujemy życiem zbyt wielu osób”. Byłam zdruzgotana, ale odeszłam.

Taimur powiedział później, że gdy wyświetlili moje zdjęcie na wielkim ekranie, ludzie wstali i zaczęli wiwatować, a jego przeszły dreszcze, jakby trafił go piorun. Matka otarła łzę, ojciec wznosił pięści, a ja nie widziałam żadnej z tych rzeczy. Siedziałam w moim pokoju, zaledwie 20 minut piechotą przez prostą jak strzała drogę – srebrny księżyc, ani jednej gwiazdy, wszystkie

okna zasłonięte okiennicami. Przynajmniej raz nie bałam się, że w drodze do domu zostanę porwana albo postrzelona. Talibowie byli zajęci próbą przemycenia na stadion bomby albo broni lub knuciem przyszłych aktów zemsty.

Sęk w tym, że tak długo, jak grałam, byłam na ich celowniku. Dopóki mieszkalam w Pakistanie, mogli mnie dopaść. Mogli wrzucić mnie do samochodu, zabrać w góry, zrobić mi krzywdę – jak to się określało. Wiadomo, jak znęcali się nad dziewczętami, zanim je zabili. Robili to lekarkom, pisarkom, artystkom i muzyczkom – zabierali kobiety z ulicy, by już nikt ich więcej nie ujrzał. W pokoju gościnnym, przy aromacie czarnej herbaty, nasłuchiwałam się opowieści, jak traktowali dziewczyny, które zgrzeszyły. Gdy usłyszałam pierwszą taką opowieść, potajemnie dowiedziałam się, skąd wziąć kapsułki z cyjankiem, które mogłam ze sobą zabierać, udając się na zawody. Kilkakrotnie prosiłam ojca o pistolet. Nie mieszkaliśmy już w dzikim Darra Adam Khel. Makarow mógł się przydać do przestreliwania puszek po fance albo do przepędzenia pojedynczego intruza. Ale w czasie nieokiełznanego dżihadu nie miałam szans z grupą dobrze wyszkolonych talibów, wysłanych, żeby mnie porwać i zabić. Odmówił, wiedząc, że mogłabym zostać brutalnie zmuszona do skierowania go we własną stronę.

Ulica pogrążona była w ciemności. Nie było prądu, nie licząc tego na stadionie. Idąc pustą drogą, robiłam dokładnie to, czego chcieli ode mnie talibowie – rozplýwałam się w mroku.

*

Jakiś czas później Taimur znalazł korty na świeżym powietrzu. Nie wiem, czy zobaczył je, kiedy jechał samochodem, czy rowerem. Nie miało to znaczenia. Dwa korty, porzucone niczym antyczne ruiny, stały obok siebie w środku opuszczonego parku. Jeśli zachowało się ciszę, można było usłyszeć ptaki śpiące w trzcinach przy pobliskim stawie. Taimur zabrał mnie tam pod osłoną nocy, głowę zasłaniał mi kaptur. Miałam zamknięte oczy, a on prowadził mnie, trzymając mi rękę na ramieniu.

– Otwórz oczy, Mario.

Latarką oświetlił teren, ćmy i owady tańczyły niczym płatki śniegu. Wydałam stłumiony okrzyk radości i pobiegłam szybko, szybciej nie biegłam od lat. Ujrzałam mury wznoszące się ku rozgwieżdżonemu niebu. Trawa sięgała kolan; możliwe, że kortom, podobnie jak mnie, została narzucona

pardah i czekały na lepsze czasy. Dotknęłam ziemi – zachowała odpowiednią gładkość. Taimur wyciągnął rakiety i zaczął uderzać. Wstałam. Tańczyliśmy razem na korcie, wymieniając między sobą uderzenia – to była czysta radość. W trakcie meczu odwróciłam się do niego i wydyszałam:

– Taimur, już nigdy cię nie uderzę.

Gdy tylko zapadał zmrok, szliśmy tam, przechodząc przez wilgotną dziką trawę, która łaskotała mnie po łydkach, i słuchaliśmy cichych dźwięków żyjących przy ziemi insektów. Smakowaliśmy wspólnie zakazanego owocu. Kilka razy w tygodniu Taimur dawał mi swój czas w prezencie, nie oczekując niczego w zamian, poza tym że będę grała dobrze. I wygrywała.

Jakimś cudem wygrywałam – byłam trzecia wśród junierek i coraz lepsza na turniejach w Azji Południowej – często o włos, na złość przeciwnikom depczącym mi po piętach. Za każdym razem, gdy miejscowe gazety napisały coś o mnie, dostawaliśmy pogrożki od talibów. Ostrzeżenia często kierowano pod adresem ojca, który wciąż prześlizgiwał się do plemiennych terenów, by wykładać – był niczym Robin Hood nauki. Wciąż żyły tam młode umysły i jakoś udawało mu się je odnaleźć. Kiedy talibowie opanowywali jeden region, brał swoje książki i z głową pełną pomysłów udawał się do następnego, tak jak matka, która zmieniała szkoły. Myślę, że w głębi serca podobało mu się to, że naucza na przekór okolicznościom. Mnie podobało się, że z nimi wygrywam.

Każdy wyjazd na zawody wiązał się z szalonymi przygotowaniem: wypożyczaliśmy samochody, zmienialiśmy tablice rejestracyjne, chowałam się na tylnym siedzeniu w bluzie z kapturem. Zaczęłam wykorzystywać komputer do czegoś więcej niż wysyłanie e-maili. Gromadziłam informacje i śledziłam wiadomości. Ojciec zawsze powtarzał: „Poznaj swego wroga”. W 2010 roku talibowie płynęli na fali sukcesu, przejmując kolejne regiony FATA: Północny Waziristan, Południowy Waziristan, Kurram, Orakzai, Bajaur, Mohmand i Chajber. Gdy te regiony znalazły się już pod mrocznym panowaniem talibów, zajęli się dystryktami Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej, nad którymi rząd utracił kontrolę: Tank, Dera Ismail Chan, Lakki Marwat, Bannu, Hangu, Karak, Swat. Na opanowanych przez siebie terytoriach talibowie narzucali własną, barbarzyńską wersję islamu oraz swoje sądy. Wokół Peszawaru zaciskała się pętla. O swoim wrogu dowiedziałam się przede wszystkim, że jest niezłomny. Nietrudno się było tego domyślić – dzieliłam z nim krew wojowników.

Siedziałam nocą przy komputerze, oświetlona blaskiem ekranu, gdy moje

oko przyciągnęło trzywierszowe ogłoszenie. Moja skrzynka odbiorcza była pusta, a moja wiara rozbita w drzazgi. Od jakiegoś czasu nie wysyłałam już listów. Czasami siadałam, patrząc w noc i wyobrażając sobie osobę, która pewnego dnia mogłaby mi odpisać, żyjącą w odległym, wolnym kraju. Wiadomość była prosta i odległa zarazem, jak diament błyszczący na dnie głębokiej studni: „Akademia szuka trenera squasha na pełny etat”. Kilka razy odczytałam nazwę akademii oraz nazwisko trenera, który ją prowadził. Znałam już jego twarz, próbowałam kopiować jego magiczne sztuczki i marzyłam, żeby choć raz dokonać tego, co on. Zawahałam się przez moment z palcami zawieszonymi nad klawiaturą i zaczęłam pisać:

Do: Jonathon Power
Od: Maria Toorpakai
Temat: Chcę być trenerką squasha

Każdy, kto interesował się squashem, w Pakistanie lub gdziekolwiek indziej, znał to nazwisko i historię tej postaci z kasztanowymi włosami. Jonathon Power, dwukrotny mistrz świata, szukał trenera do swojej nowej akademii w Toronto, w Kanadzie. Po drugiej stronie Atlantyku, na drugim końcu świata. Kliknęłam WYŚLIJ i wyłączyłam komputer. Wzięłam raketę.

*

W bezksiężycową i ciepłą noc Taimur oświetlił latarką murawę kortu porośniętego trawą tak wysoką, że wyglądaliśmy, jakbyśmy po kolana brodzili w wodzie. Czasami ledwie widzieliśmy przedzierającą się przez mrok w naszym kierunku piłkę. Rozmawialiśmy o mojej drodze po tytuł mistrza świata. Pielęgnowałam tę myśl w głowie niczym skarb i odłożyłam na później – aż będę wolna.

Opadła mgła, wokół bzyczały owady. Słyszałam podczas gry ich pulsujące odgłosy. Po długim meczu położyliśmy się na korcie na plecach, patrząc w niebo i rozmawiając szeptem, tak jak robiliśmy to w dzieciństwie. Gdy przeżywałam kryzys, co zdarzało się często, Taimur wcielał się w rolę trenera, robiąc wszystko, żebym tylko się nie poddała. Przynajmniej raz w tygodniu zabierał mnie na wspólną grę.

– Musisz pojechać na obóz treningowy do Malezji. Musisz się stąd wydostać. Ayesha sprawdziła twoje papiery. Brałaś udział w turnieju w Kuala

Lumpur i twoja wiza wciąż jest ważna. Jeśli wyjedziesz teraz, przedłużą ją o cały miesiąc.

– Nie ma szans.

– Znajdziemy pieniądze na wyjazd.

– Gdzie znajdziecie? Potrzebuję na bilet lotniczy, jedzenie, pokój. To niemożliwe.

– To już nasze zmartwienie.

W drodze powrotnej samochodem, gdy miasto jeszcze spało, opuściłam tylną szybę i podobnie jak robił to ojciec, gdy stał w korku, położyłam rękę na ramie. Zimny wiatr studził pot na moim ramieniu. Uliczne latarnie były pogaszone. Czułam, jak gorąco paruje z mego ciała. Taimur spojrzął na mnie, ale nic nie powiedział. Postąpiłam brawurowo, ale nie przejmowałam się tym, nie przejmowałam się rzeczywistością. Chłodny powiew niósł zapach deszczu, w oddali ujrzałam rozświetlającą niebo letnią błyskawicę. W ciągu dnia mętne chmury nabrały odcienia głębokiej szarości. Powiedziałam Taimurowi, że jeśli rozpęta się porządna burza, nie będzie zamachu bombowego. Z dłońmi mocno zaciśniętymi na kierownicy tylko skinął głową. Wyrzesałam ponownie i zobaczyłam komara na moim ramieniu. Obserwowałam go przez chwilę, jak pije – jego małą mackę wbijającą się w moją skórę. Wreszcie go pacnęłam. Gdy odsunęłam dłoń, moje ramię było pokryte krwią.

Jakiś czas później Taimur wsiał z mną do autobusu jadącego do Islamabadu. W kieszeni za paskiem miałam wypełnioną rupiami kopertę z napisem „Kuala Lumpur”. Starczyło akurat na podróż w obie strony. Wracając pewnego razu z naszej tajnej schadzki na korcie, znalazłam na moim materacu pieniądze owinięte w papier z przyklepioną uśmiechniętą buźką. Rodzice zbierali tygodniami, żeby zdążyć na czas. Nie mogłam odmówić. Bilet kupiłam w ostatniej chwili. Ojciec znalazł mi pokój u hinduskiej rodziny, która mieszkała naprzeciwko obiektu sportowego. W autobusie zasnęłam z głową opartą o szybę, podczas gdy Taimur mnie pilnował. Owinęłam się w bluzę jak w kokon, z kapturem naciągniętym na oczy, czułam własny oddech na zmęczonej skórze. Byłam obolała. Zdawało mi się, że mam poobijany każdy centymetr ciała. Jechaliśmy powoli i gdy tylko się przebudziłam, napiłam się wody z butelki. Następnie zaczęłam się rozglądać, widząc przed nami czubki sennych głów, deszcz uderzający o szyby i wycieraczki wędrujące powoli w jedną i drugą stronę po przedniej szybie. Taimur kilkakrotnie pytał, czy dobrze się czuję. Powiedziałam mu, że potrzebny mi sen i że wyśpię się w samolocie.

Za gotówkę kupiliśmy bilet na najbliższy lot, w razie gdyby nas obserwowano. Talibowie mieli swoich szpiegów na lotniskach. Po kilku godzinach wiedzieliby, którym samolotem lecę, znalazłby nawet numer mojego miejsca – ale nie wiedzieliby, kiedy wracam. Taimur odliczył pieniądze, rzucając je na ladę niczym karty, a ja zdałam sobie sprawę, że od miesiąca ojciec nie przyniósł z targu mięsa. Był trzeci dzień święta Id al-Fitr, gdy muzułmanie na całym świecie przerywają miesięczny post ramadanu. Moim świętym obowiązkiem było okazywać radość, dziękczynić lub choćby się uśmiechać, ale nie potrafiłam tego z siebie wykrzesać. Przez ostatnie tygodnie zapadałam się w spiralę depresji. Pierwszego dnia święta wróciłam z modlitwy ponura i nie potrafiłam wmusić w siebie aromatycznego świątecznego jedzenia. Każdy kęs w moich popękanych ustach miał gorzki smak. Tej nocy rodzina namówiła Taimura, żeby przekonał mnie do wyjazdu na obóz. Uważali, że jeśli talibowie mnie nie zabiją, to zabije mnie *purdah*.

Kuala Lumpur, stolica Malezji, to klejnot w koronie Azji Południowej. Jeszcze przed wyruszeniem w drogę czułam powab tego majestatycznego miasta, które wielokrotnie odwiedzałam z drużyną. Gdy wróciłam stamtąd po raz pierwszy i Ayesha zapytała: „Jak było?”, odpowiedziałam: „Cudownie, jak na innej planecie”.

Gdy rozstawaliśmy się z Taimurem przy bramce, długo mnie ścisnął, szepcząc do ucha rzeczy, których teraz nie pamiętam. Powiedział, że jest za gorąco, i ściągnął mi kaptur, przekonując, że nie mogę chodzić tak ubrana po lotnisku. Następnie wręczył mi laptop, torbę z rakietą i zaprowadził do kolejki. Stał z tyłu. Brat nigdy nie leciał samolotem – nigdy nie był za granicą – i widziałam zaciekawienie na jego twarzy, gdy układałam torby na taśmociągu do prześwietlenia, zdejmowałam buty i przekazywałam komputer. Przez głośnik zapowiedziano mój lot, więc ściągnęłam moje rzeczy z taśmociągu. Zaszło mi w gardle. W butelce nic już nie miałam, a kręciło mi się w głowie z pragnienia, zapytałam więc mężczyzny, gdzie mogę napić się wody. Jak w transie patrzyłam na jego usta formujące słowa. Byłam tak zmęczona, że nie mogłam mówić. Wskazał w głąb korytarza, zwróciłam się więc w tym kierunku. Spojrzałam w stronę Taimura i podniosłam rękę, zamachał mi, zrobił krok naprzód i się zatrzymał. Zanim ruszyłam z moimi rzeczami do odprawy, jego uśmiech zniknął, a on zmarszczył brwi. Zatrzymałam się, żeby napić się cierpkiej wody z kranu – smakowała jak w wielu rejonach Peszawaru. Pomyślałam, że mogę się od niej rozchorować.

Zgrzyt podwozia, podmuch wiatru, chmury rozcinane skrzydłami; obudziłam

się z długiego, chłodnego snu. Pomiędzy strzelistymi cumulusami dostrzegłam dwie rzeki, które wiele lat temu ojciec pokazywał mi w atlasie: Klang i Gombak. Zbiegały się w błotnistej wodzie, od której miasto wzięło swoją nazwę – Kuala Lumpur oznacza błotniste miejsce zbiegu rzek. Stolica Malezji ze swoimi wysokimi budynkami wygląda jak wyjęte z dziecięcego obrazka przedstawiającego miasto przyszłości. W oddali widać góry Titiwangsa. Oddychałam powoli, moje serce ledwie biło z wyczerpania. Pomyślałam, że poczuje się lepiej, kiedy wylądujemy.

Kręte autostrady wiły się przez miasto jak asfaltowe wstążki wiodące do ogromnego pudełka z biżuterią. Padał lekki deszcz, ale świeciło też słońce, przez co ulice połyskiwały. Setki wysokich budynków o szklanych ścianach wyłaniały się ponad cienką warstwę mgły. Pamiętam, jak kiedyś mówiłam Babrakowi: „Nazywają je drapaczami chmur, bo rzeczywiście drapią chmury”. W Kuala Lumpur była to prawda. Ale nie zwracałam uwagi na żaden z nich. Ból głowy za oczami przyprawiał mnie o dreszcze. Kiedy mrugałam, miałam wrażenie, że mam powieki z papieru ściernego. Co jakiś czas moje kończyny ogarniał dziwny ból i kłucie. Piłam wodę z butelki. Kierowca patrzył na mnie przez wsteczne lusterko. Pamiętam jego turban – biały, ciasno owinięty wokół głowy. Ojciec mówił, że nigdy nie zdejmują ich w miejscach publicznych, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć dlaczego. W taksówce cicho grała hinduska muzyka, a on zadawał mi pytania. Wiem, że na nie odpowiadałam, ale nie pamiętam jak.

Budynek wyłonił się z zanieczyszczonej mgły i kiedy do niego wchodziłam, spojrzałam w górę poprzez ten żółty woal; musiałam złapać się drzwi, żeby nie upaść, bo zakręciło mi się w głowie. Lobby, gdzie spotkałam mężczyznę, u którego wynajmowałam pokój, przesiąknięte było tytoniowym dymem. W windzie dał mi klucze. Wewnątrz apartamentu pokazał mi pokój z białym piankowym materacem i śpiworem na podłodze. Ledwo przypominam sobie jego twarz. Powiedziałam mu, że lot mnie zmęczył, więc zostawił mnie samą.

Tapeta w dziwne wzory zdawała się kołysać. W łazience, obok umywalki, znalazłam szklanę i napiłam się z niej wody. Pokonując dziwny ból w kościach, wszystko robiłam powolnymi, metodycznymi ruchami, myśląc jedynie o cienkim materacu, który czekał na mnie w pokoju niczym tratwa ratunkowa. Otworzyłam laptop – obiecałam, że wyślę e-mail, kiedy dotrę na miejsce. Ayesha przekaże wiadomość – używałyśmy tego samego adresu. Zmusiłam palce do stukania w klawisze. Skrzynka odbiorcza zaświeciła się na niebiesko, a ja wpatrywałam się w nią, nie potrafiąc odczytać rozplywających

się liter. Wpisałam tylko jedno słowo – „Jestem” – kliknęłam WYŚLIJ i poszłam spać.

Obudziłam się 12 godzin później i sięgnęłam po laptop. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć komuś, że jestem chora. Taimur mógł się już domyślić. Mimo że moim ciałem wstrząsały dreszcze, myślałam, że to z nerwów i zmęczenia. Podczas treningów często przesadzałam. Długo wgapiłam się w ekran, próbując na przekór rosnącej gorączce odczytać podświetlone na niebiesko słowa w mojej skrzynce odbiorczej – „Jonathon Power”. Przez kilka minut nic one dla mnie nie znaczyły. Nagle ich znaczenie urosło w mojej głowie niczym wielki balon. Musiałam przeczytać wiadomość ze dwa albo trzy razy, zanim w nią uwierzyłam. A i tak myślałam, że zaraz się obudzę. Jakimś cudem udało mi się napisać odpowiedź, o której zapomniałam później z powodu bólu.

Jakiś czas potem powlekłam się do drzwi i zjechałam windą. Czułam się, jakbym topiła się w małym zbiorniku. Zataczając się w windzie, podciągnęłam sponiewieraną koszulkę i ujrzałam las czerwonych płamek pokrywających każdy milimetr mojej skóry. Oczy i głowa pulsowały mi w czaszce, aż trudno było mi się skupić. Dokąd jechałam? Nie wiedziałam. Drzwi windy się otworzyły i ujrzałam lobby pełne ludzi i palm w doniczkach. Szłam przez nie jak po piasku. Mijały mnie osoby w zwiewnych jasnych ubraniach, co przywodziło mi na myśl tropikalne ptaki albo promienie zachodzącego słońca, które widziałam, będąc w tym mieście poprzednim razem.

Przejsie na drugą stronę ulicy w wilgotnym upale było jak brodzenie przez rzekę. Upadłam dwa razy. Płakałam, ale bezgłośnie – czułam, jakby wszystkie moje kości rozpadały się na kawałki niczym skorupki jajek. W krótkich chwilach między upadkami miejskie powietrze owiewało mi rozpaloną skórę. Zastanawiałam się, co jest ze mną nie tak. Ludzie mijali mnie, gdy tak leżałam, widziałam ich stopy. Niektórzy się zatrzymywali, rzucali na mnie okiem i odchodzili. Znajdowałam się zaledwie 30 metrów od centrum sportowego, ale dla mnie było to jak 1000 mil. W końcu podeszło do mnie kilku ludzi i zaprowadziło w cień drzewa. Oparłam plecy o twardą korę, wyprostowałam nogi i skrzywiłam się z bólu. Kilku zawodników squasha naradziło się i zaprowadziło mnie do lekarza. Pamiętam, jak mamrotałam, że musiałam doznać kontuzji, grając w sypialni.

W przychodni pielęgniarka pobrała mi krew do fiolki. Patrzyłam, jak szybko się napełnia, a ciemny kolor przypomniiał mi purpurowe owoce dżambu z naszego domu. Zapytałam ją, czy to prawda, że krew w żyłach jest błękitna.

Nie kojarzę, czy mi odpowiedziała. Pamiętam jedynie spokojną twarz doktora, który wyjaśnił mi, czym są płytki krwi, jak ważne są dla życia i jak mało ich miałam. Nie pierwszy raz usłyszałam słowo „denga” i dobrze wiedziałam, co ono oznacza. W miesiącu ramadan, który właśnie minął, przez Pakistan przetoczyła się katastrofalna powódź, porywając całe wsie wraz z ich mieszkańcami. W jej następstwie rozwinęły się śmiertelne choroby, zrodzone w stojącej, zanieczyszczonej wodzie i rozprzestrzeniane przez owady. O zachodzie słońca insekty nadlatywały takimi gromadami, że powietrze zdawało się wibrować, a ludzie mieszkający przy brzegach rzek zostawali w domach. To nie kontuzja przyprawiała mnie o bóle kończyn, tylko owad *Aedes* z rodziny komarowatych, który zainfekował mnie śmiertelnie groźnym wirusem. Miałam nogi i ręce pokryte ukąszeniami insektów, prawdopodobnie po tych nocnych meczach z Taimurem w opuszczonym parku. Gdy lekarz stawiał mi diagnozę, przypominałam sobie tę ostatnią podróż samochodem do domu, z opuszczonym oknem, gdy obserwowałam komara ssącego moją krew.

Denga nazywana była także gorączką łamiących kości, doskonale rozumiałam dlaczego. Gdy się poruszałam, miałam wrażenie, jakby moje kości roztrzaskiwały się niczym patyki. Pozwolono mi zadzwonić do naszych sąsiadów, którzy natychmiast pobiegli po moją matkę. Gdy przez słuchawkę wypowiedziałam nazwę choroby, wydała wysoki okrzyk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Potem powiedziano mi, że upadła na podłogę, po czym skuliła się, trzymając telefon. Przez kilka minut mówiła chaotycznie, a w jej głosie pobrzmiwało przerażenie. Kilkakrotnie zapewniła mnie, że do wieczora znajdą pomoc, i odłożyła słuchawkę. Potrzeba było trzech mężczyzn, którzy postawili ją na nogi, by mogła odszukać Shamsa.

Odesłano mnie do pokoju z buteleczką pigułek i poleceniem, bym odpoczywała i piła dużo płynów. Matka tymczasem wraz z sąsiadami i braćmi biegała po ulicach w poszukiwaniu ojca. Lekarz miał nadzieję, że moja młodsza siła pokona patogen w krwi, ale matka wiedziała lepiej. Znalazła ojca wracającego z torbą pełną owoców, które zdobył, wymieniając się nie wiadomo czym. Czasami wychodził z domu z uśmiechem i pustym żołądkiem, a wracał z prawdziwymi smakołykami – pudłem słodkich jak miód daktyli, tureckimi słodyczami, dojrzałymi granatami lub garścią dżambu. Gdy ujrzał matkę biegnącą w jego kierunku, upuścił torbę, a pomarańcze, mango, śliwki i cytryny potoczyły się do rynsztoku. Ale księgę trzymał mocno.

Jeden z naszych sąsiadów w Małej FATA znał szyckiego doktora z Parachinar w prowincji Kurram, który teraz mieszkał z żoną w Kuala

Lumpur. Gdy usłyszał, że w mieście jest chora pasztuńska dziewczyna, odwiedził mnie. Dr Saadat i jego żona, Umehani, dwa ciemnowłose anioły, zaprowadzili mnie do swojego domu i pomogli wejść do czystego łóżka. Byli już po czterdziestce, ale nie mieli dzieci, więc traktowali mnie jak własne. Nie miało dla nich znaczenia, że byłam sunnitką i że nasi ludzie często stawali w opozycji do nich – byliśmy muzułmanami, co czyniło nas jedną rodziną. Chora, daleko od domu, myślałam o nich jak o rodzicach. Przez kolejne cztery czy pięć dni opiekowali się mną na zmianę, podając lekarstwa, karmiąc i przypominając, żebym jadła i piła powoli. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że wyzdrowieję, ale mimo że mój organizm walczył dzielnie, wirus szybko plądrował mi ciało komórka po komórce.

Obudziłam się przed świtem, z koszulą pokrytą wymiocinami. Łyk wody zdawał się ciąć moje gardło niczym ząbkowany nóż. Usta miałam pokryte przyschniętą warstwą śliny i krwi – było jej tak dużo, że zastanawiałam się, czy straciłam wszystkie zęby. Odkryłam się i leżałam tak, patrząc w sufit, na którym obracały się ramiona wiatraka. Powietrze powinno być delikatne, ale biło w moją rozgrzaną skórę. Widziałam siebie jakby z góry: przekrwione oczy, wysypka na szyi i twarzy, która wyglądała, jakby mnie spoliczkowano. Czułam, że puls mi zwalnia, aż stał się ledwie wyczuwalny. Następnie ogarnęła mnie odrętwiająca nieważkość, jakby ręce szamana odebrały mi wszelkie zmysły, zatrzasnąjąc przede mną drzwi do realnego świata.

Umehani znalazła mnie i wezwała pogotowie. Obudziłam się, zawodząc w karetce. W moim ciele tańczyły żyletki, tnąc mi wnętrzności na kawałeczki. W tej oślepiającej mgłę agonii ujrzałam w nogach ojca z kartką, na której narysował schemat eksplodującej bomby i człowieka z kreską – „fale naprężeń przechodzą przez ciało, rozrywając tkanki i organy”. Ratownik medyczny próbował nałożyć mi na twarz maskę z tlenem i wykrzykiwał moje imię, ale słyszałam go jakby z głębokiej jaskini. Złapałam jego rękę i ścisnęłam, syrena karetki wyła, zbliżył twarz do moich ust. Wyrzuciłam z siebie tylko dwa słowa:

– Talibowie. Bomba.

Potem nie było już nic. Tylko ludzie kręcący się wokół mnie niczym duchy. Z ciemności wyławiałam poszczególne głosy, przypominały błyski światła: „krwawienie żołądkowo-jelitowe, nagromadzenie płynów w jamie brzusznej, ciśnienie krwi spada, wstrząs”. Obudziłam się owinięta w białe prześcieradła. Śniłam o Amerykanach i ich kolorowych cukierkach, które wyciągali z białej torby. Otworzyłam oczy, dotarła do mnie lekka woń cukru, usłyszałam śmiech,

wyciągnęłam dłoń i poczułam, jak ktoś kładzie na niej żółtego żelka, jaskrawego niczym małe słońce. Podniosłam ramię, żeby przetrzeć twarz, ale pociągnęły mnie gumowe rurki, do których byłam podłączona. Ból w przedramieniu zmusił mnie do otwarcia oczu. Tylko jego moc mówiła mi, że wciąż tu jestem, że wciąż jestem gdziekolwiek. W nogach łóżka stał jakiś mężczyzna, trzymając coś w rękach i rozmawiając po cichu z osobą siedzącą w rogu pokoju. Próbowałam się odkryć i usiąść, ale prześcieradło było ciężkie jak z ołowiu.

Mężczyzna podszedł do mnie, wypowiedział moje imię i dotknął mojego czoła. Przystawił mi do piersi zimny dysk i trzymał go tam przez chwilę. Próbowałam coś powiedzieć, ale słowa nie chciały wyjść mi z gardła, jakby zostały tam zamknięte, i musiałam na siłę wyciągać stamtąd każde z osobna.

– Talibowie. Mają bombę, która zabija tylko nieczyste kobiety.

– Rozluźnij się. Odpręż.

Tak też zrobiłam. Zamknęłam oczy i znowu odpłynęłam.

*

Umehani siedziała przy oknie, oświetlona blaskiem wczesnego poranka. Próbowałam skupić na niej wzrok, ale sylwetka się rozmazała i chwilę później wyłoniła się przy mnie, dotykając mojej twarzy. Dr Saadat też tam był, słyszałam ich stłumiony szept. Wiedzieli coś, czego nie wiedziałam ja – co się ze mną dzieje, czy przeżyję, czy umrę. Lekarze powiedzieli, że mam 50 procent szans i zadzwonili do mojej rodziny w Małej FATA. Pamiętam zimną słuchawkę przy uchu i głosy z domu, bliskich słuchających z dziwnym spokojem, gdy mówiłam, żeby się nie martwili, jakbym wybierała się w długą podróż. Potem czas przestał biec, a mój mózg zapadł się w jakiś pierwotny stan, w którym hibernowałam niczym uspione zwierzę. Sen. Tylko tego pragnęłam. Choćby i na wieczność. Ostatni raz sprawdziłam, czy w pokoju jest Umehani, ale krzesło stało puste. Spojrzałam w drugą stronę. Z rogu pod sufitem, niczym pająk ze swojej sieci, obserwował mnie jakiś mężczyzna. Łypiąc oczami spod ciasnych zwałów aksamitnego turbanu, podniósł do ust tłącego się skręta. Zapach dymu był gryzący, ciepły i jadowity – z przerażeniem rozpoznałam go i znowu odpłynęłam.

Balansowałam na cienkiej linii życia i śmierci, moje ciało podejmowało decyzję, jakby rzucało monetą. Na przedmieściach Peszawaru matka zabrała Taimura i razem znaleźli mężczyznę, który sprzedał jej czarnego kozła za

rozsądną cenę. Jakoś udało im się doprowadzić go do domu. Farmer życzył jej, żeby Allah obdarował ją swoją łaską – kupno czarnego kozła oznaczało, że przytrafiło jej się nieszczęście. Gdy wrócili do domu, ojciec czekał już z mułłą, który miał dokonać ofiarowania. Na niebie świecił czerwony jesienny księżyc, mułła wyprowadził zwierzę na ulicę, ściskając w ręku długie ostrze. Za nim podążyła matka, z opuszczoną głową i z białą tkaniną przerzuconą na zgięciu łokcia. Zwierzę wierzgało i skomlało – wiedziało już, co je czeka. Ludzie patrzyli na matkę, na jej blade ze strachu oblicze, na dziki wyraz jej twarzy; mruzczała coś bez sensu, a jej oczy gwałtownie się poruszały. Nikt nie odważył się do niej zbliżyć. Jej usta bezgłośnie wypowiadały modlitwę, trzymała zwierzę za sierść na karku – rzucało się między nią a mułłą. Mułła podniósł brodę kozła, odsłaniając gładką szyję. Przez kilka sekund zwierzę stawiało opór, wybałuszyło ślepią, podczas gdy matce od mocnego trzymania zbieleły knykcie. Jedynym dźwiękiem było drapanie kopyt o chodnik. Wtedy Aami do niego przemówiła, zbliżając twarz do strzygącego ucha, a łzy kapały jej na czarną sierść. Zwierzę powoli się poddało, zwieszając łeb na stronę, jakby słowa mojej matki były środkiem nasennym. Mułła podniósł ostrze. Musiał wykonać czynność, która zgodnie z wiarą mojej matki miała mnie ocalić. Spokojna i piękna, patrzyła, jak mężczyzna szybkim ruchem podcina gardło sapiącego zwierzęcia. Gdy czerwona ciecz wylała się ze szczeliny na ziemię, wezwała imię Allaha i w milczeniu wzniosła błagalny wzrok ku niebu. Wykrwawiające się zwierzę z trudem próbowało ustać na nogach. Usiłowało podpierać się przednimi kopytami, ale w końcu upadło, wydając ostatnie tchnienie. Kiedy było już martwe, matka podała mulle białą tkaninę, żeby wytarł w nią ręce i ostrze. Wreszcie w ostatnim akcie miłosierdzia zwanym *sadaqah* pokroiła świeże mięso i rozdała biednym. Tej nocy moja gorączka w końcu ustąpiła.

Kiedy następnym razem wypłynęłam na powierzchnię świadomości, Umehani siedziała na krześle. Za nią panował mrok, a jej twarz rozświetlona była na niebiesko, jakby wpatrywała się w powierzchnię basenu. Palcami stuknęła w telefon, bezgłośnie poruszając ustami, tak jakby połykała słowa, zamiast je wypowiadać. Próbowałam usiąść.

– Umehani.

Po chwili znalazła się przy mnie, ściskając moją dłoń. Czułam jej tętno. Sprawdziłam swoje ciało – stopy, nogi, ramiona, dłonie – wszystko było na swoim miejscu. Poruszało się. Drgało. Palące swędzenie ogarnęło każdy milimetr mojego ciała, skrzywiłam się. 1000 rąk nie byłoby w stanie mu ulżyć.

– Umehani.

Pochyliła się nade mną, poprawiając otaczające mnie przedmioty – kropłówki i poduszki – i pokręciła głową.

– Mario, gorączka ustąpiła.

Spojrzałam w róg sufitu, tam gdzie od wielu dni przesiadywał obserwujący mnie mężczyzna. Nie było go.

– Był tu. Zniknął.

– Kto zniknął?

Nerwowo wciskała guzik przy moim łóżku.

Usłyszałam w korytarzu alarm i po chwili zjawił się mężczyzna z notesem. Przysiadł na łóżku i zaczął do mnie mówić. Lekarz, który mnie ocalił, miał do opowiedzenia nie lada historię. Leżałam, słuchając, co stało się z moim ciałem: wewnętrzny krwotok, nagromadzenie płynów w płucach i jamie brzusznej, poważny spadek ciśnienia, ograniczone ukrwienie kluczowych organów. Gdy trafiłam do szpitala, zaledwie godziny dzieliły mnie od śmierci.

Na oddziale intensywnej terapii spędziłam tydzień. Umehani spała przez ten czas na krześle w rogu, ale jej czysty czador tego nie zdradzał. Trzykrotnie powiedziano jej, że mogę nie przeżyć nocy. Lekarz wyszedł, obok mnie stanęła pielęgniarka. Umehani wzięła moją dłoń i przyłożyła mi do ucha telefon. Usłyszałam głos siostry i wydałam słaby krzyk. Rozmawiałyśmy przez kilka minut, powiedziałam jej, że czuję się lepiej, tylko jestem bardzo zmęczona. Opowiedziała mi o koźle, którego matka zarżnęła o zachodzie słońca, i że wszyscy wierzyli, że dzięki temu gorączka ustąpiła. Miała dla mnie wiadomości od członków rodziny i od osób, których imiona w tym sponiewieranym stanie niewiele mi mówiły. Rozmawiając z nią, czułam, jakbym stopniowo odpływała. Gdy zadała ostatnie pytanie, ledwo co kontaktowałam.

– Mario, kim jest Jonathon Power?

Nie odpowiedziałam, leżałam tylko drętwo ze słuchawką przy uchu. Może jej nie uwierzyłam. Doświadczyłam już cudu – żyłam.

– Słyszałaś mnie? Mario? Jonathon Power...

Ayesha powiedziała mi później, że nie zareagowałam na jej pytanie, nie była nawet pewna, czy je usłyszałam. Zanim skończyłyśmy rozmawiać, zapadłam w kolejny długi sen.

ROZDZIAŁ 20

DZWON WOLNOŚCI

Denga zepchnęła mnie na skraj życia i śmierci. Liczba płytek krwi utrzymywała się u mnie tuż ponad absolutnym minimum. Później powiedziałam komuś, że agonia była czymś więcej niż doznaniem fizycznym – była doświadczeniem pierwotnego bólu. Wyrwała mnie z ciała i rzuciła w gorące światło, jakbym zatopiła się w gwieździe. Kiedy gorączka skończyła plądrować mi wnętrzności, pozostawiła mnie dryfującą w ospałym otępieniu, jak rozbitka na pełnym morzu. Zdawało mi się, że moje ręce, nogi i palce utraciły formę. Przez długi czas niczego nie czułam. Huragan spowodowany wirusem ucichł, lecz mogłam przemieszczać się tylko między stanem świadomości a snem tak głębokim, że czułam, jakbym zapadała się w próżnię. Wielokrotnie zastanawiałam się, czy jeszcze żyję.

Przykryta prześcieradłami, z ramionami podłączonymi do dziwnych tubek i drutów, gdy tylko się budziłam, wpadałam w bolesny mętlik, który przyprawiał mnie o drgawki i dyszenie. Śnieżnobiałe ściany pokoju były jasno oświetlone elektrycznym światłem, przez co czułam się jak wewnątrz lodowca. Pamiętam pielęgniarkę oraz twardą słuchawkę telefonu przy uchu. Członkowie rodziny dzwonili do mnie kilka razy, mówili cicho, ich głosy w mojej pustej świadomości rozbrzmiewały jak odległy dzwon. W końcu, przy trzeciej próbie, przez trzaski usłyszałam czysty głos mojej siostry. Nie mogłam jej odpowiedzieć. Z płuc wydobywał mi się wąty świst, jakby ktoś pogrzebał mnie żywcem. Nie docierało do mnie nic, co powiedziała, z trudem przychodziło mi zrozumienie najprostszycy zdań. Gdy Ayesha wypowiedziała moje imię, załkałam, ale oczy mnie paliły, nie były w stanie wylać ani jednej łzy. Powtarzała, jak modlili się dniami i nocami, i mówiła, że wkrótce wrócę do domu.

Żal wzbudził we mnie kolejną falę bólu. Chciałam wrócić do rodziny, ale nie do Peszawaru. Chciałam wrócić do samego początku, do wielkiego domu w rozległej dolinie. Napełniać metalowe wiadra chłodną wodą ze strumienia. Czuć zapach wilgotnej glinianej podłogi. Słuchając jej, poczułam, jak

podnoszę pełne naczynie i wylewam sobie wodę na głowę. Poczułam zapach przyniesionego przez ojca mydła, owiniętego w papier niczym cenny podarek. Poczułam jego smak na języku, gdy po kryjomu odgryzałam małe kawałeczki. W gorące dni, gdy zanurzałam głowę w chłodnej wodzie, świat na zewnątrz zdawał się odpływać – podobnie jak teraz, kiedy oglądałam go przez zasłonę stopniowo ustępującej choroby, nie potrafiąc odróżnić snu od jawy. Zanim Ayesha skończyła mówić, myślami byłam w naszym ogrodzie, z głową zanurzoną w wiadrze, a chłodna, ciemna woda koła mój ból. Potem przyszedł ojciec i mokrą i zmarzniętą zaniósł mnie w ramionach do domu, po czym położył sponiewieraną na łóżku, między sobą a matką.

Gdy się obudziłam, nie było go, a ja znowu leżałam w szpitalu, zastanawiając się, co się stało z głosem Ayeshy. Myślenie przypominało rozplątywanie wielkiego węzła, kawałek po kawałku. Wiedziałam tyle, że siostra do mnie zadzwoniła i zadawała pytania, na które nie potrafiłam odpowiedzieć. Ciało miałam miękkie i posiniaczone w dziwne pręgi. Spojrzałam na moje bezwładne kończyny, próbując sobie wyobrazić, do czego były kiedyś zdolne: biegały po kortach, zwyciężały. Byłam zawodniczką numer jeden w Pakistanie, a teraz leżałam w małym pokoju w Kuala Lumpur i nie mogłam się ruszyć. Ani przez chwilę nie pomyślałam o osobie, o którą tak często pytała Ayesha – o Jonathonie Powerze. Był dla mnie tylko wytworem wyobraźni, przemknął przez sen i się rozplynał.

Siedem dni później znowu siedziałam w samolocie. Rodzina odebrała mnie z lotniska w Peszawarze, pamiętam obejmujące mnie ramiona i dłonie, mnóstwo mówiących jednocześnie głosów. Matka powiedziała, że do Malezji wysłała całą córkę, a otrzymała z powrotem tylko jej połowę.

Sąsiedzi zarznęli barana, upiekli mięso i wszyscy ucztowali na ulicy. Siedziałam przykryta w fotelu, ciągle było mi zimno. Co chwila ktoś się do mnie przysiadł, napełniał moją filiżankę wodą i podawał mi do ust. Później, w zaciszu sypialni, słyszałam członków rodziny rozmawiających na dole. Usłyszałam powtarzane moje imię, a po intonacji odczytałam bezmiar ich lęku. Zastanawiałam się, jak źle muszę wyglądać, że ludzie tak często gapili się na mnie i czuli potrzebę dotyknięcia mojej skóry. Matka co rusz przychodziła, wzdychając w mroku i wcierając w moje ciało różowy płyn, który pachniał różami i działał na mnie usypiająco. Kilka dni spędziłam to zasypiając, to się budząc.

Kiedy ojciec przyszedł z filiżanką herbaty, siedziałam z rakieta na kolanach, naprawiając naderwaną rączkę. Za oknem padał lekki deszcz, a w powietrzu unosił się ciepły zapach mokrej ziemi. Dochodziłam do siebie, a moje zmysły się wyostrzyły, jakby gorączka sprawiła, że moje ciało stało się wrażliwsze. Słyszałam każdy szept w domu, czułam każdy ruch i każdy zapach na świecie, od asfaltu i wilgotnej gleby po woń kolendry i zwierząt zarzynanych na targu kilka mil dalej. Nawet z odległych gór dobiegały mnie zapachy kwitnących o tej porze roku licznych kwiatów, których nazw nikt nie znał. Ojciec usiadł koło mnie, piliśmy razem gorący napój. Zdawałam sobie sprawę, co zamierza powiedzieć. Ataki talibów w mieście stały się jeszcze częstsze: wysadzali zatłoczone targi, zabijając dziesiątki ludzi, albo likwidowali wrogów pojedynczo, przy użyciu snajperów. Mimo choroby wciąż znajdowałam się na ich celowniku. Nawet gdybym zerwała ze squashem, w ich ograniczonych umysłach dalej pozostałabym sobą – pół chłopcem, pół dziewczyną, wybrykiem natury. Widząc moje nazwisko na swojej liście, jakiś talib zastrzeliłby mnie bez zastanowienia, za jazdę na rowerze albo noszenie szortów. Nie miałam siły żyć dalej w narzuconej sobie *purdah*. Ojciec wziął ode mnie rakieta, ścisnął rączkę, sprawdził solidność spojenia i oddał mi ją.

– Nie mamy więcej czasu, Mario.

– Wiem, Baba.

– Myślałaś o tym, co robić?

– Tak. W Delaware jest turniej. Taimur mi powiedział. Muszę się tylko zarejestrować. Pakistańska Federacja Squasha pomoże mi zdobyć wizę do Stanów Zjednoczonych. Dają te dokumenty profesjonalnym zawodnikom.

– Dobrze. Jeśli możesz jechać, jedź.

– Ale nie zagram dobrze.

– Tu nie chodzi o grę, Mario. Tu chodzi o życie.

Wciąż nie przyszło mi do głowy, żeby sięgnąć do maili od Jonathona Powera, bo po prostu zapomniałam o ich istnieniu. Nie pamiętałam naszej krótkiej wymiany wiadomości. W malignie usunęłam je z mojej skrzynki, więc nawet nie miałam jak sobie o nich przypomnieć.

Nie mogłam trenować przed turniejem, bo byłam za słaba. Tylko raz – który miał się okazać ostatnim razem w ogóle – pojechałam do akademii, skulona na tylnym siedzeniu samochodu sąsiada. W akademii zmienił się zarząd i nowy nie był przychylny dziewczętom na korcie. Większość zawodniczek pochodziła z biednych rodzin i nie miała pieniędzy. Sam fakt, że uprawiały sport w zdartych butach i z nakrytymi głowami, zakrawał na cud. Od czasu do czasu

udostępniano im jeden kort na godzinę. Żadnych strojów. Rakiet. Nawet piłki trafiały się okazjonalnie. Nie dostały żadnego trenera. Nie miały jak ćwiczyć. Dużo się pozmieniało. Teraz chciano nas zamknąć w domach, w kuchniach, w duszących burkach, tam, gdzie było nasze miejsce. Idąc korytarzem między kortami, spojrzałam na długi sznur dziewcząt czekających na swoją kolej w poszarpanych ubraniach, a potem na chłopców po drugiej stronie. Wszyscy ubrani na biało. Ich tenisówki jeszcze pachniały nowością. Kiedy wchodzili na kort, sekretarz prowadzący zajęcia ze squasha rozdawał im nowe rakiety. Dziennikarze robili im zdjęcia, zapisywali coś w notesach. Ich uśmiechy mogłyby rozświetlić to miejsce na cały tydzień. Obserwowałam ich przez szybę, a za moimi plecami dziewczęta szeptały w ciemnym korytarzu. Byłam zawodniczką numer jeden w kraju, a gdy oczy sekretarza na chwilę zatrzymały się na mnie, zdałam sobie sprawę, że nie ma pojęcia, kim jestem – i nawet go to nie obchodziło. Kiedy leżałam w malezyjskim szpitalu, rodzina musiała zbierać pieniądze na mój powrót. Akademia squasha zignorowała ich liczne prośby. Na szczęście szpital nie zażądał choćby rupii za uratowanie mi życia.

Drużyny zbierały się na turniej, który miał rozpocząć się następnego dnia, domyśliłam się więc, że stąd to całe zainteresowanie mediów. Po chwili wszyscy stłoczyli się w długim holu, a sekretarz – nie znałam go, ale wyglądał na zamożnego – wygłosił krótkie, pełne pasji przemówienie w swojej obcisłej zielonej bluzie. Mówił, że jako przedstawiciel akademii ma obowiązek wspierać drużynę dziewcząt. Trzaskały migawki aparatów, a moje rówieśnice stały w milczeniu. Przyjrzałam się każdej z nich, ale wszystkie były takie same – biedne dziewczyny z całego kraju, w zniszczonym obuwiu i starych koszulkach, z rozlatującymi się rakietami w dłoniach. Żałosne.

Gdy facet tak głądził, we mnie rósł gniew, aż zaczęłam się w środku gotować. Oczy o mało nie wyskoczyły mi z orbit. Od czasu choroby coś się we mnie zmieniło. W każdym momencie górę we mnie mogła wziąć jakaś emocja albo potrzeba. Jeśli byłam głodna, pożerałam wszystko, co miałam pod ręką. Jeśli czułam się smutna, wyłam. Jeśli byłam zmęczona, spałam cały dzień. Jeśli cierpiałam, krzyczałam. Sekretarz nie spodziewał się, że nagle wyskoczę z tłumu, wyzywając go i wymachując palcem przed jego twarzą niczym sztyletem. Wskazałam na buty dziewcząt, możliwe, że nawet chwyciłam którąś z tych nieszczęsnych stóp, żeby pokazać mu porwane sznurówki i zwrócić uwagę na fakt, że żadna z dziewcząt nie miała skarpet. Złapałam i podniosłam połamaną raketę. Potem powiedziałam im głosem, którego nie poznawałam, że talibowie wygrywają swoimi bombami i kulami. Nadal nie skończyłam.

Wskazałam na chłopców w nieskazitelnie czystych ubraniach, którzy gapili się na mnie z rozdziawionymi ustami. Kilku dziennikarzy zaprowadziło mnie do biura, mimo że wciąż się szarpałam, gdzie podali mi ręczniki i wodę. Za nimi wszedł sekretarz, wyzywając mnie od „wichrzycielek” i zarzucając, że mam „niewyparzoną gębę”. Siedziałam, ciężko dysząc i wycierając pot z rozgrzanego karku, a on wciąż nie wiedział, kim jestem. Po żołniersku powiedziałam, jak mam na imię i jaki mam stopień, a on nagle zbladł, jakby ktoś wymazał mu gumką z twarzy cały kolor. Nie pamiętam, co się potem stało, ale nie pomógł mi w wypełnianiu podania o wizę do USA. Jeszcze tego samego dnia dowiedziałam się, że dziewczętom zmierzono stopy, żeby dobrać im nowe buty, i jeszcze przed zachodem słońca dostały zupełnie nowe stroje sportowe od Nike. Następnego dnia stałam już z formularzem w dłoni w kolejce do konsulatu Stanów Zjednoczonych, czekając na rozmowę. Ayesha, która miała znajomości wśród miejscowych polityków, wykonała kilka telefonów do wpływowych przyjaciół i zaklepała mi rozmowę z amerykańskim konsulem. Reszta, jak powiedziała, była w rękach Allaha.

Denerwowałam się. Matka z bratem czekali kilka przecznic dalej w aucie. W kwietniu banda bojowników wjechała na Hospital Road dwoma samochodami wypełnionymi ładunkami wybuchowymi i zaatakowała konsulat w Peszawarze. Zamachowcy samobójcy wysadzili się w powietrze, stając się *shahidami*, czyli męczennikami, podczas gdy pozostali usiłowali się przedrzeć do budynku przez grad pocisków. W tym samym czasie w innej części miasta doszło do podobnego ataku na siedzibę główną pakistańskiej służby wywiadowczej. W zamachach zginęło ponad 50 osób, a ponad 100 zostało ciężko rannych. Dostanie się do pilnie strzeżonego budynku konsulatu w Islamabadzie zaledwie kilka miesięcy później było wielkim wyzwaniem i wymagało przejścia przez liczne punkty kontrolne. Żołnierze znajdowali się wszędzie, uzbrojeni i w pełnej gotowości, z bronią gotową do strzału. Co jakiś czas jeden z nich przechadzał się z wężącym po ziemi owczarkiem niemieckim. W budynku, w którym było pełno ludzi, panowała złowroga cisza. Gdy mężczyzna przede mną zakasłał, wszyscy nagle zwrócili się w jego stronę.

– Jaki jest powód pani wyjazdu do Stanów Zjednoczonych?

Wystarczyło jedno spojrzenie na moje kościste, pokryte wiotkimi mięśniami ciało, które przykuśtykało do okienka, żeby mi nie uwierzył. Weszłam z nakrytą głową, ale zsunęłam woal na ramiona, żeby przez kuloodporną szybę pokazać mój dres, co go zaskoczyło. Pamiętam, że miał zielone oczy, a jego

rzęsy były tak długie i jasne, że gdy mrugał, prześwitywało przez nie światło. Rzadko kiedy miało się okazję zobaczyć człowieka z Zachodu. Spojrzałam na jego dłonie wertujące moje podanie, gładkie i silne – prawdziwie amerykańskie. Biurko zaścielały papiery, ołówki, długopisy i taca ze spinaczami. Stała też na nim mała fotografia szeroko uśmiechniętej starszej pary na łódce, ze słońcem odbijającym się na ich twarzach. To musieli być jego dziadkowie. Po prawej stał kubek z parującą kawą, co jakiś czas podnosił go do ust i odstawiał. Siedziałam, patrząc przez grube szkło na to zabałaganione biurko, jakby między nami był cały ocean. Mimo że dzielił nas niecały metr, czułam dystans pomiędzy Ameryką a Pakistanem. Spojrzał na mnie i pokręcił głową, a ja wpadłam w panikę. Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z władzy, jaką miał nade mną – jednym słowem, ledwie otwierając usta, mógł unicestwić całą moją przyszłość.

Nieco ponad rok wcześniej CNN umieściło na swojej stronie internetowej krótki artykuł na mój temat. Ojciec wydrukował go i kazał mi zabrać ze sobą, w razie gdyby dokumenty i wyjaśnienia nie wystarczyły. Drżącymi dłońmi wyciągnęłam go z kieszeni i wepchnęłam przez szczelinę w szybie. Podjął już decyzję, przestrzegał zasad biurokracji i nie wykazał zainteresowania. Spojrzał przeze mnie, w stronę korytarza. Z powątpiewaniem rozłożył kartkę, wzruszając ramionami. Gdy przeczytał nagłówek – NASTOLETNIA ZAWODNICZKA UCIEKŁA Z TWIERDZY TALIBÓW W POGONI ZA MARZENIAMI – dostrzegłam w jego obliczu zmianę. Przeczytał artykuł, nawet nie sięgając po kubek. Gdy ponownie na mnie spojrzeł, ujrzałam w jego oczach zdumienie i powiedziałam, że muszę polecieć do Stanów na turniej. Jako pracownik amerykańskiej ambasady w Islamabadzie był jeszcze bardziej zagrożony niż ja – miałam więc nadzieję, że mnie zrozumie. Pokiwał głową, podniósł słuchawkę telefonu i po chwili przyszedł drugi mężczyzna, z którym się naradzili. Sprawdzili mój paszport i przeczytali artykuł. Przez cały ten czas siedziałam sztywno, jakby ktoś przykleił mnie do ziemi. Drugi mężczyzna wyszedł, a ja z trudem łapałam oddech. W końcu konsul skinął głową, oddając mi artykuł, a ja poczułam, jak dystans między nami się zmniejsza.

– W porządku, dostała pani wizę. Powodzenia, panno Toorpakai.

Miałam 20 lat i wchodziłam na pokład samolotu z Peszawaru do Filadelfii z biletem w jedną stronę. Czekają mnie dwa międzylądowania, łącznie w podróży miałam spędzić 37 godzin. W samolocie startującym w blasku poranka myślałam o mojej rodzinie. Minie dużo czasu, zanim znowu ją zobaczę. Przed wylotem wszyscy zgromadzili się w moim pokoju, pomagając

mi pakować torbę – tę samą zdartą torbę, w której woziałam mój niewielki dobytek po Pakistanie i Azji Południowej. Nikt nie był pewien, co mi się przyda, ale wszystko, co miałam, zmieściło się do tej jednej torby. Ayesha dała mi kopertę z fotografiami, brat swój egzemplarz Koranu ze stronami delikatnymi jak z jedwabiu. Bliźniacy zabrali z ulicy kamyk, a wsuwając mi go w dłoń, powiedzieli, że powinnam zabrać ze sobą kawałek Pakistanu na szczęście. Rodzice dali mi to, czego potrzebowałam najbardziej – ich błogosławieństwo.

W samolocie mocno ścisnęłam w dłoni ten mały kawałek Pakistanu. Czułam się, jakbym skoczyła z urwiska i leciała teraz z nadzieją, że ktoś tam na dole mnie złapie. Ojciec kiedyś powiedział, że do szczęścia potrzebna jest mi tylko rakietka, ale teraz wiedziałam, że będę potrzebowała znacznie więcej.

Noc przed wylotem wraz z całą rodziną zasiedliśmy przed małym telewizorem, żeby obejrzeć film z Bruce'em Lee, który ojciec kupił na targu. Nie pamiętam go, ale pamiętam, jakie wrażenie na ojcu wywarł ten mistrz sztuk walki. Jeśli Rocky Balboa był moim bohaterem, to Bruce Lee jego. Przed filmem ojciec powiedział nam, że Bruce Lee stworzył własny styl walki nazwany Jeet Kune Do – „drogą przechwytyjającą pięści”. Gdy przyszedł do mojego pokoju, wciąż o niej rozprawiał, jakby nie zmrużył oka w nocy, tylko każdej napotkanej osobie powtarzał swój wykład. Nie miałam ochoty go słuchać. Chciałam się pożegnać i zdawałam sobie sprawę, że próbuje zapełnić tę przestrzeń czymkolwiek, byle tylko nie wypowiedzieć słów pożegnania. Przerwałam mu w pół słowa. Mówił mi, jak Bruce Lee popłynął statkiem parowym z Hongkongu do San Francisco ze 100 dolarami w kieszeni i talentem do kung-fu.

– Co zrobię po turnieju? Dokąd pójdę?

– Właśnie próbuję ci to wyjaśnić. To najlepszy dzień twojego życia, a nie najgorszy. Będzie zły, tylko jeśli spojrzysz na niego przez pryzmat lęku. Bruce Lee mówił, że brak ograniczeń jest ograniczeniem.

– Boję się, Baba.

– Odnajdziesz się, Mario. Odnajdziesz swoją drogę. W wieku czterech lat potrzebowałaś tylko ubrań brata i nowego imienia. Teraz potrzebujesz tylko rakietki. Jeśli będziesz ciężko pracować, Ameryka da ci całą resztę.

Wilmington, Delaware, pierwszy tydzień lutego – gdy wysiadłam bez kurtki z samolotu, uderzył mnie mroźny wiatr. Utykając, musiałam pobiec do minivana i z trudem, na przekór podmuchom wiatru, otworzyć rozsuwane drzwi. Wokół mnie wesoło szczebiały inne dziewczyny. Zagraniczne zawodniczki zostały rozmieszczone w domach miejscowych członków klubu squasha, rodzina, u której zatrzymałam się na trzy dni, była gościnna, miła i dała mi ładny, czysty pokój. Jestem pewna, że uważali mnie za dziwnie cichą w porównaniu z moimi pełnymi życia konkurentkami. Podkręcali w swoim samochodzie ogrzewanie tak bardzo, że wszyscy się pocili i rozpinali płaszcze, tylko ja wciąż się trzęsłam, jakbym siedziała w bryle lodu. Pamiętam, że ojciec rodziny, spojrzawszy w lusterko, kilkakrotnie pytał, czy wszystko ze mną w porządku. Kiwałam głową i odpowiadałam, że tak, chociaż nikt mi nie wierzył. Gdy mówiłam, wszyscy inni milkli. Miałam tak słaby głos, że moje słowa praktycznie rozpływały się w powietrzu. Prawda była taka, że nigdy nie czułam się równie przerażona.

Na turnieju poszło mi kiepsko, zostałam pokonana w pierwszej rundzie przez zawodniczkę z Niemiec, która atakowała mnie z zaciekłością żarłacza białego. Jeszcze zanim zakreśliłyśmy rakietami, zadała mi cios swoim zimnym spojrzeniem. Należała do takich zawodniczek, z którymi lubiłam się bawić, zmuszając do biegania po całym korcie, zanim zadałam ostateczny cios. Zrobiłabym to z łatwością, ale teraz nie mogłam złapać tchu. Nie byłam dla nich groźną przeciwniczką, więc nie zwracali na mnie uwagi. Gdy po upokarzającej serii ciosów przegrałam trzeci mecz, mój los został przypieczętowany. Stojąc na trybunach i pijąc letnią wodę, spojrzałam w dół i się zakołysałam. Byłam wściekła na siebie za moją wiarę, że uda mi się tu zostać i przeżyć. Wciąż się zastanawiałam – jak?

Ayesha wydrukowała egzemplarze mojego życiorysu i kazała je rozdać wszystkim napotkanym trenerom. Miałam też długą listę urzędów, do których mogłabym się zwrócić o pomoc. Słyszałam stłumione uderzenia rakiet o piłki i reakcje tłumu. Atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca. Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w odgłosy meczów. Gdy podniosłam powieki, wydawało mi się, że światła migają, a podłoga ucieka mi spod stóp. Usłyszałam głośny grzmot, ale nikt inny się nie wzdrygnął. Nagle, jakby porwana czyjąś ręką, znalazłam się znowu na kortach w Peszawarze, spoglądając na mojego brata, Babraka. Ujrzałam białka jego oczu i usłyszałam dziwny, ptasi dźwięk, jaki wydał. Gdzieś wybuchła bomba. Ocknęłam się. Znowu byłam na turnieju. Widziałam kort, ale wciąż czułam zapach wilgotnych ulic Peszawaru.

Przechyliłam się i dostałam torsji. W żołądku mi się przewracało, kwasy podchodziły do gardła, ale nic nie wyleciało mi z ust. Tylko ślina pociekła na ciemną, szarą podłogę. Siedziałam z głową między kolanami, skronie mi pulsowały, a skóra paliła, jakby wrzucono mnie w płomień.

Wkrótce otoczyli mnie ludzie, którzy podawali mi wodę i coś do mnie mówili. Wzięłam od kogoś ręcznik i schowałam w nim twarz. Byłam zszokowana tym, co się działo. A miało się to powtarzać ciągle przez kolejne dwa dni – jakby po wciśnięciu jakiegoś przycisku ziemia uciekała mi spod stóp, nie mogłam złapać oddechu, serce mi waliło. Umysł i ciało zatracaly się w jakimś wirze. Czasami jakiś głos albo dłoń na ramieniu na chwilę przywracały mnie do normalności. Myślałam, że tracę zmysły.

Ostatniego dnia w Wilmington siedziałam z tyłu, próbując uspokoić myśli i desperacko ułożyć jakiś plan. Angielka Deon Saffery właśnie pokonała Kanadyjkę Samanthę Cornett. Publiczność wstała i zaczęła wiwatować. Niczego nie zarejestrowałam. Leżąca u moich stóp torba przypominała mi, że wciąż tam jestem i że oddycham. Kurczowo trzymałam się tych spokojnych chwil, zanim coś znowu nie wyśle mnie na orbitę. Mogło to być cokolwiek – migające światło, głośny krzyk, ktoś pytający, czy wszystko ze mną w porządku. Ludzie pospiesznie opuszczali korty, a ja dalej tam tkwiłam. Na wszystkich czekała kolacja, ale zdawałam sobie sprawę, że nie mogę siedzieć przy nakrytym na biało stole, z widelcem w rękę, i jeść, udając, że wszystko ze mną w porządku. Czułam, jak wokół mnie przechodzą ludzie. Część mnie desperacko chciała zadzwonić do Pakistanu. W myślach wciąż powtarzałam numer telefonu do naszego sąsiada. Zamknęłam oczy i poczułam znajome zapachy: kolendrę, kminek i słodkie drzewo sandałowe – dom. Podniosłam powieki, oczekując, że znowu będę śniła na jawie. I w pewnym sensie tak było.

Patrzył na mnie siwy mężczyzna w wełnianym swetrze. Po szerokich oczach i wydatnych kościach policzkowych poznałam od razu, skąd pochodzi. Uśmiechnął się i przywitał ze mną po pasztuńsku, rozświetlając mój mroczny, wypełniony lękiem świat. Wszyscy mówili do niego Zia, ale przez następne dwa miesiące miałam nazywać go Wujem. Ktoś z Wilmington skontaktował się z moimi rodzicami w Pakistanie i przekazał im, w jak dramatycznym stanie jestem. Ojciec natychmiast przetrząsnął całą naszą dzielnicę, szukając kogoś, kto ma znajomego w Ameryce. Nagle człowiek, który wszystko dla wszystkich robił, sam potrzebował pomocy. Okazało się, że jeden z naszych sąsiadów ma pasztuńskiego przyjaciela w Charlotte, w Karolinie Północnej. Skontaktował

się z Zią i powiedział mu, że w Delaware znajduje się dziewczyna z plemion, która potrzebuje pomocy, a on natychmiast wsiadł w samochód i przejechał ponad 600 kilometrów, żeby mnie odnaleźć. Wuj Zia pochodził z naszej doliny w FATA i słyszał o dokonaniach moich rodziców w regionie. Od dziesięciu lat mieszkał w Stanach Zjednoczonych, gdzie pracował jako taksówkarz. Kiedy usłyszałam, w jaki sposób opowiada o naszym domu – jakby recytował modlitwę – wiedziałam, że znajdę u niego bezpieczną przystań.

Nasz kodeks Pasztunwali to cudowna rzecz, ludzie żyją według niego od pokoleń i wieków. W historii dawał schronienie i dobrym, i złym, ale najczęściej pozwalał przeżyć tym pierwszym. Mnie umożliwił znalezienie rodziny pośród swoich, tysiące mil od domu, od pradawnych gór, z których wszyscy się wywodzimy. Wuj Zia pomógł mi spakować mój skromny dobytek w Delaware, a następnie zabrał mnie w dziesięciogodzinną podróż do swojego domu na przedmieściach. Czując się bezpiecznie pod jego skrzydłem, przespałam w hatchbacku większość trasy. Zia miał pięciu synów i dwie córki, wszyscy mieszkali w dużym domu z czerwonej cegły w Charlotte. Jego żona przyrządzała ogromne porcje ostrego jedzenia, które jedliśmy na podłodze przykrytej narzutą w kwiatki.

Mimo że znajdowałam się pod opieką mojego ludu, wciąż doskwierała mi niepewność. Budziła mnie w nocy, dusiła mnie i plątała prześcieradła u moich nóg. Zastanawiałam się, co mam robić, jak powrócić do squasha. Utknęłam w labiryncie bez wyjścia.

Nawet dzisiaj trudno mi uwierzyć w to, co się potem wydarzyło. Wuj Zia nauczył mnie korzystania ze swojego laptopa, żebym mogła czytać wieści z domu i wysyłać e-maile. Minęły tygodnie, od kiedy ostatnio sprawdzałam pocztę. Rodzina rzadko korzystała ze wspólnego adresu, ale odkąd znalazłam się na drugim krańcu świata, musieliśmy zmienić nasze nawyki. Gdy tylko się zalogowałam, moja skrzynka odbiorcza zaświeciła. Ostatnia wiadomość była prosta – numer telefonu, ten sam, którego używa dzisiaj. Pamiętam, jak odwróciłam się do Wuja i spokojnie zapytałam, czy mogę skorzystać z telefonu, mimo że serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Nie wiedziałam, czego się spodziewać – głuchoj ciszy, wybuchu śmiechu czy ciągnącego się w nieskończoność sygnału, że linia jest zajęta. Stałam przy kuchennym oknie, patrząc na spadające płatki śniegu, i wykręciłam numer. Przewrócone ogrodowe krzesło na patio dało schronienie przed zimnym małemu ptakowi.

Po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę, usłyszałam głos i poznałam, że należy do niego. W akademii squasha oglądałam jego największe mecze.

Często wrzeszczał na sędziów, a potem z pełnym spokojem udzielał wywiadów przed kamerami. Gdy Jonathon Power odwiedzał Pakistan, zawsze było to wielkie wydarzenie – rozwijano przed nim czerwone dywany, dygnitarze zmieniali swoje grafiki, zawodnicy squasha wyciągali rakiety, okazując mu szacunek. Narwany, wysoki, z kasztanowymi włosami, znający triki, którymi mógł powalić każdego, mówił z pewnością siebie. Nigdy nie sądziłam, że taki mężczyzna pomoże takiej dziewczynie jak ja. Ale się myliłam.

– Mówi Maria Toorpakai Wazir. Przepraszam, że dzwonię z takim opóźnieniem.

Kurczowo ścisnęłam słuchawkę, gdy mówił. Sprawiał wrażenie szczęśliwego, że do niego zadzwoniłam, miałam wrażenie, że znajduje się w pokoju obok. Po pierwszej wymianie e-maili, jeszcze zanim wirus denga odebrał mi zmysły, Jonathon wykonał kilka telefonów w mojej sprawie i pozałatwiał kilka rzeczy. Zapytałam go, czy potrzebuje mojego życiorysu, nie zdając sobie sprawy, że już go ma. Kilkakrotnie podczas naszej rozmowy wybuchnął śmiechem – od lat nie słyszałam, żeby ktoś śmiał się tak szczerze. Jonathon znał mój kraj, rozumiał jego kulturę, zdawał sobie sprawę, jakim cudem jest fakt, że pasztuńska dziewczyna zdobyła tytuł mistrza i przeżyła pod mrocznym panowaniem talibów, a teraz stała w kuchni w Charlotte, w Karolinie Północnej, nie mając dokąd pójść. Wuj Zia oparł się o ścianę, przysłuchując się rozmowie. Widziałam, jak uciszał resztę rodziny. Dzieci trajkotały, przysłaniając usta rękami i usiłując się nie śmiać.

*

22 marca 2011 roku. Inny samolot, inny bilet w jedną stronę. 200 kanadyjskich dolarów wysłanych przez rodziców za pośrednictwem Western Union, wepchniętych do koperty, którą matka dała mi w Peszawarze, a w której trzymałam zdjęcia od Ayeshy. Na kopercie wciąż była nalepka z uśmiechniętą buźką, teraz już trochę naderwana. Od czasu do czasu sprawdzałam jedną dłoń, czy wciąż mam ją w kieszeni, podczas gdy w drugiej ścisnęłam kamyk. W torbie trzymałam inny mały, gładki kamyk ze strumienia, z którego codziennie czerpałam wodę w FATA. Pomyślałam o szkatułce matki z jej skarbami – kamieniami z rzeki, bransoletkami, wyszywanymi bucikami i błękitną dzinsową kurtką rozdartą na rękawie – którą woziła ze sobą niczym świętego Graala. Wkrótce kapitan samolotu słodkim głosem obwieścił przez

interkom, że lądujemy w Toronto, i poczułam lekkie ssanie w żołądku. Zapięłam pas i wyjrzałam przez okno. Spod miękkich chmur wyłoniła się biel aż po horyzont. Zdobiły ją ciemne plamy wyglądające jak wielkie kałuże. Jezioro Ontario. Widziałam je na mapie. Gdy tylko Jonathon zabukował mi bilet, poprosiłam Wuję o atlas. Kanada – wielka kraina pomiędzy dwoma oceanami – drugie pod względem wielkości państwo świata. Gdzieś tam czekał na mnie mały pokój. Gdzieś tam czekał na mnie mistrz świata i gdy tylko samolot dotknął ziemi, koszmar, w którym żyłam całym latami, zaczął zniknąć.

Wychodząc z samolotu, oczekiwałam, że ktoś mnie zatrzyma. W kolejce do odprawy byłam pewna, że podejdzie do mnie celnik i odeśle do Charlotte, a stamtąd do Pakistanu niczym uszkodzoną paczkę. Urzędnik podbił moją wizę i jak gdyby nigdy nic wskazał mi rozsuwane podwójne drzwi z nieprzezroczystego szkła. Nie miałam ze sobą żadnego bagażu, tylko rakietę i torbę. Weszłam do ogromnej sali przylotów. Była bardzo jasna, pełna okien, czekały w niej tłumy ludzi. Niektórzy trzymali tabliczki z nazwiskami – Kaplan, Russo, Chang. Nigdzie nie widziałam Toorpakai. Wpadłam w panikę – mogło go tam nie być, może znalazłam się w złym miejscu. Ruszyłam przed siebie, za walizkami na kółkach, za dziećmi w wózkach, przechodząc przez całą galerię i wychodząc na mróz. Ludzie mijali mnie, obok stały taksówki i busy do hoteli, a ja trzęsłam się z zimna na krawężniku.

Wtedy usłyszałam moje imię. Obróciłam się i zobaczyłam uśmiechniętą twarz wyłaniającą się z tłumu. Gdy ujrzałam jego oczy, które znałam ze zdjęć, lęk rozpląnął się w powietrzu.

Jonathon Power złapał moją torbę i przewiesił ją sobie przez ramię; cały czas mówił, opowiadał, dokąd jedziemy – prosto do akademii squasha, tak jak prosiłam. Podążając za nim, miałam okazję dokładnie mu się przyjrzeć. Patrzyłam na jego naprężone ramiona, kiedy tak niósł mój bagaż, który zdawał się mały przy jego szerokiej sylwetce. W mojej starej torbie miałam zdjęcia rodzinne, Koran Taimura, mój cenny kamień – wszystkie moje skarby. Jonathon lawirował w tłumie, podniósł wyżej mój bagaż. Zacisnął dłoń na rączce tak samo, jak zaciskał ją na rakiecie. Ten sam uchwyt uczynił człowieka, który szedł o krok przede mną, najlepszym zawodnikiem w swojej dyscyplinie na świecie – i to dwukrotnie.

W samochodzie było ciepło, Jonathon włączył zapłon. Opowiadał mi o swojej akademii, mówił, że szukał do niej dokładnie kogoś takiego jak ja. Wiele tygodni później przyznał mi, że był nie mniej niż ja zaskoczony faktem,

że znajduję się w jego samochodzie. Na autostradzie padał śnieg, a ja pomyślałam o ojcu siedzącym w domu w fotelu, a potem o wszystkim, co doprowadziło mnie w to miejsce. W dłoniach trzymałam moją monetę z narodzin, zmatowiałą z jednej strony. Przez hałas silnika i gwizd wiatru usłyszałam, jak ojciec szepcze do ucha moje trzy imiona – Maria Gulgatai Toorpakai. Przypomniałam sobie, kim przede wszystkim jestem: córką mojego ojca. Wazirką. A to oznaczało, że nie wolno mi się bać.

Gdy zajechaliśmy pod Narodową Akademię Squasha, padały ciężkie płatki śniegu, a na parkingu nie było wiele samochodów. Jonathon zorganizował swój nowoczesny ośrodek w starym hangarze lotniczym. Masywna struktura wyłaniała się z zamrożonej ziemi. Brnęłam na przekór podmuchom mroźnego wiatru w stronę szklanych drzwi, a kryształki lodu wpadały mi do oczu. Podniosłam wzrok i ujrzałam wysoki, sięgający od ziemi aż po dach kolorowy billboard: przedstawiał mężczyznę z rakieta uchwyczonego w momencie uderzenia, jego ciało było napięte, zupełnie jakby gigant wysokości trzech pięter chciał wyskoczyć ze ściany. Przystanęłam i mu się przyjrzałam, podczas gdy ten sam człowiek, tylko że prawdziwy, ubrany w czarną puchową kurtkę, otworzył drzwi i czekał na mnie.

Znaleźliśmy się na korcie, usiedliśmy na wypolerowanej podłodze, opierając się plecami o ścianę. Rozmawialiśmy w jego świątyni, jedząc chipsy z jednej torby, nasze głosy rozbrzmiewały echem. Powiedział, że wiele lat zbierał pieniądze na tę akademię. Była spełnieniem jego dawnej ambicji – żeby uczyć młode pokolenie tej dyscypliny, znaleźć i trenować nowych mistrzów, pomóc biednym dzieciom wyrwać się z ulicy. Kiedy mi to mówił, pomyślałam o tym, co powtarzał ojciec: „Dajcie tym naćpanym talibom rakieta do squasha, a już nigdy nie sięgną po broń”.

Gdy już się trochę poznaliśmy, Jonathon rzucił mi piłkę. Jeśli byłam spięta, starałam się tego nie okazywać. Już po moim chodzie mógł się domyślić, że doświadczyłam ciężkiej próby. Ale wiedział, że potrafię grać. Nabrałam powietrza w płuca, wyrecytowałam po cichu krótką surę i uderzyłam piłkę. Odbiła się od ściany i wróciła. Jonathon stał blisko mnie, to cud, że nie dałam się wybić z rytmu. Od samego początku dawał mi rady.

– Podbiegnij. Podbiegnij i uderz. Uderz piłkę, Mario. Cofnij się. Podbiegnij. Uderz piłkę. Mocno. Pokaż, co potrafisz.

Złapaliśmy rytm, jak dwoje ludzi grających muzykę. Wydawało mi się to takie naturalne i takie nierzeczywiste. Byłam na korcie w Kanadzie. Byłam w kuchni w Peszawarze. Byłam zamknięta w sypiali, bojąc się wystawić

głową na zewnątrz. Byłam na porośniętym trawą boisku w środku nocy, grając z bratem w grę, którą kochałam. Byłam z Jonathonem Powerem. Byłam wolna.

Gdy trochę pograliśmy, Jonathon złapał piłkę i powiedział, że nie chce mnie za bardzo męczyć pierwszego dnia. Zdałam sobie sprawę, że serce mi wali, a moje kończyny są gorące i pulsują po tym kilkuminutowym wysiłku. Zapytałam go o jedną rzecz, którą chciałam wiedzieć od samego początku, którą chce wiedzieć każdy profesjonalny zawodnik.

– Jak zostałeś mistrzem świata?

Jonathon wzruszył ramionami i pociągnął łyk z butelki, a jego usta z jednej strony uniosły się w nonszalanckim uśmiechu. Był z niego znany.

– Jeden mecz i jeden kraj naraz.

– Myślisz, że mnie też się uda?

Jonathon zmarszczył brwi.

– Gdy cię ujrzałem na lotnisku, trochę się zaniepokoiłem. Ale gdy zobaczyłem, jak uderzasz piłkę, pomyślałem: „Ta dziewczyna ma miękkie dłonie, ale mocne uderzenie”. To wszystko, czego ci trzeba. Doszłaś aż tak daleko, prawda? Dzięki temu przebyłaś połowę świata.

Nie wiedziałam, co miał na myśli, mówiąc „miękkie dłonie”, więc poprosiłam, żeby mi to wyjaśnił. Odłożył rakietę, podszedł do mnie, otworzył moją dłoń i położył na niej piłkę.

– Nie wyprowadzasz uderzeń, tylko najpierw gromadzisz siłę w dłoni, pochłaniasz energię i dopiero potem ją oddajesz. To właśnie nazywamy miękkimi dłońmi.

– Miękkie dłonie. Nigdy o tym nie słyszałam.

Spojrzałam na piłkę w mojej dłoni, ścisnęłam ją, czując jej kształt. Pomyślałam o wszystkim, co zaprowadziło mnie do tego miejsca, do rozświetlonych kortów na innym kontynencie, za oceanem, gdy przewyciężałam nieprawdopodobne trudności, wyprowadzając jeden cios za drugim.

*

Dziesięć miesięcy później, w styczniu 2012 roku, pojechałam do Filadelfii na turniej Liberty Bell Open. Trafiłam na moje pierwsze zawody po blisko roku morderczego treningu pod okiem Jonathona. Odzyskałam moje stare ciało, giętkie i silne, potrafiące przemykać po korcie i rzucać urok na piłkę. Gdy Jonathon powiedział mi, że jestem gotowa, uwierzyłam mu.

Od początku turnieju traktowano mnie jako ciekawostkę i kogoś skazanego na porażkę. Znałam to uczucie, gdyż towarzyszyło mi niemal wszędzie – gdy biegałam po dolinach jako Dzyngis, gdy w uliczkach walczyłam z wrogami, gdy podnosiłam ciężary z Taimurem i na kortach w Peszawarze, przez te kilka pierwszych tygodni, gdy znów stałam się Marią. Choć miałam u boku Jonathona, który podpisywał autografy, ścisnął ludziom dłonie i pozował do zdjęć, myśleli, że przegram. I może dlatego nie uległam.

W rundach kwalifikacyjnych rozgromiłam cztery zawodniczki: z Francji, Japonii, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Nie był to koniec. Nie miałam wyboru, musiałam pokazać, co potrafię, inaczej cała ta praca poszłaby na marne. Mecz po meczu rozrywałam przeciwniczki na strzępy, nie dając im złapać tchu. Odbijałam każdą piłkę, posyłając ją dzikimi zygzakami, słysząc w tej szaleńczej rozgrywce krzyki Jonathona, skrzypienie butów i szum krwi w moich żyłach. Prasa nazwała to później morderczą serią – zdobyłam tytuł, wygrywając wszystkie mecze.

Puchar, który odebrałam z taką radością, że odebrało mi mowę, miał wygrawerowany Dzwon Wolności. Jonathon, trzymając rękę na moim ramieniu, powtarzał, żebym się uspokoiła. W hotelu połączyłam się przez Skype'a z rodziną w Peszawarze, korzystając z komputera, który Jonathon podarował mi, gdy się tu przeniosłam. Wciąż pamiętam, jak ojciec zbliżył twarz do ekranu, mrużąc oczy, żeby przyjrzeć się pucharowi, i przesyłając sobą cały obraz.

– Mario, zaledwie 20 minut piechotą od Dzwonu Wolności w Filadelfii znajduje się pomnik Rocky'ego. Wyobrażasz to sobie? Ayesha to wygooglowała.

Uniósł otwartą książkę, którą, jak rozpoznałam, wziął ze sterty tomów walających się po pokoju gościnnym. Historia Ameryki towarzyszyła nam z domu do domu, z miasta do miasta, przetrwała z nami piekło Darry, której kurz wciąż tkwił w zakamarkach jej grzbietu. Na ekranie pojawiła się fotografia w sepia pękniętego Dzwonu Wolności oraz przytrzymujące stronę koniuszki palców ojca. Potem usłyszałam jego głos. Ojciec nie musiał czytać, bo od dawna znał na pamięć każde słowo. Siedziałam, chłonąc je.

– Posłuchajcie wszyscy. Nie mówcie nic: „Oznajmijcie wyzwolenie w kraju dla wszystkich jego mieszkańców”*****.

Wciąż trzymałam puchar w dłoniach, nie mogłam go puścić.

– Nie wiem, jak dotarłam do tego kraju, Baba, ale te słowa się sprawdziły.

Ojciec odłożył książkę, wzbijając cienką warstwę kurzu, przez którą

ujrzałam jego wielki uśmiech, a za nim, w mroku kolejnego zaćmienia spowodowanego brakiem prądu, sylwetki reszty członków rodziny. Bateria w ich laptopie się wyczerpywała. Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam ekran.

Gdy rozmawialiśmy, ojciec nie zdawał sobie sprawy, że dotykam jego twarzy i że mogą minąć lata, zanim znowu się spotkamy. Jeśli talibowie go dopadną – albo kogokolwiek z naszej rodziny – mogą nie ujrzeć ich już nigdy.

– To zwykła reakcja spalania, Mario. Znalazłaś butelkę nafty i zapaliłaś zapałkę.

EPILOG

TYSIĄC MARI

Kiedy moja ciężko wywalczona wolność wciąż była nowa, z zachwytem przeżywałam wszystkie drobne codzienne czynności: przejażdżkę metrem, kupowanie T-shirtów, przymierzanie markowych dżinsów, naukę gry na gitarze, jeżdżenie rowerem po śniegu. Po raz pierwszy miałam współlokatorki różnych ras i wyznań, z którymi mogłam się zaprzyjaźnić. Dzieliłyśmy posiłki, łazienkę, rachunki, żartowałyśmy i opiekowałyśmy się kotem. Dzieliłyśmy się także swoimi marzeniami – zarówno tymi małymi, jak i wielkimi. Ja chciałam zrobić prawo jazdy, pójść do szkoły średniej, uczęszczać na zajęcia z aktorstwa i któregoś dnia wystąpić w hollywoodzkim filmie. W weekendy często chodziłam do kina, buszowałam w księgarniach i jadłam w fast foodach. W październiku wydrążyłam moją pierwszą dynię i przebrałam się za wiedźmę na Halloween. Podczas jednej z wielu wypraw po Toronto odkryłam sklep z artykułami malarskimi, kupiłam sztalugę, pędzle, płótna i zaczęłam malować. Gdy tylko chciałam, słuchałam muzyki – głośno – oglądałam telewizję, tańczyłam, przeglądałam magazyny, rozwijałam jedwabną matę matki i się modliłam. W tamtych dniach modliłam się często: wyznawałam *alhamdulillah*, żeby podziękować Bogu, że dał mi wolność. Gdy skończyłam, myślałam o mojej rodzinie i wszystkich osobach, które pomogły mi po drodze, pochylałam głowę do ziemi i myśląc o nich, powtarzałam *merabani* – „dziękuję”. Każdego ranka jechałam autobusem z niewyspanymi pasażerami, wszyscy byliśmy tacy sami. Zwykle spotykałam Jonathona Powera w Narodowej Akademii Squasha, gdzie witał mnie, przybijając mi piątkę, a następnie szliśmy na kort.

Gdy go poznałam, byłam cieniem człowieka, umierającą mistrzynią, która traciła swoje przeznaczenie i zmysły. Pracował nade mną ciężko i w niecały rok poskładał do kupy. Jeśli czegoś potrzebowałam, dawał mi to bez mrugnięcia okiem: telefon komórkowy, komputer, słowa zachęty, wsparcie. Ale przede wszystkim zapewniał mi przestrzeń i czas, żebym mogła dojść do siebie, a potem szansę zwycięstwa na przekór wszystkim przeciwnościom. Dał

mi lekarzy i terapeutów, czyste mieszkanie i pracę – czyli drugie życie. Gdy w przerwie treningu siadaliśmy na korcie, opowiadałam mu o moim życiu w Pakistanie, ale nigdy nie dopytywał. Wyjawiałam mu szczegóły małymi porcjami. Rozmawialiśmy o naszym wspólnym pragnieniu zwyciężania i co ono dla nas znaczy. Znaleźliśmy jeden język. Najpierw chodziło o uznanie, a gdy było go już dość, stało się to czymś więcej niż serią zwycięstw, czymś, co nas przerastało. Czasami patrzyliśmy na siebie ponad wypolerowaną posadzką kortu i docierał do nas ogrom tego, co się wydarzyło. Zeskoczyłam z urwiska w Peszawarze z rakieta w dłoni, a on mnie złapał. Nie było na świecie pucharu, który mógłby uhonorować ten prosty, acz cudowny akt – odpowiadając na jeden desperacki e-mail, połączył nas na dobre i na złe, budując przyjaźń na całe życie.

*

Blisko dwa lata po moim przybyciu na kontynent północnoamerykański Jonathon pomógł załatwić wizę dla Ayeshy, żeby odwiedziła mnie w Toronto na dwa tygodnie. Kilka miesięcy przed jej podróżą, 11 maja 2013 roku, Ayesha została wybrana do Zgromadzenia Narodowego, reprezentując Pakistański Ruch na rzecz Sprawiedliwości, i została pierwszą parlamentarzystką w historii pochodzącą z terenów plemiennych. Natychmiast znalazła się na celowniku ekstremistów. Spacerując z nią ulicami, w jej szerokich oczach, schowanych za białym woalem, znowu ujrzałam moją wolność w pełnej krasie. Często szliśmy na spacer bez powodu, żeby mogła poczuć to, co dla mnie stało się normalnością – chodziłam, gdzie chciałam, bez męskiego towarzystwa, ubrana, jak mi się podoba, z pięcioma kolczykami w jednym uchu i bez żadnego snajpera w zasięgu wzroku. Musiało minąć kilka dni, zanim pozbyła się nawyku rzucania okiem przez ramię i przyglądania się przechodniom, czy nie mają pod ubraniem pasu *shahida*. Zanim się rozstałyśmy, przyznała, że doświadczenie pełnej swobody zmieniło ją bardziej niż cokolwiek innego, nawet to, co osiągnęła w szkole i polityce. Kiedy zadzwoniła do mnie przez Skype'a po powrocie do Pakistanu, emanowała energią zgromadzoną podczas wizyty.

– Te odwiedziny dały mi jedną rzecz, której potrzebowałam bardziej niż cegokolwiek, żeby dobrze wykonywać swoją pracę, Mario. Widzę ją nawet teraz, kiedy patrzę na ciebie. Uosabiasz ją.

– Co to takiego?

– *Hila*. Nadzieja. Jesteś nią.

*

Gdy Ayesha objęła urząd, ojciec porzucił nauczanie, żeby pomóc jej budować nowoczesne społeczeństwo, oparte na prawach i dobrobycie każdego obywatela. Rankiem jeździ do FATA, żeby sprawdzić, co jest tam najbardziej potrzebne – od lekarzy po maszyny do szycia i nasiona – i przywozi dla córki listę niezbędnych rzeczy. Niedługo potem Taimur też się zaangażował, dołączając do charytatywnej organizacji pozarządowej. Bliźniaki studiują na uniwersytecie. Babrak dalej gra w squasha i bierze udział w międzynarodowych turniejach, a Sangeen gra na uniwersytecie w tenisa. Matka, najdzielniejsza z nas, wstaje o świcie, choć wisi nad nią więcej gróźb niż nad nami wszystkimi. Wciąż prowadzi szkoły, mimo że większość z nich zostało obróconych w gruzy, a jej podróże pod przykryciem burki w plemienne rejony stały się rzadsze. Ponieważ wychowała dwie córki, które publicznie występują przeciwko talibom – jedna pod ich nosem w rządzie, a druga grająca w squasha i wygłaszająca przemówienia dla niewiernych na Zachodzie – jest im solą w oku. Każdego dnia można ją znaleźć w kuchni, gdy ocenia klasówki albo szuka na mapie nowych miejsc dla szkół. Nawet koledzy z rady edukacji błagali ją, żeby poszukała bezpieczniejszych terenów, bojąc się, że pewnego dnia podejdzie do niej uzbrojony przestępca i otworzy ogień. Odpowiada, że się nie boi. Dziewczęta potrzebują szkół. Potrzebują sportu. Potrzebują jej. „To praca mojego życia, Mario. Tak zostało spisane”.

*

Niedługo po tym, jak przyleciałam do Toronto i wciąż dochodziłam do siebie, Jonathon zasiadł w moim fotelu, żeby przez Skype’a porozmawiać z ojcem. Gawędzili długo, śmiejąc się, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy spotkali się po latach – a dzieliło ich 10 000 kilometrów. Zanim się pożegnali, ojciec zbliżył do ekranu zmęczoną twarz i powiedział Jonathonowi: „Moja cenna córka jest teraz twoją córką. Zrobiliśmy, co do nas należało”. Myślałam, że mój nowy trener, żywa legenda, poczuje się zbity z tropu tym wyznaniem. To duża odpowiedzialność, której mógł nie chcieć nosić na swoich barkach. W końcu graliśmy tylko w squasha – on był mistrzem, a ja uczniem.

Jonathon tylko się uśmiechnął. Obserwowałam go z boku, jego twarz rozświetlona była na niebiesko poświatą bijącą z ekranu. Schylił głowę.

– *Merabani*. Dziękuję.

W tamtej chwili, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, poczułam, że jestem bezpieczna. Byłam wręcz przytłoczona wdzięcznością.

Zdobycie tytułu mistrza świata znaczyło dla mnie więcej niż zwycięstwo w meczu – ambicja ta przerodziła się w nowy styl życia. Po kilku tygodniach założyliśmy z Jonathonem fundację Only One Girl, żeby zbierać pieniądze i edukować dziewczęta w krajach takich jak mój, w których są prześladowane. Zaczęłam wygłaszać przemówienia, pocąc się z tremy przed małym audytorium. Początkowo występy na podium w świetle rozgrzanych reflektorów mnie przerażały, nie byłam pewna, czy to, co mówię, dotrze choćby do jednej osoby. Ale potem, im więcej podróżowałam po Ameryce i im częściej widziałam, jak ludzie odbierają moją historię, tym bardziej zaczęłam zdawać sobie sprawę, że moja podróż ze wszystkimi swoimi szczegółami nie jest jedyna w swoim rodzaju. Byłam tylko dziewczyną z rakieta – i masą szczęścia.

Kiedy zwyciężyłam w turnieju Liberty Bell, ostatnia rzecz powiedziana mi przez ojca, zanim rozłączyliśmy się na Skypie, stała się mantrą, według której planuję każdy dzień mojej przyszłości.

– Za tobą w mroku czeka tysiąc Marii.

Robię to dla nich.

PODZIĘKOWANIA

Maria Toorpakai:

Przede wszystkim jestem wdzięczna mojej rodzinie, która zawsze mnie akceptowała taką, jaka byłam. Moi rodzice ryzykowali wszystkim, żeby ich dzieci mogły otrzymać edukację i spełnić swoje marzenia. Mam szczęście być córką ojca, który nie tylko szanował moją indywidualność, ale zachęcał do wyrażania siebie i dążenia do wolności. Matka, która dała nadzieję tysiącom nękanym dziewcząt z plemiennych terenów, jest moją wielką inspiracją. Moja mądra i piękna siostra, Ayesha, jest tuż za nią. Bez rodziców byłabym nikim.

Moja długa podróż ku wolności nie byłaby możliwa bez pomocy wielu osób. Jestem wdzięczna za nieugięte wsparcie od mojego trenera, mentora i przyjaciela Jonathona Powera, dzięki któremu każdy dzień jest cudem. Chciałabym też podziękować wszystkim osobom z Narodowej Akademii Squasha Jonathona w Toronto za otuchę. Staliście się moją drugą rodziną.

Jestem wdzięczna wszystkim zawodniczkom z całego świata, z którymi grałam. Nieważne, czy zwyciężamy, czy przegrywamy, łączy nas wspólna pasja do sportu. Im więcej osób sięgnie po raketę jak my, tym mniej sięgnie po broń. Dziękuję też tym, którzy uparcie próbowali powstrzymać mnie przed granicami i życiem po swojemu, gdyż dzięki wam stałam się silniejsza, a mój głos jest jeszcze bardziej doniosły i może dotrzeć do innych dziewcząt.

Wielkie dzięki dla oddanej ekipy Only One Girl, fundacji, którą założyłam z Jonathonem Powerem, wspierającej dziewczęta i młode kobiety, zwłaszcza te ciemnoskóre, w rozwijaniu potencjału i osiągnięciu statusu wrażliwych i mądrych liderki, które świecą przykładem dla innych: S. Kristin Kim, Rhiannon Trail i Julie Mitchell, a także mojej koleżance z drużyny, Cathy Eu.

Jestem wdzięczna Cassandrze Rosenthal za to, że zarządza moją pozasquashową karierą. A także mojej agentce literackiej Meg Thompson i jej kolegom z Thompson Literary Agency. Dzięki ich zaangażowaniu w ten i inne projekty mogłam się w pełni poświęcić sportowi. Dziękuję też załodze Twelve/Hachette za wiarę w tę historię.

Specjalne podziękowania dla Kate za to, że zaraziła się moimi marzeniami i przeobraziła je w coś pięknego. Wniosłaś cierpliwość, umiejętności i pozytywną energię, a przede wszystkim – rozumiałaś.

Gorące podziękowania także dla ludzi z FATA, z Pakistanu i całego świata za ich niezachwiane wsparcie i słowa otuchy. Szczególnie jestem wdzięczna za uprzejmość i szczodrość takich osób, jak Rahim Gul, Doktor i Umehani Saadatowie i Wuj Zia. Każde z was wielokrotnie ratowało mi życie. A także lekarzom ze szpitala w Kuala Lumpur, których imion nie zapamiętałam, a którzy przywrócili mnie do życia i nie zażądali za to ani jednej rupii.

Chciałabym też szczególnie podziękować miłującym pokój obywatelom Kanady – za to, że przyjęli mnie w swoim pięknym kraju i sprawili, że poczułam się w nim bezpiecznie jak w domu.

*

Katharine Holstein:

Przede wszystkim jestem wdzięczna przyjacielowi Alexandrowi za jego niezgłębiony geniusz i za to, że zadzwonił do Jonathona Powera i powiedział mu: „Musisz natychmiast porozmawiać z Kate o napisaniu książki”, a następnie za to, że dodawał mi otuchy przez te wszystkie miesiące mozolnej pracy. Udało się! I dziękuję Jonathonowi, że się zgodził.

Ekipie Twelve/Hachette, zwłaszcza redaktorce Libby Burton – ożywiła wielkie zasoby mojego mózgu, z których istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy. I Rickowi Ballowi, którego talent adiutorski jest nieoceniony. Oraz redaktorce Carole Tonkinson z Bluebird/Pan Macmillan za dodanie części magii od siebie. Dziękuję mojej agentce, Marcy Posner z Folio Literary Management, która radzi sobie z dobrymi, złymi i brzydkimi z tak niesamowitą charyzmą, że ja mogę w pełni poświęcić się pisaniu.

Jestem niezmiernie wdzięczna za miłość i wsparcie matki, ojca i wielkiego brata, Johna, którzy na wiele sposobów wnieśli wkład w moją pracę. A także rodzinom i osobom, które wzbogacają moje życie i karierę: Trevorowi i Hilary, Cristiano i Jane, Jasmin i Julianowi, Eddiemu i Maggie, Hayekom, Fyallom, Greenom i Boyle’om oraz Alexowi Van Weyowi, Mike’owi Williamsowi, dr. Thibaultowi, dr. Brownowi i „Nanie”. Nigdy nie ukończyłabym tego projektu bez niezmiernej szczodrości Matthew, Avery i Eden. Szczególne podziękowania należą się Kalen Kennedy, przy której biurku z IKEA strony te nabrały kształtu. Zawsze przyjmowałaś mnie

serdecznie.

Bardziej niż wszystkim innym dziękuję moim skarbom, Sophii i Henry'emu. Dziękuję, że z taką miłością i cierpliwością znosiliście długie okresy rozłąki. Wasze uśmiechy czynią mnie najbogatszą kobietą świata.

Serdeczne wyrazy wdzięczności dla ludzi z Pakistanu – kraju, który pokochałam. Wielu z was pomogło mi dotrzeć do końca. Wyrazy wdzięczności kieruję przede wszystkim do ojca Marii, Shamsa, i jej siostry, Ayeshy, za spędzone wspólnie godziny. Wasze ciepło połączyło nas, pomimo że dzieli nas tyle mil.

I wreszcie, *merabani*, Mario – za to, że dałaś mi nici, z których utkałam historię Twojego życia. Wspólnie spędzony przez nas czas był dla mnie darem.

O AUTORCE

Maria Toorpakai jest profesjonalną zawodniczką squasha, obecnie najlepszą w Pakistanie i jedną z 50 najlepszych na świecie. Dorastała w konserwatywnej, plemiennej części Pakistanu, gdzie uprawianie sportu przez dziewczęta jest zabronione przez miejscową muzułmańską kulturę, trenowała więc i grała jako chłopiec. Dziś Toorpakai mieszka w Toronto, trenując pod okiem dwukrotnego mistrza świata squasha, Jonathona Powera. Toorpakai jest siostrą Ayeshy Gulalai, członkini Zgromadzenia Narodowego, reprezentującą kobiety w pakistańskiej partii Tehreek-e-Insaf.

* Drzewo dżambu lub dżambu – inaczej czapetka kuminowa z rodziny mirtowatych występująca głównie w Afryce i Azji (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

** „My, naród...” – początek preambuły Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

*** Słowa te, często przypisywane Nietzsche, w rzeczywistości są autorstwa Rudyarda Kiplinga i pochodzą z wywiadu Interview with an Immortal przeprowadzonego przez Arthura Gordona („Reader’s Digest”, 1935).

**** Platon, Prawa, Księga pierwsza, tłum. Maria Maykowska, Wyd. Alfa, Warszawa 1997.

***** Water and Power Development Authority – powołany przez pakistański rząd w 1958 roku organ rozwoju energetyki wodnej, którego celem jest kontrola nad gospodarką wodną i energetyczną w Pakistanie.

***** Księga Kapłańska (25, 10), za Biblią Tysiąclecia.



Moja matka i mój ojciec krótko po ślubie



Mój ojciec w wieku 25 lat, przemawiający podczas dżirga. Często otwarcie występował w obronie praw kobiet, za co później znalazł się w więzieniu



Mój ojciec na drodze do Waziristanu w 2012 roku



Moja matka siedząca na trawie z moim bratem Sangeenem podczas przerwy w szkoleniu dla nauczycieli w Islamabadzie

Hashim Khan Junior Squash Championship odbywających się w 2002 roku



Odbieram moje pierwsze trofeum za grę w squasha. Zajęłam pierwsze miejsce w kategorii do lat 13 na zawodach



Moja siostra Ayesha podczas płomiennego przemówienia z okazji obchodów Święta Pracy w Peszawarze. Miała wtedy dziewięć lat i była jedyną dziewczyną na sali



Na turnieju squasha rozgrywanym w Kwecie w kategorii do lat 15 byłam jedyną dziewczyną pośród ponad 400 rywalizujących tam chłopców



Siedzę na ziemi w Darra Adam Khel, pierwsza z lewej. Na tym zdjęciu jestem jeszcze „chłopcem” i mam na imię Dżyngis-chan



Stoję z legendarnym pakistańskim zawodnikiem squasha, Qamarem Zamanem, podczas turnieju Asian Games odbywającego się w Malezji w 2004 roku. To były moje pierwsze poważne zawody za granicą



Poniżej: Jonathon w roli mojego trenera podczas zawodów w Pakistanie w 2013 roku



Stoję między moimi 14-letnimi braćmi bliźniakami. Po mojej prawej Babrak, a po lewej Sangeen



Odwiedzam jedno z wielu świętych miejsc na obrzeżach Teheranu. Byłam w Iranie w 2005 roku jako uczestniczka turnieju Women's Islamic Games



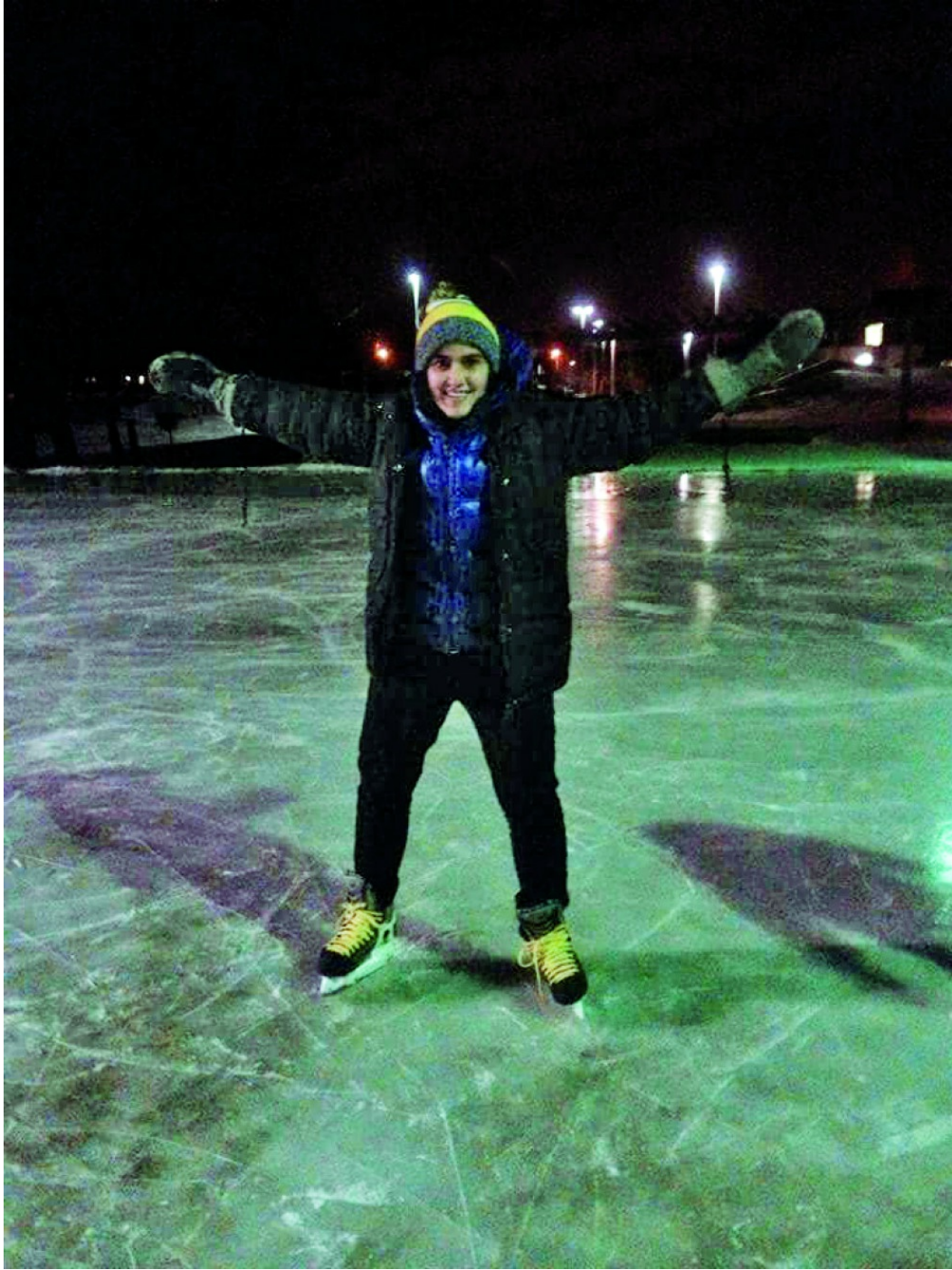


Na ceremonii otwarcia zawodów Asian Games odbywających się w 2014 roku w Korei Południowej

Stoję pośród pasztuńskich dzieci dopiero co ewakuowanych ze swoich ziem plemiennych. Napięcia między armią a grupami ekstremistów osiągnęły punkt krytyczny, co zmusiło całe rodziny do ucieczki w poszukiwaniu schronienia. Nieco później zorganizowałam w Islamabadzie specjalny turniej squasha, na który w wynajętych autokarach przyjechały przesiedlone dzieci. Hojni sponsorzy z całego Pakistanu zapewnili im pożywienie, odzież, buty oraz sprzęt. W ten sposób chciałam przekonać dzieciaki, by sięgnęły po rakiety do squasha zamiast broni



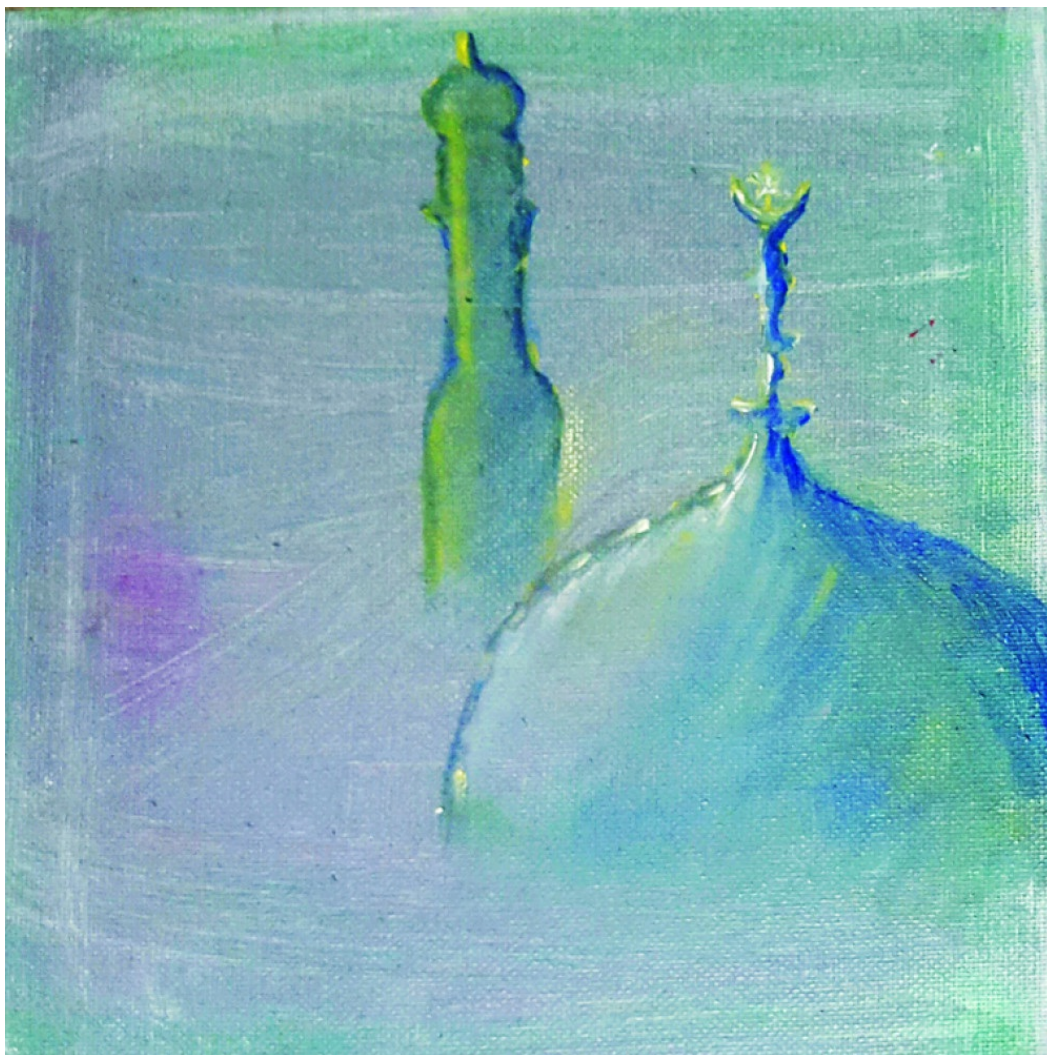
Pozuję
Fot. Carrie Lee



Pierwszy raz jeżdżę za łyżwach, Toronto 2014



Kiedy pojawiłam się w Kanadzie, miałam skołataną nerwy i cierpiałam psychicznie. Podczas jednego z licznych spacerów po Toronto weszłam do galerii sprzedającej dzieła sztuki. Od tej pory maluję na płótnach, szukając ukojenia. Pewnego dnia chciałabym wykorzystać moje prace do propagowania pokoju na świecie. Ten obraz nosi tytuł Krocząc mroźną doliną



A oto obraz pod tytułem Meczet w porannej mgle



Rozgrzewam się na korcie pod okiem mojego trenera, Jonathona Powera, podczas turnieju Asian Squash Championship rozgrywanego w 2014 roku w Pakistanie



Oto ja i moja matka w Islamabadzie w 2014 roku podczas kolacji zorganizowanej dla uczestników turnieju Asian Squash Championship



Mój trener, Jonathon Power, odwiedzający moją rodzinę w Peszawarze.
Przyjechaliśmy do Pakistanu razem na turniej Asian Squash Championship w 2014 roku

Different Kind of Daughter

Copyright © by Double Yellow Inc 2016

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Copyright © for the Polish translation by Robert Filipowski 2017

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski

Korekta – Piotr Królak

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na I stronie okładki – Tim Gaaney / Alamy Stock Photo

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.











Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-65836-43-4

ISBN MOBI: 978-83-65836-44-1

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  [Omnia tempus habent anta rhei](#)

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Prolog. Proroctwo
Rozdział 1. Między górami
Rozdział 2. Muła
Rozdział 3. Nietypowa panna młoda
Rozdział 4. Dżyngis-chan
Rozdział 5. Muza Bhutto
Rozdział 6. Mur
Rozdział 7. Miasto broni
Rozdział 8. Bóstwa, świątynie i anioły
Rozdział 9. Będziesz jadł błyskawice
Rozdział 10. Stolica imperiów
Rozdział 11. Nazywam się Maria
Rozdział 12. Grasz jak baba
Rozdział 13. Palenie skorpionów
Rozdział 14. Rupie dla matki
Rozdział 15. Dawca skarbów
Rozdział 16. Numer jeden
Rozdział 17. Na celowniku
Rozdział 18. Purdah
Rozdział 19. Gorączka łamiących kości
Rozdział 20. Dzwon Wolności
Epilog. Tysiąc Marii
Podziękowania
O autorce
Zdjęcia
Strona redakcyjna

*Wspaniała inspiracja dla milionów kobiet
walczących o prawo do niezależności.*

Khaled Hosseini, autor „Chłopca z latawcem”

PAKISTAŃSKA CÓRKA

Uciec talibom, wygrać życie

*Czy mała dziewczynka może
wygrać z talibami? Nie wojnę,
ale własne życie? To wzruszający
podręcznik walki o siebie samą.*
Manuela Gretkowska



Maria Toorpakai

oraz Katherine Holstein

SON
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON